



Ewa Ostrowska

Ja, pani woźna

## Mojej córce, Ani

### Rozdział pierwszy

Wystarczył mi rzut oka na syna rozgrzebującego jajecznicę na talerzu i od razu wiedziałam, co usłyszę.

— Tata. Chcę do taty — w ciemnobrązowych (po tacie), ocienionych długimi, gęstymi rzęsami (po mnie) oczach Szymka już zbierały się łezki. Najpierw będą nieśmiałe, jakby wstydliwe, drżące, zasłaniane rzęsami, lecz potem mój syn wybuchnie protestującym, pełnym złości płaczem. Między jednym a drugim szlochem zarzuci mnie lawiną oskarżeń. To przez ciebie taty nie ma! Nawet nie pomogłaś spakować mu walizek! Nie odwiozłaś na lotnisko! Jakbyś odwiozła, to tata na pewno by się rozmyślił! A ty kazałaś mu wezwać taksówkę! Wrzeszczałaś na niego! Tak! Wrzeszczałaś! Okropnie! Na miejscu taty do takiej jak ty też nigdy bym nie wrócił! Nienawidzę cię! Chcę do taty!

Zazwyczaj spokojnie odczekiwałam atak syna. Musiał po prostu wykrzyknąć z siebie całą swoją tęsknotę za ojcem. Jeżeli w jego jedenastoletnim rozumieniu ktokolwiek ponosił winę za wyjazd taty, to ta osoba byłam wyłącznie ja. Kogoś, biedak, musiał obciążać winą. Poza mną nie miał nikogo pod ręką. Wszelkie próby wytłumaczenia Szymkowi, że to nie jest tak, jak sady, kończyły się jeszcze gwałtowniejszymi wybuchami protestów. Mój syn wymazał z pamięci wszystko, co zakłócało wizerunek jego taty. Tata jawił mu się jako najczulszy, najlepszy tatuś pod słońcem. Który zawsze miał dla niego czas. Który prowadził go do kina, na lody, na mecze koszykówki albo na zwykły spacer po parku. Który co wieczór przychodził do niego, całował na dobranoc, otulał kołdra. Który pomagał przy odrabianiu lekcji. „Tata, tata, tata. Nienawidzę cię! Chcę do taty!”

Czasem zdarzało się, że z powodu spuchniętych od płaczu powiek nie szedł do szkoły, a ja spóźniałam się do redakcji, gdzie wszystkie moje koleżanki patrzyły na mnie z udawanym współczuciem. Wredne małpy. Żadnej z nich, mimo usilnych starań, nie udało się poderwać mego męża. Och, nie dlatego, że był taki wierny i taki kochający. Nie. Mój mąż miał swoje żelazne zasady. Taki własny kodeks etyczno-moralny: zdradzam żonę tak często, jak mi się podoba, nigdy jednak nie sypiam z jej koleżankami. Zanim odkryłam te wyjątkowo „etyczne” zasady, trochę wody upłynęło w Wisłę. Prawdę mówiąc, odkryłam prawdę o mężu zbyt późno. Tuż przed jego wyjazdem do Anglii. Bynajmniej nie wyjeżdżał samotnie, lecz mniejsza z tym. Przebolełam to jakoś. Przynajmniej wmawiam sobie, że przebolełam. Jasna cholera! Szymek ryczy, że chce do taty, a ja ryczę wieczorami w poduszkę, wyobrażając sobie, że zaraz, za chwilę usłyszę kroki

mego urokliwego męża, wychodzącego z łazienki, pachnącego, niech go szlag, Egoiste by Chanel za dwieście pięćdziesiąt dziewięć zet polskich, kupowanych mu z okazji urodzin i bez okazji z mojej kasy. Niech mnie szlag, idiotkę, w dalszym ciągu idiotkę nad idiotkami, bo nadal tęsknię za jego zapachem, jego krokami zbliżającymi się do łóżka, jego najpierw tkliwymi, a potem namiętymi pocałunkami... No nie, przestań, babo, bo naprawdę trafi cię szlag!

Mój syn buntowniczym ruchem zwałił talerz z jajecznicą na terakotę kuchennej podłogi. Aha, zaraz nastąpi akt drugi pod tytułem: Ja chcę do taty, czyli robienie ze mnie kozła ofiarnego. Nic z tego. Dziś nie wolno mi się spóźnić do redakcji. Dziś muszę zrobić się na bóstwo. Dziś, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, a przede wszystkim wnioskując po wściekłych spojrzeniach Jolki Zawidzkiej, mojej głównej konkurentki, czuję, że naczelny zamierza mnie awansować na kierownika działu kulturalnego. A ja w piżamie, włosy skołtunione, ciało domaga się nie tylko prysznic, lecz również wonnych olejków, gęba sauté, pod oczami wory i żadnej koncepcji, w co się przyodziać!

— Szymek! — wrzasnęłam, zapominając, że przysięgałam sobie na wszelkie świętości nie wrzeszczeć na rodzone dziecko. — Chciej sobie, ale kiedy indziej! Po obiedzie! Przed kolacją! Byle nie teraz! Teraz marsz pakować książki i do szkoły! Inaczej twoja matka nie dostanie awansu, który się jej należy jak psu miska zupy! Inaczej twoja matka nie otrzyma również podwyżki, a wtedy ty pożegnasz się na zawsze z nowym komputerem! Jeszcze swego nie zdążyłam spłacić!

Wizja odpływania w niebyt nowego komputera zadziałała na mego syna niczym magiczna różdżka. Już go sobie wybrał w Avansie: Adax Delta, za prawie dwa patole, oraz nowy monitor plazmowy za ponad sześć stów. Obiecałam, że kupię, oczywiście na raty, kiedy otrzymam awans. Jata to by mi kupił od ręki — w taki oto sposób okazał mi swoją wdzięczność syn. Trudno. Przyzwyczaiałam się. Przegrywałam z mitycznym tata na każdym kroku.

— A dostaniesz? — zapytał niedowierzająco. — I nie wrzeszcz. Tata nigdy nie wrzeszczał.

— Dostanę. O ile się nie spóźnię na kolegium.

Mój syn raz jeszcze wykrzywił buźkę niby w tragicznym grymasie, westchnął jeszcze bardziej tragicznie i wybył z kuchni. Oczywiście, pozostawiając na podłodze artystyczną kompozycję w stylu taszyzmu: spontanicznie rozchlapaną żółć jajecznicową na seledynowej terakocie kuchennej podłogi.

Trudno. Niech zasycha. Może po powrocie z redakcji zrobię zdjęcie tego arcydzieła i zamieszczę je w swoim dziale kulturalnym jako odkrycie nowego talentu. Albo wyślę na jakiś międzynarodowy konkurs sztuki abstrakcyjnej.

Przyjaciel mego męża, uznany malarz, otrzymał Grand Prix na Biennale w Wenecji, plus pięć tysięcy euro za płótno, na którym przez dziurki w puszcze po piwie rozpryskał kilkanaście zajebistych kolorków.

Szorując intensywnie zęby w łazience, usłyszałam głośnie trzaśnięcie drzwiami. Dobra. Szymka miałam z głowy. Teraz pozostały mi włosy na mojej głowie wraz z dylematem, czy upiąć je w nobliwy kok, czy też rozpuścić seksownie na ramiona. Wybrałam ramiona i wersję seksy. Okej. Nieźle. Całkiem nieźle. Szkoda, że mnie w tej chwili nie oglądasz, mężu. Cholera jasna, kiedy ja o nim przestanę myśleć? Trzy lata, jak wyjechał, na dodatek z panienką. Zresztą, jak przypuszczam, w wieku mocno średnim. Właścicielka sieci restauracji w Leeds, i nie tylko w Leeds, nie może być osiemnastoletnią młódką. O panience, oczywiście, dowiedziałam się w ostatniej chwili. Wcześniej mój mąż omijał w rozmowach obecność dzianej w restauracje osoby płci żeńskiej w swoim życiu. Celem jego życia byłam, oczywiście, ja. To dla mnie postanowił się poświęcić, zarabiając kasę w mglistym, niezdrowym klimacie Wysp Albionu i wrócić po roku. Do nas wrócić. Do swojej durnej żony i jeszcze durniejszego syna. Na tyle czasu podpisał kontrakt. Ale nie wrócił. Zmienił adres. Zmienił komórkę. Wątpię jednak, czy zmienił dzianą w restauracje panienkę. Chyba że znalazł bardziej dzianą. No ale jak to wszystko wytłumaczyć synowi, gdy ryczy: „Ja chcę do taty.”

Babo, przestań myśleć o panienkach męża. Skup się na sobie. Masz olśnić szefa. Kiecka, ot i problem. Wybrać długą czy krótką? Zdecydowanie krótka! Mąż mi w chwilach czułości mówił, że uwiodły go moje nogi. Szef też na nie zerka. Natomiast Jolka twierdzi, że w moim wieku nie wypada nosić kiecek do pół uda. Pewno, jakbym miała nogi podobne do dwóch słupów, zakrywałabym je skrętnie długimi kieckami. W moim wieku! W moim wieku! Niech to szlag, niby ma rację. Trzydzieści sześć latek stuknęło! Ani się obejrzę, a czterdziecha na karku oraz kurcze łapki pod oczami. Aliści na razie obywam się bez żadnych łapek, kurzych czy indyczych. Na razie nie muszę odziewać się w zgrzebny worek ani zasłaniać twarzy niczym muzułmanka.

Jeszcze resztki ulubionych przez mego męża (czy ja z nim nigdy nie skończę?!) perfum Chanel Chance za dwieście trzydzieści zet, które, ostatnia idiotka, kupowałam za swoją kasę, żeby jemu sprawić przyjemność, ponieważ całując mnie w szyję, szeptał o podniecającym go zapachu, niech to szlag! Mego męża i ten podniecający zapach też! Odkąd zmienił adres oraz numer komórki i po trzech miesiącach przestał przysyłać dwieście funciaków na Szymka, utrzymuję się ze skromnej pensyjki. Na codzienne, szare dni muszę zadowolić się dezodorantem Fa oraz perfumowymi podróbkami za dwadzieścia złotych.

Wypadłam z domu. Bez makijażu. Nie szkodzi. Zdażę. O tej porze zwykle stoję w dwóch korkach." pierwszy przy skrzyżowaniu Lutomierskiej z Zachodnią, drugi, o wiele dłuższy — przy skřęćie z Zachodniej w Aleje Piłsudskiego. Oczywiście, złom nie chciał odpalić. Pamiątka po mężu: czternastoletni volkswagen. Tyle mi zostawił. Oraz własnościowe czteropokojowe mieszkanie w apartamentowcu. Do którego to mieszkania nie posiadam żadnego prawa, ponieważ należało do męża zanim oszalał na moim punkcie i poprowadził mnie miłosćnie przed znudzone oblicze urzędnika w Pałacu Ślubów na Piotrkowskiej.

— Zapal, najdroższy — przemawiałam czule do rzeżącego resztkami sił akumulatora. Rzeził nadal. Nie słucał. — Ty cholero, zapal! — wrzasnęłam.

No i proszę. Posłuchał. Tak trzeba było z mężem: ty cholero zamiast kochanie moje.

Korki, jak na złość, okazały się krótsze. Zdażyłam powlec tuszem rzęsy lewego oka. Drugie, pomyślałam, upiększę w redakcyjnej toalecie.

Na parkingu ani jednego wolnego miejsca. Trudno. Zaparkowałam za znakiem zakazu zatrzymywania. Nim zdażyłam zgasić silnik, wykwił przede mną policjant. Młody, stwierdziłam z zadowoleniem. Z młodymi mi się zazwyczaj udawało. Wystarczył uśmiech numer trzy. Stosowałam go zawsze w chwilach zagrożenia. Był to uśmiech nieśmiały, zażenowany, przepraszająco-błagający, równocześnie ukazujący moje uzębienie w pełnej krasie. Mój mąż mówił, że poza nogami uwiodła go również biel moich zębów.

— Dokumenty! — Policjant jakby nie dostrzegł uśmiechu numer trzy.

— Ale ja na chwilę... Na dwie minutki.

— Dokumenty!

— Już odjeżdżam...

— Dokumenty!

Jasny gwint! Policjant to czy katarynka? Nie zna innego słowa poza tym jednym?

— Dokumenty!

— Dobra, dobra. Co z pana za człowiek?

— Dokumenty!

Co za cholera? Czemu tak długo sprawdza prawo jazdy, zerkając nieufnie to na moje zdjęcie, to na mnie?

— Pani czeka. Muszę sprawdzić. — Już pojęłam przyczynę jego niechęci. Był co prawda młody, ale wyjątkowo nieatrakcyjny. Niski, wąziutki w ramionach. Spiczasty, długi nos. Małe oczka. Wąskie usta. Pełno wągrów na buźce. Za takim żadna laska się nie obejrzy. Chyba że niedowidząca. Biedaczyna cierpi na kompleks niedowartościowania. Nie znosi ładnych kobiet. Ulgi nie będzie. Taki

nie popuści. Chyba że go zagadam. Ten sposób również czasem się sprawdzał wobec nieprzejeżdżanych policjantów z drogówki.

— Co pan zamierza sprawdzać? Moje punkty karne? Jak Boga kocham, mam czyste konto. Jeżdżę zgodnie z przepisami.

— Widać, jak jeździ — odpowiedział ponuro policjant. — Parkuje taka za znakiem zakazu zatrzymywania. Z podejrzanym prawem jazdy.

— Jak to: podejrzanym? — oburzyłam się, myśląc z rozpaczą, że ani chybi spóźnię się na kolegium. Szef też ma dzikie pomysły. Kolegium redakcyjne o dziewiątej rano? Najwcześniejsze, od kiedy pracuję w „Pięknym Życiu”, odbyło się o dwunastej.

— Falszerstwo. Za to się idzie siedzieć. — Mój policjant nagle ogromnie się ucieszył. Zęby miał nie pierwszej świeżości. Chuch też.

Falszerstwo? Zdenerwowałam się. Jakiś wariat, nie policjant. Albo policjant sadysta. Z takim nie wygram. Awans diabli wezmą. A dokładniej Jolka Zawidzka.

— Panie, w czym pan upatruje owo rzekome falszerstwo? Przynajmniej niech mi pan wyjaśni! — Zrezygnowałam z uśmiechów. Taki zakompleksiony facet dla samej satysfakcji gotów jest mnie aresztować.

— Zdjęcie. Na zdjęciu w prawie jazdy wygląda inaczej. Oczy inne.

— Inne? Panie, od urodzenia mam jednakowe. Niech się pan uważnie przyjrzy. Kolor: piwne.

— Kolor się zgadza. Ale oczy nie. Teraz ma lewe większe, a prawe mniejsze.

— O Jezu, a jakie mam mieć? Lewe zdążyłam umalować, a prawego nie!

I kto tam w policji zatrudnia podobnego debila? Miałam dość. Najwyżej niech mnie ściga. Lecz wydał mi się zbyt głupi na podjęcie szybkiej decyzji. Niskie czółko, mały mózdzek. Ryzyk-fizyk. Bez ryzyka nie ma życia, jak mówi moja jedyna przyjaciółka, Elka Popielska.

— Panie władzo! Proszę bliżej... Jeden kroczek... Jeszcze jeden, malutki... Świetnie... Dzięki, panie władzo! — Szybki ruch i dokumenty moje! Noga na gaz i chodu. Dureń! Po prostu osłupiał. Więc pomachałam mu wdzięcznie na pożegnanie odzyskanym prawem jazdy. — Pa, pa!

Oddalając się, nasłuchiwałam za sobą wycia syren policyjnych. Nie wyły. Chwała Bogu. Zawróciłam, przejeżdżając linię ciągłą. Pan policjant wciąż tkwił jak słup przy słupie ze znakiem zakazu. Ciekawe, czy pomyślał, żeby zapisać mój numer rejestracyjny. Sądząc po jego minie — nie zapisał. I nieprędko też zrozumie, co się stało.

Cholera! Na kolegium zdążę, lecz oka za Chiny umalować nie zdążę. Trudno. Będę oryginalna. W końcu szef nie dla moich umalowanych oczu zamierza

przyznać mi awans, ale dla moich niepodważalnych kompetencji. Od dawna powtarzałem, że jestem the best.

## Rozdział drugi

Wparowałam do redakcji, dysząc ciężko. Z boksów nazywanych przeze mnie kanciapami, wychyliły się natychmiast cztery łby moich koleżanek po fachu. Omal nie wrzasnęłam z przerażenia. Wszystkie cztery były trupio blade. Przypominały zombi. Wytrzeszczały jednak oczy tak, jakbym to ja przypominała zombi. Bez przesady, jedno oko mam umalowane perfekcyjnie. Więc czego?

Nagle pojęłam. Jarzeniówki! Od kiedy szef je nam kazał zainstalować, odtąd w ich świetle upodobniamy się do zjaw z tamtego świata. Nie pomagają najbardziej wyszukane makijaże. W naszym dziale trwa nieustające Halloween z nami w rolach straszących widm. Nawet podpisałyśmy, tym razem solidarnie (co się w naszym dziale rzadko zdarza), petycję do szefa z żądaniem innego, mniej ostrego oświetlenia. Bez skutku. Powiedział, że jarzeniówki są energooszczędne. A panie jesteście śliczniejsze w każdym świetle. Ciekawe, dlaczego w swoim gabinecie ma notarialne żarówki, w świetle których człowiek wygląda jak człowiek, a nie jak strzyga z bagien...

Wpadłam do swojej kanciapy. Zamiast włączyć komputer, wywaliłam obok niego całą zawartość kosmetyczki. Niech Bogu będą dzięki. Do dziewiątej pięć minut. Zdążę dorobić drugie oko, nim rozpocznie się kolegium.

Nie zdążyłam.

— Kaśka, masz natychmiast zgłosić się do szefa! — z dziwną radością poinformowała mnie Jolka. Ta jej radość wydała mi się nader podejrzana.

— A wy?

— Co — my?

— No, wy. Kolegium szef zapowiedział na dziewiątą. Jest za pięć. Jolka, daj żyć. Nie widzisz, że nie mam oka?

— Widzę — odpowiedziała Jolka. — Wszystkie natychmiast zauważyłyśmy. A wiesz, nawet nie przypuszczałam, że tak naprawdę to masz małe oczy.

— Dobra, dobra — mruknełam, wyszarpując z rozrzuconych kosmetycznych maneli pojemnik z tuszem Max Factor, który powiększa i pogrubia twoje rzęsy dziesięć razy. A ty potem tylko nimi trzepoczesz i już on leży u twych stóp. Nie Max Factor, rzecz jasna. On. Twój wybranek. Co to ma cię kochać do grobowej deski.

— Kaśka, szef osobiście sprawdzał, czy przybyłaś. A jaki miał przy tym uśmiech, no, no, Kaśka, gratuluję. Prawda, dziewczyny? — zawołała Jolka, zaś echo trzech głosów pozostałych koleżanek odpowiedziało zgodnie: Prawda! Prawda!

Cholera, do czego ona pije? Cholera, dziabnęłam się przez nią w oko!



— Jolka! Dlaczego niby tylko mnie szef wzywa? Jednoosobowe kolegium? — Znów dziabnęłam się w oko.

— Ty to wiesz najlepiej, kochana. Prawda, dziewczyny? Echo zgodnie przytaknęło. Miałam po dziurki w nosie Jolki, echa oraz ich aluzji. Niech będzie. Udam się do szefa bez oka.

— Przepuść mnie — powiedziałam, ponieważ Jolka, metr dziesięć w biodrach, tarasowała sobą wyjście z mojej kanciapy.

— Widzicie dziewczyny, jak się jej spieszy? No pewno, jak się ma takie układy z szefem, to można być bez oka, w jednym pantoflu czarnym, w drugim beżowym, z rozdartym ekspresem przy kiece... — wyliczała Jolka moje braki, a mnie, dobry Boże, i owszem, z powodu nawału myśli zdarzało się schować portfel do lodówki, odcedzić zupę zamiast kartofli, lecz żeby pomylić kapcie? Włożyć kieckę z rozdartym ekspresem na plecach? Niech to szlag! Spiesząc się do redakcji, zapomniałam również założyć stanik.

— No, leć, leć, twój oblubieniec czeka na ciebie. Nawet dwa różne kapcie nie zepsują twego cudnego wizerunku w jego oczach. Zwłaszcza gdy zauważy, że nie nosisz stanika.

Odpowiedzią był wspólny, zjednoczony rechot wydobywający się z pozostałych kanciap. Obrzydliwe ropuchy. Bóg mnie ustrzegł, że nigdy z żadną bliżej się nie zaprzyjaźniłam, nie zwierzałam z niczego, jedynie opowiadałam bzdury o wciąż kochającym mnie mężu i moim pęczniejącym dzięki niemu koncie walutowym. Jednak mimo wszystko... Mimo wszystko nie posądzałam je o tak kosmate myśli. W końcu pracujemy razem od czterech lat, więc zdążyłyśmy się poznać. Wiedzą doskonale, że z redakcji gonię na łeb na szyję do syna. Ze nie bywam w pubach, odrzucam wszelkie umizgi kolegów z innych działów, którym wydaje się, że skoro jestem tyle czasu bez faceta, to pozwolę się łatwiutko zaciągnąć do łóżka. Przecież one wiedzą, że nigdy nie kokietowałam szefa. Cholera, muszę mieć ten awans. Tysiąc złotych więcej do pensji. Spełnię komputerowe marzenie swego syna. I swoje też. Tyle razy wyobrażałam sobie, jak zarzuca mi ręce na szyję. Przytula się. Przestaje buntować. Mówić, że mnie nienawidzi. Pozwala wreszcie przyjść wieczorem do swego pokoju, okryć kołdrą, pogłaskać, pocałować. Nie odpycha z gniewnym pomrukiem. Idź sobie. Nie potrzebuję cię. Chcę do taty.

— Słuchajcie! — usłyszałam za sobą okrzyk Jolki — ona się na nas obraziła! Pewno, prawda w oczy kole, no nie, dziewczyny?

Wybiegłam na korytarz. Myśl, że nadal będę musiała z tymi ropuchami pracować, na dodatek w charakterze ich szefowej, przygwoździła moje nogi w dwóch różnych kapciach do podłogi. Trudno. Coś wymyślę. Postaram się być dla

nich słodka jak miód. Mogę nawet za nie odwalać wierszówki. Prawdę mówiąc i tak często gęsto odwalam. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie otrzymały etaty w dziale kulturalnym, poza Celiną może, ale taka Jolka na przykład? Albo Weronika? Na teatrze znają się jak kura na pieprzu. Na wystawy malarstwa pani Sławka, była kierownik działu, która odeszła na zasłużoną, chociaż głodową emeryturę, musiała je wypychać kolaniem. Kubizm mylił się im z taszyzmem. Przylatywały do mnie: Kaśka, ratuj! Sławka kazała napisać o moim subiektywnym rozumieniu malarstwa Strzemińskiego, bo zbliża się rocznica jego śmierci, a on związany z Łodzią. Matko, Kaśka, toż to jakieś bohomyzy. Nie rozumiem nic ani subiektywnie, ani obiektywnie. Napiszesz, złociutka? Więc pisałam o Strzemińskim. Pisałam o rzeźbach Abakanowicz, ponieważ jej rzeźby moim srodze kształconym koleżankom kojarzyły się wyłącznie z workami wypchanymi słomą. Pisałam o premierach teatralnych. O koncertach w filharmonii, bo Jolce słoń nadepnął na ucho, zaś zakres jej wiedzy z muzykologii był mniej niż elementarny. Zresztą, jak by inaczej, skoro kończyła socjologię?

Trudno, trzeba maszerować w kierunku gabinetu naczelnego. Bo jeśli jeszcze chwilkę tu postoję, rozryczę się jak amen w pacierzu. Nawet nie przypuszczałam, że te złośliwości tak mnie zapiekają. Katarzyna Malicka, nie roztkliwiaj się nad sobą. Ropuchy z działu kulturalnego znowu nie są takie ropusze. Każda z nich ma swoje własne problemy. Jolka męża tyrana, Weronika czwórkę dzieciaków, a Celina mieszka razem z teściami. Podobno jej teściowa swoje produkty w lodówce opatruje kartkami: „Nie ruszać!”. Właściwie w porównaniu z nimi jestem prawie szczęśliwa. Czego się ich czepiam?

Gnębiona coraz silniejszymi wyrzutami sumienia przekroczyłam podwoje sekretariatu, w którym pani Zosieńka, dama w wieku bliżej nieokreślonym, zadarła wyżej swój krogulczy nos, obrzuciła moją postać z umalowanym jednym okiem, za to w dwóch różnych kapciach spojrzeniem wyrażającym pełne obrzydzenie i wypowiedziała jedno zdanie tonem również pełnym obrzydzenia:

— Pan redaktor naczelny czeka.

Pamiętając o popsutym ekspresie z tyłu kiecki, w obawie przed niewyobrażalnym obrzydzeniem pani Zosieńka, gdyby dostrzegła niezamierzoną goliznę moich pleców, ukloniłam się i wycofałam tak zwanym rakiem ku drzwiom gabinetu naczelnego. Na szczęście pani Zosieńka zlekceważyła prychnięciem mój ukłon, natomiast swój krogulczy nos utkwiła w papierzyskach leżących przed nią na biurku. Moje dwa kapcie zmieniły się w buty milowe, więc przestrzeń od drzwi sekretariatu do drzwi szefa pokonałam w kilku podskokach. Z tego wszystkiego zapomniałam o manierach. Nie zapukałam. Moim celem było natychmiastowe zajęcie fotela przed biurkiem szefa. Wysokie oparcie zasłoni rozpierdak na

plecach. Dwa różne kapcie schowam natychmiast pod okazałe, szerokie na dwa metry, długie niczym stół konferencyjny biurko naczelnego. Pozostanie kwestia prawego oka. Pocieszyłam się w myślach, że naczelny nie zauważy różnicy. Cały zespół „Pięknego Życia” wiedział o słabostce naczelnego, który uważał, że stuprocentowemu mężczyźnie nie uchodzi nosić okulary. Więc nie nosił, bowiem uważał się za macho. Akurat konsumował czwartą żonę. Liczył tyle lat co ja, więc miał szansę jeszcze kilka kolejnych żon skonsumować. Złośliwi wyliczyli, że żony zmienia mniej więcej co pięć, najwyżej sześć lat. Mądrze zmienia. Bezdziennie. Nie obciąża swego portfela alimentami.

— Ach, to pani, pani Kasieńko. Nareszcie. Czekałem na panią z niecierpliwością. — Szef błysnął w uśmiechu nieskazitelnie białymi zębami. Zerwał się, obiegł biurko, ucałował moją dłoń, zaglądając mi w oczy. — Ach, pani Kasieńko — westchnął i znowu dobrał się do mojej dłoni. Wargi miał wyjątkowo przylepne. Jakby pociągnięte poxipolem. Trudno. Katarzyno Malicka, zniesiesz i te przylepione do twojej ręki usta szefa. Musisz. Pamiętaj: tysiąc złotych podwyżki. Netto.

Tymczasem usta szefa przyklepiły się do mego nadgarstka.

— Ach, ależ pani pachnie, pani Kasieńko. Jak konwalia wczesną wiosną.

Trudno. Zniosę nawet tę konwalię. Wolalabym jednak stanowczo, aby naczelny odlepił się od mojego nadgarstka i wrócił za biurko. Przestrzeń, jaka nas obecnie dzieliła, stała się zbyt ciasna. Kolanami ocierał się o moje kolana.

— Drogi szefie, czy zechciałby pan przystąpić do meritum sprawy? — powiedziałam i niby zakładając nogę na nogę, kopnęłam szefa w kostkę.

— Och, jaka zasadnicza, jaka zasadnicza... — zamamrotał szef, po czym przyklepił się ustami do mojej drugiej ręki. — A ta rączka... ta rączka... taka wąska... taka delikatna... taka stworzona do pieśczonek...

Boże, daj cierpliwość! Naczelny zawsze mnie w jakiś sposób adorował, co traktowałam z wyrozumiałością, wiedząc, że adorowałby nawet wieszak ubrany w kieckę, taki mu Bozia dała charakter, lecz co za dużo, to niezdrowo. Miałam dość obśliniania dłoni oraz nadgarstków. Kopnąć go ponownie? Kopnęłabym z radością, lecz muszę dostać podwyżkę. Ledwo wiązę koniec z końcem. Trudno. Niech już plecie o tych pieśczoneczkach, żeby go szlag, erotomana!

Uśmiechnęłam się kusząco.

— Szefie! Pan wie, jak pana cenię. I szanuję. I życzę zdrowia. Dlatego proszę jak najdalej ode mnie. Dla własnego dobra. — powiedziałam, szybko kombinując, na jaką zakaźną chorobę mam zapaść natychmiast, koniecznie jednak taką, żeby szefa odsunąć za biurko, a samej pozostać w fotelu. — Panie Stefanie. Naprawdę.

Nie chcę pana zarazić... Na Boga! Zaraz kichnę! A wirusy rozprzestrzeniają się głównie drogą kropelkową...

Pomogło. Odlepił się od lewego nadgarstka. Odsunął nieco.

— Jest, co prawda, początek czerwca, a jak czerwiec, to zaraz lato, a że czas szybko popyła, lato przeleci migiem i już jesień puka do okieneczka. A jak jesień, to wybucha epidemia grypy. Szczepił się pan przeciw grypie? — plotłam. Z mojej wiedzy o facetach wynikało niezbitie, że są hipochondrykami. Ledwo taki skaleczy się w paluszek, natychmiast sądzi, że się wykrwawi na śmierć. — A w telewizji słyszałam, że epidemia grypy zapowiada się w tym roku szczególnie złośliwa. Właśnie czuję, że mnie chwyta... Pierwsze objawy to ból stawów...

Bingo! Naczelnny odsunął się na całkiem przyzwoitą odległość.

— Potem człowiek się poci jak ja... — ciągnęłam, teraz zgodnie z prawdą, ponieważ spościłam się niekiepsko. Naczelnny, chociaż znany erotoman, poczynął sobie wobec mnie nazbyt poufale. I coraz mniej podobało mi się to jednoosobowe kolegium. — A skoro poci się, znaczy — ma gorączkę. Czuję, że od niej płonę.

Naczelnny już siedział za biurkiem. Lecz wpatrywał się we mnie wciąż zachwyconym spojrzeniem. Zachwyconym? Cholera, po raz pierwszy w ten sposób na mnie patrzył. Jakby rozbierał do naga. Trudno. Wytrzymam i to. Muszę dostać podwyżkę.

— Widzę, jak pani płonie, pani Kasieńko. Uroczo pani z tym rumieńcem na twarzy. W ogóle jest pani urocza. I taka seksowna. I te pani nogi... A te włosy... A oczy... Wszystko jest w pani zachwycające, podniecające. Akurat rozstałem się z żoną i czuję się taki opuszczony, taki samotny... Ta grypa u pani, Kasieńko, bardzo nie w porę, bardzo.

— Panie Stefanie — zaszczębiotałam — grypa minie...

— No właśnie — podchwycił ochoczo.

— Panie Stefanie. Wiem, że ma pan wobec mnie poważne zamiary.

— Bardzo poważne, pani Kasieńko — i żeby nie obawa przed zarazkami, pewno przeskoczyłby biurko. Jezu kochany! Zwariował czy co? Zamierza poprosić mnie o rękę? Mnie? Jestem dla niego o wiele za stara. Jak głosiła plotka redakcyjna, ostatnią żoną szefa była świeżo upieczona maturzystka.

— Przykro mi, muszę odmówić. Jestem już mężatką. Do tego tradycjonalistką. Dochowuję wierności mężowi.

— Pani Kasieńko! Mąż daleko, ja blisko.

— Niewątpliwie, szefie — przystałam zgodnie na tę oczywistość, po czym zaatakowałam: — To od kiedy otrzymam awans na kierownika działu?

— Pani jest the best. Kierownictwo działu, tysiąc dwieście podwyżki brutto, plus premie... o ile, o ile, pani Kasieńko, dogadamy się...

— Dogadamy się? Skoro uważa mnie pan za the best, w czym się tu dogadywać?

— Oj, figlarka... Lubimy się trochę podroczyć, co? Trudno. Przełknę jakoś i te aluzje. Udam, że niczego nie rozumiem. Za tysiąc dwieście złotych brutto plus premie można udawać idiotkę. Chociaż najchętniej dałabym mu w pysk i wyszła, trzaskając drzwiami.

Uśmiechałam się nadal słodko. Niech gada. Potem niech wyciąga umowę do podpisania. Potem może mnie pocałować w... wiadomo w co.

— Pani Kasieńko... Cenię życie rodzinne... jednak cenię również niezależność. Od dawna wynajmuję kawalerkę. Oto klucz. Klucz do naszego przyszłego gniazdka szczęścia...

Przesunął klucz w moją stronę. Co ta świnia mi proponuje? Gniazdko szczęścia?

— A jeżeli... jeżeli ja z tego klucza nie skorzystam?

— No cóż, pani Kasieńko... Wolny wybór. Jednak dostawałem różne sygnały, że pani chętnie na taki układ przystanie. Od trzech lat mąż hula po Anglii. Wychowuje pani samotnie syna. Z tej marnej pensyjki, kochanie? Musisz się bardzo natrudzić. Tysiąc osiemset na rękę. Teraz dostaniesz trzy. I mnóstwo prezentów. Moje panie na mnie nigdy nie narzekały. Lubię sprawiać pięknym kobietom piękne prezenty. Również w postaci dodatkowej gratyfikacji finansowej — uśmiechnął się znacząco.

Milczałam. Już nie myślałam: trudno. Sygnały dostawał... Jezu, od kogo? Kto, poza nim, może w tej redakcji być aż taka świnia? Gratyfikacja finansowa? Boże, jakim prawem? Wyjątkowe świństwo! Wybrał mnie nie tylko z powodu moich zgrabnych nóg. Wybrał, ponieważ wiedział, że mąż wyjechał, nie wrócił, że od trzech lat samotnie wychowuję syna. Ze jest mi ciężko. Czemu więc nie wykorzystać sytuacji?

— Kochanie, przede mną nic się nie ukryje. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Gdyby twój mąż dbał o ciebie i syna, nie jeździłabyś takim starym złomem. Nie wymagam natychmiastowej odpowiedzi, chociaż... chociaż jako mężczyzna czułbym się wielce upokorzony, gdybym jej zaraz nie otrzymał.

Wciąż milczałam, zastanawiając się, czy nie wrzasnąć: Ratunku, gwałci mnie! O usiłowaniu gwałtu świadczyłby dobitnie mój rozerwany ekspres kiecki. Cholera, ale dziewczyny też widziały, że rozerwany, niestety. Szkoda, że widziały.

— To jak? — zapytał całkiem szefowskim tonem. — Pamiętaj, w razie odmowy z awansu nici. Z jakiegokolwiek podwyżki również. Mogę cię nawet

przesunąć do działu ogłoszeń. Każda inna na twoim miejscu już dawno rzuciłaby mi się na szyję.

Nie ulegało wątpliwości, że moje uporczywe milczenie zaczynało go drażnić. Jego męską dumę. Faceta, którego stać nie tylko na zmienianie żon jak starych skarpetek, lecz również na przytulne gniazdko szczęścia.

— Okej — powiedziałam.

Rozpromienił się.

— No, tego się spodziewałem, moja maleńka. Troszeczkę oburzonych minek; ja się znam na kobietkach. To mnie zresztą zawsze w was podnieca. Gdyby nie twoja grypa, już bym cię chrupał. Tu, na biurku. Pani Zosia nigdy nie przeszkadza, gdy zapraszam do swego gabinetu ładną kobietę. Boże, te twoje zmysłowe usta! Zębki jak perełki... Pewnie gryziesz w łóżku, co, kociaczk?

— Dokładnie, kociaczk. Wstałam. On też wstał.

— Podejdź bliżej, kociaczk — powiedziałam.

Podszedł. Ze względu na moją rzekomą grypę, która przeszkodziła mu schrupać mnie na biurku — co za świni! — zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

— Odrobinę bliżej, tygrysku.

— Tak, kociaczk. Możesz mnie troszkę popieścić. Tu i tam. — I już rozpiął rozporek.

Co za świni! Z całej siły palnęłam go z prawej. Następnie poprawiłam z lewej.

Oślupiał jak tamten policjant przy słupie.

— Chcesz jeszcze? — zapytałam. Nie czekając na odpowiedź, pac z lewej! pac z prawej! Cudownie. Cztery razy walnęłam szefa po pysku. Minę miał ogłupiałą. Czyżbym była pierwszą kobietą w jego życiu, która mu przywaliła? Z jego miny wynikało niezbitie, że tak!

— Zwalniam się, ty bydlaku! — wrzasnęłam głośno. Bardzo głośno. Tak głośno, że pani Zosieńka natychmiast wsunęła swój krogulczy nos. I dobrze. Nawet nie domyślałam się, ile sił posiadam w tych rączkach, takich delikatnych, stworzonych do pieszczotek. Popieściłam szefa zdrowo. Na obu jego policzkach wykwitły czerwone placki. Będzie miał wspaniałe siniaki.

— To ja cię zwalniam! Natychmiast!

— Kłamiesz, kociaczk. Sama się zwolniłam. Co widać na twych męskich policzkach, tygrysku.

Boże, czy dobrze spostrzegłam? Czy kostyczną twarz pani Zosieńki naprawdę rozjaśnił na sekundę triumfujący uśmieszek? Co więcej: jestem przekonana, że puściła do mnie perskie oczko. Jezu, najpierw patrzyła na mnie jak na glistę, a teraz jakby daje mi znak, że trzyma ze mną sztamę? E tam, przywidzenie.

— Z natychmiastowym zwolnieniem, bez trzymiesięcznej odprawy! — zarzywał szef.

— Pozwolę sobie zwrócić pana uwagę — odezwała się pani Zosieńka — że pani redaktor Malickiej odprawa przysługuje. Pozwolę sobie zauważyć, że taka odprawa leży również w pana interesie. Pozwolę sobie zauważyć, że dostrzegłam u pani redaktor Malickiej rozdarty przy sukience zamek błyskawiczny. A gdy do pana wchodziła, był cały...

— Panią też mogę wyrzucić! — wrzasnął szef, zaś placki po moich uderzeniach zaczęły efektownie sinieć.

— Pozwolę sobie zauważyć, że tego pan nie uczyni — uśmiech pani Zosieńki stał się wręcz radosny. — W ciągu tych lat pracy z panem nagrało się na dyktafonik to i owo... Na telefonik komórkowy też. Zdarzało się panu nie domykać drzwi... Chodźmy, pani redaktor. Pan redaktor naczelny potrzebuje teraz spokoju. Ma o czym rozmyślać.

Wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła z gabinetu.

— Cała się trzęsiesz, dziewczyno. To bydlę. Zawsze mu wszystkie ulegały — powiedziała z podziwem. — Nie martw się. Przypilnuję osobiście, żebyś dostała trzymiesięczną odprawę. Nawet nie wiesz, dziewczyno, ile mi sprawiłaś satysfakcji. A już sądziłam, że nie doczekam chwili, w której mój szef dostanie po gębie. Wierz mi, należało mu się od dawna.

## Rozdział trzeci

Wychodziłam razem z synem. On do szkoły, ja w poszukiwaniu pracy. Trzymiesięczna odprawa na długo mi nie wystarczy. Byłam jednak przekonana, że z moim doświadczeniem dziennikarskim dostać pracę to jakby wypić małe piwo.

Tymczasem w naszym dziennikarskim światku zawrzało od plotek. Oczywiście, moje były koleżanki z pełną satysfakcją donosiły, co kto o mnie mówi. Jolka, którą ten seksoholik awansował na kierownika działu, przysięgała na wszystkie możliwe świętości, że broni mego dobrego imienia, niemal rzuca się każdemu do gardła, kto śmie twierdzić, iż specjalnie udałam się do naczelnego z rozdartą na plecach kiecką, bez stanika i bez majtek, co natychmiast naczelny zauważył, kiedy założyłam nogę na nogę, lecz ona. Jolka, da sobie głowę uciąć, że moje majtki znajdowały się na właściwym dla nich miejscu. Co za zołza! Oświadczyłam więc Jolce, że nigdy majtek nie noszę. Nawet zimą. Co powinna była już dawno zauważyć. Zwłaszcza wówczas, kiedy wyręczała się mną w pisaniu o koncertach w filharmonii, ponieważ nie odróżniała muzyki baroku od romantyzmu, a Jezioro łabędzie Czajkowskiego myliło się jej z Kniazem Igorem Borodina. W odpowiedzi Jolka odszczeknęła, że zawsze uważała mnie za kobietę upadłą i nie dziwi się naczelnemu, że kogoś takiego jak ja wywalił nie tylko za drzwi, lecz i z redakcji. Okej. Jolkę mogłam skreślić z listy usłużnie mi donoszących. Podobną metodą skreśliłam pozostałe.

Jednak te plotki pod tytułem: W jaki sposób redaktor Katarzyna Malicka zamierzała uzyskać awans?, poza wątpliwym rozgłosem, aluzyjnymi półuśmieszkami spotykanych kolegów, zupełnie niealuzyjnymi propozycjami co niektórych, nie pomogły mi w znalezieniu pracy. Obeszłam wszystkie redakcje. Wszędzie słyszałam ten sam refren: „Ach, och! Tak mi przykro, pani Kasiu. Ale naprawdę, sama pani wie, brak etatów...”. Pewno, że na natychmiastowy etat nie liczyłam. Ale na wierszówkę — tak. Mogłam pisać felietony o sztuce. O muzyce. O teatrze. O książkach. Dzięki byłym koleżankom z działu kulturalnego w „Pięknym Życiu” moje obycie w dziedzinie kultury stało się nieomal wszechstronne. Tu felieton, tam recenzja i doczekałabym się etatu. Ale jak refren słyszałam, aż do znudzenia: „Och, ach, przykro, pani Kasiu, lecz posiadamy swoich recenzentów. Ależ tak, tak, nie zapomniemy o pani, pani jest the best, jak tylko się cokolwiek zwolni...”.

Akurat, nie zapomną. Zapomną, nim dojdę do drzwi. Już zapomnieli. Strach o przyszłość zajrzał mi w oczy. Na jak długo wystarczy trzymiesięczna odprawa? A co potem? Jak utrzymam syna? Mieszkanie? Ten stary, wiecznie psujący się złom? Muszę mieć samochód, choćby złom. Mój syn ubóstwia przyrodę. Kocha



las. Łąki, rzeki, jeziora. Kwiaty i inne zielska. A przede wszystkim kocha zbierać grzyby. Znienawidzi mnie do końca, jeżeli nie zawiozę go na każdy weekend do Korablewa. Jeździmy tam od lat. Mojemu mężowi wieś śmierdziała, las go nudził, łaskawie rzucał kluczykami od samochodu (jeszcze wtedy nie złomu). „Jedźcie sobie. Znam przyjemniejsze sposoby spędzania czasu”.

Teraz wiem, jakie to były sposoby. Coraz to inne panienki. Jednak wtedy każdemu wydrapałabym oczy, gdyby oświadczył mi, że mój mąż zdradza mnie na lewo, na prawo i w każdym innym kierunku. Więc szczęśliwi, ja i mój synek jechaliśmy. Do Korablewa.

Korablew odkrył na mapie Szymek Podłódzkie Łagiewniki zdążyliśmy poznać dokładnie. Grotniki — podobnie. Gdzieś dalej, mamełku, prosił. Rozłożyłam mapę województwa łódzkiego. Przyglądał się jej długo. To niebieskie to co? — zapytał. To rzeka, synku. Nazywa się Krasówka — odpowiedziałam. Ojej, jak ładnie! Mamełku, a to wokół Krasówki, to zielone, to lasy? Tak synku. Lasy. Ojej, jakie wielkie! Pewno pełne grzybów — rozmarzył się mój syn. Pojedźmy tam, proszę cię, mój kochany mamełku.

Mój Boże! Jeszcze wtedy nazywał mnie mamełkiem. Swoim kochanym mamełkiem. Mój Boże, kiedy to było? Przed wiekami chyba! Mój Boże, czy doczekam chwili, w której Szymek znowu powie kochany mamełku?

Pojechaliśmy. Szosa za Łaskiem, wąska i kręta, wiła się meandrami jak rzeka pośród lasów, pól i łąk. Szymek z nosem rozplaszczonym o szybę samochodu co chwila wydawał z siebie zachwycone okrzyki: — Ojej, mamełku! Ojej, jak pięknie!. Przed Szczercowem zaniemówił z wrażenia. Wjechaliśmy w obsadzoną wysokimi brzożami szosę, z migotliwym słońcem spadającym niczym złota lameta. Z tańczącymi na wietrze liśćmi. Boże, pokochaliśmy tę brzożową aleję od razu! Szymek się wzruszył. Milczał. Ja również. Zwolniłam, myśląc, że dla tej alei warto było zapędzić się w te strony. Potem wprost z alei wjechaliśmy w małą, przycupniętą miejscowość z drewnianymi domkami. A za nią — znowu lasy, poprzecinane polami ciężkimi od kłosów pszenicy. Dróżka między polem a sosnowym zagajnikiem. Mamełku! Tam! Tam skreć — zawołał syn. Chciałeś do Krasówki, zdziwiłam się. Mamełku! Ona tam będzie! Zaraz za zagajnikiem! Ja to czuję. Pachnie wodą. I łąką.

Zagajnik sosnowy po kilkudziesięciu metrach zamienił się w wysoki las. Za nim — dwa domy. Ten po prawej, piętrowy, pomalowany na biało. Ten po lewej — parterowy, z płotem oplecionym dzikim winem.

Domów nie dało się objechać. Zatrzymałam samochód, dałam wsteczny.

— Mamełku, nie! — zaprotestował mój syn. Mój wtedy cztero— czy pięcioletni synek. Mój Szymek. Mój blondasek. Mój brazowooki, długorzęsy. Dla

mnie najpiękniejszy mężczyzna na świecie. Mężczyzna, którego nie zdradzę. Którego będę kochać do ostatniego tchu. Wtedy jeszcze mój. Nie taty. Mamełku, Kocham cię. Kocham cię prawie tak jak borowiki, ale na pewno bardziej niż maślaki. Tylko dziecko potrafi w taki naiwny sposób wyrażać swoje uczucie. Mamełku, Kocham cię prawie jak borowiki...

Mój Boże, czemu płaczę? Mój Boże, muszę, za wszelką cenę muszę utrzymać samochód. Pamiętam, jak hamuję, nie rozumiejąc, dlaczego Szymek woła: „Mamełku, nie!”. Widzę, jak wyskakuje z samochodu. Pędzi między płotami obu domów, ginie mi z oczu zasłonięty wysokimi trawami. Psy na obu podwórkach ujadają. Nie wiem, co mam robić. Gonić za synem? Czy czekać, aż wróci zawiedziony, smutny, bo tam nie ma Krasówki, którą sobie wyobrażał jako srebrną rzekę o złocistym piasku, o brzegach porośniętych fioletowymi kwiatami? Skąd mu się wzięły fioletowe kwiaty porastające brzeg rzeki, nie miałam pojęcia, to była tajemnica jego wyobraźni. Lecz on wierzył w te duże, wysokie, fioletowe kwiaty. Był przekonany, że je tam odnajdzie.

Nie odnajdzie, ponieważ według mapy od Krasówki dzieliło nas jeszcze dwa kilometry.

Pamiętam, jak wychodzę z samochodu. Rozglądam się. Widzę mały domek z płotem obrośniętym dzikim winem, z siwym dymem unoszącym się z komina, którego woń coś mi przypomina. Co? Nie wiem. Może i do mnie powróciły zapachy z mojego dzieciństwa, przecież po tragicznej śmierci rodziców wychowałam się na wsi, u babci. W takim małym domku jak ten. Gdy babcia piekła chleb, pachniało tym pieczonym chlebem wszędzie. Babcia: do końca życia bez srebrnej nitki siwizny w czarnych włosach, z twarzą podobną do bochna chleba — brązową, ogorzałą, dobrą, najlepszą. Zawsze w sztywno wykrochmalonym, błękitnym jak lazur fartuchu.

Właśnie wychodzi. Uśmiecha się. Patrzy na mnie łagodnie czarnymi oczami. Czarne włosy ma upięte w węzeł. Na sobie sztywno wykrochmalony, błękitny fartuch. Proszę nie płakać — mówi. — Zapraszam do domu. Poczęstuję świeżo pieczonym chlebem. Szklanką mleka. Swojskim masłem. Nazywam się Apolonia Zawilec, ale wszyscy mówią do mnie babcia Pola.

Babciu Polu. Kochana, najlepsza, jedyna babciu Polu. Obejmujesz mnie. Pachniesz chlebem. Pachniesz moim dzieciństwem. Nic nie poradzę, babciu Polu, że płaczę. Ale to jest dobry płacz. Od dawna nie czułam się tak szczęśliwa. Jeszcze tylko niech mój syn odnajdzie swoją srebrną rzekę o złotym piasku na dnie, z brzegami porośniętymi fioletowymi kwiatami...

No i odnalazł. Opadała do niej łagodnym zboczem łąka babci Poli. Woda tak czysta, aż przezroczysta, aż srebrna. Piasek na dnie złoty. Brzeg obrośnięty fioletowymi, wysokimi kwiatami.

— To dziewanny — wyjaśniła babcia Pola. — Nie wiadomo, dlaczego rozsiały się tutaj. Przeważnie są żółte, lecz te nasze tutaj, nie wiadomo dlaczego, fioletowe.

Więc jeździmy do babci Poli od lat w każdy weekend. Babcia Pola czeka na nas. Ze świeżo upieczonym chlebem. Z masłem ubitym w kierzance. Z gomółką białego sera. Z agrestowymi konfiturami. Jeżeli jest już jesień, z koszem dorodnych, czerwopomarańczowych jabłek. Z workiem kartofli. I z tym swoim łagodnym, szczodrym w dobroć uśmiechem.

— Babciu Polu! — woła zawsze mój syn i pędzi prosto w jej ciepłe, pachnące chlebem ramiona.

Mój syn nie ma babć ani dziadków. Tak zwanych teściów nie poznałam nigdy. Mąż mówił, że owszem, żyją, lecz on zerwał z nimi wszelkie stosunki. Dlaczego zerwał? Nie twoja sprawa, oświadczył. Trudno. Nie moja, to nie moja. Niech mu będzie. Wtedy myślałam, że z pewnością wyrządzili mu jakąś okropną krzywdę. Inaczej nie wyrzekłby się ich. Tak myślałam, lecz potem zaczęłam powątpiewać, kto kogo skrzywdził. Mnie i syna mąż skrzywdził bez mrugnięcia okiem. I całkowicie zapomniał o naszym istnieniu. Drań.

— Chcę do taty. Nienawidzę cię — powtarza syn.

Tylko gdy jedziemy do Korablewa, do babci Poli, nienawiść do mnie opuszcza Szymka. Tam jest po prostu szczęśliwy. Co prawda nie pozwala się pogłaskać, nie nazywa mnie czule mamełkiem, ale u babci Poli jakby zapomina o tacie.

— O, przyjechał mój wnuk — cieszy się zawsze babcia Pola. — Mój jedyny, najukochańszy wnuk.

Babcia Pola nie ma własnych wnuków. Jest od dawna wdowa. Miała kiedyś, dawno temu, syna. Wyksztąpiła go, sprzedała prawie całą ziemię, kupiła mu mieszkanie w Łodzi. Syn się ożenił. Zona syna babci Poli kilkakrotnie przyjechała do Korablewa. Za każdym razem dokładnie oglądała domek. Podłogi spróchniałe, do wymiany — mówiła. Grzyb na ścianach. Dach do generalnego remontu; ziemia sprzedana — mówiła. Został tylko ten kawałeczek łąki, kilka kur, dwa zagony kartofli, mały warzywnik; ciekawe, ile to może być warte? Syn babci Poli wzruszał ramionami: Nic niewarte. Szkoda naszego zachodu — stwierdzał. No i przestał przyjeżdżać. Babcia Pola ubrała się jak do kościoła, wsiadła w autobus, pojechała do syna. Ale syna nie zastała. Mieszkanie, które mu kupiła za swoją z dziada pradziada ziemię, syn sprzedał. Obcy ludzie poinformowali babcię Połę, że jej syn wraz z żoną wyjechał za granicę. Adresu nie zostawił. Byli bardzo zdziwieni. Sądziła, że dawno pochował matkę i ojca.

Babcia Pola nie ma nikogo poza Szymkiem i mną. A my, tak naprawdę, też poza babcią Polą nie mamy nikogo bliskiego.

Szymek za swoje oszczędności kupił babci Foli komórkę. Bo widzisz, babciu, jesteś samiutka, jak się rozchorujesz, albo co, to zadzwonisz i my zaraz do ciebie przyjedziemy.

A rok temu powiedział: Babciu Polu. Skończyłaś siedemdziesiąt lat. Boli cię kręgosłup. Mama wypędziła mego tatę. Pozostało nam duże mieszkanie. Zamieszkasz z nami.

Ale babcia Pola powiedziała: Nie. Starych drzew się nie przesadza, wnuku. Rozumiesz? Nie martw się jednak. Mam przecież komórkę. Jakby co, dam znać, a ty i mama przyjdziecie szybciotko.

Chwała Bogu, babcia Pola mimo swoich lat trzyma się świetnie. Wciąż ma siłę piec chleb. Wciąż ma siłę uprawiać warzywa, smażyć konfitury. Bez cotygodniowych odwiedzin u babci Poli, bez widoku srebrnej rzeki i wysokich lasów mój syn znienawidziłby mnie ostatecznie, nieodwołalnie.

Zachowałam się u naczelnego idiotycznie. Dokładnie jak wyrodna matka! Zapomniałam w imię urażonej godności o własnym synu. Byłam dumna, że nawaliłam szefa po gębie. Zeby mnie szlag! Zbliżają się wakacje, a ja jestem bez pracy, na głodowym zasiłku dla bezrobotnych, bez żadnych oszczędności. Szymek spojrzał na mnie z taką zawziętą nienawiścią, kiedy mu oznajmiłam, że nie pojedzie z klasą nad morze, że aż mi ciarki przeszły po plecach. A poczucie winy obciążało moje już mocno wychudłe plecy przynajmniej stukilowym ciężarem. Szymek nigdy nie widział morza. Na początku czerwca spakował plecak, w Internecie oglądał wyłącznie Bałtyk. Wypożyczał książki o Międzyzdrojach. Boże, jak mogłam podczas rozmowy z szefem unieść się jakimś durnym honorem?

Należało zacisnąć zęby, wziąć klucze, zatrzepotać rzęsami, rozchylić kusząco usta, wyszeptać: „Och, szefie, od dawna marzyłam o panu”, a potem... Potem umowa została podpisana i mógłby mnie pocałować w pewne miejsce. Honor diabli wzięli, po wszystkich łódzkich redakcjach krążą plugawe opowieści na mój temat; okazuje się, że wszyscy od dawna wiedzieli, że nie noszę majtek, nawet z majtek nie musi wyskakiwać, ale w łóżku wcale nie jest dobra. Jezuu, opluć te wszystkie wredne mordy byłych kolegów, ponieważ, jak głosiły rozliczne opowieści, każdy mnie zaliczył. Jeden drink i masz Kasieńkę gotową. Teraz w swoim zawodzie nie znajdę w Łodzi pracy. Nawet gdyby mi zaproponowano etat, to nie przyjmę go. Ohydne ploty krążyły niczym liściki walentynkowe. Dorobiono mi taką gębę, że i psy na mój widok powinny wyć albo nawiewać z podkulonym ogonem. Dowiadywałam się coraz bardziej pikantnych szczegółów o sobie. Mąż,

człowiek anielskiej cierpliwości oraz dobroci, przez wiele lat znosił moje skoki w bok. Nawet nie wiadomo, czy jest biologicznym ojcem Szymka. Najprawdopodobniej nie. Z szefem spałam od dawna, jak rozgłaszały moje były koleżanki z „Pięknego Życia”. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że szef, zamiast pani Sławki, wysyłał wyłącznie mnie do obsługiwania ważnych wydarzeń kulturalnych w kraju? A nawet za granicę? Raz na festiwal filmowy do Wenecji, a trzy razy na podobny festiwal w Berlinie. Wiadomo dlaczego. Za dupę. Malicka zawsze była łatwa. Jej pierwszy małżonek poznał się na niej szybciotko. Przyłapał swoją ledwo poślubioną żonę w trakcie przyjęcia weselnego. Jak się seksiła z jego najlepszym przyjacielem. Wybaczył, bo kochał. Była spita w cztery dupy, nie poznała, że facet, który ją przelatuje na stojąco w kiblu, nie jest jej właśnie poślubionym mężem. Drugiemu mężowi ciągle przyprawiała rogi. Jest od dawna utrzymanką naczelnego „Pięknego Życia”. Jej syn wcale do swego ojca niepodobny, to skóra zdarta z szefa. Kiedy zaś szef miał Malickiej po dziurki w nosie, postanowił ze względu na wizerunek redakcji wyrzucić nimfomankę. I tak dalej, i tym podobne. Reasumując, zamiast zachować honor, straciłam go. Zostałam pasowana na ogólnie dostępną dziwkę. Nocami gryzłam z wściekłości własne palce. Już nie łąziłam po redakcjach. Łaziłam po mieście, przyglądając się oknom wystawowym sklepów, pubów, knajp, knajpeczek restauracji. Ekspedientkę zatrudnię od zaraz, wlewało w moją udręczoną duszę cudowną nadzieję, zwłaszcza sformułowanie na ogłoszeniu od zaraz. Eleganckie właścicielki od ogłoszeń oglądały mnie tak, jakbym była niewolnicą Isaurą wystawioną na sprzedaż. Zastanawiałam się, kiedy każą mi otworzyć usta, zajrzały w zęby i policzą plomby. Na pytanie, czy mam referencje, odpowiadałam ze skruchą, że takowych nie posiadam oraz z zapalem, że jestem bardzo zdolna i szybko się uczę. Czy pracowałam kiedykolwiek w dziale mody damskiej? Moja skrucha rosła, zapal stygł. Zdanie o tym, jaka to jestem the best we wszystkim brzmiało blado. Finał był zawsze jednakowy: nawet nie proszono mnie o telefon.

Jeszcze tragiczniej wypadałam w knajpach. Tam przeważnie właścicielami okazywali się faceci. Też patrzyli na mnie jak na niewolnicę Isaure, co to się ją kupi okazyjnie, jak na wyprzedazy. Kelnerka? Czemu by nie? Ale bez fochów, kochana. Przede wszystkim uprzejmość wobec klientów. Co oznacza uprzejmość wobec klientów? Moje pytanie wywoływało śmiech. Nie udawaj pierwszej naiwnej. Klienci lubią ładne kobitki. Jesteś ładną kobitką, cholera, a nogi masz jak modelka. Rozumiemy się? Moje zrozpaczone milczenie brali za akceptację. objaśniali w czym rzecz. Dasz się pomacać to tu, to tam. Czasem otrzymasz propozycję zjedzenia wspólnej kolacji. Za to leci oddzielna stawka: klient stawia, klient płaci mnie, a tobie za ciąg dalszy kolacyjki, he, he, he. Więc znowu

unosila się honorem. Wychodziła, trzaskając drzwiami. Znowu ryczała po nocach. Kilka razy wydawało mi się, że zaraz złapię Pana Boga za nogi. Właściciel patrzył na mnie normalnie. Nie wisiał wzrokiem ani na moich nogach (zresztą zaczęłam nosić długie kiecki), ani na moim biuście. Wszystko zapowiadało się okej, nawet fakt, że nigdy nie pracowałam jako kelnerka nie zrażał go. Nauczy się pani, to nie takie trudne, uśmiechał się, lecz ten uśmiech kurczył się, zastygał, gdy w miarę udzielanych mu informacji dowiadywał się, że jestem samotną matką jedenastolatka. Przykro mi. Pani mi się podoba, wygląda inteligentnie, jest atrakcyjna, lecz samotnych matek nie zatrudniam. Są zajęte myślami o dziecku, ich praca przez to staje się mniej wydajna, często idą na zwolnienie spowodowane chorobą dziecka. Współczuję pani, ale nie.

W jednym miejscu otrzymałam propozycję wręcz nie do odrzucenia. A co by pani powiedziała na pracę w agencji towarzyskiej? Mój przyjaciel poszukuje nowego narybku.

Przestałam łaźnić po mieście. Wpadłam w czarną rozpacz.

— Nie idziesz do redakcji? — dopytywał się Szymek. — Wzięłaś urlop?

— Wzięłam — odpowiadałam, odwracając głowę, żeby nie dostrzegł opuchniętych od bezsenności i płaczu w poduszkę powiek.

— O tej porze? W środku czerwca? Zwariowałaś? A co z moimi wakacjami? Nad morze nie jadę, bo niby nagle zrobiłaś się biedna! A do babci Poli samego mnie nie puścisz! Nienawidzę cię, mamle!

O Boże, synku! Wzięłam zaległy urlop! > — Tym większe świństwo! Dłużej bylibyśmy u babci! Porąbałabym jej na opał całe drewno! Ty wypielibałyś warzywnik, truskawki i kartofle! — wydzierał się mój syn. — Babcia jest stara! Potrzebuje pomocy!

— Boże, synku, przecież od wczesnej wiosny do późnej jesieni pielę warzywnik, a ty rąbiesz drewno!

Syn spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym przeistoczyła się w wielką, obłą glistę. Albo w padalca. Albo w coś równie obrzydliwego.

— Przywozisz od babci raz na tydzień wałowy i wypominasz, że się tak poświęcasz? Ze wyrwiesz trochę zielska? Nie kochasz babci Poli. Nikogo nie kochasz! Taty również nie kochałaś. Wypędziłaś go z domu! Kazałaś mu jechać do tej przeklętej Anglii, bo... bo... — mój biedny, kochany syn zachłysnął się łzami. — Och, jak ja cię nienawidzę! I nie chcę od ciebie żadnego nowego komputera! Wypchaj się nim! Niczego od ciebie nie chcę!

Słyszałam, jak dudni na schodach echo jego wściekłych kroków.

— Jezu — powiedziałałam, zaciągając na głowę kołdrę. — Jezu, co mam robić?

## Rozdział czwarty

Po miesiącu moje sięgające zera konto zasilila kwota sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu dwóch złotych oraz dziewięćdziesięciu dziewięciu groszy. Pani Zosienka dotrzymała słowa. Wyobraziłam sobie minę szefa, gdy podpisywał rachunek. Zawsze wyobrażnia mi dopisywała, więc szef pojawił się w niej jak żywy. Zgrzytający zębami tak silnie, że pękła mu górna proteza. Jego nieskazitelnie biała, olśniewająca proteza, tak doskonale zrobiona, że przypominająca najprawdziwsze uzębienie, na którego jakoś oraz biel podrywał kolejne żony. Dowiedziałam się o protezie szefa przypadkiem. Leczyliśmy swoje zęby u tego samego dentysty. Toteż kiedy wpadłam na szefa wychodzącego z gabinetu, osłupiałam. Szef ma kłopoty ze swymi oszałamiającymi zębami? W których ani śladu po choćby jednym ubytku? Szefa również niezwykle poruszyło to tak nieoczekiwane spotkanie. Wykrzywił się w bolesnym grymasie. Złapał się za policzek. Jęknął: Ach, jak boli! Z tego dentysty to istny rzeźnik! Piętnaście minut wyrywał mi ząb mądrości. Pani Kasiu, niech pani zrezygnuje z jego usług. Podam pani namiary na naprawdę znakomitego stomatologa.

Dziwne, nie? Skoro ma zamiary na znakomitego stomatologa, czemu udał się do konowała? Wiem, jak potrafi człowiekowi dokuczyć ósemka. W moim przypadku dała o sobie znać tuż po trzydziestce. Spuchł mi policzek, nos oraz oko. W skroniach usadowiły się ufoludki, które zawzięcie piłowały je jakimś potwornie tępym narzędziem. Socjopatyczny sadysta wbił mi w sam czubek głowy świder i świdrował nim z chichotem, usiłując dostać się do środka głowy. W uszach uwiły gniazdo kłuszące osy. Albo szerszenie. Nie wiem. Wiem jedynie, że całkowicie poważnie zastanawiałam się nad ewentualnością wyskoczenia oknem. Ale po co? Przecież mieszkam na drugim piętrze, a pod oknami rośnie szeroki, miękki pas trawnika. W najlepszym wypadku złamię nogę. Nawet wyc nie mogłam ze względu na obecność sześciolatniego syna, pogrążonego w słodkim śnie. Rodzona matka doprowadzająca wyciem własne dziecko do silnej traumy? Do rana spuchła mi cała twarz. Szemek wrzasnął dziko, kiedy pochyliłam się nad jego łóżeczkiem. Mąż rzucił lapidarnie: „Idź do dentysty”. Idź? Dobre sobie! Ledwo się trzymałam na nogach. Byłam na wpół ślepa. A on: „Idź”. Dobrze, że nie zaproponował mi jazdy miejskim autobusem. Zasyczałam, żeby dawał kluczyki, i pojechałam do naszego rodzinnego dentysty. Był drogi, ale skuteczny. Od razu zaaplikował mi zastrzyk znieczulający.

Wyrwanie zęba trwało sekundę. A tu mój szef, rozglądając się na boki, jakby wszędzie służby bezpieczeństwa wewnętrznego założyły podsłuch, namawia mnie

na zmianę lekarza. Nie chcąc być nieuprzejma, zamiary wzięłam. Szef się rozczulił: „Podwiozę panią, mój focus na pani usługi. Ja również”.

Coraz dziwniejsze, prawda? Usiłowałam na poczekaniu coś zełgać, lecz na szczęście doktor Czacki wyjrzał do poczekalni.

— Proszę, pani Kasiu, pani jak zwykle punktualna. Musiałam zapytać go o ten ząb szefa, chociaż nie jestem dziennikarką śledczą.

— Pękła mu w nocy proteza. Robił ją u mnie. Nie do odróżnienia od prawdziwych zębów, prawda? — odpowiedział doktor Czacki. — Lecz błagam panią, pani Kasiu, w redakcji o tym ani słówka.

Przytaknęłam ochoczo. Już nie dociekałam, co takiego wyprawiał mój szef w nocy, że aż mu pękła proteza. Podczas gdy doktor Czacki zakładał mi plombę, zastanawiałam się nad szczególną obfitością czupryny szefa. A jeśli to artystyczny tupecik zasłaniający przedwczesną łysinę?

Gdy ogałacałam konto z kasy, nagle na moment wróciła mi radość życia. Obraz szefa z wypadającą protezą. Przez następną chwilę wyobraźnia podsunęła mi kolejną, przynoszącą rozkosz wizję. Szef w Klubie Dziennikarza. Popijający koniak. Otoczony wianuszkiem co ładniejszych dziennikarek nie tylko z „Pięknego Życia”. Z innych redakcji również. I wchodzi ja. Ubrana w najkrótsza kieckę z największym dekoltem. Odpicowana jak na bal sylwestrowy. Włosy falują seksownie. Zbliżam się do szefa, kołysząc biodrami. Rozchylam kusząco wargi. Wszyscy na mnie patrzą. Tak, to ja. Wasza była koleżanka, którą na wszelkie możliwe sposoby opluliście. (Tę kwestię wypowiadam oczywiście tylko w myślach, bo na mojej twarzy maluje mi się wyłącznie pogarda.) Szef wpatruje się we mnie oślim spojrzeniem. Podchodzę. Mówię: „Jak się masz, koteczku? Twoja tygrysica cię pragnie. Tęskni za tobą. Za twoimi namiętnymi pocałunkami, tak namiętnymi, że czasem ci w ich trakcie pęka proteza. Oraz za twoją słodką łysiną”. I tu namiętym ruchem wczepiam się w bujne włosy szefa. Czupryna szefa odrywa się, ukazując potężną łysinę. Szef chowa się pod stół. Ja macham zwycięsko peruką. Macie swego macho! — i rzucam demaskujące trofeum na stół. Wychodzę. W ciszy. Od drzwi się odwracam, składając niniejsze oświadczenie: „Kochane koleżanki, drodzy przyjaciele redakcyjni. Nie tylko nawaliłam szefa po gębie. Nie tylko teraz zdemaskowałam jego udawaną, przynajmniej na głowie, męskość. Jestem szczęśliwa, ponieważ nie muszę oglądać waszych plugawych pysków. Wysłuchiwać waszych pseudointelektualnych dyskusji. Powinniście, z małymi wyjątkami, pisywać newsy o dostawach pietruszki. Tak kochani przyjaciele. Znacie taki wiersz Tuwima pod tytułem Całujcie mnie wszyscy w dupę? Ech, wy niedouki, czy wy w ogóle wiecie, kto zaczął, ten Tuwim? No więc, kochani, całujcie mnie wszyscy w dupę!”.



Piękne marzenia. Szkoda, że nie do zrealizowania. Przeżyć je mogę jedynie w wyobraźni. Trudno. Tyle musi mi wystarczyć. Dobrze i tyle. Rzeczywistość wzywa. Szymek twierdzi, że gardzi komputerem ode mnie? Synu, nim wrócisz ze szkoły, w twoim pokoju znajdzie się superkomputer i supermonitor, do tego komplet gier, z tym jakimś tam, pożądanym przez ciebie, Stalkerem na czele. Do diabła! Szymek sadzać, że go nie słyszę, często rozmawia z wyimaginowanym tata. Tato, tak się cieszę, że wróciłeś! Tato, Kocham cię. Tato, z mamą mi źle. Nie cierpię jej, tato. Zabierz mnie z sobą. Tato. Obiecuję, że będę grzeczny. Tato. Mama to jędza. Ciągłe narzeka na brak kasy. Mój komputer, tato, który mi kupiłeś... Boże, jak można tak zmyślać! To ja ci kupiłam komputer, co prawda na Allegro, używany, lecz całkiem jeszcze przyzwoity! Nie wytrzymam dłużej! Zaraz wpadnę do jego pokoju i wytargam go za uszy. Cholera, nie mogę tego zrobić! Wtedy wydałoby się, że tu tkwię pod drzwiami i podsłuchuję! Tato. Ona jest skapa. Wstrętny, skapy mameł! Obiecała mi nowy komputer... Sorki, tato, ale ten od ciebie nawala... No i monitor. Też obiecała. Dzięki ci, tato. Za komputer, monitor i te gry komputerowe... Ojej, tato! Nawet widzę tu Stalkera! Skąd wiesz, tato, że marzyłem o Stalkerze? Chłopaki w klasie mają, a ja nie... Kocham cię, tato...

Tak sobie marzy mój synek. Na głos. Nazywając mnie skapym mameł! Oraz jędzą.

On marzy na głos, a ja popłakuję. Dość tego! Idę zaszaleć. Wydam całą odprawę na syna. Niech mnie nazywa mameł, lecz bez przymiotnika skapy!

Powiem w sklepie: „Pełen zestaw gier. Koniecznie ze Stalkerem. Na raty? Szanowny panie! Czy ja wyglądam aż tak ubogo, że pan proponuje mi raty? Wiem, ile to wszystko będzie kosztowało. Płacę gotówką”. I tu rzucę na ladę rulon setek. Teraz zapakować. Zanieść do mego wozu. Dziękuję uprzejmie. Reszta dla pana.

No nie, zdecydowanie przesadzam z tym wielkopańskim gestem. Szymek wyrósł z butów na zimę. Z ciepłej kurtki. Ze spodni. Och, jak ten mój synek pięknie urósł! Już jest wyższy ode mnie. Będzie wysoki jak jego tata...

Jak jego cholerny, żeby go szlag, przeklęty tata!

Drań.

Gorzej niż drań.

Lecz czemu aż taki drań? Trudno. Tak się złożyło. Pokochałam drania. Udawałam przez lata, że nie dostrzegam jego łajdactw. Bo ja taka mała, taka mała, proszę pana... Słodka idiotka. Kochająca drania. Wmawiająca sobie, że wszystko jest okej, bo rodzina najważniejsza, bo jesteśmy rodziną, ja i mój zdradzający mnie bezustannie mąż, do którego paniienki bezczelnie dzwoniły na stacjonarny i

pytały: „Przemuś jest? Proszę mu powiedzieć, że dzwoniłam”. Przetykałam nagle dziwnie kłującą ślinę, pytałam: „A kto mówi?”. Jak to, kto?!

Kinga! Zresztą Przemuś wie. Powie mu pani, że czekam spakowana. Mąż wracał do domu, od Szymka oganiał się jak od upierdliwej muchy, muskał wargami mój policzek, mówił: „Kochanie, zapomniałem ci powiedzieć, wyjeżdżam na dwa dni. Interesy, rozumiesz? Moje biedactwo, aleś sobie wybrała męża! Ciągłe w rozjazdach. Aha, kochanie. Brakuje mi trochę kasy. Pożycz z pięć stówek”. Pożyczałam. Pożyczałam, myśląc: „To ostatni raz”. Pożyczałam, ponieważ jakby w akcie skruchy z owych służbowych wyjazdów mój mąż wracał z kwiatami, słodki, tkliwy. W łóżku z nim czułam się jak Kim Basinger w scenach miłosnych z Mickeyem Rourke. Kilka razy odważyłam się zapytać: „Przemek, skarbie, wybaczone, ale wydzwanają do ciebie różne panienki. Kingi, Patrysie... no wiesz...”. Brał mnie ramiona. Całował po włosach. Kochanie moje, szeptał, a skąd taki brak zaufania do swego mężusia? Prowadzę rozległe interesy z wieloma firmami. Jesteś jedyną kobietą w moim życiu. (Tu zazwyczaj mój mąż wyciskał namiętny pocałunek na moich ustach.) Wierzysz mi, prawda?

Boże, tak bardzo chciałam wierzyć! Rozbrojona pocałunkiem myślałam o sobie, że jestem podła. No jasne, prowadzi rozległe interesy. Jest doradcą handlowym. Rozchwytywanym przez firmy. Kasę mi zwraca zawsze. A te panienki? Skąd wiem, że panienki? Może stare raszple na krzywych nogach? Na pewno stare raszple. Stąd te słodziutkie głosiki. Te spieszczenia imienia mego męża. Gdyby mnie zdradzał, dzwoniłyby nie na stacjonarny, lecz na jego komórkę! Moje poczucie winy osiągało szczyty Mount Everestu. Przepraszałam męża niemal na kolanach. Żeby go szlag! Musiał pękać ze śmiechu, że jego żona jest głupsza od dziurawego kapcia. Takiej drugiej durnej ze świecą nie znajdziesz. Zawsze durna. Durna i karmiąca się złudzeniami. Lecz nadszedł ten dzień, w którym mój mąż rozwiązał je brutalnie. Oznajmił wczesnym rankiem, po wspólnej nocy, że wyjeżdża. Trudno. Zdażyłam się przyzwyczaić do jego służbowych wyjazdów. Zapytałam: „Zrobić ci kanapki, kochanie?”. Żeby mnie szlag! Ja proponowałam mu kanapki, podczas gdy on po prostu nawiewał. Dziękuję, odpowiedział, lecimy klasą biznesową, tam dają kanapki. Matko, jeszcze nie załapałam! Wysyłają cię tak nagle za granicę, Przemuś? Fundują klasę biznesową? Ale ty jesteś ważny!

— Mogłabyś spakować moje rzeczy osobiste i tę zimową kurtkę z kapturem? Zamówiłem taksówkę na siódmą. Wolałbym uniknąć spotkania z Szymkiem. — Mój mąż z niewzruszonym spokojem pił kawę.

— Dlaczego? Szymek będzie niepokojony, że się z nim nie pożegnałeś — odpowiedziałam, niczego nie podejrzewając. Tej nocy mój mąż kochał się ze mną

wyjątkowo czule. — I czemu mam ci spakować zimową kurtkę? Zazwyczaj twoje delegacje, nawet zagraniczne, nie trwają dłużej niż tydzień.

— Nie wyjeżdżam w delegację.

— Nie?

— Nie.

— A dokąd?

— Do Anglii.

— Dostałeś wreszcie ten kontrakt w Anglii? Przemek! I dopiero teraz mi o tym mówisz? Ja wiem, że się poświęcasz dla mnie, chcesz spełnić moje marzenia o domku z ogródkiem, jednak... O Boże, nawet koszul ci nie wyprasowałam...

— Koszule kupię sobie nowe. W życiu nie spotkałem głupszej od ciebie kobiety. Kobiety pozbawionej wszelkiej godności...

Rozejrzałam się po kuchni, szukając wzrokiem tej jakiejś głupiej, pozbawionej godności kobiety... Lecz poza mną w kuchni nie było żadnej innej.

— ...po prostu idiotki, moja droga żono. Tak, o tobie mówię...

Słuchałam, nie dowierzając własnym uszom. Mam halucynacje, to oczywiste. Uszczypnę się i znikną.

Uszczypnęłam się, lecz nadal słyszałam głos męża. I widziałam jego zabójczo przystojną twarz wykrzywioną grymasem niesmaku. Jego tak zawsze czule oczy teraz pełne były politowania.

— W swoim życiu spotykałem bardzo głupie kobiety. Kobiety z natury są głupie. Wystarczy im czule słówko i już je masz w łóżku. Tak samo było z tobą, skarbie. Nie musiałem się żenić. Ożeniłem się, ponieważ rzadko widuje się takie nogi. Przyjemnie mieć żonę, której ci zazdrozczą inni faceci. Przyjemnie też mieć żonę, o której wiesz, że cię ubóstwia, gotowa całować ślady twoich stóp. Taka żona nie przyprawi ci rogów. Na swój sposób również pozostałem ci wierny. Mam swoje zasady. Nigdy nie przespałem się z żadną z twoich koleżanek. Chociaż na przykład ta twoja Elka warta jest grzechu. Niestety, skarbie, byłaś łaskawa obdarować mnie Szymkiem, a ja nie znoszę dzieci. I tak długo wytrzymałem. Co tak patrzysz? Nie udawaj, że nie wiedziałaś, iż zdradzam cię na lewo i na prawo — mój mąż roześmiał się. — Czekałem cierpliwie, aż się zbuntujesz. Prosiłem babki, żeby wydzwaniały do domu. Ty jednak zaparłaś się. Nawet gdybyś mnie zastała w łóżku z inną, też byś wybaczyła. Idiotka. Więc przyjmij do wiadomości, że mam cię dość. Nawinęła mi się kolejna idiotka. Ale, mój skarbie, dziana idiotka. W połowie Polka, w połowie Angielka. Ma kupę szmalu. Sieć restauracji w Leeds i poza Leeds. Wspaniałą posiadłość na południu Francji. Będę odtąd żył jak król.

Wreszcie dotarła do mnie okrutna prawda.

— Ty świnió! — wrzasnęłam. — Ty draniu! Łajdaku! Roześmiał się głośniej.

— Okażę ci swoją wspaniałomyślność. Moja pani zgodziła się wypłacać ci alimenty.

— Mam w dupie alimenty twojej pani! Pewno ma obwisłe cycki, nogi prostowane na becze i sztuczną szczękę!

— Otworzyłem ci konto walutowe — ciągnął mąż, nie przejmując się moimi inwektywami. — W końcu byliśmy udanym małżeństwem. Coś ci się należy. Co miesiąc otrzymasz dwieście funtów. Zostawiam ci również mieszkanie, wszystkie meble, chociaż to ty się do mnie wprowadziłaś i szczerze mówiąc, w tym domu nie ma nic twojego. Zarabiałaś tyle, że wystarczało ci na kosmetyki. Zostawiam ci również wóz, mocno przechodzony, ale jak dla ciebie aż za dobry. A teraz, gdy już sobie wszystko wyjaśniliśmy, idź pakować moje walizki.

Gdybym miała wtedy po ręką coś, czym dałoby się szybko ukatrupić męża, jakiś kałasznikow lub kolt, ani chybi nie uszedłby z życiem, a jego dziana, restauracyjna narzeczona na próżno wypatrywałaby swego kocurka na lotnisku. Zostałabym przynajmniej wdową. Najwyżej dostałabym wyrok w zawiasach. Stałabym się też sławna. Napisałabym swoje wspomnienia i zarobiłabym na nich masę kasy.

— No idź, pakuj.

— Sam sobie pakuj, bydlaku! I wynoś się! Preorfffcajdald Drań! Świnia!

Boże! Darłam się, wyładowując cały swój gniew Łssalnione uczucia. Darłam się i tupałam nogami.

— Wynoś się! Natychmiast! Żebym nie musiała nigdy więcej oglądać twojej wrednej, parszywej gęby!

— Mamusiu? Mamusiu, dlaczego wyrzucasz tatusia? — rozległ się cichy, wystraszony głos syna. I on sam wsunął się do kuchni. Taki nieszczęśliwy, taki nagle maleńki, taki skrzywdzony.

## Rozdział piąty

Wyszorowałam drzwi w pokoju Szymka. Wymyłam okno. Zawiesiłam nowostare firanki dotąd spoczywające w pawlaczu. Odczyściłam wszystkie meble pronto. Wytrzepałam chodniczek. Parkiet doprowadziłam do lustrzanego błysku. Przytargałam z salonu jedyną w tym domu roślinę, która jak na złość nie zamierzała uschnąć — rozłożystą paproć, ustawiając ją na regale z książkami. Prezentowała się znakomicie.

Kiedyś mój dom tonął w zieleni, gdyż mąż ją lubił. Ponieważ on lubił, ja obecnie przestałam. Żal jednak wyrzucać żywe rośliny. Część ich oddałam Elce do szkoły. Część zaniiosłam do redakcji, lecz tam natychmiast zdechły; pewno od tego piekielnego światła jarzeniówek. W domu ostała się tylko ta paproć. Syn, widząc ubywające z pokoi doniczki, przejrzał mnie na wylot.

— Wyrzuciłaś tatę. Teraz wyrzucasz jego rośliny. Nienawidzę cię.

Paproć zatem ocalała. Zostawiłam ją ze względu na Szymka. Patrzyłam na nią jak na śmiertelnego wroga. Podlewając ją, mamrotałam zaklęcia: „Cobyś dostała zgnilizny, zarazo. Albo jakiegoś wirusa. Albo co. Zbyt wiele wiąże się z tobą wspomnień”. Rozradowana twarz męża: „Popatrz, kochanie, kupiłem ci paproć. Wszystkiego najlepszego z okazji naszej piątej rocznicy ślubu”. Spodziewałam się przynajmniej bukietu płomiennoczerwonych róż. Ewentualnie pierścionka. Niekoniecznie złotego. Niekoniecznie z brylantem. Zadowoliliby mnie srebrny. Z bursztynowym oczkiem. Bez oczka też. Stół do uroczystej kolacji nakryty. Zapachowe świece. Przygaszone światła. Rolada z indyka, sos żurawinowy, sałatka z krewetek. Wytrawne martini. Oliwki. Szymek specjalnie przegoniony po parku spał już snem kamiennym. I ja. W kiece mini na cieniutkich ramiączkach, kupionej za całe cztery stówy. Drżąca jak osika. A tu, masz — olbrzymiasta donica z zielskiem nazwanym paprocią. O mało nie wywaliłam się pod jej ciężarem. Tymczasem mąż latał po mieszkaniu, zastanawiając się, gdzie ustawić ten okaz. Tu, kochanie, tu, wykrzyknął z taką radością, że zapomniałam o pierścionku, płomiennym bukiecie i potykając się na szpilkach, z zieleniną w objęciach pognałam do salonu. Tu! — pokazywał mąż. Jęknęłam. Pokazywał na mebel nazywany serwantką, wysoką na dwa metry. Mam metr sześćdziesiąt wzrostu. Na dziesięciocentymetrowych obcasach — zaledwie o dziesięć centymetrów więcej. Tu, kochanie, tu, pokazywał mąż. Idealne miejsce. Może i idealne, lecz nie uprawiam skoku wzwyż, obciążona paprocią, która łącznie z donicą pewno waży z pięć kilo. Pomóż, wysapałam. Pomógł. Jakimś trafem nasze usta zetknęły się. Ustawiał paproć, a nasze usta nadal się stykały. To było bardziej

niż słodkie. Wylądowaliśmy na dywanie. Pod rozłożystą paprocią kochaliśmy się namiętnie.

— Tfu, na psa urok! — splunęłam na Bogu ducha winną roślinę. — Niech Szymek sobie na ciebie patrzy, niech wspomina ukochanego tatę. A może jednak w ogóle na ciebie nie spojrzy? Wejdzie do pachnącego czystością pokoju. Na pierwszym planie, zaraz pod oknem, stolik. Z nowym komputerem. Z nowym monitorem. Gry komputerowe ułożone obok. Boże, przecież musi się ucieszyć, przecież nie może mnie bez końca nienawidzić. Boże, synku, pozwól się swojej skołatanej matce przytulić. Synku, zraniłabym cię potwornie, mówiąc prawdę o twoim tacie. Boże, synku, nie chcę cię zranić. Już wolę, żebyś mnie nienawidził.

Na obiad usmażyłam jego ulubione kotlety ziemniaczane z sosem grzybowym. Upiekłam jego ukochany sernik.

Padalam ze zmęczenia. Wyobrażałam sobie zdumienie mego syna na widok pokoju wysprzątanego na błysk, zdumienie przechodzące w zachwyt, kiedy zobaczy to, co mu kupiła jego matka. I tę nagłą radość w ciemnobrązowych, ocienionych długimi rzęsami oczach. I ten rozjaśniający całą buzię uśmiech. Boże, i może znowu, jak kiedyś, powie do mnie: „Mamełek. Mój kochany mamełek”.

Och, synku. Tęsknię do ciebie. Jesteś na wyciągnięcie ręki, ale wciąż tak daleko, tak daleko.

Proszę, powiedz jak kiedyś: „Mamełek”.

Wszedł do mieszkania, trzaskając drzwiami wejściowymi. Zawsze tak trzaska. Zawsze.

Teraz cisnął z hałasem butami w korytarzu. Zawsze tak nimi ciska. Ale nie szkodzi. Zaraz zawoła do mnie: „Mamełek!”

Teraz wejdzie do swego pokoju. Jezu, słyszę — wchodzi! Wchodzi! Czemu tam, u niego, taka cisza.

No tak, jasne, rozgląda się i dostrzega komputer.

Cisza dlatego, że go podziwia. I gry podziwia. I cieszy się. Mój synek się cieszy! Powinien wyskoczyć na korytarz z okrzykami radości.

Nie wyskakuje. Synku, pospiesz się. Co tak długo?

Nie wytrzymam dłużej napięcia. Wchodzę.

Odwraca się. I już wiem, że nie powie: „Mamełek”.

Mój syn z wykrzywioną ze złości twarzą mówi zimno:

— Aleś się wysiliła! Komputer Elektro! Jedna z najpodlejszych marek. A monitor Samsung! Prawie złom. A te gry? Ja już z nich wyrosłem! Tata by wiedział, w jakie gry grają chłopcy w moim wieku, ale tatę wypędziłaś! Wrzeszczałaś na niego! Jak na psa! Precz! Won! Co się tak patrzysz? Spadaj! Wynoś się z mego pokoju!

Nie, to niemożliwe. Niemożliwe. Tak się starałam...

— Synku...

— Czego, stara?

Jezu, to naprawdę ty? Mój synek?

— Obiad... — tylko tyle potrafiłam z siebie wykrztusić.

— Mam w dupie twój obiad.

Powiedział: „stara”. Powiedział: „w dupie”. Pierwszy raz tak powiedział. Jezu, jak mój syn odezwie się do mnie za rok? Za dwa?

Za co? Dlaczego?

Ty cholerny draniu. Ty cholerny, przeklęty draniu, pomyślałam. Nie o synu. O jego tacie. Pomyślałam również: „Żebyś zdechł, draniu”. Pomyślałam również, po raz pierwszy od trzech lat: „Nienawidzę cię, draniu”.

Nareszcie. Nareszcie przestałam być tęskniącą idiotką. Nareszcie myślę o tobie w czasie przeszłym i bez ściśniętego bólem gardła.

Więc chociaż mój syn nie powiedział „mamełku”, opłaciło się.

Tak, mężu. Nienawidzę cię tak mocno, jak wcześniej kochałam. Całym sercem kochałam, całym sercem nienawidzę. Mam nadzieję, że twojej wartej kilkaset tysięcy funtów damie cuchnie z ust, a ty teraz musisz udawać, jaką rozkosz przeżywasz, całując ją. Że ta twoja dama po każdym jedzeniu obrzydliwie beka. Puszczą bąki. Ma łupież. Oraz łuszczycę. Że trzyma cię na króciutkiej smyczy. Że skaczesz przed nią jak piesek na czterech łapkach, a ona woła: Aport, skarbie, aport! Śliczna psinka. W nagrodę dostanie od pani kosteczkę do obgryzienia". Zastanawia mnie tylko jedno, mężu. Dlaczego dotąd nie przeprowadziłeś przez polską ambasadę rozwodu? A może przed dzianą narzeczoną na krzywych nogach udawałeś bezdzietnego kawalera? I dlatego po trzech miesiącach na moje, tak honorowo przez ciebie założone konto walutowe nie wpłynął więcej ani jeden funcik?

## Rozdział szósty

Mimo lęków, żeby nie utopił się w Krasówce lub nie zablądził w lesie, na całe wakacje zawiozłam Szymka do babci Poli. Sądziłam, że przynajmniej się do mnie uśmiechnie, ale gdzie tam! Marszcząc brwi, oznajmił: „Najlepiej by było, żebyś w weekendy w ogóle tu nie przyjeżdżała. Nienawidzę cię”.

Przyjeżdżałam jednak, za każdym razem oczekując cudu.

Cud się nie spełniał. Mój syn naprawdę miał mnie w dupie.

Babcia Pola nalegała, żebym powiedziała Szymkowi prawdę o jego tacie. Moja odpowiedź brzmiała nieodmiennie: „Nie mogę. Wtedy znienawidzi mnie na zawsze”.

Cały czas szukałam pracy. Rozsyłałam gdzie się dało swoje CV Bezsukutecznie. Nikt nie potrzebował facetki po historii sztuki, znającej poza łaciną biegle dwa języki obce.

Chudłam w oczach. Zasiłek dla bezrobotnych nie pokrywał nawet obowiązkowych opłat za mieszkanie, telefon i inne cholerne świadczenia. Jadłam najpierw chleb z margaryną, później suchy, przewidująco odkładając z tych marnych zasiłkowych groszy dwie stówki, bo za co nakarmię syna, kiedy wróci od babci Foli? Czynszu nie płaciłam. Trudno. Zanim skażą mnie na eksmisję, nadejdzie jesień. Chyba do jesieni na jakąś robotę się załapię?

A tu już wrzesień! A ja nawet bez widoków na jakąkolwiek pracę!

Mój syn wracał ze szkoły, jadł obiad i zamykał się na klucz w swoim pokoju. Lecz stojąc pod jego drzwiami, słyszałam rozlegające się dźwięki z komputera. A jednak nie wypiął się na nowy sprzęt! Jednak bawił się w komputerowe gry od znienawidzonego mamła! Dobrze i to.

Mąż wywietrzył mi z głowy dokładnie. Moja głowa od trosk z dnia na dzień puchła. W lustrze wyglądała niby normalnie, ale nocą czułam, jak rozrasta się do rozmiarów dyni. Odprawę wydałam na sprzęt i ubranie zimowe Szymka. Elka pożyczyła mi pięć stów, litościwie mówiąc: „Oddasz, kiedy będziesz mogła”. Zapowiadało się, że szybko to nie nastąpi. Na ile zresztą mogło wystarczyć owe pięć stów? Chociaż wciąż żarłam wyłącznie suchy chleb. Na śniadanie, obiad i kolację. To Szymek musiał dostawać pełnowartościowe posiłki. Szyneczkę na kanapki do drugiego śniadania plus jabłko czy pomarańczę. Obiad z potężnym kawałem miecha i wielką porcją surówki. Do kolacji jakiś owocowy jogurt. Szymek rósł. Ja i tak więcej nie urosnę. Pozostanę niewysoką kobietką. Najwyżej bardziej filigranowa. I pomyśleć, że był taki czas w moim życiu, kiedy odchudzałam się namiętnie, ponieważ mój mąż zauważył z lekkim przekąsem:



„Kochanie, wiesz, że nie przepadam za kobiecym tłuszczykiem, a właśnie spostrzegam, że ci się tu i tam odkłada”.

Babcia Pola co tydzień przyjmowała nas obfitymi obiadami. Raz na tydzień najadałam się do syta! I na zapas. Łapczywie rzucałam się na mielone kodety, smażone kartofelki, sernik z rodzynekami. Mój syn patrzył na mnie z pogardą.

— Żresz tak, jakbyś cały tydzień nic nie jadła — zauważył, gdy wrzucałam sobie na talerz czwarty kotlet. Opuściłam głowę. Te cholerne, przeklęte, kretyńskie łyzy. Ostatnio często wybuchałam dzikim wręcz łkaniem. Mogę łkać z głową pod kołdrą. W łazience. W kiblu. Przy oknie, obserwując ulicę. Śpieszą nią do pracy lub z niej powracają syci, zadowoleni przechodnie, ludzie mający pracę i wolną od obliczeń głowę: na co przeznaczyć ostatnie dwadzieścia złotych. Jeżeli kupię za pięć złotych kilogram kurzych żołądków, za dwa złote półtora kilo kartofli i dwa pomidory, to czy starczy na jogurt, jabłka, no i bochenek chleba? Matko, absolutnie nie starczy! Więc łkałam. Miałam mnóstwo czasu na łkanie. Szymek po powrocie ze szkoły, nawet gdyby mi od płaczu wypadły oczy, nie zauważyłby niczego. On w ogóle na mnie nie patrzył. Bardziej interesowała go wycieraczka przed drzwiami niż ja. Dlatego nie wolno mi łkać przy Szymku. Pomyślałby, że moim zamiarem jest wzbudzenie w nim współczucia. Toteż łkanie zdusiłam potężnym atakiem kaszlu. Ze niby po prostu się zakrztusiłam.

— Egoistka. Nie tak jak tata. Tata by wiedział, że babcia Pola smaży kotlety nie tylko dla ciebie — dobił mnie Szymek.

— Przepraszam — wycharczałam i uciekłam od stołu, zostawiając na talerzu ten cholerny, pysznie pachnący kotlet; a przede wszystkim jednak uciekłam od syna, uporczywie porównującego mnie ze swoim cholernym tatą. Uciekłam wreszcie od uważnych, przenikliwych oczu babci Poli. Wrześniowy chłód smagnął po twarzy. Wpadłam między trzy rozrosłe lipy, zanosząc się płaczem. Osiągnęłam dno. Z pięciu stówek od Elki zostało mi zero. Za ostatnie pięćdziesiąt złotych zatankowałam benzynę do volkswagena. Lodówka pusta. Szymek zjadł na śniadanie dwa ugotowane na twardo jajka. Dwa ostatnie jajka. Chleb posmarowałam mu nie masłem, lecz resztką swojej margaryny pod tytułem Delma. Znając babcię Połę, wiedziałam, że coś dla nas przygotowuje. Na pewno ten pieczony chleb. Koszyczek jabłek których Szymek w drodze powrotnej pochłonie połowę. Może kilka jajek. Babci Poli zostało pięć kur i w zeszłym tygodniu skarżyła się, że przestały się nieść. Tak naprawdę to Szymek ma rację. Nie wiem, ile wynosi emerytura rolnicza babci Poli. A ja obżeram ją z kodetów, które na pewno nasmażyła dla siebie na zapas. W ubiegłym tygodniu wchłonełam pół kurczaka. Gdyby nie Szymek pochłonełabym całego. Matko, jestem taka głodna, tak bardzo głodna! Bezradna! Przerażona! Stłamszona! Opuszczona!

Cholera, powiedziałam do siebie, dość tego uzalania nad sobą, rozmamłania i w ogóle. Weź się, babo, do kupy. Za łatwo się poddałaś. Pokaż Szymkowi, że jesteś silna. Ze wszystko udźwigniesz. Tę swoją obecną biedę też.

Nagle doznałam czegoś na kształt objawienia! Elka! Elka, pożyczając mi kasę, głądziła coś o woźnej, którą musiała wyrzucić dyscyplinarnie ze szkoły, gdyż przyłapano ją na wynoszeniu środków czystości.

O matko! Czemu nie? Mogę robić za woźną!

Otarłam oczy, wysmarkałam gile z nosa. Nie mam pojęcia, ile taka woźna zarabia, ale grunt, że zarabia! Miesiąc w miesiąc pewna pensja. Swoje potrzeby już i tak ograniczyłam do biologicznego minimum. Muszę mieć na czynsz, komorę Szymka, światło, gaz i benzynę. I tak wyłącznie jeżdżę do babci Poli. Po mieście łązę piechotą. Poza Elką nie odwiedzam nikogo. Elka, otwierając mi drzwi, mówi: „Chyba nie zwariowałaś tym razem i przyjechałaś samochodem?”. To ty zwariowałaś, odpowiadam, samochodem do ciebie w tych wściekłych korkach jechałabym półtorej godziny. Nie gadaj, mówi Elka, oszczędzasz na benzynie. Nie oszczędzam na niczym! Kasy mam jak lodu. Akurat, jak lodu. I dlatego grzechoczesz kośćmi? Elka, zawsze byłam filigranowa! Dobrze powiedziane, w czasie przeszłym. Byłaś. W czasie teraźniejszy upodabniasz się do anorektyczki. Czy ty w ogóle cokolwiek jadasz?

Mówienie o jedzeniu wywołuje u mnie natychmiast bolesny skurcz żołądka oraz wzmożony ślinotok. Z Elką przyjaźnię się od podstawówki, choć nasza przyjaźń nieco podupadła, gdy wyszłam po raz drugi za męża. Elka (wtedy nie rozumiałam dlaczego) od pierwszego wejrzenia nie znosiła Przemka i na próżno tłumaczyłam jej, że Przemek to ideał faceta. Niepowtarzalny oraz jedyny. Elka zgadzała się: „O, tak! Niepowtarzalny oraz jedyny. Przekonasz się, gdy wylądujesz z rączką w nocniku”. Jednak kiedy mój niepowtarzalny oraz jedyny opuścił mnie i Szymka dla krzywonożej właścicielki sieci restauracyjnych w Leeds, Elka zachowała się przyzwoicie. Nie powiedziała triumfująco: „A nie mówiłam?”. Pozwalała mi się wypłakiwać na swoim ramieniu bez słowa komentarza. Nie zwierzałam się Elce z jednego — ze swojej sytuacji materialnej od czasu chwalebego (według mnie) bądź hańbiącego (według innych) zwolnienia z redakcji „Pięknego Życia”. Tak bardzo wstydziłam się, że nie potrafię znaleźć nawet pracy pomywaczki, nawet babci klozetowej, że całą odprawę wydałam na Szymka, wierząc naiwnie, iż wreszcie się do mnie uśmiechnie, powie: „Mamełku”. Prośba o pożyczkę wiele mnie kosztowała i chyba jednak dała mojej przyjaciółce do myślenia. Stąd czepiała się nieustająco, że piętnaście kilometrów z Bałut na Dąbrowę zasuwam do niej na nogach. Właśnie z powodu oszczędności. Miała rację, ale tylko w połowie. Oszczędzałam

nie tylko na benzynie, lecz i na bilecie tramwajowym. Nogi nic, na szczęście, nie kosztują. Elka otwierała drzwi, patrzyła na mnie — spocona, czerwoną, z rozwianym włosom, dyszącą jak po biegu maratońskim, i mówiła: „Słuchaj, zwariowałaś do końca? Rozumiem samochód, korki itepe. Lecz chyba skorzystałaś przynajmniej z tramwaju?”. Elka, tramwaje się wloką. Na hulajnodze bym szybciej przyjechała. A w ogóle odczep się. Urządzam takie spacerki dla zdrowia. Akurat, dla zdrowia, ty anorektyczko — mruzczała gniewnie moja przyjaciółka, wpychała mnie do kuchni i rzucała się do lodówki, by przygotowywać mi kanapki. Co ty, mówiłam, jadłodajnia Caritasu? Kawy się napiję chętnie, lecz żarcia nie chcę. Jedliśmy dziś na obiad z Szymkiem pieczone udko indyka... (O Jezu, babo, bo się zadławisz własną śliną, upominałam się w myślach), takie duże, wiesz? Do tego żurawina, frytki, na deser babka czekoladowa. A na szynkę wprost nie mogę patrzeć, tak mi się przejadła... Akurat, mówiła Elka, więc dlaczego tak w oczach chudniesz? I pedałużesz na własnych girach piętnaście kilometrów wte, piętnaście kilometrów wewte? Wewte to ja wezmę taksówkę, odpowiadałam wyniośle. Dawaj kawę, ewentualnie do kawy ptasie mleczko, jeśli masz. Elka zawsze miała zapas ptasiego mleczka. Jej córki mogłyby się żywić jedynie ptasim mleczkiem. A Elka jest dobrą matką. Pudełko z ptasim mleczkiem lądowało na stole, brałam jedno, nigdy więcej, pilnując się, żeby się nie rzucić i nie pochłonać wszystkich czekoladek łącznie z pudełkiem.

Więc Elka. Zostanę panią woźną u Elki. Znalazłam wyjście.

Chyba nie będzie świnią i zgodzi się mnie zatrudnić? Trudno, wyznam jej jak na spowiedzi całą prawdę o swojej sytuacji. Przysięgnę również, że będę się do niej zwracała z nabożnym szacunkiem. Pani dyrektor, czy mogę posprzątać w pani gabinecie?

Uspokojona tą wizją wróciłam do babci Poli. Pakowała kotlety mielone w folię aluminiową. Przełknęłam ślinę.

— Babciu, kochana! Naprawdę nie trzeba...

— Kasiu — odezwała się babcia Pola — przecież mam oczy, widzę...

Jezu, jeszcze jedno takie ciepłe słowo, a znowu się rozryczę.

— A Szymek gdzie? — zapytałam na wszelki wypadek. W żadnym razie nie wolno mi płakać przy Szymku.

— Poszedł na spacer do brzozowego lasku.

— Wysłałaś go tam, babciu, żeby nie widział, jak szykujesz nam wałówkę?

— Kasiu, nie tylko.

— Nie?

— Nie, Kasiu. Musisz mu wreszcie wyznać całą prawdę o jego ojcu.

— Nie uwierzy. Stracę go na zawsze.

— Nie stracisz. Będzie się gniewał, ale potem mu przejdzie. Musi poznać prawdę. Obiecujesz?

— Boję się...

— Wiem.

— Bardzo się boję...

— Wiem. Lecz jeśli mu teraz nie powiesz prawdy, to kiedy?

— Gdy będzie trochę starszy...

— O ile starszy?

— Nie dręcz mnie, babciu Polu.

— Muszę. Dla twego dobra. Będzie cierpiał, tak. Będzie się buntował jeszcze mocniej. Będzie udawał, jak teraz, że cię nienawidzi. Lecz gdy wykrzyczy z siebie swój ból, zrozumie, że ma tylko ciebie. Swoją mamę. Która go kocha naprawdę. Zrozumie, że tata jest złudzeniem. Przypomni sobie, jakim był naprawdę. Jak go odpychał. Nie miał dla niego czasu. Patrzył z niechęcią. Powiedz mu jak najszybciej. Im będzie starszy, tym trudniej tę prawdę przyjmie. Rozumiesz, Kasiu?

— Tak — odpowiedziałam. Bo rozumiałam. Jedynie strach powstrzymywał mnie dotąd przed powiedzeniem synowi prawdy o jego tacie. Tak, trzeba powiedzieć, dopóki jeszcze nie zdążył zapomnieć, jaki był tata. W innym przypadku na zawsze utrwalił sobie jego wyidealizowany obraz i wtedy przegram. Przegram ostatecznie, nieodwołalnie z tatą, którego

właściwie nigdy nie miał. I mój syn ostatecznie i odwołalnie mnie znienawidzi.

— To dobrze. Nie zwlekaj.

— Powiem mu jeszcze dzisiaj.

— Będzie bolało, wiesz o tym?

— Wiem, babciu Polu.

— Musisz znieść ten ból.

— Zniosę, babciu. Dziękuję.

Położyła przede mną pakunek z kotletami,

— Schowaj. I masz mi przysiąc...

— Co mam ci przysiąc?

— Ze te kotlety zjesz sama — oświadczyła babcia Pola, pociągając ze wzruszenia nosem. — Tak mi marniejesz w oczach, córciu.

Po raz pierwszy powiedziała do mnie „córciu”. W jej brązowych oczach zobaczyłam miłość. Jakbym naprawdę była jej córką. Jej ukochaną, jedyną córką. Boże drogi! Od tragicznej śmierci rodziców nigdy nie usłyszałam tego słowa, zawierającego w sobie wszystkie możliwe odcienie miłości. Radości i smutku.

Nadziei i rozpaczy. Wiary i oddania. Wybaczenia win wszelkich, tych już popełnionych i tych jeszcze niepopołnionych. Córciu. Córciu.

Pochyliłam się do jej spracowanych rąk naznaczonych wypukłymi rzekami żył, siecią mniejszych żyłek z których biegu dałoby się odczytać całą historię ponad siedemdziesięcioletniego życia. Niewiele w nim było szczęścia. Za to wiele rozpaczy. Syn, który te dłonie wykorzystał, aby potem odrzucić jak śmieci. Gorycz samotności. Praca ponad siły, chociaż już synowi niepotrzebna, ponieważ dom nic niewart, ziemia sprzedana i tyle jej, co na dwa zagonki kartofli oraz kilka grządek warzyw. Skąd ta siła? Przecież babcia Pola przetrwała i ból, i gorycz, i tę najokrutniejszą ze wszystkich samotność. Samotność po stracie jedyne go dziecka. Skąd siła w tej starej kobiecie, której nigdy nie widziałam płaczącej? Która tak szcudrze obdarzała mnie i mego syna nie tylko chlebem pieczonym na chrzanowych liściach, lecz ofiarowała nam tyle szcudrych, bezinteresownych uśmiechów i tyle prawdziwego uczucia.

— Córciu, nie trzeba. To ja wam dziękuję, że jesteście — tyle zdążyła powiedzieć, ponieważ do kuchni wpadł Szymek, wrzeszcząc:

— Babciu! Babciuniu kochana! Popatrz! Popatrz, jakiego znalazłem borusa! To okaz, nie borus!

Borowik był niesamowity. Miał kapelusz wielkości miednicy. Trzon gruby jak przegub ręki.

Szymek ustawił grzyba na stole. Wyjął komórkę i uwiecznił borowikowy okaz w wielu ujęciach.

— Jak tata zabierze mnie do siebie — oznajmił — pokażę mu zdjęcia.

I zaraz dodał:

— Ciebie też, babciu, zabierzemy z sobą.

Poczułam dłoń babci Poli na swojej ręce. Łagodny uścisk, jakby zamierzała mi nim powiedzieć: „Nie zadręczaj się, córciu. Przyjdzie czas, że twój syn zrozumie. I znowu nazwie cię swoim kochanym mamełkiem”.

## Rozdział siódmy

Szymek nie pozwolił dotknąć swego okazu. Sam oczyścił i pokroił ogromnego borowika. Promieniał radością. „Taki borus, taki borus, niesamowite”, powtarzał.

Cieszyłam się nie tylko jego radością. Cieszyłam się, myśląc, że jutro obiad mam z głowy. Kartofle i smażony kolos. Co prawda nie na masełku, lecz na oleju, jednak wyjątkowego smaku tego najszlachetniejszego z grzybów nic nie jest w stanie zepsuć, nawet olej z piątego tłoczenia. Mąż, który nigdy, mimo łzawych próśb Szymka, do lasu z nami nie jeździł, tym bardziej do babci Poli, smażone borowiki na masełku wsuwał, prychnając z zadowoleniem: „Pyszne. Dostanę dokładkę?”.

— Wreszcie byś się najadł, tato — zamruczał pod nosem syn, odstawiając kopiastą michę do zlewu. — Ona zawsze ci żałowała dodatkowej porcji. Obżerała się sama.

Z trudem powstrzymałam napływające do oczu łzy.

— Będzie z twego okazu wspaniały obiad — odezwałam się, dodając ciszej — synku, oszczędź mi tych uwag.

Niepotrzebnie. Oszczędzanie mnie nie leżało w intencjach Szymka.

— Nie będzie — oznajmił wyzywająco.

— Dlaczego?

— Zamroziś borowikową krajanekę. Jak tata po mnie przyjedzie, to mu sam ją usmażę.

— Aha — powiedziała, zaciskając powieki z całej siły. — Doskonale.

— Nie zjesz ani jednego kawałeczka z mojego borowika — znęcał się dalej syn.

— Trudno. Przeżyję. I daruj sobie. Tym razem mnie nie sprowokujesz.

— Naprawdę? — zdziwił się pogardliwie, po czym westchnął równie pogardliwie. — Szkoda. Lubię patrzeć na ciebie, gdy wrzeszczysz. Wyglądasz wtedy jak wiedźma. A gdy wyrzucałaś tatę z domu, to tupałaś nogami. Nigdy tego nie zapomnę. Tata się śmiał, a ty aż się zaplulaś od wrzasków. Wiedźma.

— Okej. Wiedźma. Wiedźma cię przeprasza, musi udać się do łazienki.

W łazience wsadziłam łeb pod zimną wodę. Babcia Pola ma rację. Najwyższy czas odsłonić kulisy prawdy o ukochanym tatusiu. O tym draniu. Łajdaku. Szui. Łotrze. Szubrawcu. Kanalii.

Na „kanalii” wyczerpałam zasób znanych mi synonimów słowa „łajdak”. Nie powiem, żeby mnie ten potok inwektyw uspokoił. Jeżeli teraz chciałam nadal ryczeć, to z powodu swojej głupoty. Należało faceta wystawić z walizkami w momencie, kiedy mu, rozsadzana wręcz od szczęścia, wtulając się w jego ramiona,

wyszeptałam: „Przemuś, skarbie, byłam u ginekologa”. Przytulił mnie silniej. Łatwo się podniecał i każde nieomal przytulanie kończyło się łóżkiem, jednak wiadomość, że byłam u ginekologa, powinna dać mu do zrozumienia w czym rzecz. Przemuś, skarbie, przestań — szepnęłam, ponieważ już wsadzał mi rękę pod spódnicę — przecież mówię: byłam u ginekologa. Ręka męża wędrowała pieścizotliwe po moim udzie. To chyba normalne, że kobiety chodzą do ginekologa, szepnął. Przemuś! Będziemy mieli dziecko. Cieszysz się?

Odsunął się ode mnie, jakby go nagle zwiął tajfun.

Co jest? Nie cieszy się? Jezu, patrzy wzrokiem wręcz morderczym.

— Przemek?

Przesiadł się z tapczanu na krzesło.

— Nie będziemy mieli dziecka — oznajmił. — Nie cierpię dzieci. A kobietami w ciąży brzydzę się, rozumiesz?

Trzęsienie ziemi o sile dziewięciu stopni w skali Richtera przeraziłoby mnie mniej niż słowa męża.

— Ależ, Przemuś...

— I nie rób miny tragiczki ze spalonego teatru — powiedział zimno, arktycznie, tak zimno i tak arktycznie, że zaczęłam zamarzać. — Po prostu je wyskrobiesz.

Po prostu? Wyskrobiesz?

Znaczenie tych słów docierało powoli, jakby i ono również zlodowaciało.

— Kochasz przecież swego Przemusia? Nie chcesz chyba, żeby twój Przemuś się tobą brzydził?

Nie chciałam. Ale chciałam mieć dziecko. Co oznajmiłam mężowi.

— Idiotka. Taka sama jak wszystkie — wyszedł, trzaskając drzwiami. Później próbował różnych sztuczek. Raz słodkich, kiedy indziej przykrych. Zagroził rozwodem. Trudno. Chcę mieć dziecko i już, odpowiadałam. Gdy się z tobą rozwiodę, dokąd pójdziesz? Nawet nie masz mieszkania. Trudno. Wynajmę pokój.

Był konsekwentny. Nie rozwiódł się wprawdzie, jednak nie dotknął mnie, gdy grubiałam w pasie i nie tylko w pasie. Nie odwiózł mnie do szpitala. Nie przyszedł, jak inni ojcowie, z wiechciem kwiatów. Nie życzył sobie oglądać „tego bachora”. Ale brzydki, stwierdził, jeden jedyny raz podchodząc do łóżeczka. Mnie się nasz syn wydawał piękny, mimo łysej, jajowatej główki. A te łapeczki, te paluszki, te piętki, mogłam całować bez końca. Idiotka, komentował mąż moje wynurzenia na temat tych paluszków; łapeczek i piątek. Lepiej postaraj się, żeby nie ryczał! Płaczący Szymek wzbudzał w mężu furję. Zatkaj gębę temu bachorowi! — krzyczał. Boże, dlaczego upierałam się, ostatnia kretyńska, że mój mąż jest wyjątkowym, najlepszym na całej kuli ziemskiej facetem? Miłość

uczyniła mnie ślepą. Jednak równocześnie wynajdywałam setki usprawiedliwień, skąd u niego taki brak wszelkiej tolerancji wobec własnego dziecka. No tak, ryczący niemowlak to nic przyjemnego. Lecz przecież wiecznie nie będzie ryczał. Ryczy, bo ma kolkę. Ryczy, bo mu się wyzynają ząbki. Przemus, chodź, zobacz, jak się ślicznie uśmiecha. Jak bawi się własnymi rączkami. Jak podnosi główkę. Jak siada. Jak stoi. O Boże, Przemek nasz syn zrobił pierwsze kroczki.

— Twój syn — odpowiadał niewzruszenie. — Nie obchodzą mnie jego pierwsze kroczki. Uprzedzałem, że nie cierpię dzieci. Pilnuj swego bachora, niech mi się nie płacze pod nogami.

Ani razu na spacerze. Ani razu w zoo. Nigdzie z synem. Nawet ani jednej fotografii z Szymkiem.

Ani jednej fotografii?

To jest to! Bingo! Strzał w dziesiątkę!

Album ze zdjęciami leżał wepchnięty pod prześcieradła. Kiedyś spoczywał na szacownym miejscu w salonie. Tak aby każdy mógł go obejrzeć. Podziwiać filmową urodę mego męża. Oraz ewentualnie pozachwycać się moimi nogami, ponieważ to je głównie eksponował na fotografiach. Jednak odkąd namiętnie dokumentowałam rozwój Szymka, mąż wrzucił album do mojego pokoju. Te twoje sztuczki, kochanie, na nic. Nie życzę sobie w moim albumie zdjęć bachora.

Więc potem w albumie królował Szymek. Przeważnie sam, czasem ze mną, jeśli jakaś pocziwa dusza zgodziła się pstryknąć nam wspólne zdjęcie. Przeważnie pstrykała je Elka. Stąd na wielu fotkach Szymek jest z „ciocią”. Lub z jej dziewczynkami. Wizyty „cioci” skończyły się, kiedy mąż powiedział, iż nie życzy sobie, aby to babsko (czyli Elka) bywało w jego domu. I że w ogóle dziwi się bardzo, jak mogę z kimś takim utrzymywać kontakty. To babsko mnie nie cierpi. To babsko buntuje cię przeciwko mnie. Na widok tego babska dostaję alergii. To jest, pamiętaj kochanie, moje mieszkanie. I tak nawijał o tym babsku z pół godziny. Szymek zapytał: „Mamełku, o kim tata mówił? Do nas przychodzi jedynie ciocia Ela”. No właśnie o niej — westchnęłam nieopatrnie. W takim razie ja też jej nie cierpię, oznajmił siedmioletni Szymek.

Album, rycząc jak ostatnia idiotka, wepchnęłam pod stos prześcieradeł w kilka miesięcy po odejściu Przemka. Jego zdjęcia skrapiałam co i rusz łzami tęsknoty. Wisiałam ustami na jego ustach i żar ogarniał moje ciało.

— Wiesz co? — Elka była brutalna — jakbym przez tyle miesięcy żyła niczym mniszka w celibacie, zwariowałabym podobnie jak ty, Kaśka! To paranoja! Całować fotografie! Fundnij sobie faceta! Pójdź z nim do łóżka! Od razu tamten drań wywietrzeje ci z twego oślego łba!

— Nie mogę... — zaryczałam.



— Dlaczego?

— Bo ja go ciągle Kocham!

— Przynajmniej album wyrzucić do śmietnika — oświadczyła Elka. — Wtedy wspomnienia o tym twoim ukochanym draniu zbledną. Zachowujesz się niczym masochistka.

Wyrzucić? Nigdy! Lecz rzeczywiście, ciągle rozdrapywanie ran zakrawało na chorobę psychiczną. Mąż puścił mnie kantem. Rodzony syn powtarza jak refren: „Chcę do taty. Nienawidzę cię”. A ja całuję fotografie. Obu. Przemka i Szymka.

Więc upchałam album pod stos prześcieradeł. Czasem, w chwilach całkowitego umierania z tęsknoty, odwalalam prześcieradła, dobierając się do zbioru fotografii.

Teraz dziękowałam Bogu, że nie posłuchałam Elki.

Album. Odkopię go i niech Szymek sobie poogląda. Jest inteligentny. To i owo powinno zwrócić jego uwagę.

Odnalazłam Szymka siedzącego w kuchni.

Plasnęłam przed nim albumem.

— Co to?

— Zdjęcia. Pooglądaj sobie.

— Mam gdzieś twoje zdjęcia. Ciebie też. Chcę...

— Wiem: do taty. Stajesz się upierdliwy, synu. Zanim tata po ciebie przyjedzie, pooglądaj jego fotografie. Obawiam się, że przez te trzy lata zdążyłeś zapomnieć, jak wygląda twój ojciec — powiedziałam bezlitośnie.

— Nie zapomniałem! — wrzasnął Szymek. — Nienawidzę cię!

— Więc nie obejrzysz zdjęć taty? Zawahał się.

— Nie to nie. Ty pamiętasz tatę, natomiast ja ze wszystkich sił usiłuję go zapomnieć. W takim razie wywalę album do kubła ze śmieciami.

— Ani mi się waż!

Wrzask syna tym razem przypadł mi do gustu. Świetnie, synku, doskonale. Tylko dokładnie przyglądaj się zdjęciom taty. Bardzo dokładnie.

— Jeśli napadną cię miał jakieś wątpliwości, chętnie je wszystkie objaśnię. Znajdziesz mnie w salonie.

Włączyłam telewizor. Obraz migał mi przed oczami. Serce waliło. A jeśli nie bingo? Jeśli to będzie kolejna porażka? Godzina ósma. Obejrzenie albumu zajmie mu pół godziny. Wątpliwości, o ile je będzie miał, co najmniej drugie pół godziny. Razem — godzina.

Wpadł po kwadransie, wymachując wściekle albumem.

— Gdzie tata? — krzyknął, patrząc na mnie z jadowitą wręcz nienawiścią. — Dlaczego najpierw są zdjęcia taty, a potem nagle ich nie ma! Ani jednego! Jestem

tylko ja, ja i jeszcze raz ja! No i ty, ze mną! I ta wredna ciotka, której tata nie cierpiał. Też ze mną! Wywaliałaś wszystkie zdjęcia, na których byłem z tatą!

— Ej, kolego, nie ekscytuj się tak.

— Nie jestem żadnym twoim kolegą!

— Słusznie. Jesteś moim synem.

— Nie! Jestem tylko i wyłącznie synem taty!

— Aha. Rozumiem, że to tata cię urodził? Karmił piersią? Zmieniał zafajdane pampersy?

— Idiotka!

— Okej — z trudem darowałam mu „idiotkę”, udając kamienną obojętność. — Posłuchaj mnie uważnie, ponieważ drugi raz ci nie powtórzę. Ten album jest dowodem miłości taty do ciebie.

— Idiotka! Ani jednego zdjęcia taty ze mną!

— Właśnie. Zastanów się nad tym. Dlaczego nie ma takiego zdjęcia?

— Bo je zniszczyłaś! Albo nie wkleiłaś! — wciąż wrzeszczała, lecz już mu się broda trzęsła, zaś usta wyginały w podkówkę. Trudno, synku. Mnie też boli. Boli od dawna. Boli od dnia, w którym po raz pierwszy oświadczyłeś, że chcesz do taty. I że mnie nienawidzisz. Zraniłeś mnie tymi słowami jak pejczem. Bardzo mnie poraniłeś, synku. Teraz ja, pokazując ci album, ranie ciebie. Wybacz. Muszę.

— Wszystkie zdjęcia są opisane. Każde ma datę.

— Nieprawda! Jest luka! Ostatnie zdjęcie taty nosi datę 3 marca 1997 roku. Potem jest równe dziewięć miesięcy przerwy. A potem moje zdjęcie, ohydneho niemowlaka, łysego, czerwonego, pomarszczonego, leżącego przy tobie w jakimś łóżku! Z datą trzydziestego listopada tego samego roku! Jakby taty w tym czasie nie było!

— To zdjęcie zrobiła nam pielęgniarka. W cztery godziny po twoim urodzeniu — odpowiedziałam cicho, opuściwszy głowę.

W taksówce poganiałam kierowcę: „Szybciej, błagam, szybciej! Mam skurcze co pięć minut”. Dziewczyno, odezwał się ze współczuciem, wciskając do dechy pedał gazu, czemu tak długo zwlekałaś? Dlaczego mąż nie wezwał pogotowia? Bo... bo wyjechał służbowo... No tak. Oni zawsze wyjeżdżają służbowo. Zrobią dzieciaka i tyle ich widzisz. Ależ ja mam męża, zaprotekowałam gorączkowo. Tym gorzej to o nim świadczy, odpowiedział kierowca z jeszcze większym współczuciem. W szpitalu od razu wylądowałam na porodówce. Dla przyjmujących poród było oczywiste, że mój mąż czeka na rozwiązanie pod drzwiami bloku położniczego. Synku, urodziłam cię wreszcie, obwieściłaś swe przyjście na świat silnym głosem, położono mi ciebie przy piersi, twoje usteczka zaczęły ssać, moje szczęście nie znało granic. Syn! Syna przecież pokochasz,

Przemuś, każdy mężczyzna marzy o synu, już pewno dzwoniłeś, już wiesz, że syn, już jedziesz, Matko Święta, tylko jedź uważnie, nie denerwuj się, syn zdrowy, ja zdrowa, panie doktorze, pozwoli pan mężowi zobaczyć syna? Oczywiście, odpowiedział i poszedł, i długo nie wracał, a kiedy wrócił, patrzył na mnie z takim samym współczuciem jak ten kierowca z taksówki. Ach, powiedziałam szybko, zapomniałam, że mąż ma ważną naradę, widocznie się przedłużyła, ale zaraz, na pewno zaraz przyjedzie. Nie przyjechał. Zadzwoiłam z komórki: „Przemuś, mamy syna!”. My? To ty masz. Ja — nie. Uprzedzałem, że nie zaakceptuję dzieciaka. I rozłączył się. Nie wolno pani płakać, powiedziała pielęgniarka. Karmi pani synka piersią, każdy stres odbija się niekorzystnie na pokarmie. I obrzuciła mnie tym, już mi tak doskonale znajomym spojrzeniem współczucia, może nawet i litości. Chce pani? Mam aparat. Zrobię wam zdjęcia.

— Potem znowu ja. Wciąż ja. Z tobą. Z ciotką. Coraz starszy. Ciągłe bez taty!

— Przykro mi, Szymek. Tę czasową lukę w zdjęciach łatwo wytłumaczyć: byłam z tobą w ciąży.

— Ściemniasz. Co ma piernik do wiatraka? Co ma twoja ciąża do tej luki? — krzyknął syn.

— Twój tata brzydził się kobiet w ciąży.

— Brzydził? — głos mego syna załamał się. — Jak to: brzydził?

— Musisz sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Jak i również na wszystkie inne, jakie zadałeś. Dlaczego jesteś na zdjęciach albo sam, albo tylko ze mną, albo z ciotką Elką? Oraz także dlaczego nazwałam ten album dowodem miłości taty do ciebie.

I tak go zostawiłam. Pośrodku salonu. Samego. Z tymi pytaniami. Oraz albumem w dłoniach.

Wiedziałam, że nie zawoła za mną: „mamo”. Wiedziałam, że przyjdzie mi poczekać, nie wiadomo jak długo, zanim nazwie mnie jak kiedyś, dawno temu, bardzo dawno, zbyt dawno — swoim „ukochanym mamełkiem”. Wiedziałam, że będzie ten album przeglądał raz za razem, raz za razem, szukając w nim swego taty.

Wiedziałam, że tam go nie znajdzie.

Wiedziałam, że swemu synowi zadałam wielki ból.

## Rozdział ósmy

Rano Szymek miał ciemne obwódki pod oczami. Trudno. Nie odzywał się w ogóle. Trudno. Śniadaniem pogardził. Trudno. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Trudno.

Dokonałam inspekcji w jego pokoju. Album leżał na biurku. Był otwarty na ostatniej stronie ze zdjęciami. Wszystkie cztery przedstawiały Szymka i mnie, roześmianych i obejmujących się czule. Miał wtedy osiem lat. Zdjęcia pstrykała sąsiadka. Data: 10 maja 2004. W dwa dni później mój mąż rano kazał mi pakować swoje walizki. Od tamtego dnia Szymek nie pozwalał się fotografować.

Wydało mi się, że na jednym ze zdjęć dostrzegam rozmazaną plamkę. Czyżby to łza mojego syna?

Jestem wredną matką. Bardzo chciałam, żeby to była jego łza.

Zadzwoiłam do Elki. Pani Krysia, jej sekretarka, знаła mój głos. Połączyła natychmiast.

— Cześć, Elka — powiedziałam. — Masz czas?

— Cześć. Mam. Do dziesiątej. Potem idę na lekcję.

— Będę za piętnaście minut.

— Pali się czy co? Za piętnaście minut nie dasz rady dojechać do mojej budy nawet na rolkach.

— Przyjadę złomem.

— Umieram z ciekawości. Podłapałaś faceta? Przystojny?

— Odwal się. Nie w głowie mi faceci. Cześć.

Złom, jakby wyczuwał sytuację, odpalił niczym rakietą. Pod szkołę Elki zajechałam w dziesięć minut.

Wyposażenie gabinetu dyrektora takiej ogromnej szkoły — bardziej niż skromne. Za to Elka, jak zwykle, elegancka. Śliczna blondynka, wysoka, z długimi nogami. Mąż ją uwielbiał. I słusznie. Była nie tylko mądrą nauczycielką i świetną dyrektorką, lecz nade wszystko kochała swoją rodzinę. Istna bogini domowego ogniska.

— Kaśka — powiedziała zamiast powitania — wyglądasz okropnie. Niczym zombi.

— I tak się czuję. Wyłożę ci od razu kawę na ławę. Nie mam pracy. Odprawę wydałam na sprzęt komputerowy oraz ubranie zimowe dla Szymka. Od trzech miesięcy żrę suchy chleb. W dni świąteczne smarowany Delmą. Najadam się raz w tygodniu u babci Poli. Ale ile można, jak ci się od niejedzenia żołądek skurczył do wielkości piłeczki pingpongowej...

— Cholera, Kaśka, czemu nie mówiłaś?

— Właśnie mówię. Masz wolny etat.

— Ja? Coś ty? — spojrzała na mnie jak na obłąkaną. — To nie jest redakcja. To jest szkoła. Nawet jakbym miała etat, to ty, magister historii sztuki, nie masz uprawnień do wykonywania zawodu pedagoga.

— A czy ja proszę o etat pedagoga? Zwariowałaś? W życiu Romana! Cudze dzieci uczyć!

— Wiesz co? Ja ci znajdę i opłacę terapeutę. Bredzisz.

— To ty bredzisz! Elka, masz etat!

— Ja? Kto ci to powiedział? Wybacz, Kaśka, kocham cię jak rodzoną siostrę, ale przecież nie zwolnię pani Krysi! Bo do sekretariatu byś się nadała. Poczekaj, niech pogłówkuję... — zamyśliła się, po chwili potrząsnęła blond grzywką. — Kaśka! U wszystkich moich znajomych dyrektorek jest pełna obsada w sekretariacie. Przykro mi.

— Elka, ja nawijam o etacie woźnej! Mówiłaś, że jedną zwolniłaś, bo kradła środki czystości ponad miarę.

Elka zamachała rękami, jakby odpędzała diabła lub nieczystą marę.

— Nie, ty rzeczywiście zwariowałaś!

— Nie zwariowałam.

— Kaśka! Ty? Woźną?

— Żadna praca nie hańbi. Pamiętasz tego prawnika, który wyjechał do Stanów i za cholere nie chciał wracać? Mówił, że woli tam skrobać kible szczoteczką do zębów, niż tu paradować w todze.

— Pamiętam, ale to była prawnicza miernota. Nadająca się właśnie do skrobania kibli!

— Jezu, Elka. Wyczerpałam wszelkie możliwości. Dziś i jutro wyżywię Szymka kotletami od babci Poli. A potem co?

— Ja ci pożyczę...

— Już i tak wiszę ci pięć stów, Elka, a u was również się nie przelewa. Masz dwie nastoletnie pannice. Dziewczyny w ich wieku potrzebują kosmetyków, ekstra kiecek itepe. Heniusz z zastawką serca pracuje na pół etatu. Wydajesz mnóstwo na leki. Elka, daj mi ten etat woźnej.

— Boże, Kaśka...

— Boże, Elka! Już zatrudniłaś nową woźną?

— Do głowy by mi nie przyszło, że ty... — znowu spojrzała na mnie, tym razem to ona miała w oczach obłęd — ... że tobie... znanej dziennikarce, jednej z najlepszych...

— Ta jedna z najlepszych dziennikarek ma nóż na gardle. Elka, pomóż. Podzwoń po znajomych dyrektorkach. Może u którejś też jakaś woźna nakradła

więcej niż zwykle środków czystości? A tak w ogóle, co to znaczy: nakraść więcej niż zwykle?

— To znaczy więcej niż wynosi norma — wyjaśniła, patrząc na mnie tym razem tak, jakbym grała pierwszą naiwną.

— Norma?

— O Boże, Kaśka, ty rzeczywiście z takim podejściem do życia nigdy nie znajdziesz pracy! — zdenerwowała się Elka.

— Przysięgam, że nie będę kradła nawet w granicach normy! — walnęłam się w piersi. — Łap za telefon. Obdzwoń znajome dyrektorstwa. Powiedz, że masz taka głupio uczciwa, która nie wyniesie ani jednego mydełka, ani grama proszku do prania, chociaż prawdę mówiąc, proszek mi się skończył, a mydełko zostało jedno...

— Kaśka?

— Ela, błagam, pomóż.

Sięgnęła po słuchawkę, po czym zawahała się.

— Co jest?

— Nie mogę. Przy tobie nie potrafię... Jezu, chyba się rozryczę. Ty i woźna... Moja przyjaciółka woźna. To jakiś horror.

— Dzwon. Wyjdę. Czekaając na korytarzu, zacznę się wczu-wać w nową rolę. Rolę pani woźnej siedzącej pod drzwiami do gabinetu swojej pracodawczyni.

— Przestań. To nie jest zabawne.

— A kto ci mówi, że jest zabawne? Ja?

— Dobra. Dzwonię. Ale najpierw sobie chlapnę. Kaśka, chlapniemy sobie, co? Dla dodania odwagi.

— Okej. Chlapnijmy. Bez chlapnięcia ani rusz. Okropnie się boję.

— Ja też.

Elka wyciągnęła brandy i dwie szklaneczki. Nalała. Pomyślałam ze zgrozą, że moja przyjaciółka od tej alkoholowej strony jest mi bliżej nieznana. A tu, proszę, pociąga sobie w pracy.

— Czemu się tak na mnie patrzysz? Jak na alcoholiczkę nadającą się na odwyk? Zdumiałas do reszty? Nie pociągam w pracy. To służbowy alkohol dla wyjątkowych gości, serwowany w wyjątkowych sytuacjach. — Elka nalała po pół szklaneczki złotawego płynu. — Uważam, że jesteś moim wyjątkowym gościem i sytuacja również jest wyjątkowa. Dla mnie, ponieważ swoją przyjaciółkę już za chwilę zacznę zachwalać jako wyjątkową woźną. Dla ciebie, bo tą woźną wkrótce zostaniesz.

— Skąd wiesz, że zostanę? — wlałam w siebie alkohol. Jakiś zwietrzały, czy co? Czy może ja taka zamrożona ze stresu w środku niczym zamrażarka? Jakbym łyknęła wodę mineralną. Nawet nie zapiekło w gardle.

— Wiem — Elka upiła łyczek, skrzywiła się, jakby brandy było dziesięcioprocentowym octem. — Siedź cicho. Dzwonię.

Wykręciła numer. Przymknęłam oczy, wzywając wszystkich świętych, niech pomogą mi zostać panią woźną. Najlepiej od jutra. Najlepiej, dając mi na zachętę maleńką zaliczkę. Powiedzmy: stówkę. Jedną, kochaną, najmilszą stóweczkę. Stówunię. Kupię za nią... O Boże, kupię za nią żarcia na cały tydzień. Stówka mnie — posiadaczce ośmiu złotych i dziewięciu groszy — wydała się kwotą wprost zawrotną.

— Śmiało ci ją polecam... Oczywiście, że znam! Skąd? Boże, znam i już. Dona, coś ty taka dociekliwa? Przyczepiłaś się jak rzep do psiego ogona. Skąd? Aha, już wiem skąd. Przypomniało mi się. To taka moja znajoma... Dawna znajoma... Pamiętasz, kiedyś zatrudniałam opiekunkę do swoich dziewczynek. To właśnie ona. Czemu dziwne? Jak Boga kocham, nic nie kręcę! Nieszczęśliwa kobiecina... Pochowała męża. Na co umarł? Oczywiście, na raka! Dona, gadaj, zatrudnisz ją czy nie? Zośka też potrzebuje woźnej, nie ty jedna. No, to super... Dzięki, Ilona. Jak się nazywa? — w głosie Elki dosłyszałam panikę, więc otworzyłam jedno oko. — Nazywa się... nazywa...

Cholera, całkiem mnie pogrąży! Nalałam sobie szklaneczkę do pełna. Chlapnęłam jednym haustem. A co tam! Trudno. Chociaż raz się upiję na koszt firmy. Bardzo dobre brandy. Bardzo. Firma nie zbiednieje, jeśli fundnę sobie następną szklaneczkę. No, to chlup! Za panią woźną! Za ciebie, Eluniu. Daj buzi, kochana. No, daj, nie bądź taka wredna.

— Dzięki ci, Ilonko — szczebiotała Elka do słuchawki, znosząc cierpliwie moje buzi. — Jutro się do ciebie zgłosi. Tak. Punktualnie o ósmej rano. Co mówisz? Ktoś u mnie bełkocze? Ilona, wypraszam sobie. Jestem sama w gabinecie. A ja nie bełkoczę — trzasnęła słuchawką.

Zdażyłam już wypić czwartą szklaneczkę? A może i piątą? Nie wiem. Nie liczyłam.

— Elunia, przyjaciółko ty moja...

— Obsłiniłaś mnie, kretyńko! — wrzasnęła Elka. — Spiałś się w cztery litery! Jezu, i co ja z tobą teraz zrobię?

— Ukryj między segregatorami — zachichotałam.

— Pijaństwo w moim gabinecie! Nawet pani Kryisia nie może cię zobaczyć w takim stanie! Jezu, wychłapała pół flachy! — Elka czym prędzej schowała nędzne resztki brandy pod biurko. Szklaneczki też. Poczulałam się obrażona. Wstałam,

zatoczyłam się. Fakt. Nawaliłam się, ale przynajmniej mi wesoło. Wesolutko. Na razie. Co będzie później, nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

— Jezu, Kaśka! Stój prosto. Błagam cię, staraj się utrzymać w pionie! Cholera, muszę odwołać lekcję! Kaśka, dawaj kluczyki!

— Nic mi nie jest, sama przyjechałam, sama odjadę. Hen, w siną dal.

— Dawaj! Ale już! Pani Krysi powiem, że zrobiło ci się słabo, dlatego tak się chwiejesz... Odwiozę cię, ty nieszczęsna imbecylko, do domu. I ani słowa. Rozumiesz? Przypadkiem nie rzuć się z czułościami do mojej sekretarki, cholero jedna. I nie bekaj. Idziemy.

Przyznam się, że nie pamiętam, co było dalej. Film definitywnie mi się urwał. Ocknęłam się we własnym mieszkaniu. Na tapczanie, przykryta kocem. Z mokrym ręcznikiem na głowie! Trzeźwiałam i to było straszne. Po pierwsze, naraziłam na szwank Elkę. Nie do pomyślenia nawet, jakie mogłyby przeze mnie spotkać ją nieprzyjemności. Po drugie, zaraz wróci ze szkoły Szymek i zastanie matkę z pijackim chuchem. Matkę, której nad głową to wznosi się, to opada sufit. Nie wspominając o tym, co za hece wyprawiają ściany. Rozciągają się niczym harmonia, na której harmonista wygrywa Bielyje rozy. Po trzecie i najstraszniejsze — z pracy nici. I tę pracę zawaliłam. Obsliniając Elkę, bełkocząc, gdy ona usiłowała załatwić mi chlubne stanowisko pani woźnej u tej, jak jej tam, Ilony.

Elkę przeproszę. Przed Szymkiem udam chorobę zakaźną. Ale pracy u dyrektor o dźwięcznym imieniu Ilona nie dostanę.

Szymek spojrzał na mnie tylko raz. Wypadł do kuchni.

No tak, zaraz przyjdzie i powie, że tym bardziej chce do taty. Kto by nie chciał, mając matkę w stanie wskazującym na nadmierne spożycie?

Odwróciłam się do ściany. Ohydnej ściany, nagle przypominającej rozhuśtaną fale. Tapczan pode mną również falował z siłą iluś tam stopni w skali Beauforta. Taka maleńka łupinka, ja w niej, a wokół mnie sztorm.

Nie pamiętam, kiedy się tak nachlałam.

Czy musiało do tego dojść akurat wtedy, gdy w kieszeni zostało mi osiem złotych i dziewięć groszy?

I co mi z tego przyjdzie? Nic. Zostaną wyrzuty sumienia. I te osiem złotych oraz dziewięć groszy.

Trzasnęły drzwi. No tak, syn uciekł. A ja nawet nie mam sił, żeby się zwlec z tej łupinki szarpanej falami.

Płakałam z bezsilności. Trudno. Zgłoszę się do agencji towarzyskiej. W końcu niby żadna praca nie hańbi. Muszę opłacać czynsz, żywić syna.

Znowu trzasnęły drzwi. Dzięki Ci, Boże. Niech mnie mój syn nienawidzi, ale nie ucieka. On, jak ja, nie ma dokąd uciec. Jesteśmy skazani na siebie.



— Mamle?

To Szymek. Za nic nie odwrócę się od ściany.

— Dzwoniła do mnie ciocia Ela. Powiedziała, że zachorowałaś i że potrzebny ci gorący żurek, a przede wszystkim spokój. Pobiegłem do sklepu, kupiłem żurek. Podgrzałem. Jest gorący. Wypij.

— Szymek?

— Czego?

Aha, więc ta synowska wspaniałomyślność to tylko chwilówka. Dobre i tyle.

— Dziękuję. Idź odrabiać lekcje.

— Wiem o tym i bez ciebie. Pij.

Spryciula. Za Chiny się nie odwrócę. Przynajmniej ocalę wizerunek chorej matki.

— Wypiję. Za chwilę.

— Jak tam sobie chcesz — mruknął, lecz tkwił nade mną jak kat nad grzeszną duszą.

— Znalazłem u ciebie w portmonetce niecałe dziesięć złotych. Spłukałaś się?

— Ależ skąd! Właśnie wygrałam w totka.

— Znaczący, że się spłukałaś...

— Szymek...

— Czego?

— W lodówce są kotlety od babci Poli. Odgrzej sobie. Obiecuję, że jutro ugotuję pyszny obiad.

Szymek stał jeszcze chwilę niezdecydowany. Zdaje się, że miał, poza odkryciem zasobów mojej portmonetki, inny problem, może związany z albumem? Trudno. Twój problem, synu, musi poczekać. Do jutra. Dziś twoja matka ostatecznie pogrzebała szansę na kiepsko opłacane, ale godne życie pani woźnej u dyrektor Ilony, która nie jest córką rybaka z Mazur. Jezu, co ja plotę? Z jakich Mazur?

Muszę rozważyć ten pomysł z agencją towarzyską... O Boże, osiągnęłam dno, skoro biorę pod uwagę taką alternatywę pracy. Trudno. Świat jest wypełniony dziwkami rodzaju żeńskiego i męskiego. Nawet znam takie, z obrączkami na serdecznym palcu, co żeniły się z pieniędzmi, willą, basenem oraz jachtem.

Szymek poszedł. O dziwo, nie trzasnął drzwiami. Album zadziałał? Byłoby to zbyt piękne, więcej nie usłyszeć: „chcę do taty!”. Usnęłam. Obudził mnie dzwonek mojej komórki.

— Kaśka? Tu Elka — głos mojej przyjaciółki był suchy jak wiórek kokosowy.

— Jutro o godzinie dziewiątej meldujesz się w Szkole Podstawowej nr pięćdziesiąt, ulica Warszawska piętnaście. Dyrektorka nazywa się Ilona Sawicka.

Zna twoje prawdziwe nazwisko, lecz oczywiście nie kojarzy, ponieważ nikt zdrowy na umyśle, posiadając wyższe wykształcenie i biegłą znajomość języka angielskiego, francuskiego oraz łaciny, nie zatrudnia się w charakterze szorowaczki kibli. Na taki pomysł może wpaść jedynie ktoś tak zboczony jak ty. Aha, powiedziałam jej, że masz skończonych pięć klas podstawówki. Ale wiśnia! Pięć klas?

— Tak nie postępują przyjaciółki. Jesteś wredota. Niby że jestem analfabetka?

— Zemściłam się, ha! — wykrzyknęła Elka i rozłączyła się.

## Rozdział dziewiąty

Nazajutrz miałam potężnego kaca i równie potężna tremę. Kaca usiłowałam zlikwidować przy pomocy tabletki alka prim. Na tremę nie znałam lekarstwa. Boże, w życiu nie czułam się tak podłe! Nawet podczas obrony pracy magisterskiej. Ani przed rozmową kwalifikacyjną o przyjęcie do pracy w „Pięknym Życiu”, chociaż o jeden etat w dziale kulturalnym ubiegało się dwanaście babek i dwóch facetów! A teraz dygoczę i szczękam zębami. Ze strachu przed dyrektorką szkoły podstawowej! Z obawy czy nie odrzuci mojej kandydatury. Same, spiętrzone na wysokość Pałacu Kultury, problemy. Taka woźna z pięcioma skończonymi klasami szkoły podstawowej to jak właściwie wygląda? Odziewa na łeb chustkę czy moherowy beret? Wolno jej ozdobić głowę makijażem? Mojej by się dziś akurat przydał! Wory pod oczami, policzki w kolorze brudnej ściery, takie szarawe, jakby niedomyte. Pracodawczyni spojrzy na mnie i ani chybi pomyśli: jakaś fleja, pewno myje się raz na tydzień. Trudno. Przypudrowałam wory, naniosłam nieco różu na policzki. Siność warg zlikwidowałam błyszczkiem. Na wszelki wypadek oblałam się podróbka perfum Chanel. Cholera, a włosy? Długie do ramion, rude i kręcone. Za bardzo seksowne jak na owdowiała pólanalfabetkę. Ujarzmiałam je dobre pół godziny, zanim w końcu pozwoliły się łaskawie zwinąć w kok. Figlarne loczki nad czołem nijak nie chciały się przyklepać. Trudno. W końcu czy woźna musi być maskarą?

Kompletnie załamałam się przy kieckach. Albo zbyt krótka, albo do kostek. Albo zbyt dopasowana do figury, albo falbaniasta. Żadna się nie nadawała. Pozostał jeszcze kostium, który zakładałam, wybierając się na premiery lub wernisaże. Składał się z wąskiej spódnicy w kolorze zgniłej zieleni, bardzo przyzwoitej spódnicy, bez żadnego rozpiardaka, przykrywającej skromnie kolana. Do tego luźna marynarka w tym samym kolorze oraz jedwabna bluzka. Cholera. Woźna w kostiumie za trzy patole? To mój mąż tak się wysilił, zaciągnął do galerii handlowej, wtłoczył mnie w powyższy kostium, ponieważ, skarbie, ubierasz się zbyt frywolnie. Nie wypada, aby moja żona świeciła gołymi kolanami na uroczystych premierach. Trudno. Uległam. Ale w tym nobliwym kostiumie czułam się jak przebieraniec. Znajomi mnie nie poznawali. Matko Boska, Kaśka, to ty? — wykrzykiwali, przyglądając się w osłupieniu mojej niezwykle nobliwej postaci.

I co ja na siebie wcisnę, żeby się uwiarygodnić jako pani woźna?

A tu czas uciekał bezlitośnie. Z mego mieszkania na ulicę Warszawską 15, cholera, dobre osiem kilometrów. Trudno. Kiecek nie założę. Natomiast nobliwy kostium co nieco wymnę, żeby stracił swoją nobliwość. Troszeczkę naderwę

kieszon przy marynarce. Kilka tłustych plamek na marynarce oraz na spódnicy wykonanych palcem maczanym w oleju rzepakowym zaświadczy, że donoszę ofiarowaną mi litościwie używaną odzież. Zamiast bluzki z jedwabiu założę beżowy podkoszulek w którym sprzątam chałupę. Dobra. Teraz kapcie. Na Boga! Wszystkie prosto z galerii handlowej! Na niebotycznych szpilkach! Uwielbiający moje nogi mąż nie oszczędził kasy na drogie obuwie. Ja też miałam do niego słabość. Zgadzałam się z mężem, że moje nogi wymagają — jak szlachetny brylant — odpowiedniej oprawy. Z rozpaczą przyglądałam się włoskim, francuskim, z cielejącej skórki, cudownie wymodelowanym pantoflom, na jakie nawet Miss World Woźnych nie byłoby stać. Do wyboru pozostały albo tak zwane „leśne” adidas, albo jesienne kozaczki, kiedyś istne cudo, a teraz z powodu gania do Elki piechotą wykoślawione, z cholewkami zwiniętymi w harmonijkę. Dobra, niech będą. Pasują do wizerunku ubogiej woźnej. No, a jesionka? Jesionka z wciąż modnego zakardu, wcięta w tali, spływająca miękko ku dołowi, którą zakładałam wyłącznie do robionych na miarę, obciskających łydki, wysokich do kolan butów. Bo ta druga, z moheru, zgnięta miniowa w grę nie wchodzi. Istna katastrofa! Garderoba pełna ciuchów, a ja po raz pierwszy w życiu nie mam się w co odziać!

Nagle rozdzwoniła się komórka. Wyświetliło się imię Elki.

— Kaśka, na litość boska, tylko nie wkładaj swego zakardowego płaszcza — zajęczała Elka.

— Sama o tym wiem, wredna przyjaciółko. Musiałaś naściemniać tej babie, że ja niegramotna, niepisata, nieczytata?

— Kaśka, wybac. Po pięciu klasach podstawówki też można okazać się geniuszem.

— Nie podlizuj się. W moim wieku po pięciu klasach podstawówki człowiek staje się wtórnym analfabetą.

— Oj, nie przesadzaj. Nikt ci nie każe mówić „jezdem”, „wyszedłam” czy „poszedłam”. Mogłaś mieć szóstkę z polskiego.

— Elka, kiedy chodziłyśmy do podstawówki, były jeszcze normalne stopnie. Żadnych szóstek ani pałek.

— Niby tak... — westchnęła ciężko. — Ale nawet jakbyś skończyła podstawówkę...

— Elka, przecież skończyłam podstawówkę! Z wyróżnieniem. Zapomniałaś?

— Z wyróżnieniem czy bez, nieważne. Dzwonię, by ci powiedzieć, że mnie skompromitujesz, jeśli wskoczysz w zakard. Nawtykałam Ilonie, ile się dało, o twoim ubóstwie. Prawie cię uśmierciłam na chorobę głodową. A tu pojawisz się przed nią w zakardzie i włoskich kapciach za osiemset zet!

— Dobra, Elka. Pojawię się w zdartych kozakach i płaszczu przeciwdeszczowym.

— Na litość boską, Kaśka! Uzna cię za wariatkę! Słońce świeci, a ty w kozakach i gumoleum!

— Ewentualnie udam się na rozmowę kwalifikacyjną w bawełnianej koszuli nocnej! — wrzasnęłam i wyłączyłam komórkę. Sama mnie wrobiła we wtórny analfabetyzm, a teraz żąda rzeczy niemożliwych. Matko, piętnaście po ósmej! Trudno. Kozaki na nogi, kostium na ciało, a na to żakard.

W międzyczasie szlag trafił mój z takim trudem zwinięty kok. Trudno. Woźna też kobieta. Ma chyba prawo do posiadania ładnych włosów. Najwyżej córka rybaka z Mazur każe mi je zgolić.

Wybiegłam z bloku. Nawet gdybym miała złoty medal olimpijski w biegach długodystansowych, nie zdążyłabym na Warszawską. Za daleko. Tramwaj z tych samych powodów odpada. Uruchomiłam złom. Na skrzyżowaniu z Warszawską coś w złomie chrobotnęło. W lusterku wstecznym zobaczyłam resztki tłumika na jezdni. Złom posuwał, co prawda, dzielnie naprzód, ale jak huczał! Matko, huczał niczym odrzutowiec podchodzący do lądowania! Tylko tego brakowało, by zatrzymała mnie policja. Boże drogi, miej mnie w opiece i pozwól dojechać do parkingu przy Tesco. I tak nie zamierzałam złomem zajechać pod szkołę. Złom, nie złom, jednak samochód. Panie woźne nie jeżdżą raczej samochodami. Zasuważ piechotką.

Matko, znowu będę grzebać na szrocie. Z właścicielem, panem Gienkiem, zdążyłam się zaprzyjaźnić. Jestem jego dobrą, stałą klientką. Co chwilę potrzebuję innej części do złomu. „Pani, mówi z litością pan Gienek, dobrze zapłacę. Sprzedaj mi, pani, ten złom na części, będziesz miała, pani, spokój”.

Aha, sprzedaj, a czym będę jeździć do babci Poli? Szymek pakuje plecak już w piątek popołudniu. Mówi: „Tata to zawiózłby mnie do babci zaraz po szkole”. Synu, ależ ty masz wybiórczą pamięć! Twój cholerny tatuś ani razu nie pojechał z nami na wieś. Gdy wracaliśmy po weekendzie od babci, odsuwał się od nas z komentarzem: „Szybko pod prysznic. Bo mi całe mieszkanie prześmierdnie wsią”.

Zaparkowałam przy Tesco. Boże, za dziesięć dziewiąta! I czemu, do cholery, wszyscy się za mną oglądają? Znowu nie jest ze mnie żaden cud, jakby zaśpiewał Grechuta. Trudno. Widocznie jestem cudem. Ósmym cudem świata. Mogę być i dziewiątym, co mi tam!

Nagle zawadziłam obcasem o krzywą płytę chodnika. Przeszorowałam dobre dwa metry na brzuchu. Przód mego żakardowego płaszcza był w strzępach. Obcas jak tłumik — urwany. Pies drapał żakard i obcas, ponieważ właśnie dostrzegłam bramę szkoły. Pięć minut do rozmowy kwalifikacyjnej. Zdażę.

Budynek szkoły był trzypiętrowy, z wielkimi oknami, które, według mnie, dawno nie zetknęły się z żadnym środkiem czystości. Schody prowadzące do głównego wejścia ubabrane zaschłym błotem. Samo wejście, wysoka na dobre dwa metry szklana tafla ujęta w ramy, mogłoby chyba posłużyć technikowi layminalistycznemu do zdjęcia przynajmniej setki wyraźnych odcisków palców. Znowu okazałe schody, tym razem pełne śladów najprzeróżniejszych butów, zaprowadziły mnie do olbrzymiego holu wyłożonego terakotą o bliżej nieokreślonym kolorze. Z holu kolejne schody wiodące do ogromnej sali pełnej egzotycznych roślin i kwiatów. Palmy pod sufit, fikusy, bananowce, difenbachie, paprocie kołyszące się w spuszczonej z sufitu koscie. Z piętnaście gatunków begonii. Na podłodze ustawione skrzynki ze smętnymi, na wpół zgniłymi fiołkami alpejskimi. Taka mini-palmiarnia. Wnosząc po wyglądzie roślin — tuż przed ostatecznym zdechnięciem.

Nie będę miała tu łatwo. O nie.

W szkole trwały lekcje, co uznałam za dobry dla mnie omen. Kuśtykając, wybrałam korytarz z holu na prawo. Bingo! Na pierwszych drzwiach tabliczka: SEKRETARIAT. Zapukałam. Weszłam.

Za biurkiem siedziała młoda, ładna dziewczyna. Grało radio. Z najlepszą muzyką, RMF FM. Edyta Górniak śpiewała, że nie jest Ewą.

— Dzień dobry — odezwałam się drżącym głosem. — Ja do pani dyrektor...

Sekretarka przyciszyła Górniak. Jej wzrok długo wędrował po moim ubraniu. Chyba szczególnie zainteresowały ją strzępki zakardowego płaszcza. No, trzeba przyznać: były widowiskowe. Kozak bez obcasa również.

Chrząknęłam. Uznałam, że już wystarczająco długo mnie podziwiała.

— Jestem umówiona na godzinę dziewiątą z panią dyrektor — zauważyłam skromnie.

— Niech czeka — powiedziała sekretarka i zajęła się opiłowywaniem paznokci.

Już zamierzałam tę młodą osobę pouczyć, że nawet kandydatka na woźną jest człowiekiem, któremu taka smarkula winna okazać szacunek, zaś zwracanie się do kogokolwiek w osobie trzeciej świadczy dobitnie o braku kultury, lecz w porę ugryzłam się w język. Trudno. Podobno po komunie naród doczekał się upragnionej demokracji. Widocznie ta demokracja nie dotyczyła woźnych. Zwłaszcza w sekretariacie Szkoły Podstawowej nr 50. Matko kochana, ale tu napaskudzone! Wszędzie, a najbardziej wokół biurka BARDZO WAŻNEJ SEKRETARKI, wały się pomięte w kulki opakowania po chipsach, herbatnikach i batonach czekoladowych. Kosz na śmieci wydzieliał intensywną woń zgniłych jabłek. Spleśniałe ogryzki, tudzież skórki po pomarańczach,

tworzące efektowne zwieńczenie kosza, pozwoliły mi przypuszczać, iż BARDZO WAŻNA SEKRETARKA produkuje w nim marmoladę wieloowocowa. Widocznie rączek nie posiada. Sama nie potrafi zamieść podłogi i opróżnić kosza?

— Co tak stoi? Ogłuchła? Może wejść.

— Dziękuję uprzejmie — uśmiechnęłam się słodko, wywołując u sekretarki stan nazywany przez psychiatrów osłupieniem. Woźna, która zna słowo „uprzejmie”? Połączone z „dziękuję”? Trudno, panienko. Niech ja tylko dostanę etat. Przekonasz się na własnej skórze, że od woźnej można nauczyć się wiele. Na przykład podstaw kulturalnego zachowania.

W dużym gabinecie dyrektorki największym meblem było biurko. I słusznie. Biurko takich rozmiarów świadczyło niechybnie o autorytecie siedzącej za nim osoby. Musiało wzbudzać respekt.

— Dzień dobry, pani dyrektor. Przepraszam za mój wygląd. Zazwyczaj nie noszę podartych płaszczy. Ani kozaków bez obcasów. Biegając, wywróciłam się dość niefortunnie na ulicy.

Dyrektorka o słodkim — jak śpiewa Rudi Szubert — imieniu Ilona zmierzyła mnie glazurem swoich oczu ze srogością sędziego mającego odczytać wyrok skazańcowi. Ładną, zbyt mocno wytapetowaną twarz szpeciła wąska, krwistoczerwona krecha warg. Włosy rude do ramion, z widocznymi odrostami, skręcone niczym futro baranka. Cholera, ja też miałam rude afro na łbie, tyle że naturalne.

Nie była uprzejma odpowiedzieć na moje „dzień dobry”. Mimo pustego krzesła przysuniętego do jej biurka, nie zaproponowała, bym usiadła. Trudno. Jest już za stara, aby ją uczyć manier. Zresztą, najwyraźniej reprezentowałam sobą taki podgatunek rodzaju ludzkiego.

— Dyrektor Elżbieta Popielska poleciła panią. — Na wyraz „panią” położyła szczególny nacisk. Jakby wyświadczała mi wyjątkową łaskę. Jeszcze moment a wyciągnie swoją dłoń do ucałowania.

Nie wyciągnęła. Za to na jej twarzy pojawił wyraz niesmaku. A na biurku kartka oraz długopis.

— Nazwisko i imię?

— Katarzyna Malicka — odpowiedziałam, zastanawiając się, czy nie powinnam dodać: „do usług, pani dyrektor”?

— Dlaczego skończyła pani zaledwie pięć klas szkoły podstawowej? Nasze państwo obligatoryjnie wymaga wykształcenia podstawowego.

— Sorry, pani dyrektor — wymknęło mi się, więc natychmiast dostałam napadu kaszlu.

— Sorry? Zna pani język angielski?

— Niby skąd, pani dyrektor? Mój syn często wtrąca to słówko. Podobno znaczy „przepraszam”.

— Wiem, co oznacza to słowo — warknęła. — Nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie. Wolałabym, aby moje woźne nie były kompletnymi analfaberkami.

— Umiem czytać i pisać — zapewniłam gorliwie.

— Naprawdę? — zdziwienie dyrektorki o słodkim imieniu Ilona było pogardliwe. — Zresztą, mniejsza z tym. Znam się na was. Zaraz usłyszałabym jakąś ckliwą, kłamliwą historyjkę o rodzicach alkoholikach...

Jej dalszy wywód przerwał dźwięk telefonu. Sięgnęła po słuchawkę. Miała ładną, wypielegnowaną dłoń. Dłoń, która nigdy nie pohańbiła się pracą fizyczną.

— Proszę wyjść — oświadczyła. — Mam ważną rozmowę. Wyszłam. Sekretarka uśmiechnęła się zjadliwie.

— Od razu wiedziałam, że jej nie zatrudni.

— Zatrudni. Kazała poczekać. Ma rozmowę telefoniczną.

— Ach tak? Ciekawe. Musi mieć dobre poparcie — ciągnęła sekretarka. — Niech czeka. Ale nie tu. Na korytarzu. Wezwę ją, gdy tylko pani dyrektor sobie tego zażyczy.

— Thank you very much — Nie zdzierżyłam tego dłużej. Woźna nie woźna, niech pannica otrzyma pierwszą lekcję. Pannica wybałuszyła oczy.

— Co proszę?

— Odpowiedź znajdzie pani w rozmówkach polsko-angielskich — odpowiedziałam i wyszłam, jak mi kazano, podpierać ścianę na korytarzu. Żałowałam bardzo, że nie mogę ujrzyć kolejnego stanu osłupienia sekretarki. Bo niewątpliwie w takowy stan zapadła.

Podpierałam ścianę godzinę. Od czasu do czasu pojawiały się nauczycielki. Same babki. Faceta ani na lekarstwo. Od dawna mówi się, że polskie szkolnictwo zdominował rodzaj żeński. Więc tutejszy pedagogiczny rodzaj żeński spozierał na mnie spod rzęs z ciekawością. Taksował mój strzępiasty żakard. Braku obcasa przy kozaku nie dostrzegął, ponieważ taktownie schowałam nogę za nogę. Za to wyraźnie interesował się moją twarzą. Oraz włosami. Rozumiem: chłop żywemu nie przepuści, a co dopiero baba babie... Trudno, moje panie. Sorry, sorry. Nic nie poradzę, że moja twarz jest taka, jaka jest. Że wyróżniają ją duże, piwne oczy. Długie rzęsy. Że jestem wyjątkowo szczupła. Że próżno dopatrujecie się odrostów w moich rudych, od urodzenia skręconych w afro włosach. No i że nie wyglądam na troglodytę. Sorry, sorry. Mogę wam jeszcze zademonstrować swoje zęby. Są domyte, białe, równe. Uśmiech, please? Ależ ofcourse.

Zademonstrowałam kilka uśmiechów, czym wzbudziłam w pedagogicznym rodzaju żeńskim coś na kształt popłochu. Pedagogiczny rodzaj żeński wzruszał



ramionami, po czym udawał się do pokoju nauczycielskiego. Po dzwonku na lekcję omijał mnie szerokim łukiem.

Podpierałam wciąż ścianę. Minęła druga godzina lekcyjna i nic. Czułam, jak zaczynam wpuszczać korzenie w brudne linoleum. Zastanawiałam się, kiedy obrosnę listowiem. Trudno. Będę wrastała, ile trzeba. Nawet gdyby jakieś zabłąkane ptaszęta uwiły sobie gniazdko na mojej głowie i rozpoczęły wysiadywanie piskląt.

Pani dyrektor była łaskawa wezwać mnie o godzinie trzynastej. Nie powiedziała przepraszam. Nic w tym rodzaju. Powiedziała:

— Tylko ze względu na przyjaźń z dyrektorem Elżbietą Popielską przyjmuję panią na trzymiesięczny okres próbny. Od jutra. Będzie pani pracować na pierwszej zmianie. Od godziny szóstej rano do czternastej. Pozwalam pani na wieszanie płaszcza w sekretariacie. Inne woźne mają na piętrach swoje pomieszczenia socjalne. Na parterze takiego brak. Wynagrodzenie według tabeli. Z obowiązkami zapozna panią konserwator. Poczekaj pani na niego na korytarzu.

Trudno. Z ewentualną zaliczką już się dawno pożegnałam. Rudi Szubert się pomylił. Imię Ilona parzy jak pokrzywa, kłuje jak oset, pozostawia po sobie jak piołun ohydny gorycz. Ta pani powinna mieć na imię Kunegunda. Albo Mścisława. Albo Hermenegilda. Na Ilonę nie zasługuje.

— Pani wybaczy, pani dyrektor, że ośmielę się zadać pytanie. Ile wyniesie moja pensja?

— Z tym proszę się zwrócić do księgowej. Nie interesuję się pensjami swoich woźnych. Interesuję się natomiast jakością ich pracy. Ostrzegam, że pani pracy przyjrę się z wyjątkową uwagą. Niech pani nie będzie bezczelna. Zupełnie nie pojmuję, skąd u pani dyrektora Popielskiej takie zaufanie. Mego pani nie wzbudziła. Aha, jeszcze jedno: proszę COŚ zrobić z włosami. W ogóle to dziwne: na trwałą i farbę pani wystarcza, a podobno bieda aż piszczy.

— Pozwolę sobie wyjaśnić, że to moje naturalne włosy.

— Naturalne czy nie, moja woźna ma wyglądać przyzwoicie i skromnie. To wszystko. Pozwalam pani odejść.

Jezu, pozwala. Pozwala mi odejść. Dostałam zaszczytu pozwolenia.

— Dziękuję uprzejmie — odpowiedziałam. Kuśtykając na prawą nogę, tę w kozaku bez obcasa, wyszłam z gabinetu dyrektorki. Naprawdę zaczyna mi się tu podobać! Niekiepski temat na reportaż! Może nawet na książkę! Napiszę bestseller pod tytułem Kunegunda i jej poddani.

W sekretariacie panienka rozmawiała ze szpakowatym mężczyzną około pięćdziesiątki. Uśmiechnął się do mnie. Niesłychane! W posiadłości rodowej

Kunegundy ktoś się do mnie nie wykrzywił, lecz uśmiechnął jak do człowieka! Rozczuliłam się wprost do łez.

— Spadła nam pani jak z nieba — odezwał się przyjaznym tonem. — Jestem tu konserwatorem. Nazywam się Daniel Walicki. Proszę ze mną. Wprowadzę panią w zakres obowiązków.

Wyszliśmy na korytarz. Konserwator utykał, jakby miał jedną nogę krótszą od drugiej. Rozejrzał się na boki, po czym ściszej głoś, powiedział:

— Niech się pani niczym nie przejmuję i stara się unikać naszej pani dyrektor. Sprzątanie proszę zaczynać od jej gabinetu. Wiem, co to znaczy bieda. Przycisnęło panią, prawda? Jakoś nie bardzo mi pani wygląda na osobę, która kiedykolwiek pracowała fizycznie.

Aha, wtyczka Kunegundy. Nic ze mnie, facet, nie wyciągniesz.

— Głównie pracowałam jako opiekunka do dzieci, proszę pana. Ale byłabym panu wdzięczna za informację, ile wyniesie moja pensja w okresie próbnym.

— Pani dyrektor mówiła o okresie próbnym? Księgowa już przygotowała umowę o pracę na czas nieokreślony... Tu, na dole, pod bezpośrednim okiem naszej pani dyrektor, żadna pani do sprzątania nie wytrzyma dłużej niż dwa tygodnie. Ewentualne kandydatki rezygnują przeważnie natychmiast po rozmowie kwalifikacyjnej z panią dyrektor. Od ponad dwóch miesięcy nikt nie sprząta parteru. A panie z pięter mają swoje rewiry. Nie rozdwoją się. Pensja jest skromna. Osiemset złotych brutto. Jednak dochodzą comiesięczne premie. W pani przypadku księgowa mówiła, że da nawet sto procent premii przez dwa miesiące. Wcześniej nie uda się parteru odczyścić. Istna stajnia Augiasza.

Pan konserwator u Elki znał się na hydraulice, elektryce, kładzeniu glazury, przybijaniu gwoździ, lecz z pewnością nie wiedział, co to takiego ta stajnia Augiasza.

Ten Walicki miał inteligentną twarz, smutne oczy i znał mitologię. Ciekawe. Może i jego bieda przycisnęła, dlatego pracuje u Kunegundy?

## Rozdział dziesiąty

Wracalam do domu radosna jak szczygielek, mimo Kunegundy, pedagogicznego rodzaju zeńskiego, pannicy z sekretariatu i urwanego tłumika. Pan Walicki zaprowadzil mnie do pani księgowej. Pani księgowa, Czesława Marzec, od razu podsunęła mi do podpisania umowę na czas nieokreślony. Podpisałam, chociaż naprawdę traktowałam bycie panią woźną jako zło tymczasowe, wierząc, że wrócę kiedyś do swego właściwego zawodu. Pani Czesia, nawet nie pytając, zaksięgowala zaliczkę a konto przyszłej pensji. Na całe dwie stowy. O matko! Rozbeczałam się.

— Pani Kasiu, ja też wiem, jak się człowiek czuje, kiedy mu się nagle zawala świat. Patrząc na panią, od razu pomyślałam, że pani świat się zawalił. Teraz będzie się pani musiała odnaleźć w nowym miejscu. A lam osiemnastoletnią córkę, znam się na cenach. Podarła pani specjalnie swój zakardowy płaszcz za dwa tysiące, co? Wyciągnęła z piwnicy kozaki, przeznaczone do wyrzucenia na śmietnik? Tylko z tym obcasem lekko pani przesadziła — mówiła pani Czesia, wycierając mi chusteczką policzki. — Nie będzie pani u nas łatwo. Za blisko pani dyrektor. Jakby pani za bardzo dokuczyła, proszę przyjść do mnie.

Więc jak się nie radować? Skoro już spotkałam dwie życzliwe dusze, nie będzie tak źle. Nie ma potrzeby martwić się na zapas. Najważniejsze, że mam pracę. Widmo głodu znikło z horyzontu.

Zostawiłam złom u pana Gienka. Powiedział, że do piątku zreperuje samochód. Akurat klient wymieniał u niego tłumik. Zespawam dziury, jeszcze na nim pani pojeździ, pani Kasiu, tłumik gratis, a robocizna na koszt firmy, powiedział. Zaprotekowałam dumnie. Mając w kieszeni całe dwie stowy, czułam się jak milionerka. A od kogo mam grzybki suszone, he? A grzybki marynowane, he? Cicho mi być! Słuchać starszego wiekiem! Okazywać mu szacunek! Jeszcze panią do domu odwiozę, przecież nie będzie pani dreptać na jednym obcasie i w podartym płaszczu?

Więc jak się nie cieszyć? Wyjątkowy dzień. Dwie stowy, istny majątek w kieszeni. Pani Czesiu, wybawicielko ty moja. Jutro przytargam ci trzy słoiki marynowanych borowików. Marynuję grzyby, chociaż ani ja, ani Szymek nie przepadamy za marynowanymi. Potem rozdaję. Redakcje sporządzały listy społeczne z zapisami na moje grzybki. Ach, jak oni, moje koleżanki oraz koledzy redakcyjni, mnie wówczas kochali!

Wredne typy. Najpierw kochali, potem opluli. Ej, Katarzyno, zapomnij o nich. Po co sobie psuć nastrój udanego dnia?

Na obiad ugotowałam oszczędnościową zupę pomidorową z „papierka”. Na drugie danie zaserwuję synowi kartofle od babci Poli z sosem grzybowym. Dwie stówy to majątek, lecz trzeba nim rozsądnie gospodarować, żeby starczył do końca miesiąca i pierwszej wypłaty. Cholera, pierwszego również nie otrzymam kokosów. Zaczynam pracę od dziesiątego września. Następnej zaliczki od pani Czesi nie wezmę, ponieważ kolejnego pierwszego cała pensja poszłaby na jej zwrot. Zasiłek, który dotąd otrzymywałam jako bezrobotna przepada, bo już jestem robotna.

Wynika nieubłaganie, jak dwa razy dwa jest cztery, że nadal wsuwać muszę chleb bez Delmy. Trudno! Ty durna defetystko — oznajmiłam, wyrzucając do zsypu kozaki tudzież żakard — zaraz wpadniesz w ponury nastrój. Carpe diem, jak mawiał Horacy. Chwytaj dzień. Jest udany. Zapowiadający lepszą przyszłość. Przynajmniej dla twego syna. Dla Szymka twoja pensja starczy na bułkę z szyneczka, pomidorka, jogurt oraz jabłka. I na benzynę do Korablewa. A ty, wredna egoistko, myślisz wyłącznie o sobie. Że ten chlebek bez margaryny. Skup się na potrzebach swego syna. Na jego problemach. Ma ich wiele. Najważniejszy, bolesny problem: tata. Syn nie oddał ci albumu. Wciąż zadaje sobie trudne pytania. Wczoraj ani razu nie wspomniał o tacie. Co nie znaczy, że o nim, tak jakbyś sobie tego życzyła, zapomniał. Zaraz wróci ze szkoły. I nie łudź się, kochana, że padnie ci w ramiona z okrzykiem: „Mamełek, kocham cię”. On po tej albumowej dawce, co powinnaś wiedzieć z psychologii, wejdzie w stan zwielokrotnionego buntu. Przygotuj się na to, szanowna pani woźna. No i o tej woźnej musisz mu powiedzieć.

Szymek nie odezwał się do mnie ani słowem. Zjadł obiad, lecz z kuchni nie wychodził. Szykował się do ataku. Trudno. Mówiąc prawdę, bałam się tego, co miało nastąpić. Carpe diem? A co tu chwytać poeto rzymski? Nie chcę go chwytać. Chcę go mieć za sobą. Ten i wszystkie następne. Dopóki mój syn nie przestanie patrzeć na mnie jak na wroga.

— Oczywiście wczoraj nie byłaś chora. Ciotka Elka łągała jak najęta. Uchlałaś się niczym świnia — zaatakował Szymek.

— Oczywiście, schlałam się jak świnia. Ciocia Ela nakłamała, lecz w trosce o mnie. Zadowolony? Sądziłeś, synu, że zaprzeczę?

— Nie mów do mnie synu! — wrzasnął.

— A jak?

— Nijak! Nienawidzę cię.

— Powtarzasz się — Jezu, jak trudno zachować obojętność, kiedy twój syna nazywa cię świnia. — Stajesz się nudny. Powiedz lepiej w końcu, o co ci chodzi?

— O ten album. Oczywiście został przez ciebie odpowiednio spreparowany. Podstępnie i obrzydliwie.

— Skoro tak twierdzisz, chłopcze...

— Nie mów do mnie chłopcze! — wrzasnął znowu.

— Okej, szanowny panie.

— Bardzo śmieszne. Idiotka.

Trudno. Idiotkę również przełknę. Nie sprowokujesz mnie, synu.

— Będę ci wielce zobowiązana, jeśli mi uprzejmie wyjaśnisz, na jakiej podstawie uważasz, że album jest spreparowany podstępnie oraz obrzydliwie.

— Jeszcze masz czelność się pytać?

— Oskarżasz mnie o matactwo. Każdemu oskarżonemu przysługuje prawo do obrony. Choćby do wysłuchania aktu oskarżenia. Ty wyłącznie skupiasz się na inwektywach. Doprawdy, nie mam pojęcia, dlaczego tu wciąż siedzę, wysłuchując porykiwań jedenastoletniego gówniarza.

— Dobra. Powiem. Spreparowałaś album, chcąc dowieść, że taty nigdy nie obchodziłem! Ze mnie nie kochał! Ze to niby ty, taka cholernie dobra matka, dbałaś o mnie! Idiotka! Ja wszystko pamiętam! To tata zawsze miał dla mnie czas, podczas gdy ty albo łąziłaś do redakcji, albo pisałaś, albo chichrałaś się jak ostatnia idiotka z drugą idiotką, ciotką Elką! Z tatą chodziłem do zoo, do kina, na lody, na pizzę i hamburgery. Pamiętam to, rozumiesz! Nawet do szkoły tata mnie odprowadzał. Tata był... — i memu synowi nagle zadrżała bródka. Jego kochana bródka. Trudno. Najwyraźniej zdjęcia w albumie dotknęły go do żywego. Zburzyły tak mozolnie, z taką miłością budowany obraz idealnego taty. Taty, który go nie chciał, przepędzał, nie pieścił, nie brał na kolana. Który mówił o nim „ten bachor”. Bachor ma swój pokój. Wykładał co miesiąc kasę na jego utrzymanie i zaspakajanie zachcianek niech siedzi w swoim pokoju. Gdy błagałam, żeby chociaż odrobinę starał się pokochać Szymka, odpowiadał: „Pokochać? Postawiłaś na swoim, więc go sobie kochaj. Uprzedzałem, że nie cierpię dzieci”.

— Nie chcę być z tobą. Chcę być z tatą. Napiszę, żeby po mnie przyjechał. Żądam jego adresu.

— Przykro mi. Nie mam adresu.

— Kłamiesz! Kłamiesz! — Szymek nie wytrzymał i rozplakał się. Szlochając, powtarzał, że żąda adresu, bo musi, musi koniecznie do swego taty... Jezu, synu, kocham cię tak bardzo, że dałabym ci ten adres, zawiozłabym nawet osobiście. Synku, nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

— Przykro mi — powtórzyłam. — Dam ci adres do Ambasady Polskiej w Londynie. Napisz tam. Mnie odpowiedzieli, że po długich poszukiwaniach nie znaleźli nikogo o takim nazwisku.

— Kłamiesz, kłamiesz... — płakał coraz ciszej, coraz beznadziejniej. Wiedział, biedak, że nie kłamię. Przeszukiwał moje notesy, moje szuflady. Znalazłam w szufladzie biurka list z ambasady przedarty na pół. Nie ja go przedarłam w akcie rozpaczy. Po tym liście agresja Szymka wzrosła. To chyba wówczas po raz pierwszy powiedział: „Nienawidzę cię, mamó”. A może wcześniej? Boże, tyle razy okazywał mi swoją nienawiść, że nawet dobrze nie pamiętam od kiedy?

— Trudno. Każdy z nas pozostanie przy swoim zdaniu. Poczekaj, zdążysz schować się w swoim pokoju przede mną, perfidną oszustką, obrzydliwą idiotką. Chciałam ci tylko powiedzieć, że dostałam pracę.

— Gównu mnie to obchodzi — wyszlochał. — Gównu.

— Przykro mi, gównu czy nie gównu, moja nowa praca również dotyczy ciebie. Mam do niej daleko. Nie liczę na nocne tramwaje, lubią się spóźniać. Będę wychodzić z domu o piątej rano. Śniadanie wstawię ci do mikrofalówki. Umiesz ją obsługiwać. Podgrzejesz i zjesz. Drugie śniadanie zostawię ci na stole. Czyste gatki, skarpetki, koszule, spodnie — w łazience. Klucze od mieszkania zawieszę na tasiemce. Zamkniesz dom, zawieszisz tasiemkę z kluczami na szyi, schowasz pod ubranie. Aha, obiad też ci przygotuję do odgrzania. Kończę pracę o czternastej. Pokonanie drogi z pracy do domu zajmie mi godzinę. Jakbyś miał z czymś kłopoty, zadzwoń na komórkę.

Mój syn spojrział z wrogim zaciekawieniem.

— Jeszcze nie słyszałem, żeby w redakcji ktoś zaczynał pracę o szóstej rano — oświadczył. — Chyba że jakaś tam sprzątaczką.

Zabolało mnie pogardliwe stwierdzenie o „jakiejś tam sprzątaczkę”.

— Właśnie nią będę.

— Co? Zwariowałaś? Ty? Sprzątaczką?

— Dokładniej woźną w szkole — wyjaśniłam. Syn spurpurowiał.

— Oczywiście, ściemniasz? Ściemniasz, żeby mnie upokorzyć?

— Upokorzyć?

— Moja matka woźną? Nie chcę takiej matki!

— Jednak jeść chcesz? Pić jogurty również? Pochłaniać po dwie pomarańcze dziennie? Chodzić przyzwoicie ubrany? Dostawać kieszonkowe? I na kino? Mieć opłaconą kartę do swojej komórki? Kupować płyty z najnowszymi hitami swoich ulubionych zespołów? Jak również płyty z nowymi filmami? Sądzisz, że kasa jak manna spadnie nam z nieba?

— Gdybyś nie wyrzuciła taty...

— Dość tego! — Bo rzeczywiście miałam dość. W tej chwili nawet swego syna. — Pisz szybko list do ambasady! Bez zmrużenia oka przekażę cię tacie. Z nim ci po drodze. Zadba o ciebie. A mnie wystarczy zasiłek bezrobotnej. Opłacę czynsz i starczy na chleb z margaryną, cholera! I tak go żrę od dwóch miesięcy! Więc tak! Spadaj do swego taty! Szukaj przez Interpol! Wszystko mi jedno jak, tylko niech wreszcie nie słyszę, jak bardzo mnie nienawidzisz!

— No i dobra! Napiszę! I to będzie najszczęśliwszy dzień w moim życiu, kiedy przestanę oglądać twoją wredną gębę! — wrzasnął Szymek, po czym wybuchnął głośnym płaczem i potrącając krzesło, wypadł z kuchni.

Boże, za co? Dlaczego?

Jak długo to wytrzymam?

## Rozdział jedenasty

Z obawy, że zaśpię i nie usłyszę budzika, przewracałam się z boku na bok bezsennie. Okazało się również, że posiadam ciągle spory zapas łez. Wypłakałam ich tej nocy wiele. Głupich i bezsensownych. Babciu Polu, szkoda, że nie możesz mnie przytulić. Babciu Polu, chyba się jednak spóźniłam. Mój syn dziś... Nie, tego się nawet nie da opowiedzieć, babciu Polu, jakimi słowami wyzywał mnie Szymek.

Czy może być coś bardziej okrutnego dla matki, która wie, że za ścianą śpi jej syn, który ja nienawidzi?

Wstałam o czwartej. Wzięłam prysznic. Umyłam zęby. Wyprasowałam Szymkowi koszulkę. Wyczyściłam jego buty. W międzyczasie zapiekłam kartofle z ostatnim kotлетem mielonym. Na obiad, dla Szymka. Pomidory umyłam. Cebulę obrałam. Napisałam na kartce:

Cebula i pomidory na sałatkę. Uważaj, nóż jest bardzo ostry. Jakbyś się skaleczył, w apteczce znajdziesz wodę utlenioną. Przemyj nią skaleczenie. Zaklej plastrem z opatrunkiem (plastry leżą na półce, obok pudełka z termometrem).

Po namyśle, na wszelki wypadek, wodę utlenioną oraz plastry zabrałam z apteczki, położyłam przy pomidorach i cebuli. Potem doszłam do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli sama ją posiekam. Posiekałam. Ugotowałam na mleku kaszę manną, ubiłam wraz z jajkiem trzepaczką. Szymek przepadał za tak przyrządzoną kaszą, nazywał ją „kremikiem”. Nie było bułek. Trudno. Na drugie śniadanie zrobię mu kanapki posmarowane dżemem. Szymek nie przepada za dżemem. Trudno. Najwyżej nie zje.

Klucze na żółtej tasiemce ułożyłam przy talerzu z kaszą.

Przemogłam nieprzepartą wręcz ochotę, aby wejść do pokoju syna i wykorzystując jego mocny, zdrowy sen nastolatka, ucałować lekko spocone policzki. Trudno nie ucałuję. Założyłam włoskie szpilki. Na kostium narzuciłam zamszową marynarę. Włosów nie związałam. Wyszłam z domu w noc.

Całą drogę rozmyślałam o Szymku. Nie tyle o jego wczorajszym napadzie buntu i złych słowach skierowanych pod moim adresem, ile o tym, że mój syn po raz pierwszy w swoim jedenastoletnim życiu obudzi się sam, wśród ciszy czteropokojowego mieszkania. Zawsze budząc się, słyszał moją poranną krzątanię. Napominania w rodzaju: „Szymuś, pamiętaj o ząbkach! Szymuś, na koszu z bielizną położyłam ci świeże gatki i skarpetki. Szymuś, pospiesz się, twój kremik ci ostygnie!”. Szymuś to, Szymuś tamto. Więc teraz targał mną niepokój o Szymka. A jeśli zaśpi? Pogna do szkoły bez śniadania? Jak dobrze, że posiekałam mu cebulę! Boże, moje dziecko z kluczem na szyi! I co ja sobie wyobrażałam: że



syn będzie dumny z matki woźnej? Na dodatek uniosłam się, dałam mu do zrozumienia, że mi na nim nic a nic nie zależy! Spadaj do swego fary! Naprawdę jestem wyrodna matka. Wredną matką z wredną gębą! Dobrze to, Szymuś, ująłeś. Na twoim miejscu też nie cierpiałabym takiej matki! Co złego jest w tym, że chłopak tęskni za tatą? Dlaczego chcę zepsuć mu wizerunek taty, jaki utrwalił w swojej pamięci? Bo okazuje mi niechęć? Nienawiść? Trzeba było, głupia krowo, nie drzeć mordy, gdy twój mąż oznajmił, że znalazł sobie dzianą restauratorkę z Leeds! Darłaś się wtedy wniebogłosy, a twój ośmioletni syn zrozumiał tylko tyle, że wywalasz jego tatę na zbity pysk! Czujesz się nieszczęśliwa, bo teraz twój syn cię odtrąca? Ech, ty myśląca wyłącznie o sobie super-egoistko! I naczelnego też nie musiałaś upokarzać. Byłabyś kierownikiem działu z porządną pensją, nie musiałabyś sięgać po miotłę! Wszystko, co potrafisz, to wykrzykiwać te swoje durne trudno!

Do zapaćkanych drzwi szkoły zadzwoniłam za piętnaście szósta.

Nocny stróż podszedł do drzwi. — Pani o tej porze do kogo?

Był starym człowiekiem o sympatycznej, zrytej zmarszczkami twarzy. Kiedy mu powiedziałam, że jestem nową woźną, postukał się w czoło. W swoje czoło. Od mego dzieliły go niemyte od dwóch miesięcy szyby w drzwiach.

— Na pijana nie wygląda. Ale na woźną? Tym bardziej — oznajmił.

— Panie, wpuść mnie pan! Zimno. A sam pan widzi, jaki tu wszędzie syf. Nie mam pojęcia, od czego zacząć robotę.

Wpuścił. Podrapał się po zarośniętej brodzie.

— Może i woźna. Pan Daniel uprzedzał, żeby niczemu się nie dziwić. Jednak trudno się nie dziwić — drapał się i drapał. Ala wszy czy co? Ale takiego z wszami Kunegunda by nie zatrudniła. Kunegunda na włościach. Kunegunda wspaniała.

— Pan Daniel zostawił list. Co ma robić i w ogóle. Od siebie powiem, że szkołę od frontu trza otwierać dopiero o wpół do ósmej. Pokażę drugie wejście, gdzie trza otworzyć dzieciakom drzwi do szatni o siódmej. Nie wolno ich wpuszczać tuta. Tuta same nauczyciele. Dzieciaki tuta wredne. Nauczyciele też wredne.

Pokazał, które drzwi mam otworzyć uczniom. Dał kopertę z moim nazwiskiem.

— Szczęść Boże — powiedział, odchodząc. Otworzyłam kopertę. Wyjęłam gęsto zapisaną starannym, równym pismem kartkę. Pani Katarzyno,

Tak się Pani ucieszyła wczoraj z tej zaliczki, że nie śmiałem tej radości zakłócać.

Wszystkie środki czystości są w toalecie nauczycielskiej. Niech Pani dziś się skupi wyłącznie na sprzątnięciu gabinetu pani dyrektor i sekretariatu. To i tak

będzie wyczyn. Proszę jednak nie sądzić, że pani dyrektor lub nasza Miss, czyli sekretarka Grażynka, podziękują. Proszę bardzo na obie te panie uważać. Znajdzie się Pani, nawiasem mówiąc, pod obstrzałem wszystkich. Już się tak stało. Być może uda się Pani znaleźć kontakt z innymi paniami woźnymi. Są to miłe, proste kobiety. Każda z nich nosi na plecach garb własnych problemów. One Panią rozumieją, mimo całej Pani inności. Miały i mają ciężkie życie. Tb jest w ogóle specyficzna szkoła. Osiemdziesiąt procent uczniów wywodzi się z rodzin patologicznych. Biedne, biedne dzieciaki.

Życzę Pani udanego dnia.

Daniel Walicki

PS. Pozwoliłem sobie zostawić fartuch, dwie pary długich gumowanych rękawiczek oraz damskie klapki. Daję słowo honoru, nieużywane. Obawiam się, że Pani pojawi się w pantoflach na wysokich obcasach.

Więc nie jest wtyczka Kunegundy. I z pewnością nie jest zwykłym facetem od brudnych robót. Ani jednego błędu ortograficznego. Interpunkcja na medal. Kim pan jest, Danielu Walicki?

Na pewno świetnym obserwatorem... I, co mnie nagle ucieszyło, jakby był zainteresowany moją osobą.

— Zupełnie zdumiałaś, Kaśka! — upomniałam się w myślach. — Za stary dla ciebie. Owszem, jest ci życzliwy i to by było na tyle. Do miotły, pani magister.

W kacie sekretariatu stał trójkątny wieszak oraz szafa na wysoki kiedyś, obecnie zmatowiały od kurzu, połysk. Stojący wieszak zignorowałam. Zamszową kurtkę powiesiłam w szafie. Zastanawiałam się, co począć z włoskimi szpilkami? Związać sznurkiem i nosić na szyi w charakterze ozdoby? Trudno. Z nimi też do szafy! I lewą marsz, do nauczycielskiej toalety, w której znajdę środki czystości tudzież fartuch i klapki do sprzątnia. Chyba opatrność mi pana Walickiego zesłała! Woźna z miotłą we włoskich szpilkach i długiej spódnicy z rozpiędlern do pół uda! W życiu Romana nie pomyślałabym o fartuchu ani klapkach!

W toalecie ustawiony zestaw do sprzątnia, odkurzacz, proszki czyszczące, fartuch oraz klapki.

Ale dlaczego tak tu cuchnie?

Cztery kible. Trzy otwarte, czwarty zamknięty.

O matko! To nie kible! To masakra! U babci Poli obora w porównaniu z tymi trzema kiblami to prawdziwa perfumeria!

Kosze na śmieci nieopróżniane od niepamiętnych czasów. Dokoła nich i wszędzie, gdzie nie powędrował mój zszokowany wzrok, wałały się, aż wstyd powiedzieć, co się wszędzie wałało. Pedagogiczny rodzaj żeński nawet nie zawijał tego w papier toaletowy! Kafelki na ścianach może po trzykrotnym szorowaniu

ujawnią swój kolor. Pod kłapy, do wnętrza kibli, bałam się zajrzeć. Wnosząc po ilościach opakowań domestosa, jakie zostawił pan Daniel, on zaglądał.

Trudno. Czego stoisz, babo? Rusz się. Sprzątasz u Kunegundy i Miss Grażyny. Masz zaledwie półtorej godziny na zlikwidowanie tego dostojnego chlewu.

Fartuch był o dwa numery za duży. W supertwarzowym sinawym kolorku. To, co pan Daniel nazwał kłapkami, przypominało obuwie ortopedyczne. Gruba podeszwa, wyprofilowana, z granatowym sznurowanym wierzchem. Panie Danielu, pomyślałam, jestem pana dłużniczką.

Przeliczyłam się. Sprzątnięcie osobistej posiadłości królowej Kunegundy Wspaniałej, bez mycia okien, doniczek i pucharów, jakimi był obstawiony regał, zajęło mi ponad godzinę. Z sekretariatu zdążyłam jedynie wywalić marmoladę wieloowocową łącznie z plastikowym koszem na śmieci. Według mnie nie nadawał się do umycia.

Z tego wszystkiego zapomniałam o otworzeniu dzieciakom wejścia do szatni. Zobaczyłam tłumy kłębiące się przed wejściem głównym, wyłącznie dla żeńskiego rodzaju pedagogicznego, kiedy biegłam z koszem do zadaszzonego szkolnego śmietnika. Gorzej, wśród tłumu dzieciaków dostrzegłam rozwiane na wietrze rude afro Kunegundy. Trudno. Nikt nie jest doskonały. Zwłaszcza ja w pierwszym dniu kariery. Nierozgarnięta osoba po pięciu klasach podstawówki.

Kiedy opanowałam sytuację na froncie otwierania oraz zamykania drzwi, pognałam po odkurzacz, pozostawiony przy nieogarniętym biurku Miss Grażyny. Biurko Miss było przykryte grubym szkłem. Niekoniecznie trzeba wykazać się umiejętnościami dedukcyjnymi Sherlocka Holmesa, aby ustalić preferowany przez Miss przysmak, jaki pożera w godzinach pracy w znacznych ilościach. Batonik Bounty, to jest to! W przyschniętych do szkła resztkach czekoladowej polewy śnieżyły się wiórki kokosowe. Pytanie, jakie postawiłby swemu przyjacielowi doktor Watson: „Rozumiem, że Miss ubóstwia Bounty, ale dlaczego nim pluje?”. Na co Sherlock Holmes odpowiedziałby z pobłażliwym uśmiechem: „Ależ, kochany Watsonie! To proste! Kunegunda Wspaniała!”. Nie nadażam za tobą, drogi Holmesie. Co ma do plucia Kunegunda Wspaniała? Dedukuj, Watsonie, dedukuj. Miss nigdy nie wie, kiedy Kunegunda ją zaskoczy. Konsumuje Bounty, który, jak ci wiadomo, lubi zlepić górną część uzębienia z dolną. Więc jak postępuje nasza Miss, gdy nagle z gabinetu wychodzi Kunegunda? Och, Holmesie, masz rację. Ona po prostu pluje, a to, co wypluje, przykrywa własnym ciałem, czyli łokciem lub dłonią. Słusznie, słusznie, drogi Watsonie! Zauważ, że część zewnętrzna biurka również jest pokryta zaschniętą czekoladą. Potrafisz wydedukować dlaczego? Nie? Ależ, drogi Watsonie! Miss w pierwszym, niekontrolowanym odruchu wyciera resztki batonika z dłoni o biurko!

Rzuciłam okiem na popstrzone szkło. Nie zdążę go oczyścić ekspresowo. Trudno. Kunegunda właśnie wkraczała do sekretariatu. To ci dopiero! Miała na sobie identyczną zamszową marynarkę jak moja!

— Dzień dobry, pani dyrektor — postanowiłam być analfaberką znającą się na podstawach dobrego wychowania.

— Dla pani nie zapowiada się on dobry — oświadczyła Kunegunda, coraz bardziej Wspaniała. Zatrzymała się przy szafie. W tejże marynarce, z elegancką torebką przewieszoną przez ramię oraz ze służbową aktówką w dłoni.

Zatrzymała się i stoi. Nie wiem dlaczego. W każdym razie stoi, jakby na coś lub kogoś oczekiwała. Do sekretariatu wpadła Miss Grażyna.

— Dzień dobry, pani dyrektor. Ach, jak pani dziś wspaniale wygląda. Proszę, pani dyrektor, już biorę aktówkę, niosę do gabinetu... Zaraz też zaparzę kawusie... Ma być ze śmietanką czy z mleczkiem? A ona — tu spojrzała na mnie — niech pomoże się pani dyrektor rozebrać.

— Z przyjemnością — powiedziałam. — Na którą rękę pani dyrektor mam uważać, żeby, broń Boże, nie urazić?

Kunegunda nie była aż tak durna, załapała, w co zagrywam. Długo zabijała mnie, swą niepokorną służbę, morderczym wzrokiem. Ściągnęła marynarkę, otworzyła szafę i... osłupiała. Bardzo przyjemny widok, zapewniam. Osłupienie Kunegundy polegało na szerokim rozdziawieniu ust. Wargi miała wąziutkie, za to jamę gębową całkiem szeroką.

— Pani Grażyno!

— Słucham, pani dyrektor?

— Pani Grażyno, wiem, że mając dobry gust, lubi pani ubierać się w podobnym stylu jak ja. Na przyszłość proszę jednak zapamiętać, że kupowanie takich samych ubrań, jakie ja noszę, jest podrywaniem mego autorytetu. Rozumie pani?

Biedna Miss nie rozumiała nic a nic.

— Proszę więcej w tej marynarce do szkoły mi nie przychodzić!

— Ależ, pani dyrektor! Przecież ja jeszcze nie zdążyłam się rozebrać z płaszcza...

Kunegunda osłupiała ponownie, jeszcze szerzej rozdziawiając usta.

— W takim razie czyje TO jest? — Kunegunda rozejrzała się po sekretariacie w poszukiwaniu osób trzecich, które osmielają się podrywać jej autorytet identyczną marynarką. A ponieważ poza skruszoną Miss oraz mną nikogo nie było, osłupiała po raz trzeci. Matko kochana, ale ona ma rozciągliwą japę! Zaraz mnie połknie niczym pyton.

— Moje, pani dyrektor — przyznałam się bez tortur.

— Pani? — zdumienie Kunegundy zapowiadało przerażający ciąg dalszy. — I te włoskie pantofle również?

— Niestety, również.

— Proszę do gabinetu!

Zasiadła za swoim królewskim biurkiem. Patrzyła na mnie wzrokiem bazyliuszka.

— Takie pantofle kosztują około pięciuset złotych — powiedziała.

— Skoro pani dyrektor tak twierdzi, nie zaprzeczę.

— Taka marynarka kosztuje około półtora tysiąca.

— Skoro pani dyrektor tak twierdzi, nie zaprzeczę.

— Podobno pani żyje poniżej normy biologicznej.

— Tak się złożyło, pani dyrektor.

— Ale nosi pani włoskie szpilki za pięćset złotych i marynarkę, którą ja, osoba po wyższych studiach, dyrektor szkoły, musiałam nabyć na raty! Tymczasem pani, po pięciu klasach szkoły podstawowej, rzekomo utrzymująca się z renty po zmarłym mężu, paraduje w tak drogich ubraniach? — Oburzenie Kunegundy Wspaniałej rozsadzało jej pierś pod jedwabną bluzką.

— Mój mąż dbał o mnie. Zarabiał nieźle jako glazurnik — odpowiedziałam, modląc się, żeby Kunegunda zakończyła przepytywanekę. Muszę zadzwonić do syna. Powinien wychodzić do szkoły. Jeśli zapomniał o drugim śniadaniu, zdążę mu o nim przypomnieć.

— Akurat, mąż! — prychnęła Kunegunda.

— Co mi pani imputuje, pani dyrektor? — Ale babsko! Babsztyl! Z kosmatymi myślami.

— Imputuje? Imputuje? Po pięciu klasach i używa takich słów?

— Lubię czytać w wolnych chwilach Słownik wyrazów obcych Władysława Kopalińskiego. Rozwijać się intelektualnie, pani dyrektor. Czy to osobom po pięciu klasach podstawówki zabronione? Karalne? — O, Kunegundo Wspaniała, nie dam się. — Pani dyrektor, do moich obowiązków woźnej należy dbać o utrzymanie parteru w czystości. W pani kompetencjach leży ocena mojej pracy, a nie mego życia prywatnego. Więc jeżeli pani pozwoli, zajmę się sprzątniem.

Pierś Kunegundy to wznosiła się, to opadała.

— Pozwalam — powiedziała wreszcie — ostrzegam jednak że długo u mnie pani miejsca nie zagrzeje. Nie toleruję arogancji. Zresztą, po raz pierwszy się z czymś takim spotykam. Z arogancją u kogoś takiego jak pani. Zwykła woźna. Sprzątaczką. Fizyczną. Od brudnych robót.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Ofcourse, Mrs directof”, lecz zrezygnowałam. I tak Kunegunda doznała niekiepskiego szoku. Na pierwszy dzień chyba jej wystarczy...

Horacy powiada: „Nie pytaj o nic, co przyniesie jutro”, jednak wiedziałam, co ono przyniesie.

Ten i wszystkie kolejne. Nic miłego. W domu — zbuntowany, marzący o tacie Szymek. Doprowadzające do paranoi wyliczenia: na ile starczy tego niebywałego majątku, czyli pensji pani woźnej? A tu? W szkole? Opatrzności, nie opuszczaj mnie! Kunegunda zniżając się ze swego dyrektorskiego piedestału, będzie wtykać swój autorytatywny nos w każdy zakątek parteru. Sprawdzać białą chusteczką te hektary holu i pseudopalmiarni. Trzymaj się, Kaśka, możesz być pewna, że za jeden pyłek dostaniesz naganę. Za każdą plameczkę na szybie — naganę. Za każdy ogryzek, jakim Miss Sekretariatu nie trafiła do kosza — też naganę. Same nagany. Potem cięcie po premii. Bo, szanowna Kunegundo Wspaniała, twoją groźbę o zwolnieniu traktuję jako ordynarny szantaż. Gdzie znalazłabyś następną idiotkę do sprzątanania, która w pokorze znosiłaby twoje dyrektorskie zadęcie? Pozwoliłaby się traktować jak śmieć, odpad ludzki? He? I tu się zawiedziesz, Kunegundo. Podobnie do tamtych, tak zwanych prostych kobiet, wołających zrezygnować z pracy niż ze swojej godności, nie pozwolę się zdeptać. No i poza tym wiem, co to jest mobbing.

Stanełam na korytarzu i mając w nosie mijający mnie pedagogiczny rodzaj żeński, zadzwoniłam do syna.

— Czego?

— Nie zapomniałeś o drugim śniadaniu?

— Chleb z dżemem nazywasz drugim śniadaniem? Szukałem w lodówce kiełbasy. Ani plasterka. Sama zeżarłaś kiełbasę od babci Poli.

— Babcia Pola dała nam kotlety mielone, nie kiełbasę.

— Babcia Pola oprócz kotletów wsunęła ci do torby pyszną swojską kiełbasę!

Boże, żeby tak kłamać? Dobrze wiedział, że ogołociliśmy babcię Połę z wędzonek dobry miesiąc temu.

— Potrafisz ściemniać, Szymek.

— Nauczyłem się od ciebie! — ryknął tak, że odsunęłam komórkę od ucha.

— Szymek...

— Odwal się, dobra!

Chowając komórkę do kieszeni, usłyszałam komentarz.

— Jeszcze nigdy nie widziałam woźnej z komórką — szczebiotała wysoka, szczupła blondynka do idącej obok mocno przysadzistej koleżanki. — A ty?

— Ja również nie...

— Egzotyczny widok — odezwałam się głośno, niby do ściany. — Miotła z komórką! To jest wydarzenie. Godne uwiecznienia w kronikach szkoły.

Udały, że ogłuchły. Minęły mnie, jakbym była ścianą, do której przemawiałam.

## Rozdział dwunasty

Wróciłam do domu w stanie agonalnym. Obolała od szorowania kilometrowych lamperii, czyszczenia kibli, drzwi do świetlicy, pokoju nauczycielskiego, gabinetu wicedyrektorki, której zaszczytu poznania nie dostąpiłam, albowiem przebywała na urlopie chorobowym, drzwi do gabinetu Kunegundy Wspaniałej, drzwi do sekretariatu Miss Grażyny. Skutek mego szorowania był raczej mizerny. W każdym razie słabo widoczny. Te parterowe panie woźne musiały się nie tylko często zmieniać, lecz odwalać po łebkach swoją robotę. Jak powiedział pan Walicki: parter to naprawdę stajnia Augiasza.

Szymek nosa nie wysunął ze swego pokoju. Nie to nie. Sprawdziłam w kuchni: obiad zjadł, naczynia, oczywiście, wrzucił do zlewu. Dobra, co się czepiam dzieciaka? Jak żyje, nie umył po sobie nawet kubka. Elka mi powtarzała, że rozpuszczam Szymka i wychowuję go na męskiego szowinistę. Aha, madralińska, a kto pierze majtki swoim pannicom? No wiesz — obrażała się Elka, okropnie przewrażliwiona na punkcie córek, najpiękniejszych, najmądrzejszych i w ogóle idealnych pod każdym względem — one zdążą się jeszcze w życiu napracować. Ostatnie badania CBOS-u wykazały, iż kobiety pracują dwukrotnie więcej od mężczyzn. Aha, dlatego więc Majce gotujesz zupkę jarzynową, a Ewce zupkę pomidorową? Natomiast Heniusiowi krupniczek? Bo Ewka ani jarzynowej, ani krupniku nie przełknie, Majka nie przełknie pomidorowej tudzież krupniku, natomiast Heniusz nad wszystkie inne zupy przedkłada krupnik na skrzydełkach kurczaka? Coś się do mnie przyczepiła? Jestem po prostu dobrą matką i żoną. Więc bądź uprzejma odczepić od mego syna! Jest pólsierotą! W jakiś sposób powinnam mu zrekompensować brak ojca. Kaśka, ty daj na mszę w intencji, aby ten drań więcej się na oczy nie pokazał! Szymek nigdy nie miał ojca. Ale miał i ma matkę! Wybuchalam najpierw gniewem, następnie gniew przechodził w szlochanie. Elka, jak mi się pokaże na oczy, to go zabiję. Zdajesz sobie sprawę z mego położenia? Ani mężatka, ani rozwódka. A może już szczęśliwie wdowa, podpowiadała Elka. No wiesz! — oburzałam się natychmiast, tryskając łzami jak fontanna w parku Śledzia. — Ja go przecież wciąż kocham. Idiotka, komentowała stan moich uczuć Elka. Słusznie komentowała. Trwać w miłosnym amoku do faceta, który przerzucił się na dzianą restauratorkę z Leeds, po trzech miesiącach przestał słać te marne dwieście funciaków i jakby rozplynał się w powietrzu — to już nie idiotyzm, to obłęd, Kaśka!

Dobrze, że tęsknota za Przemkiem minęła. Lecz aktualny stan moich uczuć do niego niczego mi w życiorys nie wnosił. Komplikował go tylko straszliwie. Nie tylko prawnie. Prawo mam w nosie, nie jestem legalistką. Ale nie mam w nosie



mego syna, który cierpi, bo chce do taty i nienawidzi mnie coraz bardziej za nieobecność ojca. Zatrzymałam się pod drzwiami do pokoju Szymka. Oparłam się o nie czołem. Mój Boże, synku, nie odrzucaj mnie, proszę.

— Czego tam? Za głośno sapiesz! Wynoś się!

Mój Boże, synku, ja nie sapię, ja dyszę ze zmęczenia. Mój Boże, synku, mój Boże.

Powlokłam się do salonu. Ułożyłam swoje skatowane pracą i krzykiem Szymka ciało na skórzanej kanapie. Przeklęta kanapa, przeklęty salon, te antyczne meble, obrazy, dywany... Cholera by wzięła całe to czteropokojowe mieszkanie. Nie ma tu nic mojego, jedynie pokój syna urządziłam za własne pieniądze, lecz poza tym nic, nic w tym domu nie jest moje! Wszystko już było, kiedy wychodziłam za Przemka. Meble, obrazy, antyki, cholera, a mieszkanie również jego, własnościowe, wykupione przez tego drania, ja zaś robiłam tu przez osiem lat w charakterze lokatora. Ani sprzedać, ani zamienić. Łajdak. Żeby go szlag.

Matko Święta, godzina piąta! Muszę się wziąć do pracy. Zrobić zakupy. Ugotować na jutro obiad Szymkowi. Coś gorącego na kolację. Pizzę chociażby. Muszę skoczyć do sklepu po drożdże. Szymek przepada za moja pizza. Uprać koszulki, gatki i skarpetki. Oszczędzam na wodzie i na prądzie, dlatego piorę w rękach. Tym sposobem zużywam o wiele mniej wody, prądu oraz proszku do prania. Trudno. Czasy świetności odpłynęły w siną dal. Hen, za horyzont. Na antypody.

Domofon dzwoni. Kogo tam diabli nadali? Oczywiście, Szymek nie wychyla nosa z pokoju, a to na pewno któryś z jego kumpli. Trudno. Jestem dobrą matką, więc otworzę, chociaż mam stopy niczym dwie banie. Nie mieszczą się nawet w domowych kapciach. Oto moje być albo nie być: czy odpuchną do jutra? Jeśli nie zejdzie, mus założyć kalosze, gdyż w żadne inne kaptcie ich nie włożę. Obuta w kalosze wzbudziłabym nareszcie litość Kunegundy Wspaniałe. Oraz satysfakcję Miss Grażyny.

Otworzyłam, nie pytając kto. Dobrze, że Szymek ma kolegów. Wiem, że ich częste wizyty, przypominające najazdy wojsk tatarskich w trzynastym wieku na Sandomierz, wynikają nie z niesłychanej sympatii do mego syna, lecz raczej do jego sprzętu. Wpadają w nie mniejszej ilości niż ośmiu, dziesięciu w stadzie, część z nich ogląda filmy na DVD, część serfuje po Internecie, część uruchamia stary komputer i gra namiętnie w jakieś piekielnie ryczące gry. Pustoszą mi i tak bardziej niż skromną zawartość lodówki, ponieważ Szymek żąda stosu kanapek oraz hektolitrów coca-coli. Pozostawiają po sobie terakotę w przedpokoju upačkaną błotem tudzież innymi, bliżej niezidentyfikowanymi śladami. Trudno. W każdym razie syn nie jest sam.

Wyjęłam kalosze z szafki na buty. Włożyłam je z trudem. Opatrzność daje mi znak, że nie mogę pokładać nadziei w to, że moje spuchnięte stopy powrócą do normalnych rozmiarów, przynajmniej w najbliższym czasie. Ha, trudno. W drzwiach zderzyłam się z Elką. Sapała i dyszała jakby te dzielące nas od siebie piętnaście kilometrów pokonywała sprintem. Na plecach wyrósł jej potężny garb. Przeraziłam się. Na garbach się nie znam, ale to musiał być garb rosnący błyskawicznie. Wczoraj nic mi o garbie nie wspominała!

— A tobie gorzej? — zapytała Elka, dysząc.

Bredzi. Ja też bredziłabym z takim gwałtownie narosłym garbem.

— Boże, Elunia, kochana! Heniuś wie?

— Kobieto w kaloszach! Przepuść mnie. Nie widzisz, że targam na plecach garb?

— Widzę. To straszne! Elunia, chyba to nie Kik?

— Przepuść mnie do kuchni, ciężko mi.

Elka wyminęła mnie i poszła prosto do kuchni. Ja za nią, szurając kaloszami. Pochylała się nad stołem, sapiąc ciężko. Garb zniknął.

— Zamiast się gapić, lepiej rozmasuj mi ramiona i plecy. Cholera, cały parking zajęty! Wolne miejsce znalazłam przed Biedronką! Taszczyłam ten pakunek dobre pięćset metrów.

No, ale chyba przytaszczyłam ryle, że na dwa tygodnie starczy ci wałowy.

— Wałowy? — zdumiałam się. — Jakiej wałowy? W garbie?

— W jakim znowu garbie? Tej w plecaku. A co? Miałam z nim sterczeć, czekając, aż się doczłapiesz w kaloszach i mi go zdejmiesz?

Albo ja zwariowałam, albo ona. Niemożliwe, żebyśmy obie jednocześnie zwariowały.

— Ela, przyszłaś z garbem... Tak się o ciebie martwię... — zaczęłam, lecz moja przyjaciółka spojrzała na mnie dziko i wrzasnęła:

— Kaśka! Zejdź wreszcie z mego garbu! Lepiej ściągnij kalosze! Albo nie! Usiądź. Nie tu! Za blisko! Z tobą nic nie wiadomo, jesteś nieprzewidywalna. W kaloszach, kostiumie i jedwabnej bluzce, z torebką przewieszoną przez ramię wybierasz się... Kaśka! Dokąd ty właściwie zasuwałaś w tych kaloszach? Zdaję sobie sprawę, że słodka Ilona nieźle ci dała popalić, lecz chyba nie doprowadziła cię przez jeden dzień do obłądu? Chociaż... Kto wie? Kto wie? Jej pierwszy mąż zwariował. Drugi — podobnie. Trzeci wylądował na odwyku. Czwarty... czekaj, bo teraz ma piątego... Nie pamiętam, co z czwartym. Nieważne. Ten aktualny, piąty, po pół roku pożycia nabawił się tików nerwowych. Bez przerwy mruga powiekami. Biedny człowiek

Elka westchnęła, pochyliła się, stęknęła, czymś zaszurała i oto moim oczom ukazał się wielki, brązowy plecak

— Cholera, nie dam już rady wtargać tego na stół. O Boże, jak mnie bola ramiona... Obleciałam Tesco, Carrefoura, Leclerca, zamierzałam jeszcze wstąpić do Auchan, lecz i kasa się skończyła, i z plecaka się niemal wysypywało... Upychać kolaniem się nie dało, ponieważ część produktów jest krucha... Tylko mi nie dziękuj! — wrzasnęła głosem tak dzikim, że podskoczyłam na krześle. — Dostałam niespodziewaną premię, rozumiesz? Wyjątkowo wysoką! Ani słowa! Cholera jasna! Spać przez ciebie nie mogę! Moja przyjaciółka robi za woźną, a jak robi za woźną, to jej nie przysługuje zasiłek, więc nadal będzie wchrzaniać suchy chleb, bo ona przecież wszystko podtyka swemu Szymusiowi! Siedź! Nie ruszaj się! Sama wypakuję...

Na stole lądowały: cukier, mąka, ryż, kasza gryczana, makaron, puszki ze śledziami, z pasztetami, olej, masło, pęta kielbasy, parówki, paczkowane mięso, kurczaki, jogurty, śmietany, kawa, kakao, czekolady... Patrzyłam, patrzyłam, a garb jakby nie miał dna.

— Nie, ja tego nie przyjmę. Premia? Jaka premia? W połowie miesiąca premia?

— Siedzieć, powiedziałam! — huknęła Elka. — Po cholere wkalosiłaś te kalosze? Zdejmij je natychmiast! Pokaż nogi! Kontrola sanitarna! Boże, ale ci spuchły... Wystaw dłonie... Chryste, kobieto, całe w bąblach, z wżerami... Kasiunia, bodaj by mnie ziemia pochłoneła, kiedy ci narajałam pracę u Ilony! Kasiunia, odpuść sobie Ilonę! Zobacz, nawiozłam wam wałowy na dwa tygodnie... Dwa tygodnie to szmat czasu, znajdziemy ci inną pracę...

Rozpląkała się. Ja również. Ona nade mną. Nad moim nędznym losem. Ja z powodu jej dobrego serca.

— Przyrzeknij, że więcej do Ilony za woźną nie pójdziesz. Przyrzekasz?

— Ela, porzucę bez żalu Kunegundę Wspaniałą, Miskę Sekretariatu, pedagogiczny rodzaj żeński, jednak dopiero wtedy, kiedy otrzymam konkretną propozycję konkretnej pracy.

— Przyrzeknij chociaż, że zaczniesz się normalnie odżywiać... Inaczej Szymek zostanie całkowitym sierotą... Wiesz, ja te premie dostaję bardzo często... Heniusz też... — łgała Elka. — Kaśka! Milczeć! Inaczej z tobą zerwę!

— Ela, przecież wiem, że nie było żadnej premii. Tb ja zerwę z tobą, jeżeli raz jeszcze pojawisz się z garbem...

— To mój garb, nie twój! Posiadam prawo do rozporządzania osobistym garbem!

— A noś go sobie, lecz pod inny adres. Pod swój. Elka! Zamieńmy się rolami...

— Niby ja mam być u Dony woźną? Nigdy!

— Elka, masz być nadal dyrektorką! Mówię metaforycznie. Jesteś mną, a ja tobą. I oto ja zjawiam się u ciebie z garbem, łzę o premii, wywalam wałową za przynajmniej pięć stów... Poza wdzięcznością co byś czuła?

— Idiotka! Nie przytargałam ci garbu dla twojej wdzięczności!

— Czułabyś wstyd — ciągnęłam, nie zważając na protesty — zażenowanie, że wykorzystujesz najlepszą na całej kuli ziemskiej przyjaciółkę, której się bynajmniej nie przelewa, która również musi kombinować jak koń pod górkę, jakby tu przyszczędzić kilka stówek na kupienie córkom modnego ciucha. Przyznaj się, że ta nadzwyczajna, wyjątkowa premia to tak naprawdę odkładana przez kilka miesięcy kasa na kozaki dla dziewczynek?

— Pudło! Nie dla dziewczynek, ale na kurtkę dla Heniusia! — wypaliła porywczo Elka i przeraziła się. — Cholera jasna, ale mnie podpuściłaś! No dobra, masz rację, ale przyjaciół nie zostawia się w biedzie! Jak już się tak metaforycznie zamieniamy rolami, powiedz: zostawiłabyś mnie bez pomocy?

— Już mi pomogłaś, Ela. Pożyczyłaś pieniądze. Dzięki tobie dostałam robotę u Kunegundy Wspaniałej.

Elka, ocierając łzy z policzków, zachichotała.

— Jezu, Kaśka! Podam dalej: Kunegunda Wspaniała. Super! Kunegunda Wspaniała! Pół Łodzi się uwyje. Jezu, Kaśka! Taka zmiętoszona, umordowana i jeszcze ci humor dopisuje?

— Tobie też dopisuje. Zawsze nam dopisywał. A najbardziej w tych złych chwilach życia.

— Fakt — przyznała Elka. — Chociaż moje dziewczyny mówią, że mają matkę wariatkę.

— To wariactwo jest naszą tarczą ochronną. Zasłaniamy nią wszystko to, co nas boli, co nas przerasta, z czym sobie nie radzimy. Takie rozdwojenie jaźni.

— No... — Elka posmutniała.

— Przecież lepiej pokazywać ludziom twarz błazna niż swoje rany.

— No...

— Elka, zrób sobie kawę. W końcu ją sama kupiłaś, więc się nie kępuj. Poczęstuj się również własnymi ciasteczkami. Ale numer! Twój garb wyglądał przez chwilę rzeczywiście jak garb! Przeraziłaś mnie śmiertelnie!

— Trzeba być tobą, kochaniutka, żeby zwykły, brązowy plecak wziąć za garb!

— Ale ty pierwsza powiedziałaś: przepuść mnie z garbem do kuchni!

— Jezu, Kaśka, jakbyś taki garb dźwigała z pięćset metrów od parkingu do ciebie, też chciałabyś go jak najszybciej zrzucić!

— A ja przyczłapałam do kuchni, widzę: ty bez garbu! Przed chwilą wyrastał ci monstrialnie na plecach i nagle bach! Nie ma go! To pomyślałam, że moja

kuchnia posiada właściwości uzdrawiające i od razu zobaczyłam te tłumy chorych, które uzdrawiałabym dzięki kuchni! I codzienne wpłaty na konto w banku! Nawet pożegnałam się z Kunegundą Wspaniałą! Zamiast za woźną, robiłabym za uzdrowicielkę!

— O, ludzie! Ty masz wyobraźnię!

Chichrałyśmy się we dwie jak prawie czterdziestoletnie wariatki. Zapomniałam o obolałych zwłokach, o pęcherzach na dłoniach, spuchniętych stopach, niestety, nawet o Szymku zapomniałam.

A on tymczasem wkroczył do kuchni. Obrzucił nas wrogim spojrzeniem. Jeszcze bardziej wrogim spojrzeniem obrzucił stół z wałówką.

— Więc to tak? — zasyczał. — Przyjmujesz jałmużnę od ciotki? Nie dosyć, że woźna, to na dodatek żebraczka! Wiesz co, stara? Najlepiej wybierz sobie miejsce przed kościołem, kup sobie łachy na zgrzebkach, na piersiach zawieś napis: JESTEM SAMOTNĄ MATKĄ, uklęknij pokornie i postaw przed sobą miseczkę... A ja ci zrobię zdjęcie...

— Szymek! — krzyknęła Elka.

— Tata zabronił ci spotykać się z ciotką! — wrzasnął mój syn. — Nienawidzę jej. Ciebie też nienawidzę!

— Szymek!

— Zostaw go — powiedziałam cicho. — Przerabiam to z nim codziennie. Zdążyłam się przyzwyczaić.

— Łże! Nocami ryczy w poduszkę! Albo wchodzi do mego pokoju, sądząc, że śpię, i głaszcze mnie po głowie! Nigdy się nie przyzwyczaisz! Byłabyś wyrodną matką, gdybyś się przyzwyczaiła! A teraz dość! Ciotka niech spieprza, a ty zrób mi kanapki! I kakao! Słyszysz? Rusz tyłkiem!

Trzasnął drzwiami.

Elka spojrzała na mnie ze zgroza.

— Jezu, jak ty to wytrzymujesz? Nie sadziłam, że Szymek aż tak cię traktuje?

— Elunia, nie gniewaj się — opuściłam głowę. — Muszę teraz zostać sama.

— Jezu, Kasia... On ma dopiero jedenaście lat... Co będzie potem?

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Rozumiesz?

— Chyba tak...

— Kocham cię, Elunia. Ale idź. Szymek to mój garb. Mój wielki, potworny garb. Dźwigam go w pokorze. Dźwigam w nadziei, że zniknie. Nie znika. Rośnie. Muszę się choć trochę wypłakać. W samotności. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Wyszła. Słyszałam, jak cicho zamyka za sobą drzwi. Niczym świadek zdarzenia, które powinno obejść się bez świadków. Moja dobra, kochana Ela. Dziękuję ci, że jesteś.

Popłakując, naszykowałam stos kanapek. Ugotowałam kakao. Dawno nie kupowałam synowi kakao. Nie stać mnie było na nie. Przycisnęłam do piersi trzy duże paczki tego przysmaku. Elunia, pomyślałam. Dobra, pocziwa Elunia.

— Elunia — myślałam, chowając wałówkę, kupioną zamiast kurtki Heniusiowi, Elunia.

Podeszłam pod drzwi pokoju Szymka.

— Kolacja czeka w kuchni! — krzyknęłam. Nie chciałam widzieć teraz swego syna. Nie byłam na to gotowa.

W łazience poprałam jego gatki i koszulki. Rozwiesiłam. Usiadłam na brzegu wanny. Czekałam na znajome walnięcie drzwiami — znak, że Szymek zjadł kolację i wrócił do siebie.

Wreszcie trzasnął.

Wróciłam do kuchni. Nastawiłam rosół na kurczaku od Eli. Gdy kurczak się podgotował, wyjęłam go, obsypałam przyprawami i dosmażyłam na patelni. Obrałam kartofle, wypłukałam, włożyłam do garnka i posoliłam. Szymek je sobie jutro sam ugotuje.

Przyniosłam dzinsy Szymka do uprasowania. Wyprasowałam. Ułożyłam na krześle. Dzinsy, plus świeże gatki, plus koszulka, plus sweter, plus skarpetki.

Poszłam do salonu, w którym sypiałam od czasu odejścia męża, ponieważ naszą małżeńską sypialnię zamknęłam na klucz, a klucz wyrzuciłam do śmieci. Nie starczyło mi sił, aby wyciągnąć pościel. Sił starczyło zaledwie na nakręcenie budzika. Na godzinę trzecią rano.

Postanowiłam przychodzić go szkoły godzinę wcześniej. Postanowiłam swój rewir doprowadzić do błysku w ciągu dwóch tygodni. Żeby Kunegundę Wspaniałą trafił szlag. Żeby, chcąc nie chcąc, zgrzytając zębami czy nie zgrzytając, w przyszłym miesiącu dała mi sto procent premii.

## Rozdział trzynasty

Budzik okazał się zbyteczny. Przeleżałam noc bezsennie. To była szczególna noc. Przerobiłam dzień po dniu od chwili, gdy mój syn po raz pierwszy przyssał się do mojej piersi, aż do dzisiejszego wieczoru, w którym z taką bezwzględną, okrutną premedytacją celowo mnie zranił. Gdzie popełniłam błąd? Gdzieś musiałam. Jak to syn wywrzeszczał? Byłabyś wyrodną matką, gdybyś się przyzwyczaiła? Do czego przyzwyczaiła? Do jego nienawiści? Do jego potrzeby odzyskania taty? Byłabyś wyrodną matką... W takim razie mój syn nie uważa mnie za wyrodną matkę? W takim razie... Boże drogi! Mam jeszcze szansę! Lecz nie wiem, nie wiem, w jaki sposób ją wykorzystać?

O drugiej wstałam. Bez sensu leżeć, szukając odpowiedzi na pytania, które mnie dręczą. Lepiej pójdę do szkoły. Ciężka fizyczna praca robi człowiekowi pustą dziurę w mózgu. I o to chodzi. Nie myśleć. Nie analizować. Nie zastanawiać się.

„Ach, mój miły Augustynie, wszystko minie, wszystko minie”.

Lub prościej: Tempus fugit. Czas płynie.

Bądź cierpliwa, kobieto. Tempus fugit. Może dopłyniesz do brzegu, na którym twój syn przywita cię uśmiechem i powie: „mój kochany mamełek”?

Będę cierpliwa. Bardzo cierpliwa.

Umyłam tylko zęby. Bąble na dłoniach popękały. Trudno. Stopy nadal spuchnięte. Też trudno. Sprawię satysfakcję Kunegundzie Wspaniałej. Obuję stare, na wpół rozpadające się adidas, w jakich biegam po lesie w weekendy. Wdzieję grzybowe spodnie, wytarte na kolanach od pełzania pod świerkami w poszukiwaniu takich cudownych, małych, pękających borowiczków. Oraz džinsową, leśną kurtkę.

Kartki ze wskazówkami dla Szymka nie zostawiłam. Myśl o Szymku stawała się wielką, jątrzącą się raną.

Przykro mi, synu. Ubranko przygotowałam. Obiadek ugotowałam. Poradzisz sobie bez kartki. I, przysięgam, dopóki nie spotkam na tym oczekiwanym brzegu czasu przyszłego mego dawnego synka, który nazywał mnie mamełkiem, nigdy więcej nie wejść nocą do twego pokoju. Nie dotknę twego policzka. Nie ucałuję włosów. Tempus fugit, synu. Nie tylko mój. Twój również.

Byłam cieniem przemykającym się pustymi ulicami miasta. Nikogo. Nawet bandytów. Tylko ja.

Dozorca spał. Obudził go dopiero dziesiąty dzwonek. Wyjrzał przez szybę i wrzasnął. Więc ja też wrzasnęłam: „Panie, otwieraj pan! To ja, nowa woźna”.

Przyglądał się nieufnie.

— Niby twarz ta sama i włosy tak samo pokręcone. Ale wczoraj ubrana jak pani, a dziś jak prawdziwa woźna. No dobra. Wpuszczę. Pewno mąż wywalił z chałupy.

— No — przytaknęłam. — Gonił mnie z tasakiem.

— Rzuć go pani w diabły. Tej, co ma dyżury na drugim piętrze, też radziłem: „Rzuć, kobieto, póki czas”.

— I co? Rzuciła?

— E tam. Sama z nią pani pogadasz. Łatwo poznać, która to. Po siniakach na gębie. To jak? Mogę do chałupy, pod pierzynkę? Oj, moja pierzynka tłusciutka, cieplutka.

— Fajnie pan ma. Aha. Uprzedzam. Jutro też przyjdę o tej porze.

— Znowu będzie ją gonił z tasakiem? Kobieto, od razu na policję!

— Panie, nie wiem, z czym jutro będzie mnie gonił. Zawsze z czymś gania. A tu gania pani dyrektor.

— Co racja, to racja. Drugiej takiej zarazy jak nasza dyrektor ze świecą szukać. Te na piętrach mają dobrze. Ta zaraza na nie też urządza naloty, ale nie częściej jak raz na miesiąc. A pani z nią ma codziennie do czynienia. Nie włącz jej pani w oczy, dobrze radzę. Jak przerwa, to do kibla. Człowiek ma prawo do kibla, co nie?

— Co tak. Dziękuję. Niech pan leci, bo pierzynka ostygnie.

Tak sobie pogadaliśmy. Od serca. Zamknęłam za dozorcą wota, po czym zabrałam się za gabinet Kunegundy. Wymyłam nawet szyby. Właściwie niepotrzebnie. Firany w kolorze popiołu nie pozwalały ocenić błysku szyb. Trudno. Pranie firan chyba nie należy do zakresu obowiązków woźnej? Po królewskim gabinecie — sekretariat. Odszorowałam z resztek batoników szklany blat biurka Miss Grażyny. Wciąż jednak czymś cuchnęło. Obwąchałam biurko. Cuchnęło z jego wnętrza. Był to znajomy odór marmolady wieloowocowej. Trudno. Nie posiadam uprawnień do sprzątania szuflad Miss Grażyny. Zostawiłam sekretariat, odstawiłam za to na błysk pokój nauczycielski. Pedagogiczny rodzaj żeński nie należał do czyścioszek Trudno. Nie wszyscy są pedantami. Nikt nie jest doskonały. Jeszcze żeby tylko tutejszy rodzaj żeński nauczyć zawijać podpaski w dyskretny papierek Jak odskrobię na błysk kibla, zastanowię się nad sposobem taktownego pouczenia. O matko! Czas otwierać szatnię!

Kunegunda, używając słownika pana dozorczy, urządziła nalot. Na mnie. Chytra bestia. Weszła przez szatnię. Na pół godziny przed otwarciem wejścia dla wybrańców.

Ja tu spokojnie zmywam hol, akurat ładnie by przeschnął, nim przewali tędy ciało pedagogiczne, gdy nagle usłyszałam za plecami syk:



— Do sekretariatu proszę!

Dobitnie zaciśnięte, czerwmiokrwiste wargi Kunegundy nie wróżyły niczego dobrego.

Kunegunda otworzyła szafę.

— Czyje TO? — zapytała z obrzydzeniem, wskazując na adidas i postrzępioną kurtkę dżinsową.

— Moje.

— Wczoraj urządziła nam pani rewię mody, a dziś zawiesiła cuchnące łachy. Proszę TO natychmiast zabrać!

Co to, to nie! Może i łachy, ale niecuchnące. Po każdym weekendzie piore nasze leśne ubrania. Jestem cholerną pedantką. Dlatego i ten syfiasty szkolny parter doprowadzę do błysku.

— Pani dyrektor wybaczy. Chętnie zabiorę łachy, jeżeli mi pani dyrektor wskaże miejsce, gdzie mogę je schować.

— Mnie nie interesuje, gdzie je pani schowa, moja pani! Zresztą, dobrze. Każę konserwatorowi umieścić wieszak w toalecie. Odtąd tam będzie TO pani wieszac.

— Drugie śniadanie również mam konsumować w ubikacji? — spytałam ze słodkim uśmiechem, chociaż wewnątrz trafiał mnie szlag. Jednak o wiele większy szlag trafiał Kunegundę. Jej ładna twarz, mimo grubego na przynajmniej centymetr podkładu firmy Max Factor, przyjęła przyjemny dla mego oka kolor dojrzałego pomidora.

— Moja pani — zaczęła, dusząc się wprost z wściekłości. — Pani się zapomina!

— Nazwałabym to raczej upominaniem się o swoje prawa. Chyba że u pani pracownicy fizyczni takich praw nie posiadają? Pragnę również zauważyć, że moje łachy nie cuchną.

Owa nieprzyjemna woń gnijących jabłek wydobywa się z szuflad biurka pani Grażyny — wywodziłam z uprzejmością królowej angielskiej. — Co pani dyrektor może łatwo sprawdzić. Bo ja nie posiadam uprawnień do grzebania w czyimś biurku. Mogłabym na przykład coś ukraść. Wiadomo, taka woźna po pięciu klasach zdolna jest do wszystkiego.

Zamordowała mnie wzrokiem po raz pierwszy. Żyłam wszakże. Zamordowała więc po raz drugi. Bez oczekiwanego rezultatu.

— Mam sprawdzić przyczynę owej nieprzyjemnej woni? — swój uśmiech doprawiłam krztyną ironii.

— Jeżeli pani obrzydliwe insynuacje nie sprawdzą się, natychmiast zwolnię ją dyscyplinarnie!

Odsunęłam szufladę. O matko, nawet ja nie spodziewałam się tak doskonale kiszących się przeróżnych, nie tylko jabłecznych, resztek. Biedna Miss! Gdy kosza nie starczyło, upychała owocowe pozostałości do szuflady.

— No — powiedziała tylko Kunegunda, wyrażając w tej krótkiej partykule wszelkie możliwe emocje: zaskoczenie, wstręt, gniew, pogardę, co rozszerzając dałoby się wyrazić kilkoma zdaniami: „No, sekretarko Grażyno, zawiodłaś mnie srodze, upokorzyłaś przed kimś takim jak ta woźna. Obetnę ci wszystkie premie. Moja sekretarka flejtuch! Nie cierpię flejtuchów. Wymagam szacunku. Nie pozwalam na podrywanie autorytetu szufladą wypełnioną gnijącymi resztkami”.

Nagle Kunegunda przypomniała sobie o mojej obecności.

— A pani czemu tak stoi? Do roboty!

— Tak jest, pani dyrektor. Do roboty.

Szkoda, że nie mam czapki niewidki. Byłoby miło zobaczyć Miss Grażynę opieprzaną przez rozwścieczoną, bliską apopleksji Kunegundę Wspaniałą. Nie ma zmiłuj się, najdroższa Miss! Skończyły się dobre dni. Przystaniesz wycierać łapy po batonikach o szkło biurka. Ciskać niedojedzonymi owocami byle gdzie, ponieważ nie chce ci się ruszyć tyłka, wyjść z za biurka i wrzucić je do kosza. Wydaje ci się, że robol pod tytułem woźna sprzątnie ten chlew. A ot, i nie! Figa. Nie sprzątnie. Sama po sobie uprzątniesz tę zgniłą wylegarnię muchówek, na szczęście jeszcze nie w postaci larwowej. I nie próbuj mi wciskać szuflady do szorowania. Możesz ją od razu wyrzucić do pojemnika na śmieci.

Pani wicedyrektor pozostawała wciąż na zwolnieniu. Wepchnęłam odkurzacz i zestaw sprzątający do jej gabinetu. Tu nikt mi nie będzie przeszkadzał. Mogę nawet trochę odpocząć. Rozsiadłam się w fotelu. W samą porę, ponieważ sufit dziwnie zawirował. Słabo mi, ale dlaczego? No tak, właściwie drugą dobę nie jadłam. I przez dwie noce nie spałam. No i Szymek. Wczoraj... Nie! Nie myśleć o Szymku! Pod żadnym pozorem nie myśleć, nie wspominać, zapomnieć. Lepiej rozejrzyj się, babo, po gabinecie wice. Ładnie pachnie. I w ogóle jest tu przyjemnie. Na ścianach wesolutkie obrazki malowane przez dzieciaki. Na dywanie ani okruszka. Papiery na biurku poukładane porządnie. Firanki w oknach jakby dopiero przyniesione z pralni. Ustawione pod wieszakiem pantofle. Pani wice zmienia obuwie w szkole? Jakaś bardzo porządna osoba. Z pewnością niepodobna do Kunegundy Wspaniałej. Niewiele tu do sprzątnięcia, wystarczy zetrzeć kurze. Och, jak dobrze. Tak bardzo wszystko mnie boli. A dłonie... Od wewnątrz przypominają kotlety siekane.

Musi być fajna babka z tej wice. Jeszcze jedna normalna osoba. Drugą jest pani Czesia, księgowa. Zaczyna kobieta. Zresztą, może i wśród pedagogicznego rodzaju

żeńskiego są jakieś fajne babeczki. Na pewno są. Pobędę w charakterze pani woźnej dłużej, to je poznam.

Pukanie do drzwi. Poderwałam się na nogi i natychmiast klapnęłam na fotel.

Do gabinetu wice ostrożnie wsunęły się trzy kobiety. Miały głowy obwiązane chustkami. Nosiły granatowe fartuchy. Aha, moje koleżanki po fachu. No, ale ze mnie aparat! Świnia po prostu. Niby walczę z Kunegunda w obronie swojej godności, a zapomniałam o swoich koleżankach. Nie byłam łaskawa udać się na poszczególne piętra i przedstawić się.

— Można?

— No pewno! — znowu próbowałam się podnieść i znowu klapnęłam.

Przyglądały mi się zbite w gromadkę. Ja z kolei przyglądałam się im. Od razu rozpoznałam tę, która, mimo rad dozorca nocnego, nie zamierzała rzucić swego boksera. Była wysoka, bardzo szczupła, młoda, ładna i fatalnie posiniaczona. Druga, rozłożysta w biodrach, piersiasta, z brewkami namalowanymi czarnym ołówkiem, wyglądała na taką, która poradzi sobie z każdym damskim bokserem. Trzecia, mizerniutka, niziutka, z pokrytą zmarszczkami twarzą uśmiechała się nieśmiało.

Milczały. Chyba zebrały na mój temat odpowiednią ilość informacji i przyszły sprawdzić, czy rzeczywiście stawiam się Kunegundzie i czy naprawdę nie pasuję do wizerunku pokornej woźnej. Jak tu się do nich odezwać, aby nie urazić?

— Jestem Kaśka — powiedziałam. — Zadekowałam się tutaj przed Kunegundą Wspaniałą.

Ta piersiasta wykazała się bystrością umysłu. Jej śmiech zabrzmiał jak rzenie konia.

— A mówiłam wam, że jest w porządku — szturchnęła tę posiniaczoną. — Kunegundą! Ha ha ha! A to dobre! Cholerne babsko, co nie? Daje ci popalić?

— Oj, daje — westchnęłam. — Klapnijcie sobie. Szkoda nóg.

— To jest Kryska — piersiasta wskazała na posiniaczoną. — Ma kanciapę na drugim piętrze. To jest pani Maria. Sprząta na pierwszym. Frajerka. Nie potrafi się tej... Jak ją nazwałaś? Ha ha ha! Kunegundzie Wspaniałej postawić. Ja jestem Miśka.

Jakby co, to do mnie, na trzecie, jak w dym. Kapujesz? To jak? Wypijemy brudzia, Kaśka?

Miśka wyciągnęła z przepastnej kieszeni fartucha litrowa flachę.

— Świeżo pędzony. Pierwsza klasa, co nie, kobitki?

— No — przytaknęły zgodnie.

— Dawajcie szklanekę, szybko! — ponagliła Miśka.

Szklanka odnalazła się w kieszeni pani Marii. Tej najstarszej, najbardziej zabiedzonej i, co dopiero teraz spostrzegłam, z wielkim smutkiem w oczach. Szklanka okazała się nie pierwszej czystości musztardówką. Matko, nie znoszę wódki, nawet dobrego gatunku. Pijam wyłącznie półwytrawne wino. Nie gardzę dżinem z wermutem, oliwką, cytrynką i lodem. Może też być szkocka. Lub whisky. Preferuję Jasia Wędrowniczka. A tu bimber! I brudna musztardówka. Trudno. Trzeba wypić, w imię solidarności zawodowej.

— No to buźka! Miśka jestem. — Miśka golnęła pół musztardówki ohydnie śmierdzącego bimbru, wycisnęła na moim policzku bimbrowaty całus. Moja kolej. Zamknęłam oczy. Golnęłam. Ogień sparzył mi usta, język skołowaciał, łzy pociekły z oczu.

— A mówiłam, że w jest w porzo, ha ha ha — zarżała Miśka. — Teraz z Kryską.

— Dziewczyny, urnę się w cztery dupy... — zaprotestowałam.

— I gada po naszymu — stwierdziła z zadowoleniem Miśka. — A plotłyście, że wyniosła. Na człowieka nie spojrzy.

— Przepraszam. Wczoraj był mój pierwszy dzień. Wiecie, jaki wszędzie syf u Kunegundy...

— Syf... Ha ha ha! Kaśka, fajna jesteś. Buzi!

Zaczęłam podejrzewać, że to nie pierwsze pół musztardówki Miśki w dniu dzisiejszym. Pozwoliłam się uściskać. Krzepę miała taka, że straciłam oddech. Sufit niebezpiecznie zawirował.

— Poczekajcie kobietki — odezwała się pani Maria.

— Na co? Hahaha! Bimberek stygnie.

— Poczekajcie. Ona nie powinna pić. Ona... Ona zaraz zemdleje...

Pomarszczona twarz pani Marii pochyliła się nade mną. Smutne oczy patrzyły na mnie ze smutkiem. Szorstka dłoń przejechała po moim czole.

— Misia, skocz do mojej kanciapy. Kanapki znajdziesz w szufladzie. Zagotuj wodę. Zaparz herbatę, ale słabą. Osłódź porządnie. Migiem, kobieto. Nowa jest po prostu głodna.

— O cholerka, dlatego taka blada? I cała się trzęsie. Zimno jej. Przyniosę kurtkę.

— A chudsza ode mnie — dodała Krysia, ta z siniakami.

— Krysia, ty swoje piętro sprzątnęłaś. Ja swoje prawie też. Po przerwie przylecimy tutaj i raz dwa oporzadzimy po cichutku parter. Dziewczyny, popatrzcie na jej ręce!...

Wszystko wokół mnie falowało. Nie tylko z głodu. Bardziej z radości. Katarzyno Malicka, przeżyłaś na tym świecie trzydzieści sześć lat i w ciągu tych

trzydziestu sześciu lat, poza Elką, jej Heniusiem i babcią Połą nikt ci nigdy bezinteresownie w niczym nie pomógł, zawsze za swoją pomoc czy rzekomą życzliwość żądał wymiernej wdzięczności, a tu, zobacz: pani Czesia, pan Walicki i te trzy panie woźne obcej im zupełnie facetce okazują tyle serca...

— To chwilowe... Minie... Dziękuję...

— Co mówisz? Ledwo poruszasz ustami, kobieto. Ręce w ranach. Od razu widać, że nieprzyzwyczajone do ciężkiej roboty. — To szeptał głos pani Marii. — Nic nie mów. Ten bimber cię zmógł do końca. Pewno piłaś bimber pierwszy raz w życiu... Nie wstydz się. Wiem, co to bieda. Wychowuję sama trójkę wnuków. Z tej pensji tutaj. Krysia też wie. Ma dwoje dzieci i męża pijaka. Musi w dniu wypłaty uciekać przed nim, ale często nie zdąży i on zabiera jej wszystko na gorzałę. No, pomogę ci usiąść. Misia przyniosła herbatę. Kanapki tylko z marmoladą, ale zawsze lepiej takie niż żadne. Jedz. Pij. A my, kobietki, zbieramy się. Już, już. Do roboty. Zamkniemy gabinet wicedyrektorki na klucz. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Nabieraj sił, kobieto.

Zostałam sama, okryta przyjazną kurtką. Wiedziałam, dlaczego tak nagle wyszły. Nie chciały mnie krępować swoją obecnością, gdy będę jadła. Takie niby proste z nich kobiety, a tyle w nich empatii. Kunegundo Wspaniała, obiecuję, nie pozwolę ci ani siebie, ani tych kobiet poniżyć.

Ale byłam głodna! Kanapki wprost pochłonęłam. Herbatę wypić duszkiem. Była gorąca i bardzo słodka. I było mi dobrze. Tak dobrze, że popłakiwałam chwilę cichutko w rękaw ciepłej kurtki, nie wiem czyjej: posiniaczonej Krysi, piersiastej Miśki czy smutnej, mądrej pani Marii?

Podczas przerwy słyszałam wściekły głos Kunegundy: „Woźna! Gdzie jest woźna?”.

Pocałuj mnie, wiesz gdzie?

Gdy dzwonek zapowiedział kolejną lekcję, zachrobotał klucz. Przyszła pani Maria. Z bandażem i wodą utlenioną. Pozwoliłam opatrzeć swoje zmasakrowane dłonie.

— Będzie dobrze, nie martw się... Jutro przyjdę raniutko. Tak jak ty, na pierwszą zmianę. My z pieter zaczynamy robotę od siódmej. Przez godzinę pokażę ci, jak sprzątać, żeby było sprzątnięte i żeby przy tym nie kaleczyć sobie rąk. Rozumiesz, kobieto?

— Dziękuję, ale...

— Żadnych „ale”. My proste kobieciny, niekształcone jak ty. Dziwisz się, skąd wiem? Ano, stara jestem, napatrzyłam się na niejedno w życiu. Po twarzy, kochana, widać od razu, żeś kształcona. No i po tych dłoniach, nienawykłych do ciężkiej roboty... — szeptała pani Maria. — O nic nie pytam. Z niczego nie musisz

się zwierzać. Każdy człowiek, nawet nasza Miśka, ma prawo do swoich tajemnic. Jak sobie za wiele golnie, kryjemy ją obie z Krysią. Widzę, że ci lepiej — uśmiech pani Marii był smutny jak jej oczy. — To dobrze. Dyrektorka szukała cię po całej szkole. Zrobisz tak: wyjdiesz i zgłosisz się do niej. Powiesz, że podarły ci się rękawiczki ochronne. Szorowałaś kibel gołymi rękami, a domestos porobił ci wżery. Możesz już chodzić? Nie zemdlejesz? Wymknij się teraz. I od razu do tej... do tej Kunegundy. Będzie ubliżać, ale nie słuchaj, puszczaj mimo uszu. My tak robimy. Ona wrzeszczy, a my nic, ni słówkiem, pokorne jak trusie. No, leć już. Do jutra.

Objęłam panią Marię. Inaczej nie potrafiłam wyrazić jej swojej wdzięczności.

W sekretariacie Miss Grażyna z wypiekami na policzkach postanowiła się na mnie odegrać.

— Szlaja się gdzieś po całej szkole. Mnie każą jej szukać. Każą szukać po kanciapach woźnych! Żeby mi to było ostatni raz.

Podeszłam do biurka.

— Wyciera brudne paluchy po batoniku w co się da. Sądzi, że ktoś będzie po niej sprzątał jej zgniłe, zarobaczywiałe ogryzki. Do niej mówię — ciągnęłam i obserwowałam przedziwne zjawisko: czoło Miss Grażyny spurpurowiało. Purpura z czoła, zamieniając się w fiolet, przemieszczała się niżej, ogarniając policzki, wydatny nos, brodę, aby na szyi wykwitnąć szkarłatną, jakby alergiczną wysypką. — I niech zapamięta.

Jeżeli nie przestanie się zwracać do mnie w trzeciej osobie, ja do niej również będę w tej trzeciej. Według przysłowia: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

— Pani...

Jest postęp, chociaż rzeczownikiem „pani” omal się nie udławiła.

— Ja mam maturę, a pani nieskończona podstawówkę — usiłowała się jeszcze postawić.

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

— Comparaison n'est pas raison — powiedziałam.

— E? — zdołała wykrztusić Miss Grażyna.

— To po francusku. Na polski da się przetłumaczyć mniej więcej następująco: „Porównanie niczego nie udowadnia”.

— E?

I z tym „E?” pozostawiłam Miss Grażynę. Niech główkuje. Ma nad czym.

Kunegundą Wspaniała przypominała władczynię Olimpu, Herę ciskającą gromy, które powinny rzucić jej sługę — czyli mnie — na kolana i zmusić do błagania o przebaczenie.

— Moja pani — oświadczyła, potrząsając groźnie grzywą afro — ja wymagam, wręcz żądam, aby pani nie opuszczała swego stanowiska pracy. Podczas przerw ma pani stać przy drzwiach wejściowych. Nie wolno nikogo wpuszczać. Chyba że za moim osobistym przyzwoleniem. Tymczasem podczas dużej przerwy pani przy drzwiach nie było. A mnie się skończyła kawa.

— Mogłaby pani dyrektor jaśniej? — zapytałam, chociaż intencje tego pouczenia były niezwykle jasne. Chciałam jednak, aby wyłożyła mi swoją kawę na ławę.

— Moja pani! Skończyła mi się kawa. Podczas dużej przerwy zawsze piję filiżankę kawy Jacobs!

— Rozumiem. Zawsze pani dyrektor podczas dużej przerwy pije kawę. Jaki jednak jest związek przyczynowy pomiędzy brakiem kawy a mną?

To już nie były gromy. To były błyskawice. Ciskane jedna po drugiej.

— Taki, moja pani, że wtedy, gdy mi się cokolwiek kończy, wysyłam po to woźną!

— Bardzo mi przykro, pani dyrektor. Widocznie źle przeczytałam umowę o pracę. W zakresie moich obowiązków leży sprzątanie oraz utrzymywanie czystości na obszarze zwanym parterem. Nie ma tam słowa o pracy gońca. Czyli woźnej na posyłki. Chętnie taką pracę przyjmę jako dodatkową. Za stosownym wynagrodzeniem.

Kunegundę Wspaniałą zatkało. Chyba po raz pierwszy w życiu. O czym świadczyły dobitnie przebijające się przez pokłady Max Factora czerwone plamki. Kolejna alergia. Trudno. Sama chciała.

— Proszę wyjść.

— Z przyjemnością, pani dyrektor.

— Ale z nią nie skończyłam! Niech o tym pamięta!

— Ona ma dobrą pamięć, pani dyrektor. Kłania się uprzejmie.

W porę wywaliła mnie za drzwi. Znowu sufit stał się karuzelą. Udało mi się dotrzeć do holu. Usiadłam na schodach. Oparłam głowę o filar, przysięgając, że po powrocie do domu zjem solidny obiad, zjem i kolację, a na Szymka nie zwrócę w ogóle uwagi. O Boże, Szymek miał dziś sprawdzian z matmy, a przecież wszystkie przedmioty ścisłe są jego piętą achillesową...

Schody zamieniły się w zjeżdżalnię. Dokąd zjeżdżały, nie miałam pojęcia. No i ta mgła? Skąd nagle mgła wewnątrz budynku? Co dziwniejsze, we mgle poruszały się jakieś nierozpoznawalne postaci pozbawione głów.

— Pani Kasiu?

O, dobry Boże. Nie wstanę. Przewrócę się.

— Pani Kasiu. Proszę to wypić.

To, co piłam, było słodko-kwaśne. Ale dobre.

— Cytryna z miodem. Smakuje? Już lepiej?

Mgła opadła. Postaci bez głów okazały się moimi trzema niedawno poznanymi koleżankami. Zasuwały mopami po podłodze korytarza jak wściekłe. Ten facet, który mi podał na wzmocnienie cytrynę z miodem, to pan Walicki, konserwator. Wczoraj, rozemocjonowana swoim debiutem pani woźnej, niewiele mu się przyglądałam. Zauważyłam jedynie, że jest całkiem przystojny i że utyka. Teraz spostrzegłam głębokie bruzdy wokół jego ust. Siatkę zmarszczek przy oczach. Bardzo smutnych oczach. Jeszcze smutniejszych niż oczy pani Marii. Miały kolor nieba i patrzyły na mnie ze współczuciem. I z czymś jeszcze. Czym? Tego nie potrafiłam określić, ale na pewno nie chodziło o współczucie. Ani o litość.

— Poznaje mnie pani? Głos miał ciepły, miły.

— Poznaje. Pan konserwator. Autor najbardziej niezwykłego listu... Dziękuję. Dziękuję za wszystko. — Boże, dlaczego mam taką nieprzepatą ochotę oprzeć głowę na ramieniu tego obcego mężczyzny i wypłakać przed nim wszystkie swoje żale?

— Pani ICasiu. Nie ma za co dziękować. Panie woźne opowiedziały mi, w jakim stanie panią znalazły. Bardzo się panią przejęły.

— Wiem. I widzę — odpowiedziałam. — Jestem im wdzięczna. Powinnam im się w jakiś sposób odwdzięczyć. Kupię każdej po czekoladzie.

— Ach tak? Po czekoladzie? A mnie czym się pani odwdzięczy? Flaszka? — zapytał, a przez jego twarz przeleciał cień. Boże, ale palnęłam. Ja, hrabina de domo Malewska. Chwilowo, dla wielkopańskiego kaprysu, udająca woźną. Czułam, jak obsypuję się alergiczną wysypką. Dostałam uczulenia sama na siebie.

— Za dwie minuty kończy się pani zmiana — głos Walickiego był teraz suchy, oficjalny, bez odrobiny poprzedniego ciepła. — Wezwać taksówkę?

— A widział pan woźna jeżdżącą taksówkami? — zapytałam.

Nikt nie jest doskonały, każdemu może zdarzyć się wpadka, facet musi mieć potworne kompleksy. Na pewno niemiło być kuternogą, lecz czemu kpi? Ja i taksówka! Bardzo śmieszne. Ha ha ha. Niech spada razem ze swoją taksówką, napojem wzmacniającym, smutkiem w oczach oraz kompleksami! Usiłowałam unieść tyłek, lecz okazał się zbyt ciężki. Klapnęłam i lekka mgła spadła mi na oczy.

— Wezwę taksówkę.

— Nie życzę sobie żadnej taksówki — oświadczyłam, starając się utrzymać głowę w pionie. — Preferuję długie spacerunki na świeżym powietrzu. Przychodzę piechotą i wracam piechotą. Nie z powodu wrodzonego skąpstwa. Dla zdrowia. Rozumie pan?



Stał i wpatrywał się we mnie smutnymi oczami.

— Okej — powiedział. — W takim razie odwiozę panią. Niestety, jeżdżę starożytnym polonezem. Nie wiem, czy pani zechce do czegoś takiego wsiąść.

— Oczywiście, nie zechcę. Zazwyczaj jeżdżę sportowym porche. Dla rozrywki przesiadam się w volvo. Na zakupy wsiadam w najnowszy model garbusa za około sto tysięcy euro. — Boże, zabierz mi tę mgłę sprzed oczu! Naprawdę jest mi słabo. Człowieku, miej serce! Wyprowadź mnie stąd. Jeśli tu się omsknę, rozraduję Kunegundę Wspaniałą. To sadystka. Jeśli zemdleję na ulicy, pies z kulawą nogą mną się nie zainteresuje. Wiem, jak to jest. Będą mijali mnie i mówili: „W biały dzień i taka pijana”. A ja sobie poleżę, odpocznę ile trzeba, żeby chodnik pode mną nie tańczył, po czym udam się do domu. No, może trochę czepiając się ścian mijanych budynków. W domu mój kochający syn zapyta: „Stara, gdzie się tyle czasu szwendałaś? Szukałaś odpowiedniego miejsca do żebrania?”.

— Proszę powoli stawiać kroki i mocniej się o mnie oprzeć. Proszę się nie bać. Moja krótsza o pięć centymetrów noga nie przeszkadza w prowadzeniu samochodu.

Mgła rozrzedziła się. Jechaliśmy. Ale dokąd?

— Mieszkam na...

— Wiem, gdzie pani mieszka.

Aha. Wie. Pan Wiedzielski? Czy pan Wścibski? A może pan Wtyczka? Mniejsza z tym. Grunt, że jadę. Za Chiny nie doszłabym do najbliższego rogu ulicy. Pozostaje problem, czy dam radę wwindować swoje zwłoki na drugie piętro? Apartament mego wciąż męża znajduje się w czteropiętrowym bloku. Bez windy.

— Dojechaliśmy. Zadzwoń domofonem po męża. Aha. Dobrze sobie. Po męża. Pan jest jednak bardzo ciekawski, panie Wtyczka.

— Mąż w delegacji. Dziękuję za odwiezienie. Jutro ja pana odwiozę. Swoim porche.

— Bardzo śmieszne. Pani ledwo trzyma się na nogach. Ktoś dorosły powinien się panią zająć.

— Okej. Zajmie się. Bardzo dziękuję.

— Na pewno się zajmie?

— Bez wątplenia. Jeszcze raz dziękuję.

— Należy mi się dwa złote pięć groszy za kurs.

— Bardzo śmieszne. Nie mam drobnych. Wyłącznie dwusetki.

Roześmiał się. Miał białe, równe zęby. Ładnie się śmiał. Wolałabym, aby nie był ani panem Wtyczką, ani Wścibskim. Wolałabym, żeby był panem Kumpelskim. Życie pokaże, kim jest.

— Mam prośbę do pana. Potrzebuję jutro szpachelki oraz młotka.

— Pani potrzebuje lekarza!

— Szpachelki oraz młotka. Ekspresowa Dorzuci je pan do mego wyposażenia?

— Nie podoba mi się to, co pani zamierza. Dodam jeszcze ze trzy domestosy. Trzy toalety, trzy domestosy. Po jednym do każdego. Wyżre do czysta.

— Szpachelka, młotek i trzy domestosy. Okej? Chyba że życzy mi pan, abym wpadła w szpony Kunegundy Wspaniałej.

— Niech będzie! — Naprawdę, powinien się często uśmiechać. Całkiem przystojny z niego facet. Pomachał mi ręką, odjeżdżając.

Odoczywałam co dwa stopnie. Trochę czasu minęło, nim pokonałam sześćdziesiąt sześć. Wiem, ponieważ liczyłam. Stawiając nogę na tym sześćdziesiątym szóstym, dotarcie do własnych drzwi uznałam za pestkę. Myliłam się. Przestrzeń od końca schodów do moich drzwi rozciągnęła się niczym guma do żucia. Szłam i szłam. Już nie słabość w kolanach mnie paraliżowała, lecz strach. Bałam się. Boże, jak ja się bałam swego syna. I miałam rację, że się bałam.

Wychylił głowę ze swego pokoju. Prychnął.

— Co to za fagas? Poderwałaś faceta? Ha ha ha! Powiem tacie, że się szlajasz z byle kim. Już wiem, czemu wyrzuciłaś tatę. Czemu najpierw tak się kłóciliście. Dawałaś dupy każdemu, kto na ciebie poleciał. I tata miał tego dość. Spakował walizki i uciekł od ciebie.

Nie wiem, jak to się stało. Ale stało się. Podeszłam do Szymka. Uderzyłam go za tę dupę i nie tylko za dupę mocno w twarz.

Chwycił się za policzek. Jego rzęsy zatrzepotały. Boże, co ja zrobiłam? Od czasu do czasu wrzeszczałam na niego, lecz nigdy dotąd, przenigdy, ani razu nie wymierzyłam mu nawet małego klapsa. A teraz uderzyłam swego syna w twarz.

Nie wybaczy mi. I słusznie. Nawet jego obelżywe słowa nie usprawiedliwiały tego, co zrobiłam.

A rzęsy syna wciąż trzepotały.

Szymek wybuchnął głośnym, rozpaczliwym płaczem. Zaraz krzyknie: „Nienawidzę cię!”. Nie krzyknął. Płacząc, wycofał się do swego pokoju. Na kolację nie przyszedł. Zabrakło mi odwagi, aby go zawołać.

Boże, przecież musi coś zjeść! On rośnie! Wszystko zniosę tę dupę też, lecz niech wreszcie wyjdzie z pokoju! Boże, już ciemno! Nawet lampy nie zapalił. Boże, i lekcje nieodrobione!

Muszę wejść. Zobaczyć, co on tam po ciemku robi. Serce moje, proszę cię, ucisz się.

Ostrożnie pchnęłam drzwi. Padające od ulicznej latarni światło ukazało zwinięte w kłębek ciało mego syna. Podeszłam bliżej.

Spał. Mój Boże, musiał długo, bardzo długo płakać. Powieki miał opuchnięte. Usta wciąż wygięte w podkówkę jak u małego dziecka. Boże drogi, przecież to zaledwie jedenastoletni chłopczyk. Mój chłopczyk. Mój, a ja go tak skrzywdziłam.

## Rozdział czternasty

Nim ugotowałam obiad na następny dzień, wybiła północ. Było mi zimno. Byłam jednym, wielkim wyrzutem sumienia. Uderzyłam swoje dziecko w twarz. Przepraszające przemówienia wirowały mi w głowie. Zaczynały się od: „Wybacz synku”. I kończyły długim wielokropkiem. Oraz znakiem zapytania. Bo co dalej? Jakich słów użyć, aby to wybaczenie uzyskać? Nie wiedziałam. Uderzyłam swoje dziecko w twarz i żadne słowa nie usprawiedliwią tego faktu. Syn rozplakał się nie tyle z bólu, co z upokorzenia. Gdybym mu w złości wtukła gdzie popadnie, sprawiłabym mu wyłącznie ból fizyczny. Ten psychiczny był nie do wybaczenia.

Odtąd nie opuszczą mnie ani poczucie winy, ani strach o to, czy Szymek w akcie odwetu nie ucieknie z domu. Lub nie zacznie wagarować. Przestanie się uczyć. Albo zamknie się w swoim pokoju na klucz i ogłosi strajk głodowy. Nie wiem zresztą, jak się zachowa. Wiem jedno: uderzyłam jedenastoletnie dziecko w twarz. I tego sama sobie nigdy nie wybaczę.

Skoro sobie nie wybaczę, nie mam nawet prawa prosić syna o wybaczenie. No cóż. Zniszczyłam resztki nędznej nadziei na usłyszenie słów „mój kochany mamełku” i ciepło obejmujących mnie ramion mego dziecka.

O pierwszej w nocy wmusiłam w siebie szklanek mleka i kromkę chleba z masłem. Zrobiłam dwie kanapki. Więcej nie wolno mi mdleć. Kunegundą Wspaniałą, Miss Grażyna, nauczycielki przestały mnie interesować. Nawet trzy panie woźne, z rozumiejącą tak wiele panią Marią na czele, również. Wysprzątam w ciągu tygodnia do błysku parter i wypowiem pracę. Akurat tydzień pracy pokryje daną mi przez panią Czesię zaliczkę. Muszę wierzyć, że w ciągu najbliższego tygodnia Szymek nie ucieknie. Będę go gnębiła na każdej przerwie głuchymi telefonami. Idiotka! Przecież jemu się wyświetli, kto dzwoni. I po prostu wyłączy komórkę. Zaraz, zaraz... Poproszę panią Czesię. Zwrócę jej za połączenia. Wtedy Szymek nie zidentyfikuje głuchych telefonów... Zacznę go śledzić. Szymek do szkoły, ja za nim... Jeśli nie do szkoły, też za nim... I co potem? Nie wiem... Nieważne. Nie spuszczę z niego oka. Gdzie on, tam i ja. Co przez to osiągnę? Nie wiem, nie wiem. W każdym razie będę wiedziała, że jest, żyje i nic mu się nie stało.

Dozorca na mój widok jęknął.

— Kochaniutka, jeszcze nie ma drugiej! U pani pod sufitem całkiem nierówno!

Nie chciało mi się gadać. Wzruszyłam ramionami. Pobiegłam do toalety po atrybuty woźnej. Szybko, szybko. Szorować, sprzątać. Im szybciej, tym lepiej.

— Całkiem nierówno pod sufitem. — Dozorca przyłazł za mną i się przeżegnał.

— Niech pan wraca do swojej tłusciutkiej pierzynki i się odpieprzy — warknęłam.

Powinien się obrazić, ale nie.

— Nie pasują do pani takie słowa.

— Jakie znowu słowa? — chlusnęłam wodą z płynem kwiatowym na podłogę, po czym chwyciłam za mopa.

— „Odpieprzy się” i takie inne. Pani nawet w worku nie będzie wyglądać na woźną. Znam się na ludziach.

— Panie, może mnie pan nie dręczyć? Spieszę się...

— I tak ta wiedźma pani przed drugą ze szkoły nie wypuści. Do czego się spieszyć? Robota nie zając, nie ucieknie. Idzie pani do mnie. Cała w dygotach, w wypiekach. Mam herbatę w termosie. Dobre kanapki.

— Boże, człowieku, zmiłuj się. Pan niczego nie rozumie. Spieszę się!

— Pani się nie spieszy. Pani ucieka. Od nieszczęścia się nie ucieknie. Z nieszczęściem trzeba walczyć.

— To widać? — przestraszyłam się.

— Jak kto człowiek to zobaczy. Taka dyrektorka — jej się pani może nie obawiać, nie zobaczy. Taka leżącego minie i nie przyuważy. Ja tam widzę. Po oczach. Po tym paninym dygocie. Da pani — wyjął mi mopa z rak. — Pomogę. Chłop jestem. Nie takie chucherko jak pani.

Nie zdzierzyłam. Rozplakałam się. Dozorca udał, że nagle ośleplł oraz ogłuchł. Posuwał mopem po podłodze, jakby go ktoś ścigał. Nie odwracając głowy, krzyknął:

— A pani do mojej kanciapy! Przykryć się kocem i wypoczywać! Najlepiej zdrzemnąć się. Sen to dobre lekarstwo. Zapomina się o kłopotach... Do szóstej wysprzątam nawet i hol. I bez dziękowania! — huknął, po czym uśmiechnął się wszystkimi zmarszczkami swojej starej, pewno sześćdziesięcioletniej twarzy. — Będzie dobrze, zobaczy pani. Ułoży się. Trzeba wierzyć. Zaufać Bogu. On wie, co dla kogo najlepsze.

Kanciapa nocnego dozorca ogarnęła mnie ciepłem i zapachem wędzonki. Dziwne. Poczułam głód. Pożarłam kanapki z boczkiem. Popiłam herbatą z termosu. Wtuliłam się w fotel. Przykryłam kocem.

Byłam przekonana, że nie zmrużyłam oka. Nie rozumiałam, dlaczego ktoś mną szarpie. Lekko, ale szarpie. Przede mną stał uśmiechnięty stróż nocny.

— Trza się obudzić. Ale pani spała. Jak kamień. Spokojnie, spokojnie. Wszystko gra. Szatnię otworzyłem... Hol, schody, korytarze na błysk. Niech się pani ogarnie. Pójdzie umyć twarz. Po co kto ma wiedzieć, że i przez sen płakała? Są i tacy, co się cieszą z cudzego nieszczęścia.

Objęłam go. Pocałowałam w kłujący szczecinią policzek

— Jutro nie przychodź tak wcześnie, kobieto. I tak nie mam nic do roboty. Wezmę od Daniela drabinę, obmyję tę zdychającą zieleninę, co ją nasza dyrektorka nazywa palmiarnią czy jakoś tak... Bez urazy, że ja tak na „ty”, jak do własnej córki...

Ucałowałam drugi szczeciniasty policzek.

— Chciałabym mieć takiego tatę jak pan.

— Bóg nas szcudrze obdarzył córkami. Sześć dziewczyn i ani jednego chłopaka — westchnął.

Pocałowałam go raz jeszcze, potem szybko chwyciłam za odkurzacz i pobiegłam do Kunegundy. Śmieciara. Wczoraj wyczyściłam tu wszystko, a dziś cały dywan opluty pestkami słonecznika. Niektóre wbite tak mocno, że musiałam wydłubywać je palcem. Trochę mi zeszło na tej zabawie. Zignorowałam sekretariat. Miss Grażyna chyba wyglówkowała, że lepiej mi nie deptać po odciskach. Na jej biurku panował idealny porządek. Kosz na śmieci wyłożony był nowym workiem foliowym. Miss musiała dostać niezły wycisk od Kunegundy, że własnymi rączkami sprzątnęła biurko, a nawet poniżyła się do wyniesienia śmieci. Dobra. Szybko obmiotę pokój nauczycielski, potem otworzę drzwi do szatni i zadzwonię do Szymka. Jeżeli nie odbierze, ściągnę fartuch i pobiegnę go szukać. Bez względu na konsekwencje nieusprawiedliwionego porzucenia stanowiska pracy.

Warczałam odkurzaczem niczym wściekły pies. Nie zauważyłam wejścia pani Marii.

— Chwała Bogu, kobieto. O wiele lepiej dziś wyglądasz. Przyjdź po dzwonek. Przyniosłam ci coś na wzmocnienie.

Uśmiechnęła się serdecznie wszystkimi swoimi zmarszczkami. No i mam problem. Bo jeżeli syn nie odbierze, muszę stąd natychmiast wybyć. A nie skorzystać z zaproszenia pani Marii znaczy tyle samo, co ją obrazić.

— Przyjdę, pani Mario. O ile mnie Kunegundą nie wezwie na dywanik — odpowiedziałam dyplomatycznie.

— Za co? Cały parter aż lśni. Nie daj się, dziewczyno.

— Nie dam się.

Dobra. Pokój nauczycielek miałam z głowy. Kunegundą nadal nieobecna. Miss Grażyna również.

Palce mi drżą. Serce wali. Wybrałam numer syna. Nie odbiera. I słusznie. Też bym na jego miejscu nie odbierała. Nagłe „czego?”, rozbrzmiewające w słuchawce, zaparło mi dech w piersiach, zaś radość, że jednak odebrał, pozbawiła

rozumu. Gotowa byłam lecieć do niego, tak jak stałam. W kapciach, opasana fartuchem.

— No, czego?

— O Boże...

— Stara, gadaj po ludzku. Idę do budy. Śniadanie zjadłem.

Chałupę zamknąłem.

— Synku...

— Odwal się. Nienawidzę cię.

Och, dobry Boże, jakie to szczęście: nienawidzi mnie! Mówi: „Odwal się”.

— I nie dzwoń. Wczoraj Wydra odbierała wszystkim komory na pierwszej lekcji.

Rozłączył się. Rzuciłam się do łazienki, by ostudzić płonąca twarz zimną wodą, lecz za plecami usłyszałam gniewny głos Kunegundy.

— Do gabinetu, proszę!

Matko, a ta czego? Wydłubałam z dywanu wszystkie wyplute pestki. Kurze wytarte. Kwiatki podlane.

— Moja pani — odezwała się Kunegunda, zajmując miejsce na swoim dyrektorskim tronie i, swoim dostojnym zwyczajem, patrząc na mnie jak na krzesło z powyłamywanymi nogami, które należałoby wyrzucić na śmietnik, rozpoczęła przemówienie. Dowiedziałam się, że ona wymaga od swoich pracowników niższego szczebla (czyli poddanych) przyzwoitego wyglądu. Mój uznaje za nieprzyzwoity. Mam albo ściąć włosy, albo chować je pod chustką. Wymaga także moralnego prowadzenia się. Mój uważa za niemoralny. Pani profesor Barbara Niezgoda na własne oczy widziała wczoraj, jak mnie sprawiającej wrażenie niekiepsko wlanej, bo słaniającej się na nogach, konserwator prowadził do swojego samochodu i czule obejmując, odjechał wraz ze mną w niewiadomym kierunku. Ona, Kunegunda, bardzo żałuje, że pani profesor była świadkiem TAKIEGO NIEDOPUSZCZALNEGO WYBRYKU.

— Miała pani szczęście. Gdybym TO ja była na miejscu pani profesor Barbary Niezgody, wezwałabym policję. Alkomat wykazałby niezbicie liczbę promili w wydychanym przez panią powietrzu. Co automatycznie spowodowałoby dyscyplinarne zwolnienie! Na razie otrzymuje pani naganę ustną.

Uznałam, że to koniec przemówienia i mogę odejść z sali tronowej. Nie mogłam,

— To nie wszystko, moja pani. Sekretarka złożyła skargę. Pani Grażynka, mimo pewnych niedociągnięć, bardzo się stara. Pani Grażynka ma maturę. Czy to jest jasne?

— Tak jest, pani dyrektor.

— Pani skończyła zaledwie pięć klas podstawówki. Zgadza się, moja pani?

— Tak jest, pani dyrektor.

— Kpi pani sobie ze mnie? Proszę przestać z tym „tak jest”. To jest szkoła, nie poligon wojskowy!

— Tak jest, pani dyrektor.

— Zaraz wyrzucę panią za drzwi! Rozwiążę umowę o pracę!

— Brak podstawy prawnej — zauważyłam. Byłam radosna jak skowronek wylatujący pod niebo. Mój syn odezwał się do mnie! Zjadł śniadanie, chwala Bogu! Nie uciekł, lecz poszedł do szkoły! Więc co mi tam Kunegunda! Niech ją szlag.

— Na prawie to ja się znam, moja pani! — wrzasnęła Kunegunda. — Nie będzie mnie pouczał ktoś, kto ledwo czyta i pisze!

— Audaces fortuna iuvat— odpowiedziałam. W końcu na historii sztuki łacinę zaliczyłam na pięć.

— Pani bredzi, moja pani! Jaka fortuna? Wygrała pani w totolotka? — w głosie Kunegundy zabrzmiał ton hysterii. Biedaczka. Ale sama chciała. Wręcz prosiła się.

— Wergiliusz. Eneida — wyjaśniłam.

— Nie znam! — rzuciła wyniośle Kunegunda. — Nie czytam komiksów.

— Ja też nie, pani dyrektor. Audaces fortuna iuvat znaczy dokładnie, że odważnym szczęście sprzyja. Wergiliusz, cytat z eposu heroicznego o pochodzeniu Rzymian pod tytułem Eneida. Publius Vergilius to wybitny poeta rzymski. Kształcił się w Cremonie, Mediolanie oraz Rzymie. Był przyjacielem innego wybitnego poety, Horacego...

— Dość tych popisów! — zapiszczała Kunegunda. — Kim pani jest, do diabła?

— Woźna, pani dyrektor. Pozwolę sobie wyjaśnić, już bez uciekania się do żadnych poetów, nawet polskich, że nie należy osadzać ludzi na podstawie wykonywanej przez nich pracy. — Teraz ja wygłaszałam przemówienie. Kunegunda chwyciła się za gardło i dostała wytrzeszczu oczu. — Pracownik fizyczny niekoniecznie musi być matołem, pani dyrektor. Ktoś, jak ja, z niepełnym wykształceniem podstawowym nie musi być pijaczka oraz, bez eufemizmów tym razem, pani dyrektor, zwykłą puszczałką. Pan konserwator nie obejmował mnie czule, lecz troskliwie, a to chyba zasadnicza różnica. Po prostu wczoraj zasłabłam, pani dyrektor. Stąd mój chwiejny krok. Szkoda, że pani profesor Niezgoda zauważyła jedynie ten krok, natomiast nie spostrzegła ani moich obandażowanych dłoni, ani tego, że jestem trupio blada. Lecz skoro woźną prowadzi pod rękę mężczyzna, po czym odwozi ją w niewiadomym kierunku, to z pewnością owa woźna jest kobietą złego prowadzenia się. Zapewne się pani zdziwi, pani dyrektor, lecz powiem tylko, że mam liczne zainteresowania. Oraz



zdolności do języków obcych. Zdarzają się takie wybryki natury. Oglądała pani może film biograficzny Piękny umysł o Johnie Forbesie, laureacie Nagrody Nobla, amerykańskim geniuszu matematycznym, a równocześnie schizofreniku? Też wybryk natury.

— Pani... pani kłamie! — przerwała mi, przytomniejąc gwałtownie, Kunegundą. — Pani ma skończoną podstawówkę! Maturę! Studia!

— Pani dyrektor. To jest nieistotne: mam czy nie mam.

— Istotne! — krzyknęła już całkiem oprzytomniała Kunegundą. — Nie zatrudniłabym wtedy pani w mojej szkole! Mnie potrzebna jest woźna, a nie osoba znająca łacinę!

Cholera, za daleko zabrnęłam w pogńębieniu Kunegundy! Trzeba teraz odszczekiwać. Pokajać się.

— Pani dyrektor, przyznam się z pokorą, wprowadziłam panią w błąd. Tyle tej łaciny czy francuskiego, ile znalazłam w jedynej książce, jaka kupił mój świętej pamięci mąż. Skłamałam. Nie był glazurnikiem. Był architektem, który popełnił mezalians. Ożenił się ze mną nie z miłości, lecz z obowiązku — mówiłam i obserwowałam powracające na twarz Kunegundy zadowolenie. — Wstydział się mnie. Owszem, kupował mi drogie oraz eleganckie ubrania. Nauczył mówić „jestem” zamiast „jezdem”. Posługiwać się sztucami. Lecz w towarzystwie... Sama pani rozumie...

— Oczywiście, moja pani — uśmiechnęła się zwycięsko Kunegunda. — Stąd ten Słownik wyrazów obcych Kopalińskiego.

— Tak jest, pani dyrektor. Dokładnie. Potrafię mówić poprawną polszczyzną, bo mnie mąż jej nauczył, ale żeby pani widziała, jakie sadzę byki ortograficzne!

— Świetnie, świetnie — ucieszyła się Kunegunda i skinęła dłonią. — Może pani odejść.

— Pokorne dzięki, pani dyrektor.

Opuściłam królewski apartament z niskim ukłonem i wewnętrznym chichotem. Na razie ze strony Kunegundy mam zapewniony spokój. Nawet mnie nie opieprzy za to, co mam zamiar zrobić. Kunegunda swoje potrzeby fizjologiczne załatwiała w oddzielnym kiblu zamykanym na klucz. Nie dziwiłam się temu. Na jej miejscu też wolałabym mieć własny kibełek. Jak dotąd, nie dostąpiłam zaszczytu sprzątnięcia tego drugiego dyrektorskiego, intymnego tronu. Przyznaję, że go przez drzwi obwąchiwałam. Mój nader wrażliwy nos nie załapał przykrego zapachu. Dziwne. Kto sprząta ten tron? Bo na pewno nie Kunegundą. Jest na to zbyt Wspaniała.

Przez dwie kolejne godziny lekcyjne szorowałam trzy kabiny w toalecie. Najwięcej pracy było z brudnymi kiblami. Podchodziłam do nich po raz drugi.

Pierwszy przyniósł efekt, lecz wyłącznie w postaci wżerów na moich rękach. Teraz, w dwóch parach gumowych rękawiczek, przy pomocy szpachelki tudzież młotka, otrzymałam szansę pokonania odłożonych na wewnętrznej powierzchni muszli pokładów. No, wiadomo, jakich pokładów. Nic dziwnego, kible były niesprzątane od miesiący. Kiedy już skułam to, co trzeba, doczyściłam domostosem, łącznie z kafelkami, które, okazało się, miały piękny jaspisowy kolor, odświeżyłam powietrze aerozolem o zapachu wonnej cytryny i gdy kible pań z tytułami magisterskimi wyglądały jakby dopiero co przywieziono je ze sklepu, poszłam do sekretariatu. Miss Grażynę wyraźnie zatrwożył mój widok. Jeszcze bardziej przestraszyła ją moja prośba o trzy kartki, długopis i taśmę samoprzylepną, chociaż wszystko wyartykułowałam w rodzimym języku.

— Po co to pani? — zapytała.

— Potrzebne i już.

Z niechęcią spełniła moją prośbę. Na parapecie okiennym w toalecie wykaligrafowałam, co następuje:

Upszejmie dopraszam się, coby panie nauczycielki były upszejme zawijać swoje podpazki chigieniczne w papier tualetowy i w takiej postaci wzucać do kosza. Bedem wdzięczna. Z powarzaniem. Pani woźna.

Zrobiłam chyba wystarczającą ilość błędów ortograficznych, aby usatysfakcjonować Kunegundę, łagodząc równocześnie jej słuszny gniew, że półanalfabetka ośmiela się zwracać uwagę ciała pedagogicznemu z tytułami magisterskimi. Oczywiście, żeński rodzaj poczuje się obrażony i trafi go szlag. Oczywiście, moje kartki zostaną zerwane, zgniecione, oplute, zmiażdżone, a nawet spalone, a popioły po nich spuszczone z wodą w doprowadzonych do nowości kiblach. Lecz skutek, jakiego się spodziewam, przyniosą. Więcej nie znajdę ani jednej zakrwawionej podpaski marki Always ze skrzydełkami. Ciekawe, która to z pań magisterek jest tak obrzydliwym flejtuchem?

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku usiadłam na schodach i jadłam śniadanie, obserwując uważnie reakcję korzystającego z toalet rodzaju żeńskiego.

Bingo! Wysoka blondynka, ta, która nigdy nie oglądała na oczy woźnej z komórką, wypadła z toalety jakby ją goniło stado lwów. Machała moją kartką. Pokrzykiwała: „Coś podobnego! My jej! My ją! Coś podobnego!”. I z owym okrzykiem wpadła do pokoju nauczycielskiego.

Nastąpiła chwila ciszy. No tak, musiały przeczytać i przetrawić to, co wyjątkowo niestrawne. Następnie wybuchł zgiełk. Zupełnie jakbym słuchała transmisji radiowej z obrad Sejmu. Zgiełk trwał. Nagle drzwi od pokoju nauczycielskiego otworzył tajfun w postaci trzech pań z wysoka blondynka na czele. Wypadły i powiewając moją kartką, pobiegły prosto do sekretariatu. Reszta

rodzaju pedagogicznego z równą furią zaatakowała toalety. „Coś podobnego” z wykrzykalikarni fruwało po korytarzu wspomagane dartymi na strzępy kartkami. Trudno. Pozamiatam. Cel uświęca środki. Niezawinięte podpaski są nie do przyjęcia. Sony. Naprawdę, bardzo mi przykro. Przez dwa dni opróżniałam kosze. Wyszorowałam je. Wypachniłam. I znowu podpaski! Ja rozumiem: grono pedagogiczne rodzaju żeńskiego jest liczne. Z pięćdziesiąt pań przed przekwitaniem. Kosze niezbyt duże. Lecz, drogie panie, to nie znaczy, że woźna tudzież śmieciarze mają wiedzieć, że panie jeszcze nie przekwitły.

Delegacja na czele z wysoką blondynką opuściły sekretariat. Dzwonek na lekcje wezwał całe grono nauczycielskie do klas.

Teraz moja kolej.

Miss Grażyna z pewną obawą oraz utrzymując bezpieczną odległość, jakby mi wyrosły zęby Drakuli, którymi wpiję się w jej szyję, słabym głosem oznajmiła, że pani dyrektor prosi mnie do swego gabinetu.

Kunegundą musiały targać sprzeczne uczucia. Radość, jaką jej sprawiły moje błędy ortograficzne, mieszała się z gniewem, że ktoś sadzący takie byki zwraca uwagę jej personelowi, oraz satysfakcją, że afera nie dotyczy jej osoby.

— Moja pani — Kunegunda wskazała na kartkę. — Grono pedagogiczne jest oburzone pani wybrykiem. Ja również. To ma się więcej nie powtórzyć!

— Mam nadzieję, że się nie powtórzy — odpowiadając, liczyłam na inteligencję Kunegundy. Powinna załapać, o co mi chodzi. Załapała.

— Ja również, moja pani. Ja również.

Niebypałe! Kąciki wąskich usta Kunegundy drgnęły, jakby z trudem powstrzymywały śmiech. Rany boskie! Kunegunda doskonale wiedziała, czym pedagogiczny rodzaj żeński ozdabia swoje toalety, lecz krępowała się zwrócić im uwagę. Lub rozumowała w podobny sposób jak wszyscy: woźna posprząta!

— Mogę odejść?

Skinęła przyzwalająco dłonią. Może to halucynacje, jednak zamykając za sobą drzwi, wydało mi się, że słyszę chichot Kunegundy. Oj, chyba nie przepadała za swoim gronem pedagogicznym? Ale czy ona za kimkolwiek przepadała? Kogokolwiek darzyła sympatią? Te pytania, jak na razie, pozostaną bez odpowiedzi. Dwa fakty wszak pozostały dla mnie oczywiste. Pierwszy: ostatecznie przekonałam Kunegundę, że jestem półanalfabatką. Drugi: zyskałam bardzo wielu wrogów. Dokładnie tylu, ile liczy sobie grono pedagogiczne. E, tu przesadzam. Tylko tych pań magisterek które... No, wiadomo co robiły. Reszta dołączy się do nich ze zwykłego poczucia solidarności, lecz w głębi ducha będzie podobnie zadowolona jak Kunegunda. Jednak strategię zwalczania woźnej ustali całe grono. Trudno. Jakoś przeżyję. Nie jestem w tej szkole sama. Mam

przyjaciół. Panią Czesię. Pana dozorcę. Panie woźne piętrowe. Czy pan Daniel zalicza się do przyjaciół? Muszę go najpierw rozszyfrować. Wolałabym, żeby się zaliczał... Taki ma ładny uśmiech... Katarzyno! — upomniałam się w myślach. — Chyba nie zamierzasz powiedzieć, że ci się podoba? Nic o nim nie wiesz. Pewno żonaty i dzieciaty. Zapomnij! Wielu po świecie łązi facetów z ładnym uśmiechem. Uśmiech twego męża zwał się swoim urokiem z nóg. Dałaś się powalić i teraz ponosisz konsekwencje. O Boże, ale dzięki temu mam syna... Który cię nienawidzi. Którego wczoraj uderzyłaś. Ale jednak odebrał twój telefon. I co z tego? Uważasz, że zdążył o wszystkim zapomnieć? Skąd wiesz, że po szkole wróci do domu? Do ciebie? I z czego ty się cieszyłaś, głupia? Boże, spraw cud. Niech wróci. Niech trzaska drzwiami. Niech mnie obraża co słowo. Wszystko zniosę. Wszystko. Tylko niech wróci.

Nagle go zobaczyłam, tego mego synka. Chudziutki jest. Niewysoki. Wychodzi ze szkoły. Mija nasz blok. Idzie dalej. Przed siebie. A dalej, Jezus Maria, taka ruchliwa ulica, Zgierska. Tramwaje, samochody, pędzą, gnają, bo i z górki, i przystanek długi, dopiero przy Ogrodowej. Chodniki wąskie. Tłum ludzi. Mój synek ginie w tym tłumie jak w głębokiej rzece. Popychają go. Jest zbyt chudziutki, żeby się obronić.

O Boże, synku! Tylko nie do Parku Śledzia! Wszędzie, tylko nie tam! Do parku Śledzia nawet w ciągu dnia policja boi się zaglądać. Park Śledzia obejmują we władanie zaćpani, ogoleni na łyso skinheadzi, dresiarze z pałami bejsbolowymi polujący na nieznanym terenie naiwnych ludzi, a zwłaszcza na takich jak ty, synku, malutkich, chudziutkich chłopaczków, których można skopać, zbić pałami, zabrać komórkę, zegarek również adidas, synku, bo twoje są markowe, więc błagam cię, nie uciekaj przed tłumem przechodniów w wyludniony park! O Boże! Muszę lecieć pod szkołę, teraz, natychmiast, bo ty zaraz kończysz lekcje...

— Kaśka? Znowu osłabłaś? Ej, Kaśka! Pani Mario! Niech pani idzie! Weźmie ją pod jedną pachę, ja pod drugą... Dobra. Kaśka! Nie zapieraj się. Od tej roboty nie dla ciebie w głowie ci się miesza. Co ty gadasz? Jaki park znowu? W szkole jesteś.

Rzeczywiście: w szkole. Ale Szymek.. Muszę do Szymka...

— Kaśka? Żeby tak wariować z powodu byle chłopca? — narysowane czarną kredką brewki piersiastej, krzepkiej Miśki wyrażały dezaprobatę. — Kobieto, jęknij ten, to inny... Chłopów pod dostatkiem. Ja tam w nich przebieram jak w ulegawkach....

Usadziły mnie w kanciapie na pierwszym piętrze. Ładnie nawet. Czyściutko. Stolik przykryty ceratą. Sztuczne kwiatki w musztardówce. I pachnie. Jakby

miodem. Ale ja nie mogę zostać. Szymek kończy lekcje. Muszę zdążyć, nim skończy.

Czatować pod szkołą. Wizja Szymka kopanego przez dresiarzy tkwiła w mojej głowie. Realistyczna, okrutna. Jego wątłe, chudziutkie ciało podrygiwało wraz z kopniakami; chudziutkie rączki osłaniały głowę; strumyk krwi ściekał po brodzie. O Boże, puśćcie mnie! Muszę do Szymka!

— Szymek to twój syn, prawda? — zapytała pani Maria. Więc wybuchnęłam lawiną słów. Ze syn, tak, syn! Jedenastolatek. Niewysoki, wątły. Chce uciec ode mnie. Właśnie zaraz kończy lekcje. I ja muszę natychmiast pod szkołę...

— Miśka. Leć po pana Daniela. Dziewczyno, będzie dobrze, zdążysz. Tu masz miód. Mówiłam ci rano, że mam prezent. Na wzmocnienie. Trzymaj. Przestań dygotać. Wymkniesz się przez szatnię. Nikt nie zauważy.

— Pani Mario — zaprotestowałam. — Wezmę taksówkę.

— Taka jesteś bogata? Siedź cicho! Słuchaj się starszej! Mogłabyś być moją córką.

Miśka wbiegła, ciężko dysząc.

— Walicki czeka. Tu masz swoje klamoty. Kaśka, dokąd? Przebierz się wpierw. Zrobisz obciach synowi, pokazując się przed szkołą w fartuchu i łapciach.

## Rozdział piętnasty

O nic mnie, poza adresem szkoły Szymka, nie zapytał. Milczał. Ja też. I tak zbyt dużo nagadałam. Zbyt dużo i niepotrzebnie. Jadąc klekoczącym polonezem, pojęłam, że dam plamę, jeżeli Szymek zobaczy mnie czyhającą pod szkołą. Zastanawiałam się, jak powiedzieć panu Danielowi, że chcę wysiąść wcześniej.

Nie musiałam. Telepata czy jasnowidz? Wysadził mnie dwa bloki za szkołą. Nim zdążyłam wydukać: „Dziękuję”, zawrócił i odjechał. Obraził się? Za co? E tam, do diabła z nim! Musiałam dać dyla do najbliższej klatki schodowej, ponieważ mój syn biegł truchcikiem w kierunku naszego bloku. Boże kochany, jaki blady! To nie puszystość jego długich, dziewczynskich rzęs kładła się cieniem pod oczami! To ślady po długotrwałym, nocnym płaczu. Moje poczucie winy sięgnęło kosmosu. I ta straszliwa bezradność, że niczego nie mogę naprawić, bo wszystko popsute, połamane, zniszczone.

Bardzo się spieszył. Tak śmiesznie, tak dziecinnie drobił kroki. Torba podskakiwała mu na plecach. Synku, nie uciekaj, proszę!

Pędem minął kolejny długi blok. Teraz jest nasz. Synku, zatrzymaj się, dokąd tak gnasz? Zatrzymaj się. Wyciągnij klucze. Panie Boże, zmiłuj się nade mną! Zamknę oczy. Nie chcę, nie mogę patrzeć, jak mój syn gna przed siebie, byle dalej od domu!

Spójrz prawdzie w oczy: ucieka od ciebie! Od ciebie!

Długo tak masz zamiar użalać się nad sobą? Nad nim się użalaj. Jego skrzywdziłaś. Goń go. Bo zniknie ci naprawdę w tłumie przechodniów! Wtedy będziesz musiała zawiadomić policję. Na policji zadadzą ci podstawowe pytanie: „Dlaczego uciekł?”. Co odpowiesz? Zwalisz winę na faceta, który twego syna spółdził, lecz poza nazwiskiem niczego mu nie dał? Na faceta, który trzy lata temu zostawił cię z synem? Powiesz, że nie znasz jego adresu, bo zagubił się na Wyspach Albionu tak dokładnie, że nawet ambasada nie potrafi go namierzyć? Kobieto! Czy widzisz to spojrzenie, jakim cię obrzuca spisujący protokół policjant? Ono mówi: „Niezłe jesteś ziółko, babo. Mąż uciekł, gdzie pieprz rośnie, ponieważ dawałaś mu popalić, babo. Teraz syn nawiał. Znaczy: nie nadajesz się na matkę. Znaczy: należy zawiadomić opiekę społeczną. Odebrać ci prawa rodzicielskie”.

Nigdy. Niedoczekanie!

Wyrwałam się do przodu. I zamarłam w pół kroku. Szymek mozolił się z zamkiem przy drzwiach na klatkę. Więc nie uciekał?

Spieszył się do domu? Dlaczego spieszył się do domu? Biegł, drobiąc krocзки, niezdarnie, żałośnie. Biegł szybko, jakby kogoś goniąc. Kogo gonił? Boże, a może

Szymek postanowił skończyć z sobą? Nie jest głupi. Zrozumiał okrutną wymowę albumu. Potem go uderzyła. Ani taty, ani mamełka. Sam. Sam. Ukochany tata go nie kochał. Mamełek go walnął w twarz. Gdzieś daleko babcia Pola. Za daleko. Nie pocieszy. Nie przytuli. Więc po co żyć?

Wpadłam do mieszkania, krzycząc:

— Szymek! Synku! Nie rób tego! Nie rób!

Potknęłam się o rzuconą na podłogę torbę. Potem potknęłam się o adidasy Szymka. Usłyszałam:

— Czego mam nie robić?! Odgrzewać obiady? Zwariowałaś? Nienawidzę cię.

Krzętał się po kuchni, odwrócony do mnie plecami. Mieszał w garnku klopsiki w sosie pomidorowym. Wczoraj, a może dziś rano, na wpół przytomna ugotowałam mu jedno danie. Ani zupy, ani surówki, ani deseru. A on taki chudziutki. I nie miał zamiaru uciekać! Był głodny i dlatego tak się spieszył do domu! Do tych klopsików! Co za radość! Mój syn w kuchni miesza w garnku, żeby się te klopsiki nie przypaliły! Banalna czynność, której zazwyczaj nie zauważasz, bo taka zwyczajna, teraz staje się źródłem twojego niewypowiedzianego szczęścia. Oto Szymek stoi, miesza łyką w garnku, jest — i gdybyś tylko miała prawo podejść, pogłaskać go po tych chudziutkich plecach ze sterczącymi łopatkami, ale nie masz, sama je sobie odebrałaś, więc każdy ruch łychy odbierasz jako wyjątkowy, niepowtarzalny i jedyny. Boże, jestem w takim stanie uniesienia, że i okrzyk „nienawidzę”, przyjmuję jak wyznanie uczucia: „kocham cię, mamó”.

— Wynoś się, stara!

Och, synku, daj przez chwilkę popatrzeć na siebie. Przez krótką, króciutką chwilę. Przecież wiem, jak wielką wyrzuciłam ci krzywdę. Nie proszę o wybaczenie. Popatrzę na ciebie i zaraz sobie pójdę.

— Wynoś się! — wrzasnął. Jego wąskie ramionka skuliły się. — Bo wywalę te twoje pieprzone klopsiki do kibla! Ugotowała mi klopsiki, zapominając, że nie cierpię klopsików, po sosie pomidorowym rzygam!

Od kiedy? Dotąd zajadał się klopsikami, natomiast sosem pomidorowym polewał nawet naleśniki z serem.

— Już się wynoszę, synku.

— Nie nazywaj mnie synkiem!

— Okej, Szymek. Nie będę.

— Szymkiem też nie!

— To jak?

— W ogóle nie odzywaj się do mnie!

— Dobrze. Nie będę.

— Jak nabiorę mięśni, walnę cię tak jak ty mnie, stara!

— Dobrze, walniesz.

Zgadzałam się na wszystko, szczęśliwa, ponieważ już wiedziałam: Szymek planuje swoją przyszłość ze mną. Chce nabrać mięśni, bo chce mnie walnąć. Niech walnie. Nie szkodzi. Najważniejsze, że jest. Nie zamierza uciekać.

— Cholera! — wrzasnął. — Przez ciebie przypaliły się moje ulubione klopsiki! Ruchy, stara, ruchy! Wynocha z kuchni.

Wciąż jeszcze pełna euforycznej radości zostawiłam syna z klopsikami, przenosząc się do salonu i cierpliwie czekając, aż kuchnia będzie do mojej dyspozycji. Od dawna nie czułam tak wściekłego apatyty. Rozpierającej energii życiowej. Boże, szkołę doprowadzam do błysku, a w moim własnym mieszkaniu nagromadziły się pokłady kurzu. Wstyd, moja pani, jakby powiedziała Kunegunda Wspaniała. Nim Szymek się posili, wyszoruję wannę i kabinę prysznicową w łazience. Szorując, zapomniałam o głodzie. Zapomniałam do tego stopnia, że odkurzyłam hol, salon, wymyłam okna, poprałam firanki, potem przysiadłam na chwilę odpocząć w fotelu i zasnęłam.

Miałam piękny, a jednocześnie dziwny sen. Śnił mi się syn. Wchodzi do salonu. Zbliża się do fotelu, w którym pochrapiuję. Stoi i patrzy na mnie. Takim wzrokiem, jakbym była jego ukochanym mamełkiem. Usta wyginają mu się w podkówkę. Ociera policzki z łez. Ostrożnie gładzi moją rękę. Całuje na niej niezagojone jeszcze wżery. Ogląda drugą. Mamełku, mój biedny mamełku, szepcze. Ogarniam go w swoim śnie ramionami. Czuję przyspieszone bicie jego serca. Och, jak dobrze. Niech ten sen trwa wiecznie. Synku... Ciii, mamełku, ciii. Och, jak dobrze. Zostań tak, synku. Lecz on łagodnie oswobadza się z moich ramion. Okrywa mnie kocem. Śpij spokojnie, mamełku. Posprzątam kuchnię.

— Cholera, czas na kolację! A ty leżysz jak krowa! Poderwałam się gwałtownie. Koc spadł na podłogę. Koc?

Gotowa jestem przysiąc, że nie przykrywałam się kocem. Wrzask Szymka z kuchni pozbawia mnie jednak wszelkich złudzeń. To jednak był tylko sen. Nic więcej. Sen.

Buzia Szymka pęczniała od złości. Mój ty baloniku kochany, pomyślałam. A złość się. Wszystko lepsze niż odtrącenie.

— Przykryłeś mnie kocem, kiedy spałam?

— Ja? Ciebie? Kocem? — wrzasnął. — Jeszcze nie zwariowałem!

— Tak tylko pytam...

— To nie pytaj! Usmaż mi cztery jajka na kielbasie!

Usmażyłam mu te jajka. Podałam. Przyglądałam się z zachwytem każdemu ruchowi mego syna. Jak dotąd nie wspomniał ani razu o tacie.



Zjadł. Patrząc wyzywająco, zrzucił talerz na posadzkę. Gruchnął sztućcami.

— Szanowna pani woźna posprząta! — prychnął pogardliwie.

Kopnął krzesło. Trzasnął drzwiami. Potem kolejne trzaśnięcie drzwi do pokoju. Trudno. Wolałam jednak taki kontakt niż głucho milczenie. Talerzy mam ci ja pod dostatkiem, niech tłucze. Drzwi są mocne, niechaj nimi trzaska.

Smażąc Szymkowi na jutrzejszy obiad zrazy wołowe z dużą ilością cebuli, myślałam, że od wyjazdu do Korablewa dzielą nas zaledwie dwa dni. Czwartek i piątek. Babcia Pola, jak w każdy piątek nasmaży stos naleśników z powidłami śliwkowymi. Nie ma nic pyszniejszego od naleśników z powidłami babci Poli! Szymek jadł je na obiad, na kolację i na śniadanie. Więc objemy się naleśnikami, Szymek za koszyk i hajda na grzyby, ja pozmywam, a potem również za koszyk w las. Każde z nas miało swoje i tylko swoje miejsca w lesie, gdzie zbierało borowiki, podgrzybki, rydze, gąski, opieńki. Szymek na prawo, ja na lewo. Razem nie mogliśmy chodzić po lesie. Szymek okazywał dziką zazdrość o każdego znalezionego przeze mnie grzyba, o borowikach lepiej nie wspominać. Ja je zobaczyłem pierwszy! Złodziejka! Kradnie moje borowiki!

Bez bicia się przyznaję, że i we mnie wstępowała potworna zazdrość. Cholera, Szymek, zjeżdżaj, to moje! I kłóciliśmy się w lesie straszliwie. Po powrocie do babci Poli, wysypując swoje leśne zdobycze do oczyszczenia, patrzyliśmy na siebie z niemaskowaną wrogością. Cholera, ten gówniarz znalazł o trzy borowiki więcej ode mnie! Babciu, ona mi odebrała całe stado podgrzybków!

— Oj, dzieci, dzieci! Przecież to tylko zwykłe grzyby!

O nie! Grzyby nie są zwykłe. Szukanie grzybów, a zwłaszcza borowików, dostarczało nieprawdopodobnych emocji. Na widok ich ciemnobrązowych kapeluszy biło szybciej serce. Widzisz jednego, podchodzisz, a tu w trawie lub w igliwiu, o matko, cała rodzinka! Jeden, dwa, trzy, o matko, a tam czwarty, a tam, koło jałowca, dwa następne. Szymek do cholery, spadaj, to wszystko moje! Szymek, tamten też widziałam! Akurat! Widziałas! Kiedy on cały schowany w trawie! To co, że schowany! Ale mój! Szymek oddawaj! Mamle, ty wstrętny oszuście, nie oddam!

Kiedy jednak babcia Pola mówiła o zwykłości grzybów, ja i Szymek solidarnie jednoczyliśmy się w słusznym gniewie! Jak można grzybom ubliżyć! Popatrz, babciu, dziesięć borowików, a każdy inny! Ten ma pękaty korzonek! Ten ma cienki i długi, ponieważ musiał się przebić przez grubą warstwę mchu! A ten, babciu, tylko spójrz: kapelusz prawie biały, bo go wygrzebałem spod liści!

I tak potrafiliśmy o urodzie borowików rozprawiać w nieskończoność. Dla nas las bez grzybów to jak ogród bez kwiatów. Nawet zimą, łażąc leśnymi drogami, i mnie, i Szymkowi oczka jakoś tak dziwnie latały na boki, jakby spod zasypanego

śniegiem jałowca miał zamiar wychylić się kapelusz, już niekoniecznie borowika, lecz choćby maślaczka.

Nie trawiąc dłużej naszych bezustannych kłótni, kto komu podebrał grzyba spod świerka, babcia Pola wydała salomonowy wyrok: jedno maszeruje na prawo, drugie na lewo. Zabłądzić się nie da, bo z prawej las dochodzi do szosy, a z lewej do Krasówki.

Nie wiem jak Szymek, lecz jeśli chodzi o mnie, szukając grzybów po lewej stronie lasu opętana byłam straszliwą wizją, że tam, po prawej stronie, Szymek co krok natyka się na dorodną rodzinę borowików, tak dorodną, że już nie mieszczą się mu w koszyku! Już ma nimi wypełnioną całą, zabieraną na wszelki wypadek, reklamową torbę z supermarketu! A wiadomo, jaka ta torba olbrzymia! Mieści pięć kilo towaru, więc borowików kilka setek! A w moim koszyku ledwo dno zakryte! Totalna porażka!

Gotując kaszę gryczaną do zrazów, szykując surówkę z tartego selera i jabłka, przygotowując budyń na deser, już jechałam z Szymkiem do Korablewa. Tam mój syn zawsze jest jakby uspokojony, wyciszony, rzadko dostaje napadów wściekłości. Będzie dobrze. Musi być dobrze. Zresztą, czyż już nie jest dobrze? Nie uciekł. Wrzeszczał na mnie. Nawet krową nazwał. Słusznie. Gdyby nie wrzasnął, pewno spałabym do tej pory, a mój syn nie zjadłby pożywnej kolacji. No i ten sen, mój Boże, co za sen! Co za cudowny sen niczym omen.

Coś spadło mi na łeb.

— Dżinsy! Wszystkie brudne! A te czyste nieuprasowane! Nie mam co założyć do budy! Stara! Adidasy wyczyścić!

Ściągnęłam z twarzy dżinsy syna. Stał w drzwiach i ciskał we mnie ubraniami. Tymi adidasami również. Jeden walnął mnie w oko. Drugi wpadł do salaterki z surówką. Bryznęło po ścianie selerowo-jabłkową papką. Tak bardzo bolały mnie ręce. Od sprzątanía szkoły. Od doprowadzenia do antyseptycznej czystości naszej łazienki, kabiny prysznicowej oraz salonu. Od dźwigania odkurzacza. Od tarcia twardego selera na ulubioną surówkę syna. Papkę selerowo-jabłkową trzeba zaraz ze ściany zmyć. Inaczej, podobnie jak kible nauczycielskie, będę musiała ją zeskrobywać szpachelką.

— Teraz się rozrycz, stara! Nienawidzę cię!

Nagle ogarnęła mnie apatia. A co tam. Niech zasycha.

— Słyszysz? Nienawidzę cię!

Wyminęłam swego syna bez słowa. Nienawidzi? Trudno. Niech nienawidzi. Jestem zmęczona. Taka beznadziejnie zmęczona i taka na nowo obolała. Położyć się. Spać.

— Hej, stara, dokąd?

Pogonił za mną do salonu. Wkuliłam się w fotel. Spać. Spać. Spać i nie obudzić się. Bo do czego się tu budzić? I po co?

— Hej, stara! Mówię do ciebie! — syn szarpnął moją ręką. — Hej, ogłuchłaś! — Szarpnął ponownie. Niby chudziutki jedenastolatek, a szarpie tak brutalnie, aż w łokciu boli. Niech szarpie. Niech robi, co chce. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko zasnąć i nie obudzić się więcej.

— Wstawaj! Rusz dupę! Woźna, do roboty! Podobno kochasz swego synka? Kochasz nad życie, co? Ciekawe, kto kogo przetrzyma? Jezu, jak ja cię nienawidzę, mamle! — wrzasnął, wybuchnął płaczem i uciekł z salonu.

Pewno rzucił się na tapczan w swoim pokoju i płacze.

Dlaczego płacze?

A co tam. Nie obchodzi mnie to. Spać. Spać. Nie obudzić się więcej.

## Rozdział szesnasty

Przez następne dwa dni trwałam w stanie obojętności. Wszystkie czynności jakby wykonywał za mnie ktoś inny, nie ja. Jakaś obca mi całkowicie kobieta ciągnęła za sobą zestaw do sprzątania. Myła i pastowała podłogi, ścierała kurze, wynosiła śmieci. Kunegunda, co dziwne, nie wzywała tej kobiety na królewski dywanik. Piętrowe przyjaciółki zaniepokojone jej stanem przynosiły cukierki i gumę do żucia, zaś Miśka namawiała ją, coby pocieszyła się musztardówką bimberku. Pani Maria podarowała słoik konfitur, spojrzała tej kobiecie w twarz, po czym oznajmiła pozostałym piętrowym koleżankom:

— Dajmy Kaśce spokój. Ona chce być sama.

— Ale ona wygląda, jakby jej ktoś umarł — powiedziała Krysia ozdobiona nową śliwą pod okiem.

Obca kobieta pomyślała, że to prawda, że rzeczywiście ktoś jej umarł. Tylko kto? Nie wiedziała. Nie chciała wiedzieć. I dalej machała ściera.

Ani razu nie zadzwoniła do syna.

— Syna? — rozmyślała ta obca kobieta. — Ja mam syna? Wracała do domu, padała na fotel, przykrywała się kocem. Słyszała kogoś trzaskającego drzwiami. Potem wściekle wrzaski z kuchni. Ze jakiś cholerny mameł znowu nie ugotował obiadu. Nie wyprasował spodni. Nie uprał skarpetek.

Ten ktoś, kogo nie znała, wpadał do salonu, zdierał koc i coś wrzeszczał.

Wrzeszczy, niech sobie wrzeszczy. W końcu znudzi mu się to wrzeszczenie.

Trzeciego dnia powlokła się do szkoły.

— Czego? — zawarczał nieprzyjaźnie nieznany jej nocny dozorca.

— Przyszłam do pracy.

— Do jakiej pracy, paniusiu?

— Jestem woźną. Muszę sprzątać.

— Pani! Dziś sobota! Dziś się nie sprząta!

— Aha. Sobota. Nie sprząta. To co mam robić?

— Wracać do domu! Albo od razu tam, skąd pani przyszła. Do wariatkowa.

— Aha. Dziękuję panu.

W domu czekał, mimo wczesnej pory, umyty i ubrany Szymek. Koszyki na grzyby też były już przygotowane. Czajnik z wodą stał na gazie. Grubo ucięte pajdy chleba, posmarowane masłem — skąd to masło? — obłożone szynką — skąd ta szynka? — leżały na talerzu.

— Ja już zjadłem — oznajmił Szymek. — Tb dla ciebie. Gdzie byłaś?

— W szkole.

— W szkole? — zdumiał się. — A po co?

— Jestem woźną. Muszę sprzątać. Inaczej stracę pracę.

— Co tobie? — czyżby Szymek się przeraził.

— Nic. Jestem zmęczona. Położę się.

— Dobrze. Połóż się. Zadzwońię do babci Poli, że jesteś chora i nie przyjedziemy.

Babcia Pola? Nie wolno niepokoić babci Poli. Zobaczyłam dobrą, zatroskaną twarz babci Poli i obojętność przysła. Zachciało mi się wtulić swój durny, skołatany łeb w ciepłe ramiona babci, rozplakać się w nie cicho, bo nagle poczułam się niczym mała, skrzywdzona dziewczynka.

— A potem zadzwonię do ciotki Elki. Albo na pogotowie — ciągnął Szymek.

Martwi się o mnie? To niemożliwe To jakaś nowa, perfidna gra.

— Nie musisz. Jedziemy do Korablewa. Zanieś koszyki do samochodu. Zaraz przebiorę się i zejść.

Zabrał koszyki i wyszedł bez słowa protestu. Złodowaciałam ze strachu. Jezu, mój syn zmienił metodę znęcania się nade mną. Postanowił być grzeczny jak aniołek. Nabierać mnie na swoje nagłe posłuszeństwo. Na doskonale udawaną troskę. Ciekawe, kto kogo przetrzyma! Jezu! Jak ja cię nienawidzę, mamle!

Z pewnością ja nie przetrzymam. Tylko, synku, co poczniesz ze swoją wygraną? Przez dwa dni byłam w skrajnej depresji, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robię. Jak powiedział ten nowy dozorca? Ze powinnam wrócić do wariatkowa.

Co będzie wówczas z synem?

Okazałabym się wyjątkową egoistką, gdybym zwariowała! Szymek bez taty i z matką w wariatkowie? Zabiorą go natychmiast do domu dziecka!

Trudno. Zmienił metodę czy nie zmienił, nie może być więcej żadnych depresji! Najmniejszych załamań. Uśmiech na ustach i pierś do przodu. Za kluczyki od złomu i na dół! Dzieciak musi też mieć jakąś radość w życiu! Ojciec nawiał, matka wali po twarzy, a potem ni z gruszki, ni z pietruszki odechciewa się jej żyć? Niesłuchanie wygodna postawa. Zaiste, mój syn ma prawo mnie nienawidzić. Ja siebie w tym momencie nienawidziłam tak, że sama wytraskałabym się po tej swojej wrednej gębie.

— Może jednak zostaniemy w domu? — zapytał mój syn z taką troskliwością, że pomyślałam o jego przyszłej karierze. Aktorskiej. Ma talent. Trzeba mu to przyznać.

— Coś ty! Czuję się świetnie. Wsiadaj. Zapnij pas. Włączyłam ssanie. Nacisnęłam sprzęgło. Akumulator zakrzusił się, jakby dostał dychawicy. Ale zapalił. Ruszyłam.

— Dlaczego włączyłaś ssanie?

- Zawsze zapalam w ten sposób.
- Ssanie włącza się wtedy, kiedy silnik jest zimny?
- No. Czemu pytasz?
- Znaczy, że nie jeździłaś dziś złomem?
- Do czego pijesz?
- To czym jechałaś do szkoły?
- Szymek! Wcale nie jechałam!
- Znaczy, że poszłaś dziś piechotą?
- O matko! Daj żyć. Pewno, że piechotą.
- A wczoraj?
- Co wczoraj?
- Też piechotą?
- Od tego mam nóżki. Bardzo dobrze im się chodzi.
- Ale na Warszawską to z dziesięć kilometrów.
- Jedenaście i pół — odparłam z dumą, oślica jedna.
- Swoją pracę zaczynasz o szóstej rano, tak?
- A tobie co? Gorzej?

— Jedenaście kilometrów na piechotę, to tak plus minus musisz wyjść z chałupy gdzieś około wpół do piątej. Więc obliczając dalej, musisz wstać przynajmniej o czwartej rano.

Byłam zaskoczona nieoczekiwaną skłonnością Szymka do rozmowy, ponieważ zazwyczaj milczał przez całą drogę do Korablewa. Sprostowałam ochoczo i radośnie, iż wstaję zaraz po trzeciej, bowiem muszę przygotować dla niego śniadanie — i to pierwsze, które odgrzewał sobie w mikrofalówce, i to drugie, czyli kanapki do szkoły, no i tę surówkę, żeby miał mniej więcej świeżą, gdy wróci do pustego domu...

— Nie wiedziałem — mruknął Szymek.

— I dobrze. Poruszam się cicho jak motylek, synku.

— Nie nazywaj mnie synkiem! — krzyknął Szymek. Westchnęłam. Wszystko wraca do normy. Zaraz wrzaśnie:

„Nienawidzę cię, mamle!”.

— Nie życzę sobie, żebyś się dla mnie tak poświęcała! Też mogę wchrzaniać chleb z margaryną! — wrzasnął. Walnął piąstką w deskę rozdzielczą. Złom zaskowyczał. Zatargał nami wściekle, jakby dostał ataku padaczki. Zachrząścił. Staął. Zobaczyłam przez szybę wydobywający się kłębamii dym spod maski.

— Szymek. Wskakuj! Palimy się!

Boże, i kto mnie tak przeklął? Złom, bo złom, lecz jakoś się toczył. Teraz nawet na części u pana Gienka sfajczzonego złomu nie sprzedam! Czym będziemy

jeździć do babci Poli? A pan Gienek ostrzegał: „Trzeba jak najszybciej wymienić całą instalację elektryczną. Zrobię to po znajomości za jedyne trzy stówki”. Trzy stówki! Ja i trzy stówki! Specjalizuję się w biegach długodystansowych, do Elki chodzę na piechotę, na Warszawską podobnie, żeby przyszczędzić kasy, jakoś dotrzeć do pierwszej, nędznej wypłaty, Elka targa mi garb z wałówką, a tu trzy stówki. Zobacz pani, że się ten złom sfajczy. Tfu, na psa urok, panie Gienku! Tak źle mi pan życzy? Odda mi pani te trzy stówki później, właśnie dlatego że dobrze pani życzę, ponieważ złom sfajczy się jak amen w pacierzu.

No i masz. Właśnie się fajczy. Cholera! Szlag by to trafił. Zgodnie z przepisami wyłączyłam stacyjkę. Chwyciłam za koszyki i chodu ze złomu. A on nadal dymił.

— Proszę się odsunąć!

Pan konserwator? A on skąd tutaj?

— Odsunąć się. Szymek, ty też!

Chlasnął obficie pianą z gaśnicy. Maską mego złomu zasyczała ostrzegawczo. Chlasnął ponownie. Przestała syczeć. A we mnie wstąpiła nadzieja, że jeśli przestała syczeć, to może uda się uruchomić jakimś cudem silnik. Cuda, jak widać, zdarzają się. Pod postacią pana konserwatora. Zjawił się z gaśnicą w dłoni jak spod ziemi.

— Kobieto, dokąd? — krzyknął, ponieważ już sadowiłam się za kierownicą.

— Do Korablewa — odpowiedziałam, zatykając nos, gdyż w środku złomu cuchnęło ohydą spalenizną.

— Odbiło pani? Tym pani już nigdzie nie dojedzie. Nawet do składowiska samochodowych rupieci. Trzeba wezwać lawetę.

— Ani mi się śni — powiedziałam, wysiadając. Nie chciałam robić za wędzonkę. Gdybym posiedziała w środku złomu jeszcze kilka chwil, wędzonka gotowa. — Za lawetę trzeba płacić. A tak w ogóle, skąd pan się tu wziął?

— Taki szczególny zbieg okoliczności...

— Akurat. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Jest pan z FBI czy CIA?

Wybuchnął nagłym atakiem śmiechu.

— Jeszcze takiej jak pani kobiety nie spotkałem — rżał. — Spalił się jej samochód, a ona żartuje.

— Ona sobie kupi drugi — odparłam dumnie. — Zaraz, gdy tylko otworzą salony samochodowe. A on niech sobie jedzie, gdzie miał jechać. Do widzenia.

— Pani Katarzyno! Podwiozę panią z synem do Korablewa.

Spojrzałam podejrzliwie. Co za pamięć! Imponująca. Wymieniłam tylko raz nazwę, a on już ją zapamiętał. Ani chybi śledził nas. W nikczemnym, rzecz jasna, celu. Podrywa mnie?

— To jest całe osiemdziesiąt kilometrów w jedną stronę — oświadczyłam. — Potem tyle samo z powrotem. Następnie, skoro pan taki szalenie uprzejmy, jutro, czyli w niedzielę, musiałby pan po nas przyjechać. Czyli łącznie — policzyłam szybko — nabiłby pan na swój licznik ponad trzysta kilometrów.

— Mamo! Babcia Pola pana chętnie przenocuje! — wtrącił się Szymek. I puścił perskie oczko do pana konserwatora.

No nie. Ze mną jest coraz gorzej! To przez ten pożar złomu. Zwykła halucynacja. Zszokowanemu Szymkowi po prostu mrugnęła powieka.

— Mamo. Zgódź się — prosił Szymek.

Mój syn, który mnie prosi? Nie, mnie trzeba natychmiast odwieźć do wariatkowa. Nie wrzeszczy, nie ubliża, a obcego gościa zaprasza do babci Poli? Spokojnie, Katarzyno Malicka. Przecież to proste jak drut. Szymek nie wyobraża sobie weekendu bez swojej Krasówki, okolicznych lasów; ukochanej babci Poli. Do niego nie dotarła ta straszliwa prawda, że przez najbliższe miesiące w żaden weekend tam nie pojedziemy. Złom nadaje się już wyłącznie na złom.

— Niech się pani nie zamartwia tym spalonym samochodem, zaraz go odholujemy — odezwał się Daniel Walicki vel James Bond. — Ile pani zatankowała benzyny?

— Tyle, co trzeba, panie Ciekawski.

— Pani Kasiu, błagam, niech pani będzie poważną osobą...

— Mam założyć kapelusz? Woli pan z woalką czy bez?

— Mama tankuje przeważnie dwanaście litrów — odpowiedział za mnie Szymek. — Dokładnie tyle, aby starczyło na dojazd do Korablewa i powrót.

— Okej — Daniel niczym główny agent CIA wyjął komórkę i wystukał bliżej mi nieznany numer. — Cześć, Hubert. Mam prośbę, wyślij zaraz na ulicę Kopernika piętnaście sprzęt. Trzeba zaholować stąd do ciebie volkswagena. Podaje ci namiary auta... Nie, nie nadaje się nawet na części, zbyt mocno przypieczony. Ale w baku ma około dwunastu litrów benzyny. Zlej ją do kanistra, dobrze? Przypilnuj tego osobiście, już ja znam lepkie łapska twoich pracowników. Odbiorę benzynę jeszcze dzisiaj. No, nie wiem dokładnie o której... Gdzieś po południu. Dzięki, Hubert — słynny detektyw Filip Marlowe schował komórkę do kieszeni dżinsowej kurtki i błysnął nieco smutnawym, lecz olśniewającym uśmiechem Brada Pitta. — Załatwione. Za pół godziny pani samochód znajdzie się na złomowisku. Możemy jechać do tego waszego ukochanego Korablewa.

Zamierzałam wyrazić swoje najwyższe oburzenie tudzież pogardę, lecz Szymek chwycił mnie za rękę. Serce mi stanęło. Tak dawno, że nie pamiętam już kiedy, mój syn wsuwał dobrowolnie swoją łapkę w moją dłoń! Jaka ta łapka miła! Jaka ciepłutka! Wszystko, synku, co chcesz. Pojadę z tym podstępny



skorpionem nawet na koniec świata, tylko nie zabieraj swojej dłoni! Ciepłutka łapka Szymka odebrała mi resztki rozumu. Niczym lunaticzka powędrowałam do poloneza Agenta o Stu Twarzach. Jak dotąd, zaprezentował mi ich kilka. Siadając z tyłu, cały czas z ręką syna w swojej dłoni, pomyślałam, że wybaczam Danielowi wszystkie agenturalne twarze. Niech sobie ma ich nawet tysiąc. Nic mnie one nie obchodzą.

W ogóle teraz nic mnie nie obchodzi. Siedzę obok swego synka. Trzymam jego łapkę. Łapka nie wyrywa się z mojej dłoni. Jest jak mały ptaszek w gniazdku.

Mój ptaszek.

Na jak długo mój?

Carpe diem, Katarzyno. Carpe diem.

Zapamiętaj ją dokładnie. Zapisz ją w swoim dotąd obolałym sercu na zawsze. Ponieważ nie wiesz, czy śnisz, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Więc kiedy znowu twój syn wrzaśnie do ciebie: „Ty wstrętny mamle, nienawidzę cię”, wspomnisz tę chwilę i dzięki niej łatwiej ci będzie znieść ból odrzucenia.

Chyba że to cud.

Cud?

— A wie pan, mój tata — zaczął Szymek, wysuwając łapkę z mojej dłoni — mój tata to...

— Szymek? O czymś chyba zapomniałeś — odezwał się Daniel Walicki.

— Oj, faktycznie, proszę pana. Miałem nie wspominać o...

— Szymek.

Mój syn wyraźnie się zmieszał.

— Oj, przepraszam.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Daniel Walicki, który nie był ani agentem FBI, ani CIA, ani słynnym detektywem Filipem Marlowem. W ogóle nie wiem, kim on tak naprawdę był...

Jedno wiedziałam na pewno.

Mój syn znał Daniela Walickiego. A Daniel Walicki znał mego syna.

Co dalej z tej mojej dedukcji wyniknie, nie miałam bladego pojęcia.

I nie chciałam mieć. Przynajmniej dotąd, dopóki obok mnie siedział Szymek. Siedział blisko, tak bardzo blisko, że czułam ciepło jego ciała, słyszałam jego oddech, widziałam tę maleńką, złotawą plameczkę na czole, u samej krawędzi jasnych włosów, którą całowałam tysiące razy, bo z tą plameczką Szymek się urodził, jakby naznaczony pocałunkiem słońca.

Carpe diem, Katarzyno.

Carpe diem.

## Rozdział siedemnasty

Ognisko dogasało. Jeszcze gdzieś strzelił wesołą iskierką patyk. Jeszcze pachniało pieczonymi kartoflami. Jeszcze siwy dym snuł się nad zwilgotniałą od rosy trawą, przeskakiwał kępę jabłonek łącząc się dalej z lekko fioletową mgłą unoszącą się znad Krasówki.

Cisza. Jedyna taka, niepowtarzalna, w której usłyszysz nawet szelest opadającego liścia. Lub łzę, która mimo twojej woli wymyka się spod powieki. I bicie swego serca zdumionego wypadkami mijającego dnia. Serca niepewnego czy to, co cię spotkało, jest jedynie przypadkiem, niczym więcej. A jeśli wyłącznie twoim przywidzeniem? I nie pomaga powtarzanie: *carpe diem*, ponieważ z każdego przywidzenia należy się otrząsnąć, wrócić do rzeczywistości, a ty się jej boisz, bo to rzeczywistość okrutna, zła, z pełną nienawiści buźką twego syna, z jego agresją, z jego wyzwiskami, wypełniona miłością nie do ciebie, ale do taty. Więc zastanawiasz się, jak się w tej rzeczywistości odnajdziesz, gdy twoje przywidzenie minie. Jak jej podołasz? Jak udźwigniesz?

Szymek bez słowa protestu poszedł spać. Daniel Walicki podziękował za przyjemnie spędzony dzień i odjechał.

Dzień był rzeczywiście wyjątkowo udany. Ciepły, bezwietrzny, ze słońcem i radosnym, beztroskim śmiechem mego syna w tle. Szymek ciągał z sobą Walickiego wszędzie. Nad rzeczkę. Do lasu. Trzykrotnie wracali z pełnymi koszykami podgrzybków. Wyrzucali je na rozłożoną w kuchni płachtę i czym prędzej wracali do lasu.

— Pokażę panu moje miejsca borowikowe! Chce pan?

— Pokażę panu bagienka! Tam zbieramy z babcią Połą żurawiny. Chce pan?

— Po drugiej stronie szosy rośnie olbrzymi świerk! Mówię panu! Pień ma taki szeroki, że nie da się go objąć! Chce pan zobaczyć?

— A żeremie bobrowe?

— A gniazdo kruka?

— A pochyłą brzozę?

Oczywiście, chciał. Ganiał z Szymkiem, kuśtykając na tej swojej wyzywająco krótszej nodze. Ocierał pot z czoła i ganiał. Dyszał, sapał i ganiał. Nie zdążył do końca wypić kawy po obiedzie, a już Szymek gnał go w swoje ukochane miejsca. Nawet nie wiedziałam, że ma ich tyle. Wszystkie wyjątkowe, niespotykane, tajemnicze, wspaniałe. O niektórych słyszałam po raz pierwszy.

Mnie do nich nie zabiera.

— Spokojnie, tu — mówiła babcia Pola. — Twój syn dziś jest po prostu zwyczajnie szczęśliwy. Od dawna nie widziałam u niego tak rozjaśnionych oczu.

Nie słyszałam tak beztroskiego śmiechu. Nawet na ciebie nie patrzy spode łba. Ciesz się tym, córciu. Nagromadź w sobie radość swego syna. Przyda ci się na później. Będziesz z niej czerpała siłę. Bo jeszcze nic raz zapłaczesz przez niego.

— Wiem, babciu.

— No po co te łzy?

— Bo się boję, babciu.

— Kasia? A tego miłego pana skąd znacie?

— Ja znam ze szkoły. Pracuje tam jako taki facet od wszystkiego. Od wkręcania żarówek. Naprawiania ciekących kranów. Też podczłowiek, babciu. Jak ja, pani woźna. A Szymek? Nie mam pojęcia, skąd go zna.

— Nie masz pojęcia? — zdumiała się babcia Pola.

— Nie. Zupełnie nie rozumiem, gdzie i w jaki sposób się poznali. W ogóle nie rozumiem niczego, babciu! Pogubiłam się całkowicie. Kilka dni temu wyrzuciłam straszną krzywdę, nie do wybaczenia.

— Szymkowi?

— Szymkowi, babciu.

I popłakując, opowiedziałam babci, jakimi słowami obrzucił mnie Szymek, gdy zobaczył mnie z Walickim. Oczywiście, zobaczył tylko mężczyznę, który mnie odprowadził ślaniającą się pod dom. Nie wiedział, że to właśnie Walicki... — przerwałam zwierzenia, przeklinając w duchu swoją słabość. Przecież postanowiłam o niczym babci nie mówić. Nawet o albumie. Babcia nosi w sobie wystarczającą porcję własnego boi u. Zdjęcia syna, któremu matka już nie mogła niczego więcej ofiarować poza sercem, wiszą nad jej łóżkiem. Między świętymi obrazkami, jakby też były święte. Pewno są. Iak jak dla mnie Szymek. Więc pękła we mnie powstrzymywana tama skarg. Wybuchnęłam potokiem słów. O tym, jak mi ciężko pod względem materialnym. O tej koszmarnej budzie. O pogardzie, z jaką się spotykam, ponieważ jestem od miotły. O Szymku, który wciąż i wciąż, mimo albumu, coraz silniej mnie nienawidzi. O wyrzutach sumienia, bo go uderzyłam w twarz. O panicznym lęku, że Szymek ode mnie ucieknie, szukając swego taty. O swoich nocnych wędrówkach przez puste, jakby wymarłe miasto. O wszystkim. Nawet o tym, że chciałam się nie obudzić. I o tym spalonym złomie, co na pewno stanie się teraz przyczyną jeszcze większej agresji i nienawiści syna do mnie, bo czym przywiozę go do ciebie, babciu? A ja też bez ciebie chyba umrę. Bo to ty, babciu, ty, nie kto inny, jesteś moją ostoją, moją pocieszycielką, moją mądrością, moją rodziną.

— Córciu — odezwała się babcia Pola — a wy jesteście moją rodziną. Nikogo poza wami nie mam. Nikogo nie kocham.

Nawet syna. Syn pozostał — jak rana — bolącym uporczywie wspomnieniem. Dlatego tobie nie wolno stracić Szymka.

— Ale go tracę, babciu!

— Przeciwnie. Każdego dnia odzyskujesz jakąś jego część. To biedne dziecko. Bardzo biedne. Cierpiące. Rozdarte. On też czuje się odepchnięty. Nie miał nigdy ojca, nawet wtedy, gdy twój mąż fizycznie był obecny. Musiałaś, Kasiu, dołożyć mu cierpienia, uświadamiając, że jego ojciec to drań. Album, w którym na żadnym zdjęciu nie odnalazł się ze swoim wymarzoną tatą, był dla niego wstrząsem. Nie dziw się, że odreagowuje agresją. Musiał wziąć odwet za zniszczone marzenia o tacie. I nie miej wyrzutów sumienia, że go uderzyłaś. Szymek chciał, żebyś go uderzyła. Bo chociaż sobie tego nie uświadamia, trochę to wyrównuje jego złość na ciebie i troszkę mu będzie łatwiej. Uderzyłaś i odtąd uginasz się pod ciężarem poczucia winy. Kasiu, nie płacz. Nie będę cię pocieszać, że nagle Szymek się odmieni. Nie. Ale to dobrze, że znalazł sobie przyjaciela. I nieważne w jaki sposób się poznali. Kasiu? A on ci się podoba?

— Matko święta, kto?

— Ten kulejący pan Daniel?

— Podoba? Babciu, ja nie mam czasu na romanse. Ja ciężko pracuję.

— Hm... — mruknęła powątpiewająco babcia Pola.

— Co to ma znaczyć to twoje „hm”?

— Bo ty mu się na pewno podobasz.

— Ja? Babciu, spójrz na mnie. Powinnam nie ruszać się z miejsca, tak chrząszczę kośćmi. Nawet wieszak nie jest tak chudy jak ja. Gęba mi się pomarszczyła. Pod oczami opuchnięte fioletowe śliwy jakby mnie ktoś uznał za worek treningowy i codziennie ćwiczył prawy sierpowy.

— Wszystko to prawda. Wyglądasz okropnie. Ale w oczach masz płomień, włosy jak u modelki, no i nogi nadal długie.

— Oj, przestań. Bierzmy się za obiad. Szymek i jego nowy przyjaciel mówili, że wrócą na drugą.

Przyszli punktualnie i zjedli obiad. Zmęczony Walicki popijał drobnymi łyżkami kawę, jakby w ten sposób zamierzał przedłużyć sobie czas odpoczynku, ale gdzie tam! Zniecierpliwiony Szymek zawołał:

— Teraz pokażę panu moje cudowne lipy! Rosną trzy, tworząc idealny trójkąt! Do nich zawsze biegam, chociaż na minutkę. Nie muszę się im z niczego zwierzać, bo one wszystko rozumieją. — Uchwycił się wielkiego łapska Walickiego, pociągnął i już ich nie było.

Ma swoje lipy, które go rozumieją. To stamtąd wraca z zaczerwienionymi powiekami. Oj, odczep się! Byłem, gdzie byłem i nic ci do tego! I wcale nie płakałem. Jakiś paproch wpadł mi do oka. Oj, spadaj, mamle!

Teraz mnie wpadły kłujące paprochy do oczu. Babcia Pola dyskretnie udała, że ich nie dostrzegła.

— Połóż się, córciu. Odpocznij... Ta praca cię wykończy.

— Dziękuję opatrności oraz Elce, że w ogóle mam pracę, babciu. Szymek musi jeść.

— Ty też, Kasia.

— Ależ jem!

— Akurat! Od tego twojego jedzenia zapadły ci się nawet policzki. Coś mi się wydaje, że jesz dwa razy w tygodniu. U mnie.

— U ciebie nie jem, lecz obżeram się na zapas — uśmiechnęłam się i otarłam łzy. A co tam! Jeżeli te lipy mu pomagają, to niech do nich lata, nawet z pułkiem kulejących Walickich! — I masz rację, babciu. Walicki wprost pożerał mnie wzrokiem w trakcie obiadu. A było na co popatrzeć. Po zjedzeniu trzech porcji twojej pysznej grochówki na wędzonce, pochłaniając udko kurczaka, omal nie pożarłam własnych palców.

Babcia Pola zachichotała.

— A pieczonych kartofelków wsunęłaś pół michy!

— I dwa kawały szarlotki!

— I wylizałaś salaterkę po kremie śmietankowym do szarlotki!

— I niewiele brakowało, żebym wylizała talerzyk po Walickim! On zostawił na nim tyle kremu!

— No i o to mi chodziło — powiedziała, chichocząc babcia Pola.

— O co ci chodziło?

— Żeby ci wypadły te kłujące paprochy z oczu — babcia Pola spoważniała. — Kasiu, choć na moment przestań myśleć o Szymku. Swoją wiecznie smutną twarzą sprawiasz mu satysfakcję. Pokaż mu inną.

— Jaką, babciu?

— Wiesz, córciu, kiedy mój syn wraz z żoną tak sobie chodzili po moim domu i po podwórku, oceniając, co ile jest warte, myślałam, że pięknie mi serce. Synowa powiedziała do syna, że powinien sprzedać krowę, akurat by starczyło na nowe fotele do ich salonu. Oczywiście, kochanie, odpowiedział syn. Każę jej sprzedać krowę. „Jej”, Kasiu, czyli mnie. Każę jej sprzedać. To dobra krowa, dokupimy za nią do salonu jeszcze dywan. Moje serce już pękło. Roześmiałam się. Syn nie krył zdumienia. A tobie czemu tak wesoło? Sądziłem, że będziesz, jak poprzednim razem, jęczeć i płakać. Synu, powiedziałam, śmiejąc się, proponuję wraz z moją

krową sprzedać również i mnie. Jestem silną, dziarską babą. Dostaniesz dobrą cenę. Dokupisz do swego salonu jakiś kolejny brakujący mebel. Kasia, żebyś widziała ich miny! Syna i synowej! W popłochu wsiedli do samochodu i odjechali. A że potem wyłam jak pies do księżyca, o tym się nie dowiedzieli. Nie sprawiłam im tej satysfakcji. No dobra, Kaśka. Zabieraj mi się z kuchni! .....

— A naczynia po obiedzie?

— Sama pozmywam! — huknęła babcia i coś mi się zdało, że teraz jej wpadły kłujące paprochy do oczu. — A ty bierz się za siekierkę!

— Babciu, ja? Za siekierkę? Po co?

— Bo mam pomysł na niespodziankę! Do niej potrzebne są patyki w dużych ilościach! Bierz siekierkę, wózek i pędź do lasu! Wyrąb wszystkie suszki. Ale się będzie paliło! Sypało iskrami! Najpierw upieczemy kiełbaski, a na koniec kartofle. Migiem, Kaśka!

Wypadłam migiem. Pomysł był przedni, zaś babcia musiała te paprochy wypłakać.

Namachałam się siekierką. Naściagałam suszek gałęzi, patyków, zarzucając nimi pół nieskazitelnie zamiecionego podwórka. Babcia wciąż widocznie wyciągała paprochy, ponieważ nie wychodziła z kuchni. Trudno. Wiem, jak to jest z tymi paprochami. Potrafią siedzieć i siedzieć. Już ci się wydaje, że wyciągnęłaś wszystkie, a tu figa! Pozostał po nich okruszek i musisz go wypłakać, innego sposobu nie ma.

Zabrałam się sama za układanie stosu. Jesienne dni są coraz krótsze. Widząc czerwoną łunę za lasem, przyspieszyłam j tempo pracy. Zaraz słońce schowa się zupełnie i natychmiast j spadnie mgłami od Krasówki zmierzch. Szymek z Walickim j lada moment wróca. Przed ich powrotem muszę wziąć prysznic. Suszki nie suszki, lecz siekierką się namachałam porządnie. I teraz bynajmniej nie pachnę nawet podróbką Chanel. Jak i na jeden dzień wystarczająco skompromitowałam się przed Walickim. Dobrze, że się napatoczył, nie wiadomo skąd, co prawda, ale się napatoczył, załatwił odholowanie złomu i zawiózł nas do Korablewa, za co uprzejmie podziękowałam. Lecz chociaż wie, co to jest stajnia Augiasza, nadal pozostaje dla mnie podejrzanym typem. Tym bardziej podejrzanym. I wcale nie mam zamiaru mu się podobać. Wystarczy, że on podoba się memu synowi. Co nie oznacza, że stanie się częstym gościem w moim domu. Ale jeśli Szymek tego zażąda?

Matko święta, a jeśli to pedofil? Gdzie i jak poznał moje dziecko? Czym Szymka przekupił?

Biczowałam się prysznicem, co było wyjątkowo miłe, a jednocześnie biczowałam się wyjątkowo niemiłymi pytaniami: Czym go ten kulejący drań

przekupił? Kiedy się poznali? Ależ ze mnie durnota! To Walicki przecież, gdy dostałam napadu paranoi, że Szymek ode mnie ucieknie, zawiózł mnie prawie pod samą szkołę! W sekretariacie dowiedział się reszty. Nałgał, że jest ojcem Szymka. W szkole u Szymka noga mego męża nigdy nie stanęła, toteż Walickiego nikt nie podejrzewał o oszustwo. Zdobył plan lekcji. Poczekał na Szymka. Powiedział mu... Co on powiedział takiego Szymkowi, że nieufny, bojący się obcych, nieśmiały jedenastolatek dał się nabrać?

Prysznic wypadł mi z ręki.

Wiem, co powiedział. Ale łajdak! Drań!

Na jedno mógł Szymka kupić. Na opowieść o jego tacie. Ze go zna. Ze ma z nim kontakt... Dlatego Szymek wpatrzony jest ślepo w tego drania, będąc w jego towarzystwie radosny i szczęśliwy.

Dlatego Walicki natychmiast przerwał Szymkowi, gdy mój syn w drodze do Korablewa zaczął mówić o tacie... A to drań.

Trudno. Niech sobie będzie draniem. Najważniejsze, aby Szymek był szczęśliwy. I żeby odrobina szczęścia mego syna skapnęła i na mnie. Jak ta niemożliwie cudowna łapka Szymka w mojej dłoni. Chciałabym, żeby znowu...

Carpe diem, Katarzyno.

Wrócili umęczeni od tych cudownych lip szumiących ludzkim językiem.

Wrócili, a mój syn rzucił się na babcię Połę z uściskami.

— Ojej, babciu! Ale niespodzianka! Będzie ognisko! Nawet gadaliśmy z panem Danielem, że w następny weekend przywieziemy kiełbaski i rozpalimy ognisko! A tu — jest! Babciu, jesteś niesamowita!

— To nie ja. To twoja mama wpadła na ten pomysł — zełgała babcia, puszczając do mnie oko. — Sama wyrąbała suszki w lasku. Przytargała te wszystkie gałęzie, patyki. Zbudowała stos, gotowy do rozpalenia. Ią ściskaj.

— Naprawdę? Mama?

— No — potwierdziła babcia Pola.

— Mamle! Jednak czasem jesteś fajna! — zawołał ze zdumieniem Szymek ale na szyję mi się nie rzucił. Trudno. I tak poczułam się niebotycznie szczęśliwa. Mój syn uznał, że jestem fajna! To już coś. Na pewno lepsze od nienawidzę cię, mamle. Toteż nie zwróciłam uwagi na jego słowa, iż zaplanował wspólnie z Walickim przyszły weekend. Ogień strzelał, kiełbaski skwierczały na długich, wystruganych przez Walickiego patykach. Było wesoło. Śpiewaliśmy piosenki. Walicki zażartował, że następnym razem przywiezie gitarę, czym wprawił mego syna w stan ekstazy. Babcia na to oświadczyła, że będzie akompaniować na fujarce, pod warunkiem jednak że fujarkę wystruga jej pan Daniel. Ewentualnie mogę na grzebieniu, powiedziała babcia i wszyscy roześmialiśmy się głośno.

Ciągle chichotaliśmy, wygrzebując z drzewnego popiołu pieczone kartofle. Parzyły w dłonie przy ściąganiu skórki i zgrzytały w zębach ziarenkami piasku podczas konsumpcji. Babcia wrzuciła do ogniska całe wiaderko. Zjedliśmy co do sztuki, o ostatnią zaciekle się wyklócając. Buźka mego synka przypominała oblicze kominiarza, który dopiero co wylazł z komina. Pękaliśmy wprost ze śmiechu na widok jego umorusanej twarzy, on sam zaś zaśmiewał się z naszych czarnych gęb, na których pozostały ślady pieczonych ziemniaków.

I nie wiadomo dlaczego nagle wszyscy ucichliśmy, jakby zmieszani, przyłapani na czymś wstydlwym. Walicki wstał, oznajmiając, że zrobiło się późno. Dziękuję za wspólnie spędzony dzień, lecz sorry, musi już wracać. Szymek oczywiście, zaprotestował. Ja spuściłam głowę, ponieważ wydało mi się, że Walicki oczekuje moich protestów, a nie Szymka. Milczałam.

— Skoro tak... — powiedział ni z tego, ni z owego Walicki, po czym uklonił się, pieszczotliwie zatargał czupryną Szymka. — Jeszcze raz dziękuję.

I odjechał.

— Było super. Prawda, babciu? Prawda, mamle? — powiedział mój syn, uśmiechając się. Nie czekając na naszą odpowiedź, poszedł do domu zmęczony po tym pełnym wrażeń dniu.

Ognisko dogasało. Tak, to był piękny dzień. Ale mijał.

Jaki będzie następny? Jakie będą te inne dni?

Za ten, w którym mogłam poczuć łapkę mego syna w swojej dłoni, siedzieć obok niego w samochodzie i przy ognisku, razem się śmiać, wygłupiać, podziękowałam jak za cud, marząc, aby się kiedyś powtórzył.



## Rozdział osiemnasty

Domek babci Poli składał się z sionki o jednym małym okienku, ustrojonym w bielutką firankę, obudowanej półkami, na których stały gliniane garnki różnej wielkości i kształtów, jedne pękate niczym dojrzałe jabłuszka, inne kwadratowe, a ze wszystkich rozsypywały się kolorami zasuszone pęki wysokich, złocistych traw znad Krasówki i fioletowe osty ze srebrnymi liśćmi, i powiązane liście z gorejących jesienią klonów, lip, dębów, i gałęzie świerkowe z małymi szyszeczkami. W tej sionce babci Poli jakby zatrzymał się czas różnych pór roku, pachnący, kolorowy, baśniowy.

Sionka prowadziła do dużej, jasnej kuchni o dwóch oknach. I znowu cudowne firanki, podpięte kokardami tak żeby nie zabierały wewnątrz światła ani czerwieni pelargonii, ustawionym fantazyjnie w wiklinowym koszyku wprost na podłodze. A podłoga wesolutka, jakby śmiejąca się do wchodzących chodnikami podobnymi do splecionych z sobą różnokolorowych wstążek. Zwykły kuchenny kredens babcia Pola pomalowała olejną farbą na pomarańczowo, mówiąc, że chce zatrzymać u siebie słońce w ponure, grudniowe dni, kiedy dzień taki krótki. Piec połyskiwał granatowymi kaflami. Nad piecem drewniany okap i zwisające pęki zasuszonych ziół; majeranku, lubczyku, szaławii, bazylii, macierzanki. Pod okapem rząd rondli i patelni, tak wyszorowanych, że wydawały się połyskliwymi lusterkami.

A na ścianach wiązanek czosnku na przemian ze złotą cebulą i splecionymi wiankami zbóż.

Z kuchni prowadziło dwoje drzwi. Te na lewo — do łazienki wykładanej różowymi kafelkami, z białą wanną, ze srebrną — jak mówił Szymek — armaturą, no i szczyt dumy babci: prawdziwą kabiną z natryskiem. Łazienkę zbudowała w dawnej spiżarni wkrótce po tym, jak Szymek jęknął na widok miednicy: „A jak tak lubię czytać książki, leżąc w wannie”. Kabina pojawiła się w dwa tygodnie po tym, jak Szymek westchnął: „Ja tak lubię polewać sobie plecy prysznicem”. Babciu Polu, zdumiałam się, wygrałaś w totka czy co? Babcia zachichotała. To moja tajemnica. Nic wam do tego. I nagle po jej dobrej, kochanej twarzy puściły się strumyki łez. Składałam przez lata dla syna. Właściwie dla pierwszego wnuka. Czasem, jak syn tu jeszcze przyjeżdżał z żoną, ciągle jęcząc, że owszem, mieszkanie im kupiłam za sprzedaną ziemię, ale brakuje jeszcze telewizora i w ogóle wszystkiego im brakuje, miałam ochotę pobrać z banku te pieniądze i dać im, Kiedy jednak rozkazał mi sprzedać moją Łaciata, bo to taka dobra krowa i za nią nie tylko fotele do salonu, ale i dywan można kupić, pomyślałam, że dam pieniądze dopiero wtedy, gdy ten mój wnuk się urodzi.... Może się i urodził... Nie

wiem. Sprzedali mieszkanie, wyjechali za granicę. Pies ich drapał. Mam nową rodzinę. Prawdziwą. I mam wspaniałego wnuka. Oj, Szymuś, zadusisz starą babcie i kto ci nasmaży naleśników z powidłami śliwkowymi?

Więc z kuchni na lewo do łazienki. Drzwi na prawo wiodły do kolejnego korytarzyka, z którego dopiero wchodziło się do trzech pokoi. Pierwszym była sypialnia babci, jej azył, gdzie najczęściej wyjmowała nagle wpadłe do oczu paprochy. Drugi pokój był nasz. Mój i Szymka. Babcia pomalowała nam ściany w różyczkowy wzorek. Okno z naszego pokoju wychodziło wprost na łąki. Późną wiosną i latem zostawialiśmy je otwarte, zaś rankiem wyskakiwaliśmy przez okno w piżamach, urządzając wyścigi, kto pierwszy dobiegnie do Krasówki, aby z dzikim okrzykiem dzielnych Indian rzucić się w nurt rzeki, która, oczywiście, nie była żadną zwykłą rzeką, lecz co najmniej wodospadem Niagara.

Bo to były jeszcze te szczęśliwe czasy, kiedy mój syn nazywał mnie swoim kochanym mamełkiem.

W największym, trzecim pokoju, poza starą wersalką przykrytą zieloniutką kapą, nie było innych mebli. Nie musiałam pytać, dlaczego ich nie ma. Najwidoczniej te meble posiadały jakąś wartość i syn babci je sprzedał.

Babcia nie zamierzała tego pokoju urządzać na nowo.

— Niech stoi i czeka — mówiła.

— Na kogo, babciu? Uśmiechała się tajemniczo.

— Nigdy nie wiadomo, komu okaże się potrzebny, córciu. Kochaliśmy babcię Połę. Kochaliśmy jej domek. Pachnącą ziołami kuchnię, w której zresztą skupiało się nasze życie towarzyskie. Kochaliśmy tu z Szymkiem każdy zagonek, każdy kamyk, każdą jabłonkę czy wiśnię. Każdą ścieżkę w lesie. Wschody i zachody słońca. Nawet deszcz padał tu, w Korablewie, inny. Cudowny i pachnący. Ubóstwialiśmy z Szymkiem wybiegać na deszcz, czuć jego smak na języku. Babcia wołała na nas: „Wariaci! Przecież przemokniecie do cna!“. A nam właśnie dokładnie o to chodziło. Deszcz lał strugami, a my wykonywaliśmy kangurze oraz inne, bliżej niezidentyfikowane skoki. A po deszczu na bosaka miętosiłmy ciepłe błocko. Mój Boże, tyle razy marzyłam, że porzucam obce dla mnie mieszkanie Przemka i w tym pustym pokoju rozstawiam swoje meble, zawieszam swoje firanki.

Nierealne marzenia. Byłam do cudzego mieszkania, podobnie jak do łodzi, przykuta łańcuchami. Tylko w Łodzi mogłam niegdyś zdobyć dobrą pracę i tylko tam za jakiś czas znajdę kolejną, chyba że opatrność skazała mnie na bycie panią woźną oraz Kunegundę Wspaniałą do końca mego żalosego żywota.

O tym wszystkim rozmyślałam po sobotnich orgiach przy ognisku, przewracając się z boku na bok Żeby to szlag! Jakby mało mi było codziennych

kłopotów, to teraz bez złomu żadnej możliwości dojazdu do naszej Ziemi Obiecanej! Muszę mieć jakiś czteroślad. Nie życzę sobie więcej korzystać z dziwnej uprzejmości Walickiego. Zresztą, z jakiej racji miałby zostać moim osobistym kierowcą? Może i chciałby, lecz wtedy, jak wiadomo, coś za coś. Babcia twierdzi, że jest mną najwyraźniej zainteresowany. Tym gorzej dla mnie. Posiadam rozległą wiedzę o facetach. Zawsze im chodzi o jedno: jak najszybciej zaciągnąć cię do łóżka. Elka nie potrafi pojąć, jak mogę obejść się bez seksu. Matko, mogę! Po takich doświadczeniach każdy by chyba mógł. Moje pierwsze małżeństwo nie przetrwało doby. Nakryłam pana młodego w krzakach ze swoją druhną. Igor tłumaczył się, że byliśmy podobnie ubrane. Ona na biało i ja na biało. Ona nie tłumaczyła się wcale. Szukała majtek które zgubiła podczas namiętnej schadzki w krzakach. Jak z następnym mężem mi wyszło, wiadomo. Dwóch mężów i dwóch drani. Kolejne doświadczenie z szefem „Pięknego Życia”. Ohyda. Każdy facet kojarzył mi się z seksoholizmem. Każdy facet, moim zdaniem, uważa, że ponieważ nosi spodnie, to choćby był wągrzasty, pryszczaty, jednooki, ty pod jego urokiem musisz paść plackiem i czuć się zaszczyciona, że na ciebie spojrział. A Walicki to dodatkowo wyjątkowo podejrzanym indywiduum. Nawet jeśli jest Agentem o Stu Twarzach, już ja go rozpracuję. Nie pozwolę skrzywdzić swego syna.

Kiedy obudziłam się, Szymka nie było w pokoju. Poszłam do kuchni. Babcia Pola smażyła naleśniki.

— Szymek pognął do szosy. Wyglądać twego pana.

— Babciu! Wypraszam sobie! To nie jest mój pan! Nawet nie wiem czy raczy po nas przyjechać. Pewno będziemy musieli wyjechać wcześniej i tłuc się dwoma autobusami.

Babcia zsunęła z patelni złocisty naleśnik i posmarowała go powidłami śliwkowymi.

— Akurat — naląła kolejną porcję ciasta na patelnię. Zaskwierczało. — Siadaj i wsuwaj.

— Co ma oznaczać twoje: akurat? — zdenerwowałam się.

— Dokładnie to, co właśnie słyszysz.

Jezu, godzina siódma piętnaście, a słyszę silnik poloneza! Zeby go szlag! Walicki przyjechał skoro świt! Popsuł mi wszystkie plany. Zamierzałam wykorzystać dobry nastrój Szymka i wybrać się z nim do lasu. Sama! Pleść mu różne bzdurne historyjki, co potrafię doskonale, wziąć go za łapkę i może, o Boże, może pozwoliliby się przytulić... A tu masz — mój syn pognął do szosy wypatrywać tego kulawego Jamesa Bonda! Czym on Szymka aż tak zauroczył?

Wszedł, niosąc wiecheć róż oraz wlokąc przyczepionego do wolnej ręki mego rozradowanego syna. Dobra. Róże przyjmę, lecz zamorduję Jamesa Bonda sztyletami swoich oczu. Tymczasem Filip Marlowe ledwo skinął mi głową, zaś róże wręczył babci Poli. Ta się rozczuliła. Szurnęłam krzesłem.

Wysłałam ostentacyjnie, nie odpowiadając na „dzień dobry”, w przekonaniu, że Agent Służb Specjalnych natychmiast za mną pogna. Nie pognał. Postanowiłam wobec tego nie odezwać się do niego ani słowem, bo jak amen w pacierzu, będzie się do mnie zalecał.

Żeby go szlag. Nie zalecał się. Omijał mnie wzrokiem. Zżarł wszystkie naleśniki do spółki z Szymkiem. Wypadli oboje z kuchni, jakby ich — taką miałam nadzieję — babcia Pola pogoniła wałkiem do ciasta. Nieśli koszyki i szli w stronę lasu. Babcia Pola bez wałka ani innego narzędzia przydatnego do poganiania, uśmiechając się, powiedziała, że pan Walicki, poza kwiatami, przywiózł z sobą obiad.

Wściekłam się.

— Trujące opiekane kurczaki z KFC! Do tego obrzydliwe, śmierdzące zjełczałym olejem trujące frytki. I coca-colę, której nie pozwalałam pić Szymkowi, bo również trująca. Wywal to natychmiast do śmieci, babciu. Najlepiej zakop głęboko. Bo jeszcze otrujesz swoje kury.

— Kaśka? Co ty wygadujesz? — oburzyła się babcia. — Lepiej zajrzyj w te garnki. Przygotował dwa dania mięsne. Zrazy wołowe i pieczeń z indyka. Chłop chyba w ogóle nie spał tej nocy.

— Niby on sam pichcił?

— Mówi, że od lat sobie gotuje, a jego popisowym daniem są zrazy wołowe i pieczeń z indyka.

— W takim razie na pewno tego nie wezmę do ust! — obraziłam się i na babcię Połę. — Idę do siebie. Wrócę, gdy ten pan stad wyjedzie.

— A czym wrócisz do Łodzi? Na koniku na biegunach? Gdzieś taki stary mam na strychu. Został mi po synu — zachichotała babcia Pola.

— Ha ha ha! Bardzo śmieszne — obraziłam się na dobre. W następnej kolejności, wyglądając smętnie na ogołoczone już po sianokosach łąki, obraziłam się na siebie. Z garnków pachniało wyśmienicie... Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam zrazy. A pieczeń z indyka jadałam w czasach prehistorycznych. Trudno. Słowo się rzekło. Zresztą Król Kucharzy z pewnością zauważy brak mojej osoby przy stole. Wejdzie tutaj, westchnie, powie czule: „Pani Katarzyno, dla rozkoszy pani podniebienia zarwałam noc. Czekam na pani werdykt. Od niego zależy moje życie...”. Wtedy ja niedbale skinę głową, dystyngowanym krokiem ruszę do

kuchni... Skosztuję, odpowiem łaskawie, że nadaje się do konsumpcji, chociaż za słabo przyprawione...

Widziałam ich, Szymka wraz z Królem Kucharzy, biegnących ku Krasówce. Potem obserwowałam ich wracających ciężkim krokiem z koszami pełnymi grzybów. Czekałam, że syn zawoła mnie, by pochwalić się swoim zbiorem.

Omyliłam się. Nie zawołał.

Zajrzała do mnie babcia:

— Chodź na obiad. Mówię ci, zraziki palce lizać.

Oj, po coś, babciu, powiedziała o tych zrazikach Filipa Marlowa, że palce lizać? Mój głodny a podniecony wizją zrazików żołądek wydzielał nadmierną ilość soków trawiennych, lecz moja duma ugodzona do żywego cierpiała, toteż łykając ślinę, oświadczyłam: „Dziękuję. Nie cierpię zrazików”.

— Pieczeń z indyka nadziewana migdałami — kusila babcia.

— Nienawidzę migdałów.

— Uparta to ty jesteś — podsumowała mnie babcia Pola. — Ale jak sobie chcesz.

Wyszła. Chyba się i ona na mnie obraziła. Nieziemskie zapachy przenikały z kuchni do mego pokoju. Trudno. Nie pójdę. Chyba że Walicki przyczołga się pod mój tapczan na kolanach.

Nie przyczołgał się. Żeby go szlag. Przez okno znowu ich zobaczyłam: teraz gnali bez koszyków, za to z wędkami, nad Krasówkę. Skąd wędkę? Szymek łowił niegdyś za pomocą kijka leszczynowego, przyczepionej do niego żyłki i haczyka, za przynętę służyła mu natomiast ugnieciona z chleba kulka. Uważałam, że szkoda kasy na porządną wędkę. Gdy mąż odleciał biznesową klasą ze swoją nową towarzyszką życia do Leeds, jeden z pierwszych wyrzutów, jakie od Szymka usłyszałam, brzmiał: „Tata to by mi dawno kupił superwędkę z superkołowrotkiem”. Więc kupiłam natychmiast synowi najdroższą wędkę i najdroższy kołowrotek. Do tej pory pamiętam minę Szymka, gdy się nad tą wędką znęcał. Deptał nogami. Ciął nożyczkami. Kołowrotek rozwalił młotkiem. „W dupie mam twoją wędkę, powtarzał, w dupie”.

Więc to tak? Moją wędkę ma w dupie, a Walickiego nie? Skąd Walicki wytrzasnął dwie wędkę wieczorową porą? Włamał się do nocnego sklepu z tymże sprzętem? I teraz poza rybami złowi przy okazji mego syna?

Postanowiłam opuścić pokój dopiero, gdy ten koszmarny dzień minie, w samochodzie uparcie milczeć, a jutro w szkole zabronić Walickiemu wszelkich kontaktów z Szymkiem. Nawet wiedziałam, w jaki sposób tego dokonam. Szantażem. Powiem, że oskarżę go o pedofilię.

Ale ze mnie świnia.

Trudno.

Ale żeby aż taka świnia?

Po dłuższej walce ze świnią ryjącą we mnie, a raczej pod Walickim, zrezygnowałam z pomysłu. Poradzę się Elki. Elka jest osobą, mimo szczególnych zdolności do pajacowania, pragmatyczną. Znajdzie sposób na Walickiego.

Zapał zmierzch, a oni nie wracali. Głód wypędził mnie do kuchni. Babcia Pola bez słowa odgrzała mi zraziki. Żeby je szlag! Były wyśmienite. Wylizałam talerz. Babcia Pola zaserwowała mi resztki pieczeni z indyka. Matko, niewiele brakowało, abym wylizała garnek po pieczeni.

— Upiekł jej tyle, że już wam zapakowałam w słoiki.

Udałam, że nie słyszę. Gdybym usłyszała, moja дума kazałaby mi się oburzyć, co gorsza, moja дума kazałaby mi tych słoików z indyczą pieczenia nie przyjąć.

— Zraziki również zapakowałam — powiedziała głośno babcia. Lecz ja wołałam ogłuchnąć. Zraziki palce lizać.

— O wszystkim pomyślał. Wędki przywiózł, przynętę i to coś, na co się łapie — wrzasnęła radośnie babcia Pola.

— Babciu! Przecież nie ogłuchłam!

— Naprawdę? — babcia z kolei dobiła mnie złośliwym chichotem. — A już sądziłam, że powinnaś sobie kupić aparat słuchowy.

— O, pani Kasia! — do kuchni zajrzała głowa mego śmiertelnego wroga, szyję bowiem oraz resztę swoich zwłok z niewiadomych dla mnie przyczyn zostawił za drzwiami. — Lepiej się pani czuje? Szkoda, że męczyła panią migrena. Myśleliśmy z Szymkiem, że ten dzień spędzimy razem, w trójkę.

Boże, żeby mnie szlag! Straciłam dzień na fochach, zamiast spędzić go z synem!

— Z Szymka świetny wędkarz — gadała głowa, szczerząc się w uśmiechach. — Nawet lina złapał... Przepraszam, że dalej nie wchodzi... Nie chcę nabrudzić, a potrzebna nam woda. Ryb nałowiliśmy co niemiara! Trochę to potrwa, zanim je oskrobiemy...

— Panie Danielu — odezwała się babcia Pola. — Miednicę i dwa wiadra wody już wystawiłam na zewnątrz... Znajdzie je pan koło leszczyny... A wszystkie wnętrzości proszę też wyrzucić koło leszczyny. Moje kurki jutro je wydziobią.

Poszłam do łazienki wyjmować paprochy z oczu. Tym razem bardzo dużo mi ich wpadło. Siedziałam dotąd, dopóki nie nakryła mnie babcia.

— Ej, Kaśka! Przestań uzalać się nad sobą. Idź podziwiać rybne okazy złowione przez Szymka.

— Kiedy widać, że ryczałam...

— Przecież dręczy cię nieustająca migrena — zachichotała wstrętne babcia Pola. — Wyjątkowa migrena. Ujawniająca się głównie obfitym łzo tokiem... Możesz nawet łzami skropić okazy Szymka. Nie będziesz musiała ich solić.

— Nie cierpię cię, wiesz?

— Akurat — prychnęła babcia.

— Nie pozwolił swoich oskrobać — tłumaczył się Walicki. — Koniecznie chciał pochwalić się przed panią.

— Super, mamle, nie? — buźka mego syna promieniała radością i dumą. — To jest lin. Piękny, prawda? A żebyś wiedziała, jak ciągnął... Bez podbieraka ani rusz... Dobrze, że pan Daniel miał podbierak... Szkoda, że trzeba jechać. Teraz liny biorą najlepiej ... A to okonie... A to płotki... A te z czerwonymi płetwami i złotymi łuskami to krasnopiórki... Ale jestem zmęczony — za — kończył przemowę potężnym ziewnięciem mój syn.

W samochodzie zasnął z głową na moich kolanach. Wybaczyłam Walickiemu Agentu o Stu Twarzach, Filipa Marlowa, Jamesa Bonda, Kucharza Doskonałego. Nic mnie nie obchodzi, dlaczego zainteresował się moim synem. Byleby go nie zostawił. Byle tylko mój syn nie był dla niego chwilowe fanaberią. Ani żeby nie służył jako przynęta do złapania mnie.

Podjechaliśmy pod blok.

— Zaniosę Szymka — szepnął. — Niech sobie chłopak śpi. Och, te paprochy w oczach. Te durne paprochy. Z taką czułością zabierał z kolan mego syna. Tak łagodnie układał Szymka na tapczanie. Tak ostrożnie ściągał mu z nóg adidasy. Tak po ojcowsku okrywał śpiącego kocem. Boże, tylko potwory nie znoszą dzieci. Biologiczny tata Szymka jest po prostu potworem i tyle. Nigdy nie uświadomiłam sobie tego faktu tak dobitnie jak teraz, gdy przyglądałam się temu zupełnie obcemu mężczyźnie zajmującemu się moim dzieckiem. Pomyślałam o jego rodzinie. O jego dzieciach, pewno już dorosłych. Musiała to być szczęśliwa rodzina. I bardzo, bardzo szczęśliwe dzieciaki.

— Pożegnaj panią — odezwał się w korytarzu.

Jednak o pewnych sprawach musiałam wiedzieć. I nie należało tego odkładać na później. Więc powiedziałam mu, że musimy porozmawiać.

— Rozumiem. Nie ma sprawy — zgodził się.

— Napije się pan kawy? Herbaty? Wody mineralnej?

— Poproszę o wodę. Chętnie też umyłbym ręce.

— Łazienka jest na wprost. Ręcznik do rak wisi przy umywalce. Proszę się czuć jak u siebie w domu. A do salonu — te drugie drzwi na prawo.

Ustawiłam na tacy butelkę wody mineralnej i dwie wysokie szklaneczki. Usiadłam w fotelu.

Wrócił. Wyraz twarzy miał co najmniej dziwny. Stał dotąd, aż nie wskazałam mu fotela naprzeciwko. Pił wodę drobnymi łyżkami.

— Zanim pani przeprowadzi swoje śledztwo, proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno jedyne pytanie. Dlaczego pani udaje osobę żyjącą w nędzy?

Całkowicie mnie zaskoczył tym pytaniem. Ja? Udaję? A z czego on tak wnosi?

— Urządza pani maskaradę, przebierając się za woźną! Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że blokuje etat komuś naprawdę potrzebującemu? Czy pani tak w ogóle wie, co to znaczy ludzkie nieszczęście? — Na jego dotąd łagodnej twarzy pojawiły się gniew, złość i jakby niesmak. A ponieważ zdumiona wybuchem milczałam, kontynuował swój wywód. — Czteropokojowe, luksusowo urządzone mieszkanie, wnosząc po salonie oraz łazience. Za te obrazy tutaj, secesyjne meble, nawet po śmierci męża, pozbawiona pracy i męzowskich apanaży, nie musiałaby pani pracować do końca życia. Wystarczy sprzedać jeden z obrazów i ma pani nowy wóz z górnej półki. Tak się akurat składa, że trochę znam się na malarstwie. I na sztuce. Widzę u pani dwa miejskie pejzaże Nowosielskiego, cztery Józefa Rapackiego, a tam chyba autentyczne płótno Olgi Boznańskiej, z pięć Fałatów, grafiki Fijałkowskiego, Bartczaka, Kalińskiego... Jak pani nie wstyd. Nie dziwię się Szymkowi, że pani nie toleruje...

Jeszcze mnie nikt nigdy, nawet Kunegunda Wspaniała, nawet szef „Pięknego Życia”, tak nie upokorzył. Kolące paprochy zakręciły mi się w oczach, ale nie, facet, zanim cię stąd wyrzucę, powiem dokładnie, co o tobie myślę.

— Olga Boznańska jest rzeczywiście autentyczna, szanowny panie Hydrauliku, znający się na malarstwie i na sztuce. Okażę wspaniałomyślność i nie zapytam pana, komu pan blokuje etat. A co do mnie, łaskawy panie Młotkowy, to jestem przekonana, że zrozumie pan bez tłumaczenia: cucullus non facit monachum. Co pana tak zatkało, panie Glazurniku? Nie uczyli pana na historii sztuki łaciny? Aha, pewno pan kończył przyspieszony kurs Przetykacza Kibli. Cucullus non fach monachum znaczy, że „kaptur nie czyni mnicha”. Och, widzę, że pan, podobnie jak ja, nie ukończył nawet szkoły podstawowej, trzeba panu kawę na ławę. Pozory mylą. Otóż tak. Znam trzy języki i mam tytuł magistra. Mieszkam w luksusowym mieszkaniu pełnym, co słusznie pan spostrzegł, secesyjnych mebli i dzieł sztuki wiszących na ścianach. Jakby pan przeprowadził rewizję w tamtej chociażby serwantce, znalazłby pan autentyczną porcelanę miśnieńską. Jestem piekielnie bogata. Jak cholera. Jak dwie cholery. Z nudów wynajęłam się za woźną. Taki eksperymentek psychologiczny pod tytułem: Co czuje milionerka, zasuważąc jako woźna? — Wprost dyszałam z wściekłości. Żebym miała kałasznikowa, to już by nie żył. Jak to ten padalec określił? Że nie dziwi się Szymkowi, dlaczego nie toleruje własnej matki? — Siedzieć mi! I słuchać. Wysłucha mnie pan do końca, a



potem panu skopię tyłek. Powinnam była skopać tyłek swemu mężowi, kiedy oznajmił, że brzydzi się ciężarnych kobiet, a bachorów atawistycznie nie trawi. Błąd, nie skopałam. Błąd nie do odrobienia, chociaż mój szanowny małżonek zapewne miewa się doskonale ze swoją bogatą, oby grubą, krzywonożą i zezowatą właścicielką sieci restauracyjnych w Leeds i nie tylko w Leeds. To nie moje mieszkanie, panie Prokuratorze. Tu, poza meblami i komputerem w pokoju Szymka, nie ma nic mojego. Nawet za pięć groszy. To wszystko stanowi własność męża. Wziął mnie prawie z ulicy, czyli z akademika. Niczego nie mogę sprzedać. Ani zamienić tych luksusów na slamsy. Według prawa wciąż pozostaję mężatką. Mąż wraz ze swoją aktualną narzeczoną tak dokładnie w Anglii zapadł się pod ziemię, że nawet jego adresu nie ma polska ambasada. Pracę straciłam jakiś czas temu. Za odprawę kupiłam beztrzesko komputer i inne drobiazgi synowi. Kurtkę podbijaną futerkiem i kozaki na zimę. A mój syn śni swój piękny, nieprawdziwy sen o najlepszym na świecie tacie, cholera. A do mnie mówi: „Nienawidzę cię, stara. Chcę do swego taty”. Boże! — zapominając o śpiącym Szymku, krzyknęłam z rozpaczą. — A tu taki przychodzi i mi ubliża! Niech się pan wynosi! Niech mi się pan na oczy nie pokazuje!

— Pani Kasiu, ja...

— Proszę wyjść.

— Nie wiedziałem, przepraszam. Ja pani wszystko wytłumaczę... Proszę mi dać szansę.

— Pan mi jej nie dał. Dlaczego ja mam dać ją panu? Wstał. Coś jeszcze chyba zamierzał powiedzieć. Modliłam się, żeby wyszedł i zostawił mnie samą. Bo te cholerne paprochy w oczach. Boże, zabierz mi te paprochy. Boże, daj siłę przetrwać.

— Nie skrzywdzę Szymka. Obiecuję — usłyszałam.

## Rozdział dziewiętnasty

Nie skrzywdzi Szymka, powiedział. Dobre i tyle. Nie skrzywdzi.

Jednak zaistniał w życiu mego syna jako ktoś bardzo ważny. Kumpel? Przyjaciel? Może i jedno, i drugie. To ja skrzywdziłabym swego syna, odbierając mu Walickiego. Dlatego nie odbiorę. I w taki oto sposób zostałam skazana na Walickiego. Trudno. Stało się. Niech mój syn ma swego guru. jest mu potrzebny. Wynagradza brak ukochanego taty. A ja? Ja się w tym układzie nie liczę. Nawet nie muszę się martwić, że złom powędrował na złom. Ze nie mam kasy na nowy złom. Walicki nas zawiezie. Inaczej skrzywdziłby Szymka. On już doskonale wie, czym dla Szymka są Korablew, Krasówka, okoliczne lasy, a przede wszystkim babcia Pola.

Niemal polubiłam tego Walickiego. Niemal. Okazał mi życzliwość w szkole. Podejrzewałam, że to dzięki jego wstawiennictwu pani Czesia dała mi zadatek. Napisał do mnie taki wzruszający list. Od początku domyślał się, że etat pani woźnej przyjął w akcie desperacji. Z kolei ja domyślałam się, że i on etatu konserwatora nie wybrał dobrowolnie. Wydawał się z tym swoim smutkiem w oczach człowiekiem wrażliwym, z którym los obszedł się paskudnie.

Wrażliwy człowiek nie osądza drugiego po pozorach. Walicki osądził, zanim o cokolwiek zapytał. Przebieram się za woźną, urządzam maskaradę. To zabolalo. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, człowieku, jak bardzo. Pytania, jakie pragnęłam ci zadać, wzruszona twoją czułością wobec mojego syna, były prościutkie. Czy czas, jaki nam poświęcasz, nie odbija się ujemnie na twojej rodzinie? No, a jeśli jej nie masz, to nie licz na jakiegokolwiek względy u mnie jako facet. I tyle, człowieku. Nawet nie dociekałabym, skąd wiesz o stajni Augiasza i czemu nie sadzisz byków ortograficznych?

— Mamo?

Mój syn wszedł tak cicho, że nie zdążyłam otrzeć łez. Wymięte ubranie, brudna buźka, zdumienie w ciemnobrązowych, zaspanych oczach.

— Co to jest stajnia Augiasza? Z kim rozmawiasz? — rozglądał się po salonie. Dostrzegł dwie szklaneczki i wodę mineralną. Uśmiechnął się.

— Zaprosiłaś wujka? Gdzie jest? W łazience?

Wujek. Może być i wujek Wszystko lepsze niż nienawidzę cię, mamle; chcę do taty.

— Był zmęczony. Wypił wodę i pojechał do domu.

— Fajny jest, nie?

— W porządku. Wiesz, że pracujemy w tej samej szkole?

— Wiem. Wujek mówił. Martwi się o ciebie.

— O mnie?

— No. Mówi, że ta praca nie jest dla ciebie.

— A ty, co na to?

— Muszę się myć? — Szymek dyplomatycznie zmienił temat.

— Możesz rano. Ale tak w ogóle, musisz. Łuski od twoich krasnych piórek ozdobiły ci czółko.

— Krasnopiórek — poprawił Szymek. — Wujek mówił, że ty też powinnaś załapać bakcyła rybackiego. Masz go w genach. Po mnie.

— Skoro tak mówił... Załapię — obiecałam.

— Super. To ja idę spać. Ty też idź.

— Aha — ziewnęłam. Znowu paprochy w oczach. Boże, rozmawiam ze swoim synem normalnie. To jednak cud. A gdybym go poprosiła, żeby mnie na dobranoc uściskał? Ej, lepiej nie nadużywać cudu.

— Wujek powiedział, że wędkę ci skombinuje — dodał jeszcze Szymek. — Mamo?

— Co?

— Nic...

I wyszedł.

Hypnos zaszeleścił czarnymi skrzydłami i odleciał usypiać innych. Ja poszłam do kuchni. Schowałam do zamrażarki rybnie porcje. Słoikom ze zrazikami oraz pieczenia indyczą wystarczy chłód lodówki. Żarcia na tydzień, nie wliczając grzybów. I bardzo dobrze. Jakoś przeżyjesz, pani woźno, do pierwszej wypłaty minus dwie stowy zaliczki. No, ale dalej już z górki.

Co mój syn zamierzał jeszcze powiedzieć? Coś o wujku?

Martwi się o mnie. Ciekawostka. Już teraz się nie martwi, ponieważ okazałam się milionerką przebraną za woźną. Najważniejsze, że nie skrzywdzi Szymka.

Boże, a z jakiej racji mam mu wierzyć?

Czego ty od nas chcesz, człowieku?

Bo że czegoś chcesz, to oczywiste.

I też nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

Skąd znasz się na malarstwie? Jakie studia kończyłeś? Mimo starego poloneza, nie wyglądasz na nędzarza. Nie znam się na wędkach, ale założę się o milion, którego nie posiadam, niestety, że to bardzo drogie wędki i kołowrotki. Masz kasę na jeżdżenie tam i z powrotem z Łodzi do Korablewa. Stać cię na drogie kwiaty. Na udka indycze. Wołowina jest droga jak cholera. Więc się nie szczypiesz, jeśli chodzi o kasę. W łachy się nie ubierasz. Miałeś na sobie skórzaną brązową marynarkę, sztruksowe spodnie i modne adidas... Koszuli, cholera, nie

pamiętam! Pachniałeś? Żeby mnie szlag! Bo nagle sobie uświadomiłam, że Walicki pachniał czymś bardzo znajomym... Jakby woda Ferrari Extreme... Tą po goleniu... W końcu nawąchałam się ci ja w swoim życiu markowych wód po goleniu, wód toaletowych tudzież perfum męskich do diabła i trochę. Przemek był bardzo wymagający pod tym względem. Twierdził, że dobrze pachnący facet jest dla kobiet bardziej seksy...

Zapominając, że był środek nocy, wystukałam na komórce numer Elki. Długo trwało, nim wściekły głos warknął:

— Złamałaś nogę? Bo jak złamałaś, to ci wybaczę pobudkę o północy. A jeśli nie złamałaś, to lepiej złam, inaczej ja ci jutro sama złamię!

— Elka, słuchaj. Walicki. Daniel Walicki...

— Podłapałaś wreszcie faceta? No i co?

— Co co?

— Dobry w łóżku?

— Zwariowałaś? Dobry w łóżku? Walicki? Czy ty zdradziłabyś z nim swego Heniusia?

— Ja? Heniusia? Heniusia z nikim nigdy nie zdradziłam i nie zdradzę. Upadłaś na głowę?

— Elka! Nie upadłam. Skup się. Co wiesz o Danielu Walickim?

— Ja? To ty wiesz, skoro się z nim przespałaś — w głosie Elki pojawiło się rozczarowanie. — Aż taki kiepski, że wywaliłaś go z wyrka już o dwunastej? Trzeba było poczekać do rana.

— Dlaczego do rana?

— O matko! Nie czytałaś Wisłockiej?

— Nie, a bo co?

— Cholera, nawaliłaś się czy jak?

— Elka, nie nawaliłam się. Nie spałam z Walickim. Chcę zapytać, co o nim wiesz.

— O tym jakimś Walickim?

— Daniel mu na imię. Pracuje u słodkiej Dony w charakterze konserwatora. Ale nie zabytków, lecz kibli tudzież kranów. Rozumiesz?

— Spałaś z facetem od kibli? Naprawdę sięgnęłaś dna!

— Cholera, toż właśnie mówię, że nie spałam!

— To po jaką cholere budzisz mnie o północy?

— Elka! Chcę wiedzieć, czy coś wiesz o Danielu Walickim!

— Ta znowu z tym Walickim!

— Elka! Obudź się. Daniel Walicki. Konserwator u Ilony. Wysoki. Barczysty. Szpakowaty. Lewa noga... cholera, nie pamiętam... Lewa albo prawa krótsza od drugiej...

— Od której drugiej?

— Elka! Wszystko jedno, od której. Mocno utyka. Tak na oko ma około pięćdziesiątki. Jeździ rżęchem marki Polonez. Pachnie chyba Ferrari Extreme...

— No, no. Nieźle go obwąchałaś. Ciekawe, gdzie ci tak męsko pachniał?

— W samochodzie, kretynko!

— W samochodzie? Uprawiałaś z nim seks na tylnym siedzeniu jak w amerykańskich filmach?

— No nie, ja przez ciebie zwariuję! Nie uprawiałam z nim seksu!

— Dobra, dobra. Ja już i tak wiem swoje...

— Nie dogadam się z tobą. Ile wypiliście wina do kolacji?

— Wina? Kaśka! Coś ty! Pysznego, mojej roboty, koniaczku... Na moim, fachowo jak na chemika przystało, bimberku... Tylko z Heniusiem próbowaliśmy kapeczkę...

— Aha. I Heniuś wpadł pod stół.

— Jakbyś przy tym była — zachichotała moja przyjaciółka. — Heniuś ma słabą główkę...

— Za to ty tęgą. Zadzwoń jutro. Jak wytrzeźwiejesz.

— Coś ty, Kaśka. Jestem trzeźwa wprost niemożliwie.

— Akurat. Prostej sprawy nie potrafisz zrozumieć. Chcę tylko uzyskać bliższe informacje o pracowniku Kunegundy Wspaniałej, który prawdopodobnie używa za drogiego, jak na jego możliwości finansowe, pachnidła, co wzbudza moje podejrzenia.

— Ferrari Extreme to piekielnie droga woda... On używa po goleniu?

— Jezu, daj mi siłę! Nie mam pojęcia, po czym jej używa!

— I niby ja mam się tego wywiedzieć? U Ilony? To ona z nim sypia?

— Elka, tobie tylko łóżko w głowie!

— A niby co mogę mieć w głowie, skoro w nim leżę, prześladowana przez przyjaciółkę wariatkę w godzinie duchów?

— Dobra. To leż sobie.

— Ej, Kaśka. Najpierw robisz za zegarynkę, a teraz, kiedy mnie rozbudziłaś, spadasz? Gadaj. Po kolei. Facet, który polewa się woda marki Ferrari Extreme, po jaka cholereę miałby robić za konserwatora u Ilony? Wiesz, ile taki konserwator zarabia?

— Nie wiem.

— Dziewięćset złotych polskich brutto. Już woźne mają wyższe pensje.

— Ten ma w takim razie inne dochody! Z niego taki sam konserwator jak ze mnie woźna. Wie, co to jest stajnia Augiasza. Zna się na sztuce. Nawet Rapackiego rozpoznał, a to mniej znany malarz.

— Więc jednak był u ciebie w chałupie. Podoba ci się, co? Wysoki, barczysty, pachnący...

— Elka, na litość boska. To nie ma żadnego znaczenia, czy mi się podoba, czy nie. On się podoba Szymkowi!

— Jezus Maria! Kaśka! Pewno pedofil. Z samego rana zadzwonię do Ilony...

— Ela, nie! Nie pedofil!

— Czy ty zdajesz sobie sprawę z zagrożenia?

— Ela, kochana, to nie tak...

— A jak?

— Facet wobec Szymka jest okej. Ale nie dziw się, że chcę o nim wiedzieć coś więcej.

— Nie dziwię się. Jednym słowem, życzysz sobie, bym się wypytała u Ilony o tego pachnącego Ferrari Extreme gościa?

— Ela, ale delikatnie...

— Założę specjalnie jedwabne rękawiczki. Sama umieram z ciekawości. Rozumiem więc twoją...

— Ale delikatnie...

— Powtarzasz się. Bardzo delikatnie. Rozumiem cię lepiej, niż ci się zdaje. Za cholerę nie przyznasz się, że facet ci się podoba.

— Chodzi o Szymka, Elka!

— Masz mnie za kretynkę? Skoro podoba się Szymkowi, wobec tego twój cudowny syneczek nie wywali go za drzwi. Tak jak mnie ostatnim razem. Wreszcie łaskawie ci pozwoli na męsko-damskie kontakty. Kaśka. Jutro mam dwa „okienka” w zajęciach. Zamiast odwalać dyrektorską biurokrację, wpadnę z przyjacielską wizytą do Ilony. Wybacz, że nie rzucę ci się na szyję, bo to mogłoby wzbudzić jej podejrzenia. Po wizycie zadzwonię. Wpadniesz do mnie po relację. Okej?

— Dzięki.

— Nie dziękuj. Przygotuj gips. Nogę ci złamię, jak obiecałam. Myśląc o tym, czego się dowie Elka, nie mając sił iść pod prysznic, wróciłam do salonu. Nastawiłam budzik w komórce na czwartą piętnaście. Skuliłam się w fotelu. Zasnęłam.

Przyśnił mi się Szymek. Przykrywał mnie kocem i głaskał po głowie.

## Rozdział dwudziesty

Głowę miałam tak zaprzątniętą pytaniem, kim jest Daniel Walicki, że ledwo rozpoczęła się pierwsza lekcja, pobiegłam do piętrowych koleżanek.

Pani Maria, zamiast sprzątać, siedziała w swojej kanciapie, z głową opartą o stół. Sękaty palec targały siwe włosy. Chudymi plecami wstrząsał niemy, bezgłośny płacz.

Wycofałam się na palcach, wstrząśnięta. Nic tu po mnie. Z doświadczenia wiem, że człowiek ogarnięty rozpaczą nie łaknie świadków ani pocieszenia.

Krysię odnalazłam przy czyszczeniu kibli. Miała łzy w oczach.

— Takie świństwo wyrzucić starej kobiecie! Ty jesteś uczona, może coś poradzisz? Bo do Miśki nawet nie chodź. Miśka, jak po każdym weekendzie, nie zdążyła wytrzeźwieć. A pani Marii zabrali dzieci — Krysię pacnęła wściekle klapą kibla. — Przyszli i zabrali. Wyobrażasz to sobie? Ona dla nich zaharowywała się na śmierć. Ta jej córka, pijaczka i ostatnia zdzira, co urodzi dzieciaka, to go matce podrzuca, a sama : rusza w tango. Teraz od roku siedzi w kiciu. Razem ze swoim amantem włamała się do monopolowego. A że to nie pierwszy raz, dostali po trzy lata. Przynajmniej tyle miała dotąd pani Maria szczęścia, że nie musiała się już ze zdzirą i jej amantem użerać. Bili ją, wiesz? Żeby powiedziała, gdzie ma kasę. Nigdy im nie powiedziała, nigdy. Kiedyś jej nawet zebro przetręcili, ale nie poszła do lekarza ani do szpitala, ani nic. Długo pluła krwią. Ledwo łąziła, ale łąziła. Bo, gadała, wtedy opieka zabierze jej dzieciaki. Całą trójkę chowała od urodzenia. Dzieciaki czyste, oprane, umyte, nakarmione. A tu nagle przyszli i zabrali. Powiedzieli, że nie ma warunków do wychowywania dzieci. Ze niby w bidulu będzie im lepiej.

— Skąd o tym wszystkim wiesz?

— Przecież mieszkam naprzeciwko. Jak mnie mój wali po pijaku, to uciekam z dziećmi do pani Marii. Takiej dobrej kobiety świat nie widział. Kaśka! Jak jej tych dzieciów nie oddadzą, to ona nie ma po co żyć. Rozumiesz?

Rozumiałam.

— Idź do dyrektorki albo gdzie. Ty jesteś mądra. Pomóż. Mój Boże, naiwna wiara Krysi w moje możliwości omal i mnie nie doprowadziła do płaczu.

— Ja i inne sąsiady możemy być za świadków. Cała ulica Sprawiedliwa. Wszyscy wiedzieli, jak jest naprawdę. A jak przyszli zabierać, Jezusie, Kasia, dzieciaki musieli na siłę od drzwi odrywać. A pani Maria tylko powtarzała: „Nie zabierajcie mi dzieci, nie zabierajcie”.

— Zrobisz tak — powiedziałam, bo coś musiałam powiedzieć i coś jednak musiałam zrobić, chociaż spróbować, inaczej nie umiałabym spojrzeć na siebie w

lustrze (sporo jednak było racji w twoich słowach, Danielu Walicki, że niewiele wiem o rozmiarach ludzkiego nieszczęścia) — po pierwsze, pójdziesz do pani Marii i powiesz, że będziemy walczyć o jej wnuki. Musi być silna. Jeżeli teraz się załamie, to po sprawie, kapujesz?

— Kapuję. I co dalej?

— Potem ty mi to wszystko jeszcze raz opowiesz. Po kolei. Jak i co, kapujesz?

— Kapuję.

— Potem ja to opiszę. W domu mam komputer, drukarkę. Wydrukuję w kilku egzemplarzach. Dwóch może nawet i trzech... — zastanawiałam się głośno. — Dam te wydruki tobie. Ty poganasz po ludziach, zbierzesz ich podpisy. Im więcej, tym lepiej.

— Cała ulica podpisze! Wszyscy są za panią Marią! Kaśka, ale co dalej?

— Od pani dyrektor wezmę opinię o pracy pani Marii...

— Ta wiedźma ci nie da. Lepiej idź do księgowej.

— Księgowa nie jest pracodawcą, kapujesz? Opinię musi wystawić pracodawca.

— No to klops. Dyrektorka to wiedźma.

— Nie martw się na zapas. Na pewno pomoże. I jak już wszystko będziemy miały, ja z tym pójdę, gdzie trzeba.

— A gdzie trzeba? — zapytała rzeczowo Krysia.

— Najlepiej do mediów.

— Możesz gadać tak żebym załapała?

— Do gazet. Do radia. Do telewizji...

— Matko... — na ładnej twarzy Krysi pojawiło się takie zdumienie, jakby zamiast mnie stała przed nią w złocistych szatach księżniczka perska. — Kaśka... to jest, o matko, przepraszam... Proszę pani, pani zna tych, co w telewizji?

— Nie wydurniaj się z jakąś zasraną panią. Pracuję tu jako woźna, bo mnie wywalili z mojej pracy, a nigdzie innej nie mogłam znaleźć. Mam jedenastoletniego syna, muszę mu dać jeść, co nie? Gdyby nie wy, pani Maria, ty i Miśka, nieprzyzwyczajona do takiej roboty zdechłabym, kapujesz? Pomogłyście mi. Macie złote serca. Teraz ja, jeśli się uda, pomogę pani Marii. A jeśli jeszcze raz ubliżysz mi, zwracając się do mnie „pani”, walnę cię. I jak komu rozgadasz, że znam kogoś w telewizji, to również cię walnę.

— O matko — powiedziała tylko.

Zostawiłam ją z tym „O matko”, niech sobie wszystko przetrawi. Wróciłam na parter. Cholera, gdybym pracowała na piętrze, miałabym swoją kanciapę. A tu człowiek cały czas na widoku. Myślałam gorączkowo. Jedynym facetem, którego — jeśli można to tak określić — znam w telewizji jest Igor. Mój ekspółdobowy



maż. Oj, mniej niż półdobowy! Ślub braliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego na Bałutach o godzinie jedenastej. Piękny dzień na ślub: druga połowa maja. Byliśmy oboje słabokasiastymi studentami, ale od czego solidarna brać studencka? Za pieniądze składkowe kupiliśmy alkohol, a kanapki oraz sałatki zrobiły dziewczyny z akademika. Wsiadliśmy w pociąg do Grotnik, poszliśmy do lasu, rozłożyliśmy się na polanie, no i pełne szczęście! Dopóki nie przylazła Elka i nie zapytała: „Kaśka? A gdzie twój mąż?”. Cholera wie gdzie? — odpowiedziałam. On mi wygląda na seksoholika, oświadczyła Elka, ale była zalana w pestkę, a i ja w pestkę, więc potraktowałam jej oświadczenie jako zwyczajną zazdrość. W Igorze kochały się niemal wszystkie dziewczyny z Uniwersytetu Łódzkiego, Elka też, bo jeszcze wtedy nie poznała swego Heniusia, to jej powiedziałam, że jest małpa i tyle. Ja ci go znajdę! — zaoferowała Elka. Odwal się, sama swego męża znajdę. No i znalazłam. W krzakach z Julka. A po drodze majtki Julki. Była dokładnie godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści. I po ślubie. Co prawda skonsumowaliśmy się grzesznie przed ślubem, jednak na tę noc poślubną oraz dalsze życie w harmonii małżeńskiej czekałam niecierpliwie. Jako przyszłe małżeństwo otrzymaliśmy w akademiku prawo do mieszkania w jednym pokoju. Okazało się, że o wiele łatwiej wziąć ślub, niż potem się z niego wyplątać. Rozwody dla studentów nie są ulgowe.

Na moje szczęście to Igor płacił za rozwód, zaś jednym z głównych dowodów przeciwko niemu były owe nieszczęsne majtki Julki oraz dwudziestu ośmiu świadków zdrady.

Potem Igor zniknął z Łodzi. Przeniósł się na inny uniwersytet. Ja też się przeprowadziłam. Do Warszawy. Na historię sztuki. Do filologii polskiej nabrałam wstępu. Przecież na tejże poznałam Igora. W stolicy mieszkalam w akademiku. Przed obroną pracy magisterskiej wlałam pod Przemka. To znaczy pod jego samochód. Na przejściu dla pieszych. Mój przyszły mąż wrzeszczał, że wtargnęłam pod niego. Jeden policjant roześmiał się i powiedział: „Ale z pana szczęściarz! Sam chciałbym, żeby taka laska pode mnie wtargnęła”. Dziwnie się to życie plecie. Z Przemkiem zaczęło się od wtargnięcia, z Igorem skończyło się na wtargnięciu — Igora z Julka w krzaki.

To Elka wypatrzyła Igora w telewizji. Natychmiast powiadomiła mnie o tym niebywałym fakcie. Z radością oznajmiła, że świetnie się stało z tymi krzakami, ponieważ Igor jest teraz brzuchaty i ma dwa podbródki. Prowadził w Dwójce program pod tytułem Napisz do mnie, pomogę ci. Kilka razy go obejrzałam. I program, i mego eksmęża. Wszystko się zgadzało. Brzuchaty, z dwoma podbródkami, wyposażony zapewne w sztuczne zęby, ponieważ były równiutkie

niczym od linijki. Pamiętam, że kiedyś miał dwie krzywe jedyńki, jedyna niedoskonałość w filmowej urodzie Igora.

Więc tak. Mam znajomości w telewizji. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, pojedę odnowić znajomość z moim eksmężem, któremu kilka godzin po ślubie żona pomyliła się z druhną. W dalszym ciągu mam zgrabne nogi i rude afro do ramion. W dalszym ciągu faceci oglądają się za mną. Brzuchatemu Igorowi powinna opaść sztuczna szczęka na mój widok.

Na razie należało wydebić opinię od Kunegundy Wspaniałej.

Wizyta Elki bardzo mi w tym pomoże.

Czatowałam pod przeszklonymi, lśniącymi niczym lustra weneckie wrotami dla wybrańców. Do mnie należał przywilej otwierania oraz zamykania tych wrót za wchodzącymi lub opuszczającymi królestwo Kunegundy gośćmi. Powinnam właściwie zażądać dodatkowego wyposażenia w postaci liberii tudzież białych rękawiczek. Wielmożna pani pozwoli. Jej Wysokość oczekuje w sali tronowej.

Zobaczyłam zbliżającą się Elkę. Ładna z niej bestyjka. Wysoka, szczupła, elegancka. Bez śladu kaca na twarzy.

— Wasza Wysokość wyjdzie. Druga Wysokość oczekuje na tą Wysokość niecierpliwie.

— Wydurniasz się. To znaczy, że twoje kłopoty są poważniejsze, niż sądziłam.

— Elka rozejrzała się bacznie, czy nikt nas nie śledzi.

— Cholera, faktycznie. Wypytaj Kunegundę o Daniela Walickiego. A potem, błagam, nie zemrzyj na zawał, ponieważ ja wyjdę — szepnęłam, na wszelki wypadek przyjmując postawę pokornego sługi.

— Co ty jeszcze kombinujesz?

— Dowiesz się. Spadaj.

— Urozmaicasz mi życie, wiesz?

— Bo jestem kochana, co nie?

— Od kiedy gadasz: „co nie”?

— Ha! A jakie byki sadzę!

— O bykach już wiem — zachichotała Elka. — Słodka Ilona poczuła się usatysfakcjonowana... Stałaś się legendarną postacią wśród łódzkich dyrektorów,

— I dopiero teraz mi o tym mówisz?

— Kaśka. Zebranie w kuratorium odbyło się w piątek...

— Mogłaś zadzwonić. Miło zostać sławną postacią.

— Wydurniasz się. Znaczy naprawdę masz poważny problem. Ale ja też mam. Potem ci powiem. Więc okej. Też mi dobrze zrobi trochę wygłupu. Co zamierzasz?

— Idź przodem, zobaczysz. Otworzyłam przed Elką drzwi sekretariatu.

— Pani dyrektor Elżbieta Popielska do pani dyrektor Ilony Sawickiej — oznajmiłam uroczyście. — Pani dyrektor pozwoli, że zdejmę z niej płaszcz. Merci, beaucoup. Thank your very mach. Please — otworzyłam kolejne drzwi. Miss Grażyna poderwała się z miejsca. Jakby również zamierzała wybić pokłon. Jeden policzek Elki nagle spuchł. Znaczyło, że wypchała go językiem, inaczej musiałaby utracić dyrektorską powagę tudzież autorytet.

— Pani dyrektor Elżbieta Popielska do pani dyrektor — zaanonsowałam. Pani dyrektor Elżbieta Popielska kopnęła mnie w kostkę, a do Kunegundy uśmiechnęła się radośnie i z taką szczerością, że aż mnie skreśliło. Oczywiście, z podziwu dla pani dyrektor Elżbiety Popielskiej. Zamiast chemii powinna była kończyć aktorstwo. Ma talent. I bardzo dobrze. Teraz byłam pewna, że nie tylko wyciągnie z Kunegundy potrzebne mi informacje, lecz weźmie czynny udział w przedstawieniu przygotowanym przeze mnie. Wycofałam się dyskretnie z sekretariatu. Pobiegłam do pani Marii. Niobe osłaniająca ostatnią, najmłodszą córeczkę na obrazie Jomberta wyglądała przy niej nieomal na szczęśliwą, ponieważ miała jeszcze nadzieję na ocalenie dziecka przed siepaczami zazdrosnej Latony. Pani Marii taką nadzieję odebrano. Patrzyła pustymi oczami na gestykulującą przed nią, pocieszającą ją Kryskę. Niepotrzebny był jej Zeus skracający cierpienie. Sama zamieniła się w skałę.

— Ona niczego nie rozumie, co do niej gadam. A gadam, że ty pomożesz. A ona nic. Tyle, że przestała płakać — powiedziała Krysia. — Nie wiem, co robić. Byłam u Miśki. Zaraz sprzątniemy razem piętro za Marię. I co dalej?

— Pani Mario... Poznaje mnie pani? Nawet nie drgnęła.

— Pani Mario... To ja. Kasia. I Nic. Puste, kamienne oczy. Muszę do niej jakoś dotrzeć.

Jak? Trudno. Najwyżej stracę robotę.

— Pani Mario. Byłam dziennikarką. Znam wiele wpływowych osób. Istnieje szansa odzyskania wnuków. Jednak musi pani ze mną i z Krysią współdziałać. Pani Mario! Niech pani kiwnie głową, że rozumie to, co do pani mówię...

Boże, dzięki. Kiwnęła.

— Pani Mario, poruszę niebo i ziemię. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Teraz Krysia zagotuje herbatę, a pani tę herbatę wypije, dobrze?

Kiwnęła głową.

— Krysiu, Maria na pewno od soboty nic nie jadła. Masz jakieś żarcie? To przynieś, migiem. Pani Mario. Zje pani kanapkę?

Kiwnęła głową.

— Krysiu, od Miśki weź z ćwierć szklanki bimbru. Wlej do herbaty. To panią Marię rozgrzeje. Muszę biec do dyrektorki po opinię. Przylecę zaraz, jak tylko to załatwię.

— Słowo honoru, Kaśka, że nikomu nie pisnę, kim naprawdę jesteś — nieoczekiwanie odezwała się Kryska. Patrzyła na mnie jakbym była świętą Katarzyną z Aleksandrii lub świętą Katarzyną z Genui, albo inną świętą Katarzyną, nie pamiętam, ile ich było, pewnie od groma; w każdym bądź razie wszystko wskazywało na to, że powiększyłam ich grono.

— A myślałam, że nie wytrzymasz i rozpuścisz jadaczkę — odpowiedziałam, ponieważ już w myślach zdążyłam pożegnać się ze swoją miotłą. — Ale dzięki. Dobra kumpela z ciebie.

Zbiegłam na parter. Dziesięciominutową przerwę między lekcjami przeczekałam w wielkim stresie. Zastanawiałam się, co gryzie Elkę? Czy z powodu jakiegoś problemu spiła wczoraj koniakiem Heniusia? Upicie Heniusia oznaczało, że stan jego zdrowia był okej. Nocna rozmowa nie wskazywała na żaden problem, wyłącznie na upojenie alkoholowe. Więc ten problem musiał pojawić się dopiero dziś rano... Na jej ładnej twarzy nie odbijał się wszak żaden niepokój... Ale my tak zawsze. Od podstawówki. Im większy problem, tym radośniejsza dla niepoznaki gęba... I tym głupsze gadki.

Po dzwonku odczekałam kolejne pięć minut. Nie zważając na protesty Miss Grażyny, wkroczyłam do sali tronowej Kunegundy. Obie Moście Dyrektorskie siedziały przy honorowym stoliku dla honorowych gości i piły kawę. Rozmowa jak dotąd musiała upływać w serdecznej atmosferze. Lecz przerwałam ją ja, woźna, wywołując swoją bezczelnością wyraz niesmaku na twarzy Jej Wspaniałości tudzież natychmiastową opuchliznę lewego policzka Elki.

— Moja pani? A cóż to ma znaczyć? — w tym pytaniu Kunegunda poza niesmakiem wyraził również swoją dla „mojej pani” pogardę.

— Przepraszam uprzejmie. Sprawa jest jednak wyjątkowo pilna...

— Moja pani! Proszę wyjść!

— Ilonko, poczekaj — roześmiała się Elka. — Zawsze mnie zdumiewała wprost bezgraniczna arogancji tych pań... Pozwól jej się wypowiedzieć. Pilna sprawa... Niebawale, nie uważasz?

— Prawda, że te panie są nieprzewidywalne... — łaskawie zgodziła się Kunegunda. — Wobec tego zamieniamy się w słuch, moja pani.

— Dziękuję uprzejmie obu paniom dyrektorkom — wybiłam dwa pokorne pokłony. — Pragnę uprzejmie zwrócić się z następującą prośbą. Maria Kołodziej potrzebuje pilnie od swego pracodawcy, czyli od pani, pani dyrektor, opinii o swojej pracy.

— Maria Kołodziej, moja pani? A któż to taki? Nie znam.

— Informuję uprzejmie, pani dyrektor, że Maria Kołodziej pracuje zatrudniona jako woźna u pani dyrektor od lat bodajże piętnastu.

— I z powodu jakiejś tam Kołodziej pani przerywa mi rozmowę? — Kunegunda nie kryła swego oburzenia.

— Ilonko, to rzeczywiście oburzające. Co taka pani sobie wyobraża? Aż mi wstyd. Poręczyłam za nią. Jednak skoro powiedziała „a”, niech dokończy. A zatem co z tą Kołodziej?

Opowiedziałam w kilku zdaniach. Opowieść o tym, że pani Marii odebrano wnuki, w związku z czym my, woźne, pragniemy podjąć odpowiednie kroki w celu odwołania się od decyzji urzędnika opieki społecznej, wywołała ironiczny uśmiech Kunegundy.

— Wy, moje panie? Wy?

— My — wybiłam pokłon.

— Po pierwsze, moja pani, nie jesteście osobami kompetentnymi. Po drugie, moja pani, skoro kompetentny urzędnik uznał, że ta Kołodziej nie powinna zajmować się wnukami, to na mocy prawa. Mam rację, Eluniu?

Elunia potwierdziła z całą mocą, że tak, oczywiście, masz całkowitą rację, kochana Ilonko. Jednak, kochana Ilonko, ci urzędnicy socjalni czasami wykazują się bezduszością.

— Jakby tak sprawą zainteresować media... — podpowiedziałam Elcc, natychmiast skapowała.

— A wiesz co, Ilonko? Ty, jako dyrektor, gdybyś ujęła się za taką bidulką, woźną, zwłaszcza przy zaangażowaniu mediów, zyskałabyś na popularności. Na twoim miejscu nie przepuściłabym podobnej okazji. Ostatnio media kochają się w takich tematach. Wyjątkowa okazja, Ilonko. Wywiady w prasie łódzkiej, w radiu, w lokalnych wiadomościach. Nawet w ogólnopolskim, tym cieszącym się tak ogromną oglądalnością programie Igora Niewiadomskiego Napisz do mnie. Szansa na wygranie tytułu Człowieka Roku Łodzi prawie pewna! — Elka puściła do mnie oczko. — A pani co tu jeszcze robi? Niech pani idzie do tej, jak jej tam? Kołodziejowej? Tak? Nieważne. Niech idzie i powie, że otrzyma bardzo dobrą opinię. Mam rację, Ilonko?

Kunegunda przez moment jeszcze zmagiała się z połknięciem haczyka. Trzeba przyznać, że Elka zafundowała jej nie haczyk, lecz haczyisko co najmniej na wieloryba. Czekałam w napięciu, czy łyknie. Łyknęła.

— Zawsze wysoko ceniłam twoje zdanie, Eluniu — odpowiedziała Kunegunda.

— A pani, moja pani niech wraca do roboty!

Wybiłam pokłon i puściłam oczko do Elki. Świetnie. Dwie osoby zaatakują redaktora Niewiadomskiego: Kunegunda Wspaniała oraz ja, jego jednodobowa żona.

Jakby się stawiał, zaszantażuję go majtkami Julki. Oraz jednomyślnym orzeczeniem sądu. Nie brzmiało ono zachęcająco. Nawet po tylu latach mogłoby zrobić wrażenie na bezpośrednich przełożonych Igora.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Miśka obiecała zanoć u pani Marii. Krysia była zachwycona opinią Kunegundy. Ja również. Dalsze kroki uzależniłam od odpowiedzi Igora. Jego programy przeważnie okazywały się skuteczne. Sądząc po nerwowym zachowaniu Miss Grażyny, Kunegunda zaczęła działać. Ha, niech sobie zostanie łódzkim Człowiekiem Roku 2008. Mogę nawet na nią zagłosować. Cel uświęca środki. Celem było wyrwanie wnuków pani Marii z bidula.

Zadzwoiłam do Elki z informacją, że jestem z niej dumna i że spotkamy się po południu.

Wychodząc z roboty, rozglądałam się za polonezem Walickiego. Bezskutecznie. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Liczyłam na to, że mnie podwiezie. Trudno. Stracę kilka złotych na bilet autobusowy. Autobus włókł się w niebotycznych korkach. Trzeba być ostatnią kretynką, żeby zapomnieć o godzinach szczytu i wąskich, łódzkich ulicach. Trudno. Byłam nią nie od dziś.

Szymek zostawił mi karteczkę: „Jestem na treningu, wrócę za dwie godziny”.

Szymek i trening? Wyczułam za tym zapach Ferrari Extreme. Dobra. Każdy trening przyda się memu cherlawemu, przyklejonemu do komputera synowi. Nawet boks. Walicki posiadał jakieś nadprzyrodzone umiejętności, skoro potrafił odkleić Szymka od monitora. Intrygujący gość. Zna się na stajni Augiasza, malarstwie i na jedenastoletnich, tęskniących za tatą chłopcach? Dobra. Walicki na razie musi iść w odstawkę. Już Elka nie próżnowała, na pewno zdemaskowała pana, Agencie do Zadań Specjalnych.

Nigdy nie parałam się dziennikarstwem śledczym, lecz dotarcie do zastrzeżonego numeru redaktora Igora Niewiadomskiego okazało się prościutkim zadaniem. Zwłaszcza że pod telefonem dyżurnym programu Napisz do mnie siedział facet. Nadałam swemu głosowi tak niezwykłą słodycz oraz opowiedziałam tak durną historyjkę o swoim bliskim pokrewieństwie z redaktorem Niewiadomskim, że facet wymiękł, podał numer komórki, po czym błagał mnie o mój, mówiąc, iż dawno nie słyszał tak zachwycającego głosu. Odpowiedziałam, że ja cała zachwycająca, w dodatku wolna, spragniona męskiej opieki i wraz z numerem wyśle mu ememesa, a potem, jeśli moja uroda go oczaruje, umówimy się szybko na kolacyjkę tylko we dwoje.

Słowa „Tu Niewiadomski, słucham?” spowodowały nieoczekiwaną miękkość w kolanach. Usiadłam pospiesznie...

W łepetynie natychmiast wyświetlił się filmik porno z udziałem Julki z Igorem między krzakami. Trudno. To była jednak pierwsza miłość, pierwszy mężczyzna...

— Halo?! — zniecierpliwiał się ten mój pierwszy. Przełknęłam ślinę.

— Pan redaktor Igor Niewiadomski?

Zaległa cisza, którą po chwili przerwał niedowierzający okrzyk mego pierwszego.

— Kasia? To ty? Ja chyba śnię?

— Nie śnisz. To ja. Mam do ciebie sprawę... Świetny temat do twojego programu.

Usłyszałam ciężkie westchnienie.

— Szkoda. Już się ucieszyłem, że dzwonisz prywatnie. Ale i tak się cieszę, bardzo, bardzo! Jestem wdzięczny losowi, że się odezwałaś. Wiesz, często o tobie myślałem...

— Ja również, Igorku, ja również — zełgałam.

— Wolę nie dociekać w jakim kontekście — westchnął. — Nie musisz mnie czarować. Przejdź od razu do rzeczy.

Zreferowałam mu sprawę pani Marii. Orzekł, że jak najbardziej nadaje się do jego programu. Zapytam, czy moja sprawa może być na cito? Zapytał jak pilne to „cito”? Odpowiedziałam, że na wczoraj. Roześmiał się. Dla ciebie nawet na przedwczoraj, oznajmił, wzdychając. Przeszliśmy do konkretów. Pojutrze przyślę ekipę, obiecał. W dwa dni moi redaktorzy przeprowadzą wywiady z urzędasami, zajrzą do bidula, sfilmują dzieciaki odebrane babci, mieszkanie pani Marii, ją bolejącą, zbiorowy protest mieszkańców...

— Kasia? A to mieszkanie twojej protegowanej to przypadkiem nie jakaś melina? Córka alkoholiczka, jak zrozumiałem, ojciec trójki dzieciaków nieznany? Byłaś tam? — zapytał z niepokojem.

— Byłam — odpowiedziałam szybko, ogarnięta nagłą paniką, bo Igor mógł mieć rację z tym mieszkaniem, A jeśli miał, wyjdzie na to, że urzędasy niebezpodstawnie odebrały dzieciaki babce. — Bardzo biednie, ale czysto, sam zobaczysz.

— Kamień spadł mi z serca. Nawet nie masz pojęcia, jak często proszący o pomoc straszliwie kłamią.

— Sądysz, że się uda? — zapytałam, czując coraz większą panikę, bo przecież nałgałam z tym biednym, lecz czystym domem. Matko, muszę natychmiast sprawdzić, jak wygląda mieszkanie pani Marii!

— Uda się. Skuteczność moich programów interwencyjnych wynosi ponad dziewięćdziesiąt procent. Lubię swoją pracę. Życie mnie doświadczyło, Kasiu. Może stąd, mając swój program, lubię pomagać innym. Wiem, zapamiętałaś mnie jako ostatniego łajdaka. Kiedy dziesięć lat temu na raka umierała moja żona, myślałem: to kara za twoją pierwszą żonę, draniu. Mam nadzieję, że ty jesteś szczęśliwa.



Nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Też nie jesteś...

— Ano nie. Ale choć odrobinę będę, jeżeli pani Maria odzyska swoje wnuki.

— Kasia? Skąd ją znasz?

— Skąd? — Nałgać czy wyznać prawdę? Postawiłam na prawdę. — Straciłam pracę. Nie znalazłam nowej w swoim zawodzie. Szukałam wszędzie. Po knajpach, po sklepach. Może załapałabym się na kelnerkę, lecz mam syna. Kto zatrudni dziś samotną matką? Więc robie za woźną w szkole. Stąd znam panią Marię. Nadal chcesz pomóc?

— Tym bardziej chcę pomóc — głos Igora jakby się załamał. — Jesteś wspaniałą kobietą, Kasiu. To zaszczyt dla mnie, że zwróciłaś się do mnie ze sprawą pani Marii. Zadzwoń jutro. Podasz mi dokładne namiary, a ja przekażę je ekipie. Rozumiem, że wolisz pozostać anonimowa?

— Całkowicie anonimowa. Dyrektorka jest wyjątkową żoną. Wiele się nauczyłam przez te tygodnie pracy z miotłą. Na przykład tego, że jestem podczłowiekiem, czymś w rodzaju śmiecia, odpadu ludzkiego, bo taka przepaść dzieli nas, woźne, od reszty grona pedagogicznego oraz dyrektorki. Ona wyobraża sobie, że ktoś pracujący fizycznie obowiązkowo musi być półanalfabetą tudzież troglodytą. Kimś, kim można pomiatać, kogo można poniżać, jednak bardzo się cieszę z tego doświadczenia, Igorze, ponieważ patrzę teraz na swój dawny świat oczami pani woźnej. Tej wiedzy nie da żaden uniwersytet. Ta wiedza, Igorze, daje wiele do myślenia. O nas. O ludziach. Ich kondycji moralnej. Ich kulturze osobistej. Dowiedziałam się między innymi, że w porównaniu z niewykształconą, tak zwaną prostą kobietą, panią Marią, magister Kunegunda Wspaniała — nasza kochana pani dyrektor — przegrywa z kretesem. Pod względem tej kultury osobistej choćby. Teraz on milczał.

— Zadzwoń jutro i podam ci wszelkie namiary. Dzięki, Igor.

Rozłączyłam się. Dziwnie się plotą ścieżki życia ludzkiego. Dotąd w mojej pamięci Igor kojarzył się wyłącznie z tamtym obrzydliwym incydentem w krzakach. Oglądałam czasami jego program, nie myśląc o ludziach, którym pomaga walczyć z głupotą, arogancją, bezdusnością innych; oglądałam dla czystej satysfakcji, że mój pierwszy facet, taki ongiś macho i przystojniak, stał się brzuchatym tłuściochem i teraz ja z niego pękam ze śmiechu, i powtarzam: dobrze ci tak, draniu, upodobniłeś się do ropuchy, a ja, na swoje szczęście, nie muszę oglądać twoich dwóch podbródków, bo pewnie bym je oglądała, gdybyś nie polazł z Julcią w te, niech będą błogosławione, krzaki! Teraz spotykam człowieka, który miał nieustające poczucie winy wobec mnie, stracił żonę, zaś swój zawód traktuje jak misję. Takiego, nawet z największym brzuchem i trzema podbródkami,

mogłabym znowu pokochać... Ale kto wie? Kto wie? Przecież się spotkamy... Już niedługo. Za dwa dni...

Dobra. Koniec sentymentalnych rozważań. Trzeba biec na Sprawiedliwa. Nie znam adresu pani Marii, lecz tam ją wszyscy znają, odnajdę bez trudu.

Kończyłam właśnie pisać kartkę do Szymka, że wrócę za dwie godziny, gdy zadzwonił domofon.

Fika. Całkiem o niej zapomniałam! Ależ ją przypiliło! Umawialiśmy się na telefon wieczorem.

— Twego pieścioszka nie ma? — spytała w korytarzu konspiracyjnym szeptem. — Bo ja już nie mogłam wytrzymać...

— Trzeba było puścić... Przyjechałaś swoją konserwą?

— No wiesz, wypraszam sobie. Twój złom się skopcił, a mój maluszek wciąż wyciąga sto dziesięć... Jeszcze mnie będziesz prosić, żebym cię zawiozła do Korablewa...

— Na razie poproszę, cobyś mnie zawiozła na Sprawiedliwą.

— Na razie to ty mi zrób kawę, zresztą, bez wypominania, pochodzącą z mego garbu. Ilona mnie po prostu wykończyła... Matko kochana. Kaśka! Jak ty z nią wytrzymujesz? Za kogo ona się uważa?

— Za kogoś lepszego. Szkoda gadać — odpowiedziałam z politowaniem. — Włóż do kuchni. Kawa ze śmietanką? Bo mi wypomnisz, że daję ci czarną, chociaż w garbie przytargałaś trzy śmietanki.

— Cztery. A tak w ogóle nie szczyb się o kasę. Heniusz ma dostać premię. Przytargam ci kolejny garb — Elka zachichotała.

— A wiesz, w którymś momencie zapomniałam się i do Ilonki zwróciłam się per Kunegundo... Dobrze, że nie dodałam Wspaniała.

— Skapowała?

— Hona? Coś ty! Roześmiała się, mówiąc, że do ciebie pasuje jak ulał Kunegunda — spojrzała na mnie. — Kaśka! Olej tę wredną żołą. Jakoś sobie poradzimy, dopóki nie znajdziemy ci z Heniusiem innej pracy. Teraz jego premia, potem moja i trzynastka... Nie daj się poniżać tej... tej Kunegundzie!

— Elunia, przestań. Masz swoją rodzinę.

— Ty również do niej należysz. Kochamy cię. Olej Ilonę. To ja ci narałam tę pracę. Daję jednak słowo honoru, że uważałam Ilonę za idiotkę, lecz nie przypuszczałam, że ona w taki sposób traktuje swoich pracowników. No, ale ja ją tak czy siak przerobię na szaro. Jeszcze nie wiem jak, ale na pewno znajdę jakiś sposób!

— Pij kawę, bo mi się spieszy na Sprawiedliwą.

— A Walicki?

— Walicki? Ach, prawda: Walicki! I co z nim? — zapytałam bez entuzjazmu. Tak w ogóle zrobiło mi się głupio. Czy Walicki wysłał za mną oddział tajniaków do zbadania mojej przeszłości? To po prostu dobry człowiek. Może podobnie skopany przez życie jak Igor? Zajął się moim synem. Mój syn znalazł w nim autorytet. Jedyne, co powinnam zrobić, to uświadomić Walickiemu, żeby się do mnie nie przystawiał...

— Ela? W jaki sposób wytłumaczyłaś przed Kunegundą swoje zainteresowanie Walickim? Wolałabym ani siebie, ani jego nie narażać na plotki.

— Kaśka, zachowałam się niczym Talleyrand! Pełna dyplomacja okraszona nutką cynizmu. Powiedziałam po prostu, że jedna z moich woźnych interesuje się Walickim.

— O Jezzu, Elka, taki z ciebie Talleyrand jak ze mnie baletnica! — naprawdę się wystraszyłam. — Aleś strzeliła babola! Teraz Walickiego te baby pedagogicznego rodzaju żeńskiego wezmą na języki! Już taka jedna ropucha wypatrzyła, jak Walicki odwoził mnie do domu, a potem Kunegundą oskarżyła mnie o niemoralne prowadzenie się!

— Spoko, kochana. Kunegundą zainteresowałaby się tym, gdyby w twoim Walickim kochała się osoba na poziomie. Lecz dla Kunegundy Walicki to fizyczny. Nawet zdumiała się, że tracę czas w tak niestosownej sprawie. Z wyraźnym wstrętem brała w swoje dyrektorskie dłonie teczkę osobową Walickiego. Ten pan, oświadczyła z niesmakiem, zatrudnił się u mnie pięć lat temu. Wykształcenie zasadnicze zawodowe. Wdowiec. Chyba nie interesuje cię adres tego pana? Kunegundą stwierdziła: Powiedz swojej woźnej, że to partia w sam raz dla niej. Tu się roześmiała...

— Wystarczy, Ela. Dziękuję.

— Wystarczy? — zdumiała się moja przyjaciółka. — Jak to: wystarczy? Kaśka! To jakiś podejrzany typ! Sama gadałaś, że zna się na malarstwie, sztuce? Matko, Kaśka! Ktoś po zasadniczej zawodowej nie odróżnia Boznańskiej od Nowosielskiego! Ty się miej na baczności!

— Ja też jestem po pięciu klasach podstawówki.

— Ty to ty. Miałaś powody, żeby podać fałszywe dane. Ale ten twój Walicki?

— A jeśli on też ma swoje powody? Niepotrzebnie wplatałam go w aferę. Może tak jak Igor, to po prostu nieszczęśliwy człowiek. — Cholera, za późno ugryzłam się w język. Oczy Elki omal nie wypadły z orbit.

— Igor? Mówisz o tym Igorze?

— Elcia, zawieź mnie na Sprawiedliwa, proszę.

Odeła usta. Było jej z tym do twarzy. Wstała gwałtownie.

— No wiesz — powiedziała tylko. — Sadziłam, że zasługuję na szczerość.

Obraziła się. Trudno. Po drodze co nieco ja ołgam. Ubarwię życiorys Igora tak, że się rozszłocha.

Zanim zwierzę się Elce, sama sobie muszę wszystko poukładać w głowie.

## Rozdział dwudziesty drugi

Owszem, dwuizbowe mieszkanie pani Marii było czyściutkie. Tym bardziej kłuła w oczy jego nieprawdopodobna nędza. Wyglądało na to, że córka alkoholiczka, zanim wyprowadziła się do swego gacha, wspólnie z nim wymieniła na gorzałę każdy mebel z mieszkania matki. W kuchni pozostała odmalowana na biało olejną farbą ława, na której stały wiadra z wodą i duża miednica, zastępująca łazienkę. W tej starej kamienicy czynszowej, pamiętającej czasy pierwszej połowy ubiegłego wieku, kran z wodą był na korytarzu, wspólny dla wszystkich lokatorów piętra. O ubikacji lepiej nie wspominać. Też wspólna dla kilkunastu rodzin. Nie miałam pojęcia, że ludzie mieszkają jeszcze w takich warunkach. Kolejne doświadczenie uczące mnie, jak niewiele wiem o swoich bliźnich.

U pani Marii obstawiony naczyniami parapet okienny służył za kredens. Drewniany zydzel, jedno krzesło. Mała szafka z trzema półeczkami wyłożonymi białym papierem. To spiżarnia: chleb zawinięty w folię, cukier, mąka, ryż, dwa słoiki z dżemem, cztery z miodem. Widok słoików z miodem ścisnął mi gardło nagłym skurczem. Boże, kiedy ledwo trzymałam się na nogach, pani Maria odebrała własnym wnukom miód od ust i przyniosła go do szkoły, żeby mnie wzmocnić! Czy ja bym tak potrafiła? Zabrać synowi, aby ratować zupełnie obcą sobie kobietę? Chyba nie. Chyba? Na pewno nie!

Podłoga w kuchni była wyłożona popękany gumoleum. Pod ścianą znajdował się siennik przykryty łatanym kocem. Domyśliłyśmy się z Elką, że to „sypialnia” pani Marii.

Chodziła za nami krok w krok podtrzymywana przez Miskę. Wodziła załzawionymi oczami.

— Mięso też jadły. Córka zabrała lodówkę. Mięso, wędliny i masło dla nich trzymam u sąsiadki, Józi Kowalewskiej. Tak im mówiłam, gdy przyszli po dzieci. Że jedzą i mięso, i kielbaski, i jajka im smażę, a ta margaryna to dla mnie. Dzieciom smaruję chleb masłem. Tym prawdziwym. Za 4,20 kostka... Józia przyniosła im pokazać mięso, akurat miałam prawdziwy schabik, najprawdziwszy, świeżutki, a oni powiedzieli... A oni powiedzieli, że nie o to chodzi. To o co chodzi? O co? Czyste, zadbane, najedzone, grzeczne...

W pokoju głównym meblem było drewniane, małżeńskie łóżko. Trzy poduszki, duża kołdra. Drewniany stolik przykryty ceratą. Na wbitych w ścianę gwoździach wisiały ubrania. Na podłodze spłowiałe od częstego prania chodniki. Kosz z używanymi zabawkami. I, mój Boże, widziałam po Elce, że z trudem powstrzymuje łzy — na pozostałych ścianach przypięte pineskami kartki z rysunkami dzieciaków. Na rysunkach ich kolorowe marzenia. Żółte domki.

Drzewka z czerwonymi kuleczkami jabłek Łączki z kwiatkami. Niebieskie wstążeczki rzeczek. Wyskakujące z wody czerwone rybki. A na każdym zawsze jedna, jedyna postać. Koślawe literki oznajmiały, że to — Babcia.

— Ta poprzednia pani, co to przychodziła sprawdzać, mówiła, że moje wnuki mają wielkie szczęście, taka ze mnie troskliwa, dbająca babcia. A ta, co przyszła po niej, zapytała tylko: trójka wnuków śpi razem? Dziewczynka z chłopcami? To jej powiadam, że Tolcia ma dopiero trzy latka. A Karolek z Michałkiem, bliźniaki, po cztery. Iak spłacę pożyczkę, com ją wzięła, gdy Michałek z Karolkiem pochorowali się, a wiadomo jakie lekarstwa drogie, to wezmę następną na tapczanik dla Tolci. Tak samo mówiłam tym, co przyszli zabierać. Dzieciaki moich nóg się czepiały, a te, co przyszli, siłą, siłą... Kasia? Naprawdę przyjedzie do mnie pan z telewizji?

— Naprawdę, pani Mario — odpowiedziałam, wiedząc już, że Igor nie wyśle ekipy. Prawo jest bezduszne, lecz jest prawem. Prawo nie rozumie, że dzieciakom na tym wspólnym łóżku spało się bezpiecznie. Że śniły na nim kolorowe sny przenoszone później kredkami na kartki. Że bezpieczeństwo ich snom zapewniała jedyna na całym świecie, kochająca je osoba. Może prawo przymknęłoby swoje biurokratyczne oczy na brak lodówki, telewizora, wodę noszoną w wiadrach z korytarza, nawet na ten siennik pani Marii w kuchni, lecz na wspólne, o zgrozo, dla dziewczynki i chłopców łóżko na pewno nie.

Miśka wyszła za nami na klatkę schodową. Namalowane czarną kreseczką brewki uniosły się pytająco.

— Nie jest dobrze, co, Kaśka?

— Nie jest.

— Tak sobie od razu pomyślałam, kiedy tu wlałam.

— Tylko nic jej nie mów, Miśka. Coś wymyślimy.

— Pewno. Masz łeb na karku, Kaśka. I szykowną przyjaciółkę. Ratujcie dzieciaki i panią Marię.

— Będzie dobrze, Miśka.

— Przecież chyba na tym kurewskim świecie jest jeszcze jakaś sprawiedliwość, co nie?

Zostawiłyśmy Miśkę z jej liczącym na sprawiedliwość pytaniem.

— Jezu — tylko tyle wydusiła z siebie Elka, wsiadając w malucha. Skrzynia biegów zazgrzytała, kiedy wrzuciła jedynkę. Wymusiła pierwszeństwo przejazdu, włączając się do ruchu. Przejechała na czerwonym świetle skrzyżowanie z Sierakowskiego. Lecz opatrność nad nami czuwała. Nikogo nie zabiła na pasach dla pieszych. Nie spowodowała czołowego zderzenia. Nie zatrzymała nas drogówka.

— Muszę się napić — odezwała się, wjeżdżając na parking przy moim bloku. Tu też opatrność specjalnie dla malucha

Elki pozostawiła jedno jedyne wolne miejsce do zaparkowania.

— Kawy oraz herbaty naniosaś mi na dwa miesiące... Ja również muszę się napić, zanim zadzwonię do Igora, by odwołać ekipę.

— Ani mi się waź! — krzyknęła Elka. — Poza tym nie chcę herbaty ani kawy. Chcę gorzały.

— Nie mam gorzały...

— Rozumu też nie! — trzasnęła drzwiczkami malucha. — Wystarczy, że dasz szklanki. A swego wampira o imieniu Szymek zamkniesz w kiblu. Nie jestem w nastroju do patrzenia, jak on cię traktuje!

— Ela, Szymek się zmienia na lepsze.

— W duchy nie wierzę, chociaż życzę ci jak najlepiej. Jak tej nieszczęsnej kobiecie! — Chwyciła mnie za ramię, ciągnąc pod moją klatkę schodową. — Otwieraj. Szybko. Potrzebny mi telefon. Tylko nie mów Heniusiowi, że zgubiłam wczoraj komórkę. To już trzecia w tym roku.

— Wczoraj to byłaś spita. Dzwoniłam do ciebie na komórkę. Zapomniałaś?

— Jakbyś wypila tyle co ja, też byś zapomniała, jak się nazywasz. Jezu, Kaśka. Ja się go po prostu boję — oświadczyła, gdy otwierałam drzwi do mieszkania.

— Henusia?

— Twojego wampira, szanowna woźno.

Darowałam jej woźną i wampira. Znałam ten błysk w oku Elki. Ona coś wykombinowała. Byle coś mądrego.

Wampir przebywał w swoim pokoju i nawet nie wychylił nosa za drzwi.

Zamknęłyśmy się w kuchni. W pięknie urządzonej, wykafelkowanej kuchni. A w tamtej drugiej siennik pani Marii pod ścianą, popękane gumoleum, ława z wiadrami... W gardle stanęła mi dusząca gula. Inny świat. A przecież w Łodzi ciągną się kilometrami ulice podobnie jak Sprawiedliwa zabudowane cuchnącymi czynszówkami; ulice, którymi nigdy nie chodziłam, bo moja ulica to Piotrkowska, ulica pełna secesyjnych kamienic, ryksz, drogich butików, modnych pubów i kawiarni, do których niegdyś wpadałam z redakcji na owoce morza, sałatkę z krewetkami, martini z oliwką...

— Hej, Kaśka! Obudź się! — szturchnęła mnie Elka, podsuwając mi pod nos szklankę ze swoim „koniaczkim”. Na stole stała półlitrowka złotawego płynu. Elka była tak dobra w podrabianiu przeróżnych gatunków najlepszych firmowych koniaków, brandy, nawet żurawinowej Finlandii, że jedynie wytrawny koneser trunków mógłby zdemaskować jej oszustwa.

— Co tak wybałuszasz gały? Z sufitu gorzała nie spadła, przywiozłam ją specjalnie dla ciebie, ponieważ lubisz zakrapiać nią kawę. Dawaj komórkę. Dzwonię do Heniusia. Na twój koszt, bo to ty podjęłaś się pomóc pani Marii... Henius? Złociutki ty mój, ożyłeś jednakowoż? Bardzo dobrze. Kompres ze łąba ściągnij. Cicho, ja gadam! Weź klucz od strychu... Henius! Jak to: po co? Po co się bierze klucz od strychu? Po to, aby kluczem strych otworzyć, głąbie jeden politechniczny! Otworzysz i sprawdzisz... Cholera, Henius, słuchaj cierpliwie, to się dowiesz, co masz sprawdzić! Te graty na strychu! Jak to jakie? Te, które wywaliliśmy dwa lata temu na strych właśnie, bo nam było je szkoda wywalić na śmietnik... No, tak te, te! Z pokoi dziewczynek! Małpy uznały, że nie zaproszą do siebie ani jednej koleżanki, jeśli im nie kupimy nowych... No, zgadza się, kupiliśmy dziewczynkom za kredyt, który dotąd spłacamy... Tam, Henius, też powinna stać nasza stara lodówka... I nasz kochany telewizorek... Nam wystarczał, ale dziewczynki chciały mieć plazmowy... Ruchy, Henius, ruchy! Kartkę weź i długopis! Jezu, gdy wrócę do domu, to cię uduszę, ty jak katarynka — po co i po co! Głąbie, masz zinwentaryzować wszystko, co dotąd chowaliśmy na strych, mając nadzieję, że wygramy w totka i wybudujemy sobie na stare lata mały domeczek nad Krasówką. Henius, gołąbku, zastanów się: jeśli wygramy, to po kiego diabła nam stare graty? Kupimy do naszego domu nowe... Henius, jak to zinwentaryzujesz, natychmiast zadzwoń. Po co? Bo chcę wiedzieć, czym dysponujemy... Po co? Po nico, kretynie. Czekamy. Jak to: kto czeka? Ja z Kaśką!

Rzuciła komórkę, chwyciła moją szklanke, wypila jednym haustem jakby piła mrożoną herbatkę.

— Urządzimy mieszkanie pani Marii. Łącznie z lodówką i telewizorem. O nowych firankach pomyślę jutro... Matko, Kaśka, czego ryczysz? Przestań, idiotko, bo i ja zacznę... Patrząc na tamtą nędzę, o mało się nie rozryczałam... Boże, człowiek sądzi, że ma kłopoty, zmartwienia, a pojęcia nie ma, że gdzieś obok, ktoś taki jak pani Maria... Słodka Ilona powinna zostać skazana na galery... Ja tam wiem, jak mój personel żyje... Co komu potrzebne... Jaki lek zdobyć... I w ogóle...

— Bo ty, Elka, jesteś dobra...

— Ja? Dobra? Słyszałaś, żeby dobra żona tak opieprzała własnego męża? — Naląła sobie i mnie, chlapnęła rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy. Moja kochana Ela. O tym domku na stare lata wraz z Heniusiem marzyli od czasu, kiedy ich pierwszy raz zabrałam do Korablewa. Boże, ale uroczyśko, szepnęła Elka, jaka zielona cisza. Boże, Henius, rzeka, lasy, daleko od smrodów miasta... Boże, jakja nienawidzę miasta... Gdybyśmy tu mieli działkę, wybudowali domek...



Taki maciupęki, Heniuś... Zaczniemy oszczędzać. Odkładać każdego miesiąca po stówce. Ja stówkę, ty stówkę...

Nie wiem, czy odkładali po stówce. Lecz ten ich domek ożył. Rysowali projekty. Czterdzieści metrów użytkowych na parterze. Po co nam więcej, Heniuś? Będę starą babą ze zwyrodnieniami kręgosłupa, ty starym dziadem! Kto nam sprzątnie większy areał? A wiesz, że ze mnie taka pedantka, co prasuje nawet skarpetki... Heniuś, czterdzieści metrów, koniec, kropka. Łazienka, półtora na metr, kuchenka ciut większa, pokój dzienny dwadzieścia, zmieści się w nim nasz komplet wypoczynkowy... Podpiwniczenie? No pewno, że z podpiwniczeniem! Tam urządzę suszarnię, wstawimy pralkę... Garaż dla naszego maluszka... Zwariowałaś? Niby dlaczego ma się rozsypać? Jeździmy maluszkiem dwanaście lat, a wygląda jak nowy... I koniecznie taras, Heniuś, koniecznie... Z widokiem na lasy.. Nasze mieszkanie zamienimy na dwa mniejsze... Już nie będziemy musieli się martwić o mieszkania dla dziewczynek Każda dostanie własne...

A teraz pozbywa się dla obcej kobiety rzeczy, które gromadziła latami na strychu, bo się przydadzą w tym domku nad Krasówką...

Zadzwoił Heniuś. Inwentaryzacja wypadła pomyślnie. Elka chlapnęła i swoją szklaneczkę, skacząc dokoła stołu wykrzykiwała: Yes! Yes! Tes! Kaśka! Szafa! Komódka! Dwie lampy stojące! Kredens kuchenny! Nieżeżarty przez mole dywan! Dwa biureczka po dziewczynkach! Dwa tapczaniki! Nasz stary tapczan, pamiętasz go, Kaśka, tylko sprężyny trzeba podwiązać! Krzesła! Jeden fotel, ten, chrzęszczący, bo pokryty skajem, pamiętasz? Urządzimy mieszkancko pani Marii ekspresowo! Ta ekipa ma być za dwa dni, tak? Mnóstwo czasu! Zdaży się... Cholera, Kaśka, chłopów nam brak! Potrzebujemy chłopów! Silnych, barczystych chłopów! Kombinuj, skąd ich nabrać...

— Ty nimfomanko! Heniuś ci nie wystarcza? — oburzyłam się w imieniu jej Heniusia.

— Co ma piernik do wiatraka? — Elka przerwała swoje kangurze podskoki radości. — Chyba się spiłaś.

— Ty się spiłaś. Wy chlałaś trzy szklaneczki pędzonego na bimbrze koniaku. Co mi należesz, to sama wychlewasz. A podobno dla mnie przyniosłaś...

— Głupia! Przyniosłam dwie butelczyny. Byłam przewidująca. A chłopcy nam potrzebne jak byki.... — nagle na twarzy mojej przyjaciółki pojawił się strach. — Kaśka, powiedz mu, żeby poszedł i nie zabijał mnie wzrokiem...

— No tak. Już wpadłaś w pijackie delirium....

— Nie wpadam w delirium po takiej kapce koniaczku! — krzyknęła Elka. — W ogóle nie wpadam w delirium! Chyba że na widok twojego syna!

Obejrzałam się. Drzwi do kuchni były otwarte. A w nich Szymek. Z miną niewróżącą niczego dobrego.

— Dwie stare pijaczki — odezwał się sycząco mój syn. — Mameł i ciotka. Obie wstrętne.

— Synku...

— Nie nazywaj mnie synkiem! — wrzasnął. — Taka z ciebie zakichana matka! Nawet nie zajrzałaś do mnie, żeby zapytać o trening! O mój pierwszy w życiu trening! Nawet obiad, jaki dla ciebie zostawiłem na patelni, olałaś! Wujek nie ma racji, twierdząc, że potrzebujesz ode mnie... Potrzebujesz... Gównu! Niczego ode mnie nie potrzebujesz!

— Wujek? Kaśka, od kiedy masz wujka? — Elka zignorowała wrzaski Szymka. — Masz wujka?

— To mój wujek, nie mamła! — rozdarł się Szymek. — Nie mam taty, za to mam wujka Daniela!

— Daniela? — Elka czym prędzej ryknęła wprost z butelki. — Daniela? Twierdziłaś...

— Niczego nie twierdziłam! — przerwałam jej pospiesznie. — Szymek! Wujek Daniel bardzo by się nam przydał!

— Wam? — prychnął pogardliwie mój syn. — Ciotka ma przecież męża, chuderlaka z urazem kręgosłupa...

— Otóż to, Szymek, otóż to. Wujek Heniuś się do tego nie nadaje...

— Żmija! Padalec! Mój Heniuś nadaje się do wszystkiego — obraziła się Elka i łap za butelkę. O nie, najmilsza, chwacit. Pacnęłam Elkę po łapie. Trudno. Przyjaciółka na gigancie jutro mi zbyteczna.

— Szymek. Musimy przewieźć ze strychu cioci Eli sporo mebli dla jednej pani woźnej... Cholera, Szymek, potrzebujemy pomocy wujka Daniela. Bardzo pilnie. Przysięgam! Musisz go namówić...

— Do czego, mamle? Nie pozwolę wykorzystywać wam wujka!

— Szymek, zadzwoń do wujka i powiedz mu tak: „Moja stara...”.

— Wujek zabronił cię tak nazywać.

— Aha. Opuść więc słowo „stara” i powiedz, że ciocia Elka... Nie, ciotki wujek nie zna... Powiedz, że skombinowałam meble dla pani Marii, lecz pozostał problem przytargania ich od ciotki Elki... Ojej, synku, powiedz tylko, że chodzi o panią Marię. Wujek będzie wiedział.

— Na pewno? Bo jak mnie, mamle wredny, podpuszczasz...

— Zamknij się w pokoju i dzwoń. A ja zjem wreszcie obiad... Dzięki, że pamiętałaś o wrednym mamle...

— Nie podlizuj się. I tak cię nie cierpię, mamle.

— Dobra, dobra. Nie cierpisz. Spadaj.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Plan przedstawiał się następująco: Krysia z samego rana weźmie pod jakimś pretekstem od pani Marii klucze do jej mieszkania. Te przekaże Walickiemu. Walicki zwagaruje z budy. Przewiezie wspólnie z dwoma barczystymi kumplami graty ze strychu Elki na Sprawiedliwą, a te sienniki i całą resztę od pani Marii wywiezie precz, po czym natychmiast da znać Elce, która również zwagaruje z budy. Do Elki dołączy następna wagarowiczka: Miśka wraz z aktualnym narzeczonym. Elka w roli dekoratora wnętrz powie, gdzie ustawić meble. Łącznie z rozwieszeniem nowych firanek i poukładaniem naczyń w kredensie. Obie panie: Miśka i Elka starym meblom przywrócą pryncem w aerozolu połysk o zapachu orange. Narzeczony Miśki machnie białą olejną, szybko schnącą drzewi, ramy okienne, parapety; a także podłączy lodówkę oraz telewizor. Po pracy Krysia niczym anioł stróż przyczepi się do pani Marii i zaciągnie ją do siebie pod pozorem, że boi się swego ślubnego boksera, który właśnie umówił się na fuchę, więc na pewno za pieniądze z fuchy schleje się, a posiada on taki szlachetny zwyczaj, że swojej żonki w obecności świadków nie gania z nożem dookoła stołu. Wówczas do przemeblowanego mieszkania wkroczą ja i komisyjnie z Elką, Miską oraz jej narzeczonym podejmiemy decyzję, czy czegoś nie brakuje. Na pewno jakieś braki się znajdują. Do godziny dziewiętnastej ma być wszystko zapięte na ostatni guzik. Wtedy poinformuję Igora, że jego ekipa może następnego dnia śmiało kręcić materiał o ofiarach biurokratycznego terroru.

Pani Maria znowu zapadła się w czarną dolinę rozpacz. Nie wiedząc o uknutym spisku, oceniała swoją sytuację realistycznie. Poprzednia pracownica socjalna przymykała oczy na warunki mieszkaniowe. Obecna głównie wzburzyło wspólne łóżko, dzielone przez rodzeństwo różnej płci. Trzyletnia dziewczynka i rok starsi bliźniacy razem pod wspólną kołdrą! Dając upust swemu oburzeniu, nieomal uznała babcię za stręczycielkę, w każdym razie osobę głęboko amoralną, deprawującą własne wnuki. Telewizyjni posłannicy Igora koniecznie powinni dotrzeć do opinii owego moherowego beretu i namówić moher na wynurzenia o kazirodziej miłości! Zapisałam sobie tę uwagę na kartce, żeby nie zapomnieć przekazać jej Igorowi. To może być program jego życia! Chyba że obawia się moherów...

Powiedziałam pani Marii, że trzeba zdać się na opatrzność, modlić o cud, ponieważ cuda zdarzają się, gdyż nie tylko Bóg jest dobry, ludzie również. Niestety, niczego więcej nie mogłam wyjawić. Uradziliśmy wczoraj na nadzwyczajnym zebraniu wspólnie z Walickim, w obecności nieletniego Szymona Malickiego, który do swego guru przyssał się niczym pijawka, że pani Maria za

nic nie zgodziłaby się na wymianę mebli, uznając, iż robimy to z litości, zaś ona litości, a przede wszystkim jałmużny nie potrzebuje. Żyje w nędzy, lecz to jej nędza. Oprana, odprasowana, doszorowana, godna. Nawet za opiekę nad wnukami, gdy szła do budy, płaciła sąsiadce. Symbolicznie, bo symbolicznie, ale płaciła. Nic za darmo. Ona — powiedział Walicki — wyliczała się z każdej paczki proszku czyszczącego, jakby obawiając się, że posądzę ją o nieuczciwość.

Dlatego działamy z pełnego zaskoczenia. Żeby zrozumiała, że to nie jałmużna, lecz pomoc dobrych ludzi. Pomoc przyjmie. Nie waście się, moje panie, powiedział Walicki, zapełniać darowanej lodówki prowiantami. Firanki, kwiatki w doniczkach na parapety tak, lecz żadnych suchych kiełbas ani sterty konserw.

Powiedział? Jego ton należał do kategorii imperatiwus. Gdyby nie chodziło o panią Marię, z pewnością nie zechciałby pomagać w taszczeniu. Cholerka, on najwyraźniej sądził, że ja z Elką to takie dwie damulki, co to by na głodujące dzieci wydawały bale dobroczynne w Sali Zielonej Grand Hotelu. Moja durna, podpita przyjaciółka łyknęła tę obelgę z głupkowskim uśmiechem, zachwycona barczystością sylwetki Walickiego.

Nie skomentowałam impertynencji tego pana. W przeciwieństwie do Elki będę miała okazję odegrać się na tobie, wujku. Pan Walicki jako wujek Szymka ponownie rozbudził moje poważne podejrzenia co do czystości swych intencji. Żeby go szlag! Wujek pragnie wzbudzić we mnie poczucie wdzięczności, bo zaopiekował się moim synem, a to jest zwykła, ordynarna manipulacja ufnym dzieciakiem! Cel tej manipulacji muszę koniecznie poznać. Konfrontacja jest nieunikniona, wujku.

Dobra. Walickiego zostawiam na później. Nie wywinie mi się. Pobiegłam zobaczyć, czy pani Maria nadal pozostaje w czarnej dolinie zwątpienia. Nadałam jej kolejny pocieszający komunikat, że cud zdarza się i że ma się na ten cud przygotować. Z pomocą Krysi zmusiłam ją do zjedzenia kanapki.

— Kasia, ty coś wiesz. Powiedz, błagam. Wtedy uwierzę w cud.

— Pani Mario, cud ujawniony przedwcześnie może się nie spełnić. A pani chce, żeby się spełnił.

— Kasiu, twoje oczy się śmieją...

— Ponieważ cuda, pani Mario, często zawdzięczamy dobrym ludziom. Co nie, Krysia?

Krysia przytaknęła gorliwie. Obcmokałam, nie tając radości, panią Marię i zbiegłam w swoje rewiry. Zadzwoiłam do Elki. Była zadyszana. To dobrze. Znaczy, że się nie leniła.

— Kaśka, mieszkanko będzie super!

— Powiedz wujkowi, że mu dziękuję.

— Powiedz mu to sama. Niecierpliwił się, dlaczego nie dzwonisz.

— Zdążycie na piętnastą, wujku? — zapytałam słodko.

— Nie jestem pani wujkiem — stwierdził ponuro. — Zdążymy.

— Stopień pokrewieństwa do ustalenia, wujku.

— Pani jest niepoprawnie niepoważna.

— Wolałby wujek, żebym się umartwiała? Założyła włosiennicę i biczowała kozią nogą? Po prostu się cieszę, wujku. Pani Marii przytrafi się cud.

— Cud? JaM cud?

— Chociażby w postaci pana, który musiał się niekiepsko nagimnastykować, szurając wte i wewte z gratami. Znam swoją przyjaciółkę. Rozpiera ją energia, zwłaszcza na kacu. — Rozłączyłam się. W samą porę. Kunegunda Wspaniała wzywała mnie na dywanik, o czym z satysfakcją poinformowała Miss Grażyna. Trudno. Ma za co. Nawet nie próbowałam udawać, że sprzątam. A trzeba było mi się podpierać mopem, nie ścianą.

Kunegundę zastałam w stanie niesłychanej nerwowości. Biegała od ściany do ściany, powtarzając: „To niemożliwe. Wręcz nieprawdopodobne. Niesłychane. Ekscytujące. Fantastyczne. Niebywałe. Podniecające”.

Wolałam odczekać, aż skończy odmawiać litanię składającą się z luźno powiązanych synonimów słowa „ekscytacja”. Diabli wiedzą, co ją tak podnieciło. Miała błysk szaleństwa wr oczach. Włos afro rozwiany. Skonsumowaną pomadkę z ust.

— Dobrze, że pani jest! To niepojęte, to niczym cud! Na jutro mój gabinet ma błyszczeć... Lśnić. Wszystko ma lśnić! Rozumie pani?

— Nie bardzo, pani dyrektor.

— Przyjeżdża do nas! Do mnie! Rozumie pani teraz? Dzwonił osobiście! Rozmawiałam z nim!

Czyżby Igor, nie czekając na mój telefon, zapowiedział się na wywiad? Ha, w takim razie tym bardziej muszę robić za idiotkę.

— Sam redaktor Igor Niewiadomski. No, ale skąd pani może wiedzieć, kim jest redaktor Igor Niewiadomski!

— Faktycznie. Gdzieżbym śmiała wiedzieć.

— I niech tak zostanie, moja pani. W każdym razie złoży nam1 wizytę wybitny człowiek. Przeprowadzi ze mną wywiad. Życzę sobie, aby moja szkoła lśniła. To chyba pani rozumie?

— Tak jest, pani dyrektor.

— Przyjdzie pani jutro dwie godziny wcześniej. Oczywiście odpłatnie. Jeżeli będę z pani zadowolona, wynagrodzę stuprocentową premią. To pani chyba również rozumie?

— Jestem bardzo zobowiązana, pani dyrektor. Zjawię się trzy godziny wcześniej. Będzie błysk. Mogę odejść?

Zezwoliła ruchem ręki. Pobiełam na piętro. Z kanciapy pani Marii wykukałam Kysię. Powiedziałam jej o Igorze. Krysia się ucieszyła. Przyjdzie razem z Miśka. W trójkę odstawimy budę na medal.

Pobiełam na parter. Schowałam się w kiblu i zadzwoniłam do Igora. Głos mi drżał. Podziękowałam mu, że pofatyguje się osobiście. Wolałam, by mnie nie oglądał w fartuchu, dlatego zaproponowałam mu u siebie kolację przy świecach. We dwoje. Szymka gdzieś upchnę. Choćby u wujka. Boże, ale mi biło serce. Chyba zwariowałam. Jest gruby, ma dwa podbródki. Ale samotny. Jak ja. Kiedyś nam się nie udało. Ale teraz jest teraz.

— Kasia, wątpię, czy zobaczywszy mnie na żywo, zechcesz podtrzymać swoje zaproszenie. W każdym razie dziękuję. Do zobaczenia jutro.

— Igor, tylko niech ci nie odbije! W szkole jestem duchem. Nocną marą bezcielesną! Zmartwychwstałym Gallem Anonimem opasanym fartuchem. Nie znamy się. Ostrzegam na wszelki wypadek, gdybyś na przykład jako dżentelmen uparł się całować moją dłoń woźnej. Nie ze względu na moją dłoń. Ze względu na Kunegundę Wspaniałą. Zawał murowany — rozchichotałam się mimo wzmożonego bicia serca, wyobrażając sobie Kunegundę oglądającą Wybitnego Człowieka pochylonego nad dłonią, której ona nigdy nie zaszczyliła podaniem choćby dwóch palców.

— Zawsze ta sama niepoprawna śmieszka — powiedział podejrzenie smutnym głosem Igor. — Będzie, jak każesz.

Jak każesz. Tak, Igor, tak: każę. Każę ci usiąść ze mną do kolacji przy świecach. Twoje dwa podbródki niewiele znaczą. Liczy się dusza. Zamknę oczy. Pozwolę się pocałować. Sami, tylko we dwoje. Szymka upchnę wujkowi albo Elce... O matko! Co ze mną? Naprawdę mi odbiło! Co to za myśl: upychać Szymka? To mój najbardziej kochany facet ze wszystkich facetów na całym świecie, a ja go zamierzam upychać niczym toból? Czyste wariactwo: całować się z Igorem! Przecież nie chodzi mi o pójście z nim do łóżka! Mogłam sobie chodzić do łóżka przez te trzy lata celibatu z kim chciałam! Teoretycznie. Teoretycznie, ponieważ prawie przez trzy lata trwałam w psychicznym pasie cnoty, tęskniąc za Przemkiem. ; Nie da się ukryć, kochałam męża, mimo popełnianych przez niego świństw, bo miłość zakłada człowiekowi na nos tęczowe okulary. W tej tęczy nader często dominował kolor czarny, lecz go wytrwale przemaalowywałam na czysty lazur. Nawet pożegnalny stek obelg odchodzącego Przemka wraz z kolejną, tym razem wszak bogatą damą serca nie zniszczył tego uczucia, chociaż stało się ono gorzkie jak piołun i podobnie rozpaczliwe, jak rozpaczliwa była tęsknota

mego syna za tatą. Mój Boże! Podobnie jak Szymek tworzyłam wciąż i wciąż nieomal idealne wizerunki męża! Całą winę zwalając na krzywonożą, kostropatą właścicielkę sieci restauracyjnych w Leeds.

Mój mąż na pewno kochał pieniądze i życie w luksusie. Pamiętam moment, gdy mnie po raz pierwszy wprowadził do swego mieszkania. Poczułam się dokładnie jak Kopciuszek wybrany przez księcia. Nie znałam takich wnętrz. Takie widywałam tylko na filmach. Z babcią mieszkaliśmy w rozwalającej się chatce krytej strzechą. Spałyśmy razem na drewnianym, przedpotopowym łożu. Była jeszcze szafa z ohydnie trzeszczącymi drzwiami. Drewniany stół i dwa krzesła. Nędza przyozdobiona kolorową kapą na łożu, oleodrukami przedstawiającymi świętych na ścianach. Pewnie dlatego pokój w akademiku wydał mi się nieomal salonem, ponieważ miałam tam własny tapczan! A tu elegancki, przystojny facet z wypasioną bryką, który nie tylko zwrócił na mnie uwagę, co już graniczyło z cudem, lecz zaprosił na kawę. I ja, studentka ostatniego roku historii sztuki utrzymująca się ze stypendium rektorskiego, odziana w wygrzebane na zgrzebkach ciuchy, wsiałam do jego samochodu — ciąg dalszy cudu. Potem ja z nim sam na sam w tych wnętrzach niczym z filmu, i już nawet nie pytam, czy Boznańska to kopia; domyślam się, że taki facet z górnej półki nie zawiesiłby na ścianie kopii, więc siedzę na brzeżku fotela, pokrytego cielecą skórą w kolorze ciemnej wiśni, boję się dotknąć ustami cieniutkiej, jakby przezroczystej filizanki, bo taka ona krucha, że moje usta mogłyby ją uszkodzić... A on tymczasem przygląda mi się tymi swoimi pięknymi, ciemnobrązowymi oczami, jest delikatny, tkliwy, kiedy dotyka moich włosów, pierwszy pocałunek to zaledwie muśnięcie jego miękkich warg... Żeby go szlag, znał się na rzeczy, drań! Po aferze z Julia w krzakach moje hormony jakby się uśpiły, żywiłam nieskończoną, sięgającą po horyzont pogardę do wszystkich osobników noszących spodnie. A wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, byłam gotowa sama wyskoczyć z majtek. I ten drań o tym wiedział! Nim przespał się ze mną, tak droczył się przez miesiąc. Żeby go szlag! A przede wszystkim mnie, cholerną idiotkę! To nie Przemek mnie oszukiwał! To ja sama, na własne życzenie, oszukiwałam się przez tyle lat! Taka jest prawda o tobie, idiotko! Teraz znowu idiociejesz. Upychać Szymka! Romantyczna kolacja przy świecach we dwoje! I nie chodzi o łóżko! W co ty zagrywasz? Czego się spodziewasz po kolacji z Igorem? Platonicznej przyjaźni na wieki? Faceta, przy boku którego nie czułabyś się tak okrutnie wydrwiona przez los, tak potwornie, aż do bólu samotna? A może, spryčiuło, chciałabyś wymościć sobie wygodne, syte gniazdko? Zerwać z mopem i fartuchem pani woźnej? Opierając się na ramieniu Igora, z którym nie zamierzasz sypiać, wejść na towarzyskie salony? Brylować na nich, grzejąc się w promieniach odbitej od Igora



sławy? Pławić się w luksusie? Kobieto! Odrzuciłaś propozycję szefa „Pięknego Życia”, dałaś mu po gębie, ponieważ ośmielił się zaproponować ci rolę swojej utrzymania, żeby teraz wybrać oszukańcze życie na koszt Igora? Bo niby łączy cię z nim samotność? Boże, nawet Elce się nie zwierzę z tych obrzydliwych rojeń! Ja ci dam, babo, upychać Szymka! Mamić zgorzkniałego Igora kolacja we dwoje przy świecach! Żeby mnie szlag! Świnia jestem i tyle.

Określiwszy siebie mianem świni, poczułam się znacznie lepiej. Zadzwoiłam do Elki. Zamiast niej odezwał się dobry wujaszek Wania-Walicki. Ponurym głosem oznajmił, że mieszkanie Marii jest gotowe. Klucz schowa pod wycieraczkę. Komórka pani dyrektor Popielskiej za pół godziny będzie do odbioru w sekretariacie. Nalegał ponadto, by nie urządzać pani Marii żadnych komitetów powitalnych. Wystarczy obecność Krysi. I tak pani Maria przeżyje szok...

— Poza kursem na hydraulika kończył pan psychoterapię? — wnerwiłam się.  
— Jakim prawem decyduje pan, co nam z Elka wolno, a czego nie wolno?

— Jakbym słyszał pani przyjaciółkę. Słowo w słowo. Wspaniałomyślna darczyńni starych gratów, cudzymi rękami sprzątająca po nich strych — zazgrzytał ironią Walicki.

Uległam omamom słuchowym? To na pewno głos wujaszka?

— Zechce pan powtórzyć ten bełkot o Elce? Spił się pan, wujaszku Wania?

— Nie zechcę. Słyszała pani doskonale. Dwie dobre panie. Oczekujące wdzięczności wyrażanej zapewne całowaniem ich rąk przez obdarowaną. Poza tym mam imię, gdyby pani dotąd nie zauważyła.

Nikczemność oceny moich i Elki bezinteresownych starań przyjscia z pomocą komuś potrzebującemu, jakiej zupełnie nie spodziewałam się po Walickim, odczułam tak, jakby nam plunął w twarz. Rzeczywiście planowałyśmy z Elką nie tyle komitet powitalny, co odwiedziny u pani Marii wieczorkiem z kwiatami, kawą, winem. Krysia obiecała przytaszczyć magnetofon z nagraniami disco polo, wśród których królowały Biełyje rozy. Miśka zaoferowała, że upiecze placek drożdżowy bez zakalca. Miało być radośnie. Chciałam uprzedzić panią Marię, że jutro nawiedzi ją ekipa programu Napisz do mnie. Krysia miała powiedzieć, że cała Sprawiedliwa stoi za panią Marią murem i będą udzielali wywiadów na jej temat. A ten tu, żeby go szlag! Na moment zaniemówiłam, aby zaraz wybuchnąć niekontrolowaną wściekłością:

— A jakim prawem, łaskawco, uzurpujesz sobie prawo do osądzania innych? Po raz drugi na wokandzie ja, co na razie pominę milczeniem, lecz Elki ci nie daruję! Te graty Elka gromadziła do swego wymarzonego domu! Ma dwie córki! Ma męża chorego na serce, który może w każdej chwili umrzeć! Od lat marzy im się mały domek w którym spędzą swą starość. Niestety, to tylko pobożne

życzenia! Jezu, bo zaraz mnie szlag trafi! Nic nie wiesz o mojej przyjaciółce, a osądzasz jej czyny! Graty? Może i graty, ale dla ciebie! Zapewne mieszkasz w pałacu urządzonym autentykami z epoki Ludwika Filipa! Stąd wszystko, co nieodbite pozłacanym jedwabiem, to według ciebie graty! Skoro jesteś taki hojny, czemu do cholery pożałowałeś swoich ludwików? Kim jesteś, żeby nabijać się z gratów ofiarowanych z dobrego serca? Cicho bądź! — wrzasnęłam, ponieważ usiłował mi przerwać. — A zresztą, idź do diabła! Nie chcę oglądać twojej fałszywej gęby! Przynajmniej dziś! Niestety, manipulujesz moim synem, draniu! I w tej sprawie, chociaż trafia mnie szlag, muszę spotkać się z twoją gębą! Zadzwoń, by ustalić, kiedy to nastąpi. Teraz spadaj i ciesz się, że rozmawiamy na odległość. Ani chybi wydrapałabym ci oczy! Co się jednak odwlecze, to nie uciecze! Zdążę wydrapać! Ewentualnie może jedno oszczędzę. Jezu, a tak niewiele brakowało, a dałabym ci się nabrać, jak mój biedny syn, że jesteś w porządku! — rozłączyłam się i rozryczałam. W imieniu Elki i swoim, i mego zmanipulowanego syna, któremu w żaden sposób nie mogę powiedzieć, iż jego guru to drań — wystarczy Szymkowi drań tata. Ten przeklęty Walicki trzyma mnie w szachu: nic nie mogę przeciwko niemu zrobić, muszę go trawić ze względu na syna... Muszę być miła, muszę się uśmiechać... Matko, o co chodzi temu draniowi? Do jakich celów potrzebny mu mój biedny syn?

## Rozdział dwudziesty czwarty

Która to z rzędu nieprzespana noc? Chyba zacznę wiązać supelki na sznurowadłach.

Po powrocie do domu Szymek stał nade mną, pilnując, żebym zjadła obiad. Czyli pół porcji z obiadu ugotowanego dla Szymka. Wujek powiedział, że bardzo źle wyglądasz, mam cię pilnować, abyś jadła. Kotlet mielony nieoczekiwanie zamienił się w podeszwę od starego kalosza, kartofle w otoczaki. Ruszałam zuchwami z trudem, obawiając się o zęby, zaś Szymkowi buzia nie zamykała się w pochwalnych peanach na cześć wujka. Dowiedziałam się, że szanowny wujek zaplanował życie mego syna. Trzy razy w tygodniu basen. No bo wiesz, to wstyd, żebym nie umiał pływać. Dwa razy w tygodniu trening gimnastyczny. No bo wiesz, to wstyd, żeby chłopak w moim wieku zamiast bicepsów miał flaki. Raz w tygodniu relacja z przeczytanej książki. No bo wiesz, wujek uważa, że za mało czytam. Pożyczył mi książkę pod tytułem: Harry Potter i kamień filozoficzny. Okropnie gruba, ale wujek mówi, że się czyta jednym tchem. Wiesz, mamle, ja go chyba Kocham.

Kartoflany otoczak, dławiąc, stanął mi w gardle. Kocha. To znacznie gorsze niż chcę do taty, nienawidzę cię mamle. Z wyimaginowanym wizerunkiem cudownego taty miałam niewielką szansę wygrać. Z żywym wujaszkiem — nie miałam najmniejszej szansy.

Trudno. Poddaję się. Nie wydrapię mu oka. Nie mogę. Pełna radości buźka mego syna jest dla mnie najważniejsza. Jak długo jednak wujaszek jej nie skrzywdzi?

To pytanie stało się fundamentalne. Nie znałam na nie jednak odpowiedzi. Wiedziałam jedno: dla tej uszczęśliwionej buźki Szymka zrobię wszystko, co każe lub czego oczekuje ode mnie ten Walicki. Przeklinałam chwilę, w której wsiadłam do jego poloneza. Zaufałam facetowi, bo okazał mi pierwszego dnia u Kunegundy pozory serdeczności, a przede wszystkim zrozumienia. A on już wtedy, tego pierwszego dnia, zaczął zaplatać misterną, pajęczą sieć... Bzdura, przecież wtedy nie znał Szymka! Ratunku, jemu chodzi o mnie! Szymek to zwykła ścierna. Ma Szymka, więc ma mnie. On wie, że dla dobra syna pójdę z nim nawet do łóżka!

Trudno. Pójdę. Nawet udając szalę pożądaną. Matko, jak ja nienawidzę facetów! Co do sztuki. Łącznie z Igorem! Za szybko i za łatwo się zgodził z moją prośbą o interwencję. Bezinteresowna pomoc? Gościa z charyzmą? Ale ja durna.

Igora, który pewnie zarabia miesięcznie z czterdzieści tysięcy netto, stać na charyzmę. Myślałem o tobie, Kasiu... I tyle wystarczyło, abym się przed nim, jak u księdza na spowiedzi, wypowiedziała ze swego życia! Mizdrzyła przez komórkę.

Marzyła o romantycznej kolacji we dwoje! Rodzonego syna planując upchnąć choćby do tego wujaszka! Wybaczyła natychmiast majtki Julii porzucone pod krzakiem i ją samą w krzakach z moim, przed kilkoma godzinami poślubionym mężem! Lalka Barbie ma więcej rozumu ode mnie! Byle ciepłe słowo od byle jakiego faceta, a ja natychmiast się odmóżdżam!

Elka zadzwoniła, że odzyskała komórkę. Ucieszyła ją wiadomość, że jej nie zgubiła. Po czym, dawaj nawijać, jaki to z mego Walickiego porządny facet, uprzejmy, dobrze wychowany i w ogóle, i pod każdym innym względem wprost ideał mężczyzny. Zdumiałam. Więc nie potraktował jej jako damulki pozbywającej się gratów?

— O czym ty gadasz? Powiedział, że mam złote serce i pocałował mnie w rękę — oburzyła się, ze stanu oburzenia przechodząc w stan euforycznej radości, nawijając, że ma pewność co do uczuć Walickiego.

— Zakochał się w tobie? A co na to twój Heniusz?

— Głupia! Nie we mnie! W tobie! Świata poza tobą i Szymkiem nie widzi. Ciągłe pytał o ciebie. Na przykład: jakie kwiaty lubisz? Jakie perfumy? Omal się nie popłakał, kiedy mu opowiedziałam, w jaki podły sposób zostawił cię twój dotąd nie-rozwiedziony z tobą mąż. Kaśka! Jestem niemal pewna, że on, podobnie jak ty, robi u Honki, ale nie jest konserwatorem, jak ty nie jesteś woźną. A jak wy razem wyglądacie — rozczuliła się moja durnowata przyjaciółka. Zamierzałam ją ustawić do pionu, ale po co? I tak nie da się przekonać, że Walicki urządzał jej pranie mózgu. I jak tu spać?

Po co zresztą spać, skoro otrzymałam polecenie wypucowania parteru od Kunegundy Wspaniałej oszołomionej zapowiedzią przybycia Wybitnego Człowieka wraz z ekipą telewizyjną? Sto procent premii warte jest tego poświęcenia. Nie szkodzi, że noc wyje wiatrem i moje serce wyje z powodu własnej głupoty. Noc i wiatr to zjawiska normalne. Gorzej, że moja głupota również.

Przyszłam do pracy o trzeciej rano. Cały parter jaśniał światłami. Krysia z Miską kończyły właśnie doprowadzać do błysku gabinet Kunegundy.

— A ty tu po co? — krzyknęły zgodnym chórkim. — Obiecałyśmy pani Marii, że odwalimy za ciebie całą robotę.

Trudno. Trzeba będzie premię podzielić sprawiedliwie na trzy.

— Kaśka, ty i tak ledwo trzymasz się na nogach! Siadaj, tu masz kawę z termosu, a tu kanapkę. Pij, jedz i bez protestów. Bo cię przywiążemy do krzesła! — zagroziła Miśka.

— Kasia, pani Maria ma do ciebie żal o to, że nawiałaś po pracy i nie wstąpiłaś do niej razem z tą swoją superbabką, aż dziwne, że dyrektorką — trajkotała Krysia

spod biurka Kunegundy. — Wiesz, pani Maria weszła i myślałam, że zemdleje. Co to? Co to? — pytała, oblatując mieszkanie. — Jezusie! Tapczany! Jezusie, biurka! Lodówka! Telewizor! I>ywan! Szafa! Nowe firanki! Jezusie, cud! Kasia mówiła, że spotka mnie cud! Spotkał! Teraz wierzę w ten najważniejszy cud, że odzyskam swoje wnuki. To ja jej, że żaden cud, tylko ty z tą dyrektorką przy pomocy Walickiego, trochę mojej, trochę Miśki wyszykowaliśmy chatę. Ma ją teraz jaknową. Na całą Polskę pokażą, że warunki dla wnuków pierwsza klasa. A ta paniusia z socjału może się w tyłek pocałować. Bo Kasia załatwiła takiego gościa z telewizji, który pomaga ludziom. I ten gość robi taki program, że dzieciaki raz dwa z bidula oddadzą. Cud, cud, wołała pani Maria. A jak już skończyła o cudach, zrobiłyśmy składkowe ciasteczka, kawkę, Miśka bimberk doprawiła wiśniowym sokiem, no i siedziałyśmy, czekałyśmy na was, a pani Maria powtarzała, że wam się do nóg rzuci, tej dyrektorce za meble, a tobie za wszystko podziękuje i was po rękach będzie całować, bo jakby nie wy, to nie byłoby cudu.

— Przestań gadać głupoty. Kryska — zezłościłam się, bo wychodziło na to, że ten cholerny wujcio przewidział podobnie upokarzającą i mnie, i Elę sytuację. — Mogłyśmy pomóc, więc pomogłyśmy. Koniec, kropka. Żaden cud.

— A dla mnie — cud. Jak się te meble odczyściło, to sama chętnie bym je wzięła — stwierdziła Miśka, złącząc z parapetu. I już przyciskała mnie czule do swego obfitego biustu. — Korciło mnie, żeby dowiedzieć się, kim ty naprawdę jesteś. Bo żeś kształcona, to wystarczy na ciebie spojrzeć, co nie, Kryska? Podpytywałam o to panią Czesię. A ta powiada, że według papierów to ja z Kryska bardziej kształcone niż ty, bo po skończonych powszechniakach. A potem powiada, żeby się nie wtrącać do ciebie. To my do Walickiego. Nie gniewaj się, Kasia, ale on na ciebie to tak patrzy jakby w obrazek.

— Nie cierpię tego faceta! — krzyknęłam w falujący biust Miśki. Ta zarżała radośnie. Kryska też.

— Za to on ciebie cierpi aż za bardzo... No, ale Walicki się wściekł i powiedział, że nic mu o tobie nie wiadomo. Akurat! Nie wiadomo! Nie chciał puścić pary z gęby i tyle.

— Bo wiadomo! — zarżały obie. Wysupłałam się spod biustu Miśki.

— Co wiadomo, do diabła? — wrzasnęłam groźnie.

— Że się w tobie kocha, Kaśka!

— Tym gorzej dla niego!

— E tam, Kaśka. Walicki piękny mężczyzna — westchnęła Miśka.

— I żaden z niego konserwator — dodała Krysa — On tak dla picu robi w budzie.

— Skąd wiesz?

— Widziałam.

— Cholerka, Krysia, co widziałaś?

— Ma drugi samochód. Nie znam się na samochodach. Ten jego to widziałam w telewizyjnych reklamach. Mam teściową na cmentarzu...

— Zaraz cię uduszę! Co ma teściowa na cmentarzu do samochodu z reklamy telewizyjnej?

— No widzisz — powiedziała Kryska do Miśki — uczona, a nie rozumie. Chyba po polsku mówię, co nie? Mam teściowa na cmentarzu, Panie świeć nad jej duszę, chociaż była zaraza. To rozumiesz?

— Gadaj dalej. Byle szybko! — wrzasnęłam.

— Pewno, ja też bym wolała gościa w garniturze i nie w takim wraku, jakim przyjeżdża do budy. Oj, dobra, już gadam. Wsiadam z tramwaju, niosę kwiaty teściowej, idę, idę, idę, a tu patrzę: podjeżdża, mówię ci, Kaśka, taki samochód, że myślę sobie, Chrystusie kochany, ale te ludzie dorobili się na kapitalizmie. Bo moja teściowa gadała, że za komuny nie było kapitalizmu i ludziom, takim jak my, żyło się lepiej...

— Krysia, ulituj się...

— Ten samochód podjechał, zatrzymał się i Chryste Pa nie: wysiada z niego wypisz wymaluj nasz Walicki, tyle że w garniturze, pod krawatem, w ciemnych okularach, to ja m grzecznie: „Dzień dobry, panie Walicki”, a on, przysięgał na swoje dzieciaki, że mówię prawdę, on głosem Walickiego mówi: „Pani mnie myli z kimś innym, bardzo mi przykro”.

— Tak jej powiedział — stwierdziła autorytatywnie Miśka. — Pewno, a co się miał publicznie przyznawać, że zna woźną?

— Więc ja znowu swoje, a on swoje. Bardzo przeprasza, ale pomyłka. I wiesz, Kaśka, co jest najdziwniejsze? Wsiadł z takim wielkim wieńcem, czyli na cmentarz, co nie? Ale zamiast na cmentarz, jak mu powiedziałam dzień dobry, z powrotem wskoczył w samochód i nawiał po prostu. Czemu nawiał, skoro nie był Walickim?

Zawsze towarzyszyły mi podejrzenia, że Walicki to nie Walicki. W każdym razie nie hydraulik ani młotkowy. Prowadził podwójne życie, dekując się w szkole u Kunegundy? Bardzo prawdopodobne... Pachniał przecież Ferrari Extreme za trzy stówki...

— Krysia, a kiedy to cmentarne spotkanie się odbyło? — zapytałam z nadzieją, że zdemaskuję szpiega. Albo koronnego świadka, któremu dano nową tożsamość.

Najlepiej gangstera... Gangstera nie, w żadnym wypadku, duma pało! Wtedy Szymek znalazłby się w niebezpieczeństwie! Poza tym Szymek się do niego przywiązał... Żeby to szlag trafił! Niechaj już sobie Walicki prowadzi podwójne, poczwórne życie, byle nie skrzywdził mego syna!

— Pewno w zeszłym roku, głowy nie dam. A może w tym, wiosną... Albo latem? Kaśka, ale to na pewno był Walicki, przysięgam.

— Nawet poszliśmy z tym do pani Czesi, ale ona nas wyśmiała — dodała Miśka.

— Krysia, a ten twój Walicki kuśtykał?

— A bo to ja pamiętam? Tak się w niego wpatrzyłam i tak zbaraniałam, że nie spojrzałam na nogi — wyznała szczerze Krysia. — Ale to był Walicki.

— Więc ty, Kaśka, nie bądź głupia. Nadarza ci się super-facet. Ładna jesteś. Walicki również od macochy... Trochę go ośmiel, pokokietuj... Ja się znam na facetach: buzi, buzi... — oświadczyła Miśka, cmokając mnie w policzek — i już jest twój. Na wieki. Dobrze ci życzymy. Wprost nas boli, kiedy ty tak te swoje piękne łapki zanurzasz w kiblach. Gdybyś była wyniosła żoźa, to co innego, ale ty, Kasia, ty po prostu dobra kobitka jesteś.

— Ze świecą takiej jak ty szukać. Pani Maria...

— Dziewczyny! Zejdźcie ze mnie. Każdy na moim miejscu pomógłby pani Marii... Odczepcie się.

— Sama wiesz, że nie każdy. Taka Kunegunda na pewno nie — powiedziała Krysia. — Wredna wiedźma. „Moja pani” — jak do psa. Kto wie? Może ty od niej bardziej kształcona? Ale ty się nad nas nie wywyższasz.

— Przestań, Krysia. Moja kumpelka się wywyższała?

— Też fajna kobitka. Nawet bimberkiem nie pogardziła. Wychyliła pół musztardówki i ani się otrzęsa — zarżała Miśka, falując biustem. Rozejrzała się po gabinecie Kunegundy i cmoknęła z zadowoleniem. — Błysk na medal. Krysia, ty obrabiasz sekretariat, ja pokój nauczycielski.

— To ja biorę się za hol — poderwałam się na równe nogi.

— Ty dziś robisz za panią. Siedz — zawołały zgodnym chórkim.

— Ani myślę. Wtedy nie zasłużę nawet na jedną trzecią premii.

— Kunegunda obiecała ci premię?

— Stuprocentową. Ani myślę oddać wam całej. Walę do holu.

— Kasia, obrażasz nas — Miśka spowaźniała. — Przyszliśmy ci pomóc, a twoją premię mamy w tyłku!

— No, dokładnie tam! — potwierdziła Krysia. — Tak sobie wczoraj uradziłyśmy z Miśką. Ze się niczego nie tkniesz. Inaczej nie potrafimy ci podziękować za panią Marię.

— Krysia, dziękuję, że trzymałaś gębę na kłódkę. Wiesz, w jakiej sprawie, prawda?

— Pewno! Ja jak studnia. Słowa dotrzymuję.

— Kryska wie o czymś, o czym ja nie wiem? — oburzyła się Miśka. — Macie jakieś tajemnice? Przede mną?

— Miśka, Kaśka radziła mi, cobym wyrzuciła swego starego z chałupy — zełgała natychmiast Kryska.

— I dobrze radziła. To samo ci gadam od roku — zgodziła się Miśka. — I to niby ta wasza tajemnica? Ha ha ha!

Głupie wy czy co? Kaśka, a pamiętaj, gdzie mamy twoja zasrane premię!

I poszły sprzątać. Byłam zadowolona, że Krysia nie zdradziła mojej tajemnicy. Postanowiłam część dzisiejszej premii przesłać anonimowym przekazem pocztowym na adres pani Marii. A tego Walickiego to ja, to ja, ja mu...

Obudziły mnie za pięć siódma. Cieszyły się, że sobie uciełam drzemkę. Zwymyślały, że nie zjadłam kanapek. Wyściskały. A potem pobiegły na swoje piętra.

Parter lśnił. Posadzka w holu była wypastowana i wyfroterowana niczym lustro. Za przeszklonymi drzwiami czekała Kunegunda z grubszą niż zwykle patyną pudru na policzkach. Natychmiast przeprowadziła gruntowną, aczkolwiek złowrogo milczącą inspekcję. Gestem ręki zaprosiła do gabinetu. Przyglądała mi się długo, jakby widziała mnie pierwszy raz.

— Dziękuję pani — powiedziała, a ja o mało nie zemdlałam z wrażenia. Dziękuję? Kunegunda i dziękuję? Wraz ze mną w tym momencie chyba cały świat, łącznie z florą i fauną, zastygł również z wrażenia. — Zasłużyła pani na wolny dzień.

Teraz świat ze zdumienia zatrząśł się w posadach.

— Wygląda pani na bardzo zmęczoną, pani Kasiu. Teraz świat ze zdumienia skamieniał. Pani Kasiu?

— Powinna pani odpocząć. Udzielam pani płatny, trzydniowy urlop.

Nie wiem, co teraz wyczyniał świat. Oczywiście sprawa, że nie świat zwariował. Ale ktoś na pewno. Ani chybi — Kunegunda, ponieważ właśnie uśmiechnęła się, co było zjawiskiem dotąd niespotykanym.



## Rozdział dwudziesty piąty

W domu zapadłam się w przepaść ulubionego fotela. Co za ulga: nie zasuwać mopem po terakocie, nie wachać oparów domestosa podczas czyszczenia toalet. Przez kolejne trzy dni nie wstawać w popłochu o nieludzkiej porze; nie gonić wymarłymi jak w horrorze ulicami, leniuchować słodko w ciepłej pościeli, dłubać w nosie, kichać, ziewać, podskakiwać, snuć się po pokojach w piżamie, pić wolnymi łykami poranną kawę, myć zęby o dwunastej w południe, zaś prysznic brać o dowolnej porze dnia. Żeby jeszcze tylko uwolnić łeb od ponurych myśli. Taki stan psychiczny Kunegundy, jeżeli chodzi o moje zdanie, mógłby trwać wiecznie. Uśmiechająca się Kunegunda wzbudziłaby niewątpliwy popłoch wśród moich piętrowych koleżanek i nie mniejszy wśród żeńskiego grona pedagogicznego, ponieważ jedyny uśmiech, na jaki sobie pozwalała, należał do gatunku zjadliwych, niemal trujących niczym muchomor sromotnikowy. Mnie niepokoiła jednak bez reszty relacja Krysi o facecie wyglądającym na sobowtóra Walickiego. Im bardziej wydawała mi się nieprawdopodobna, tym mocniej w nią wierzyłam. I tym większe przerażenie we mnie budziła...

— Ty durna pało! — zerwałam się z fotela. — Dobro Szymka wymaga, żebyś wiedziała, z kogo uczynił on swego idola! Nie skrzywdzę pani syna, obiecywał. A wszystkim, łącznie z tak podejrzliwą zwykle Elką, odbiło na jego punkcie! Babcia Pola również czyniła aluzje... Miśka z Krysią naubliżały, że jestem dla niego niczym święty obraz, a sam Walicki gotowy całować ślady moich stóp... Tymczasem facet już dwa razy mnie objechał z góry na dół i z dołu do góry. Dobra, wujciu. I tak mnie ubezwłasnowolniłeś. Muszę jednak wiedzieć, kim jesteś.

Wystukałam numer do pani Czesi. Nie na darmo byłam dziennikarką. Potrzebnej informacji, która wydaje się praktycznie nie do zdobycia, nigdy nie uzyska się wprost. Należy wpięrcz mocno zbajerować rozmówcę, wstawić właściwe pytania między wiersze, tak by interlokutor nie zorientował się, że ci na nie odpowiada. Więc naplotłam pani Czesi, co mi ślina na język przyniosła, przerzucając się z tematu na temat, paplając raz o Kunegundzie, raz o Walickim, to znów o pani Marii i jej nieszczęściu, by po chwili ponownie zahaczyć o osobę Walickiego. No i właśnie, pani Czesiu, telefon do niego mamy, ale potrzebny nam adres, ponieważ wczoraj, ach, co to był za dzień, żeby pani widziała, pani Czesiu, jak z pomocą Walickiego Krysią z Miską urządziły mieszkanie pani Marii, żadna biurokracja już się nie przyczepi, no tak, oczywiście, jeszcze telewizja przyjedzie, nakręci program, ależ nie mam pojęcia, pani Czesiu, kto zawiadomił telewizję, bo niby skąd? Ja? Woźna? Takie koneksje... Aha, pani Czesiu kochana, moja

kumpela zgubiła gdzieś wczoraj obrączkę... Ma nadzieję, że zgubiła ją w samochodzie Walickiego, jak przewoziła swoje graty do pani Marii. Wyjechał? Aha... Spróbuję złapać go na komórkę, ale na wszelki wypadek może mi pani podać jego adres? Bo jeśli postanowił na chwilę wpaść do domu? Rozumie pani: ślubna obrączka... Ale pani jest kochana, pani Czesiu, dzięki, dzięki. Ulica Polna czternaście.

Rozłożyłam przed sobą plan miasta Łodzi. Polną odnalazłam na granicy między Łodzią a Konstatynowem. Kawał drogi. Dwoma autobusami i jednym tramwajem. Później jeszcze, jak wynikało z mapy, z kilometr jakimiś pozawijanymi w pętelki uliczkami. Gdzie go cholera zaniósła, tego Walickiego! Trudno. Godzina dziewiąta. Na piechtę nie pójdę, za daleko i okolica nieznana. Wydam z piętnaście zet na przejazdy... Za piętnaście zet mogę kupić kilogram schabu. Albo półtora kilo żeberk. Szymek tak lubi żeberka... Trudno. Lodowa wciąż załadowana prowiantem z garbu Elki. Do tego rybki i grzyby. Z dwustu złotych zaliczki zostało mi sto piętnaście i pięćdziesiąt dwa grosze. Nauczyłam się, niestety, liczyć każdy grosik. Okolice nieznana... Lepiej tę stówkę wyjmę z portmonetki...

Trzy razy zaglądałam do wnętrza portmonetki. Trzy razy oglądałam samą portmonetkę. Moja jest ci, na pewno. Bordowa, podniszczona, popsute zapięcie.

Moja, ale kasa w niej cudownie rozmnożona. Dwieście złotych w jednym nominale, wymięte tak jakby psu z gardła wyszło... To sprawka Elki. Dobrej, kochanej Elki, która nie dalej niż wczoraj wpadła na genialny pomysł, że powinnam porzucić zestaw do sprzątania wraz ze środkami czystości i przejść wraz z Szymkiem na jej oraz Heniusia utrzymanie, dopóki nie znajdę innej pracy.

Zrosiłam nominał łzami wzruszenia. Z tym większą złością pomyślałam o Walickim. Podlec. Przed Elką odgrywał dżentelmena po to, aby zdobyć jej zaufanie i wyciągnąć z niej informacje o mnie. Elka jest ufna, bo dobra. Walicki potrafi zagrywać. Świnia. W jakiś uroczy sposób wyprosił ją z mieszkania pani Marii, po czym zadzwonił do mnie i obie nas zmieszał z błotem, określając moją przyjaciółkę jako wspaniałomyślną darczynię starych gratów. Judasz. Dwie łaskawe panie. Canalia. Szuja. Zakochany we mnie? Akurat! Matko, dlaczego ta kreatura przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona?

Zaraz, zaraz... Niech pomyślę. A może Walickiego wynajął mój małżonek? I Walicki szuka na mnie haka? Cholera! Wlazł do salonu i nawet nie zbliżając się do obrazów, jak wyuczoną na pamięć tabliczkę mnożenia wyrecytował celnie, kto jaki obraz namalował? Nawet mała grafikę Fijałkowskiego przyuważył? Odróżnił Bartczaka od Kalińskiego? Obraził mnie celowo. Dla zamaskowania prawdziwych

intencji. Tymczasem sprawdzał, czy przypadkiem nie wyprzedają majątku Przemka...

Cholera, lecz skąd Przemek znał Walickiego?

Cholera, czy to ważne, skąd? Znał i już! Walicki na pewno inwigilował mnie od dawna. Słał do Anglii raporty. Raporty wprawiające mego męża we wściekłość. Zapracowana, samotna matka nieszukająca pocieszenia w łóżku z innymi facetami? A tu hak! Hak jest potrzebny! Cholera, tylko po co Przemkowi hak na mnie?

Och nie! Tylko nie Szymek! Nie cierpiał Szymka od urodzenia, więc dlaczego zamierza mi go odebrać? Proste: chce zadać mi ból. Nawet wiem dlaczego! Ośmieliłam się nie usunąć ciąży! Ja, dziewczyna, którą on z akademika wprowadził do swego apartamentu, odział w najdroższe ciuchy, oblał najdroższymi perfumami, a która w zamian za te dobrodziejstwa miała pozostać jego posłuszną, piękną maskotką. Taką reprezentacyjną laleczką. Padającą mu dziękczynnie do stóp. A tu, proszę, zakochana w nim do szaleństwa laleczka wypowiada nagle posłuszeństwo. Staje się brzuchata. Rodzi wbrew jego woli dziecko. Co gorsza, kocha je. Poświęca mu zdecydowanie więcej czasu niż swemu panu. Kiedy pan oświadcza, że na bachora nie da złotówki, laleczka buntuje się ponownie.

Znajduję niezłą pracę w „Pięknym Życiu”. Jest świetna w tym, co robi. Sporo zarabia. Staje się niezależna finansowo. Teraz swój czas dzieli między bachora a pracę. Nie uzgadniając z panem, wynajmuje opiekunkę do syna. Staje się coraz bardziej bezczelna. To wszystko wystarczy, żeby facet zapragnął odwetu. Stąd wpada na genialny plan odebrania mi Szymka. Ale musi mieć haka. Takiego na maksa. Dla sądu, przed którym przy pomocy Walickiego udowodni, że byłam wyrodną matką, a teraz — wywalona z redakcji — nie jestem w stanie zapewnić Szymkowi podstawowej egzystencji. Prawidłowego rozwoju intelektualnego i fizycznego.

Boże, to się trzyma kupy! Trzyma, jak cholera!

Najpierw Przemek przestał przysyłać mi kasę. Potem stał się nieuchwytny, jakby pochłonęło go piekło. Wreszcie po trzech latach bezskutecznego szukania na mnie haka poszedł na całość. Oczywiście, to przypadek, że znalazłam robotę akurat w szkole, w której zadekował się jako konserwator Walicki. Dla Walickiego jednak moje pojawienie się w charakterze woźnej to był prawdziwy podarunek od losu... Miał mnie jak wuzetkę na talerzyku. Mógł przystąpić do działania. I przystąpił. Omotał Szymka. Wspólne wyjazdy, basen, trening, relacje z przeczytanych książek' Wujek, żeby go szlag!

Sfajczenie się mojego złomu. Matko, pewno sam uszkodził coś w moim złomie i jechał za nami, czekając na efekt! Pojawił się niczym wybawiciel, pocieszyciel strapionych. Załatwił odholowanie, zawiózł nas do Korablewa, rozpoczął ze mną grę w ciuciubabkę. Jak się nabiera głupie kobiety? Udając zakochanego. Szakał. Żmija. Padalec. Gadzina.

Załamalam się. Gdyby nie mój syn, który gotów był za wujkiem choćby w ogień skoczyć, wiedziałabym, jak tę nikczemną grę zakończyć. Ale Szymek... Co z jego radością, jeśli mu odbiorę uwielbianego guru?

Naprawdę nie pozostaje mi nic innego, tylko przekabacić Walickiego na swoją stronę.

Jak?

Trudno, poświęcę się. Zakochane kobiety są durnowate, lecz faceci podobnie.

Tak przynajmniej sobie wyobrażam. Ja byłam zakochana dwukrotnie. Ale ci, których obdarzałam uczuciem — patrząc z perspektywy czasu, bez emocji — wątpię, żeby mnie naprawdę kochali. Ani Igor, ani tym bardziej Przemek.

W każdym razie teraz postaram się rozkochać w sobie Walickiego. Mój syn wart jest każdego poświęcenia. Przynajmniej spróbuję. Jeśli wujaszek zdumieje z miłości, przestanie szukać haka. I na pewno nie skrzywdzi Szymka. A ja? Ja się nie liczę. Zestarzeję się z przekonaniem, że nikt nigdy poza zwykłą szują mnie nie kochał. Trudno.

Na razie sprawdzę lokum wujaszka. Mam adres. Stamtąd dokąd pojechał, a pewnie pojechał po nowe środki czystości, które w dodatku musi dostarczyć do szkoły, nie wróci wcześniej niż po piętnastej. Przeszukam mu szuflady, szafę, ubrania, wszystko, co się tylko da; na pewno trafię na demaskujący go ślad. Z włamem nie będzie kłopotu. Jeszcze w gimnazjum opracowałyśmy z Elka metodę otwierania kłódek do piwnic i na strychni. Wystarczy odpowiednio zakrzywiony drucik, nieco wyczucia w palcach i gotowe. Włamywałyśmy się, żeby trenować „dymki”. Niestychanie nam imponowały koleżanki na imprezach zaciągające się fajkami, wydmuchujące przez nozdrza sinawy dym. My, częstowane papierosami, krztusiłyśmy się, charczałyśmy, leciały nam z oczu ufarbowane czarnym tuszem łzy, a z nosów zwisały niekontrolowane gile — totalna porażka. Nie nauczyłyśmy się puszczać dymków, za to nauczyłyśmy się otwierać zamki.

Od godziny chyba miotałam się, szukając ulicy Polnej. Nieznana okolica okazała się absolutnym wygwizdowem. Wąskie uliczki z drewnianymi chałupami pokrytymi papą lub spleśniałym eternitem. Śmierdzące rynsztoki, jakby tu dwudziesty pierwszy wiek spóźnił się przynajmniej o pięćdziesiąt lat. Chodniki z zapadającymi się płytami. Ujadające zewsząd kundle broniły furtek w płotach. Gdzieś tam zapał zwycięsko kogut.

Stół z powyłamowanymi nogami nie miał tak powyłamowanych nóg jak ja. Bezmyślnie obulałam pasujące do zgniło-zielonej, jesiennej kurtki beżowe kozaki na wysokich obcasach. Co krok obcas lądował w dziurze, a moja noga skręcała się w kostce. Na tak zwanej jezdni było jeszcze gorzej, bo brukowana kocimi łbami oraz spływająca brudną wodą powierzchnia stała się zabójczo śliska.

Co jakiś czas mijałam grupy rozsiadłych na ławkach, nieogolonych młodzieniaszków zabijających czas piciem piwa. W ślad za mną leciały aluminiowe puszki, epitety, jakich nie odważę się powtórzyć, komplementy pod adresem mego tyłka tudzież ciekawe propozycje na temat jego zbiorowego przelatywania.

A tu, jak u Tuwima, noga w dziurze uwięzła. I zaraz rehot za plecami.

Boże kochany, dzięki Ci. Jest! Jak wół! Ulica Polna.

Jakaś dziwna. Pięć domków na krzyż. Dotarłam do ostatniego. Numer sześć. A dalej — szczerze pole porośnięte bujnie krzaczyskami.

Podał fałszywy adres? Pani Czesia wyraźnie powiedziała: Polna czternaście.

Fałszywy hydraulik, fałszywy adres. Walicki, kim ty jesteś, do diabła?

Na tym dramatycznym pytaniu urwały się moje myśli. Z najbliższych krzaków wynurzało się czterech facetów. Po ilu byli piwach, nie wiem. Ich uśmiechy zapowiadały wszak jednoznacznie, co zamierzają zrobić. Zaciągnąć mnie w te krzaki właśnie. Obrabować, ach, żeby tylko obrabować! Sama dobrowolnie wyskoczyłabym z zamszowej kurtki, oddałabym torebkę, zegarek, obrączkę, komórkę. Zbytek łaski, szanowna pani. Oni sobie sami to wezmą. I nie tylko to. Gardziołka też nie wysilaj wołaniem o pomoc. Nie próbuj uciekać, bo nie masz dokąd ani na czym, bo twoje nogi się wraz z obcasami powyłamywały w poszukiwaniu Polnej numer czternaście. To koniec.

Zamknęłam oczy.

Jeszcze kilka metrów i mnie dorwą.

Pisk hamulców. Krzyk: „Wsiadaj, szybko!”.

Co było dalej, nie bardzo pamiętam. Zemdlałam.

— Już dobrze, dobrze...

E tam, jakie dobrze? Chociaż może w pewnym sensie dobrze. Moja wina, moja bardzo wielka wina... Panie, wybac, że ani razu nie przysięgałam wierności małżeńskiej przed Twoim ołtarzem... Ale mój syn, miej go po mojej hańbiącej śmierci w swojej opiece, ochrzczony, chodzi na religię i przyjął pierwszą komunię... Dzięki Ci również, że oszczędziłeś mi pamiętania tego, co ze mną robili, że wziąłeś mnie do nieba... Tak tu miło. Tak ciepło. Tak ładnie pachnie... Czymś dobrze znajomym... Jakby Ferrari Extreme...

— Proszę, skarbie, otwórz oczy... Jesteś bezpieczna. Boże, wolę nie myśleć, co by się stało, gdybym się spóźnił choćby minutę...

To głos z moich marzeń. Głos mego księcia. Głos, o jakim marzy każda zawiedziona w uczuciach kobieta. Kobieta, której poza marzeniami nie pozostało nic więcej. Kobieta obdarta brutalnie ze złudzeń. Ale wciąż przecież kobieta... Która w marzeniach spotyka tego jednego, jedyne i wcale nie musi to być Richard Gere ani George Clooney. Nie, może być gruby, może utykać, mieć krzywą łopatkę, byle tylko dał jej miłość, tę prawdziwą, czułą, troskliwą i mówił do niej „skarbie”, a ona naprawdę byłaby jego skarbem. Ja byłabym...

— ... Kochanie moje...

Och, tak, tak. Kochanie moje! Powiedz to jeszcze raz: „Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham...”.

— ... Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham...

Och, tak, tak! Cudownie! Więc trzeba umrzeć, żeby spełniły się marzenia?

— ... Otwórz oczy, droga moja...

Och, tak, tak! Jak w marzeniach: ciepły dotyk warg na moich wargach... Delikatny. Takie muśnięcie, jakby skrzydłem motyla... Moi faceci rozgniatali mi usta, chociaż mówiłam, że tak nie lubię... Figę ich obchodziło, co ja lubię... Ważna dla nich była ich własna satysfakcja. Ty, babo, służyłaś do jej zaspokajania. I ty, głupia, sądziłaś, że to miłość...

— ... Przepraszam, kochanie. Wykorzystuję sytuację. Oprzytomniejesz i dalej będę musiał grać swoją rolę, wiedząc, że tak trudno będzie ci odzyskać zaufanie do mężczyzn...

Ej, ten głos brzmi znajomo. Nie jest głosem z moich najskrytszych marzeń. Ej, ja chyba żyję... Ej, może lepiej otworzę oczy... Ej, nie otworzę oczu! Żeby to szlag! Zorientuje się, że nie omdlała... Żeby szlag... A jednak szkoda porzucać marzenia!

To był głos szui i szczeżui w jednym! Mamił cię słodkimi słowami, mamił, ponieważ doskonale wiedział, żeś już nie omdlała... Celowa zmyłka. Celowa podpucha. Jechał za tobą. Może nawet tych bandziorów opłacił... Niby taki wybawiciel, któremu padniesz w ramiona... Ej, babo! Teraz jęknij przejmująco.

Lęknełam przejmująco.

Teraz, babo, otwórz oczęta.

Otworzyłam oczęta. Żeby go szlag! Siedział z rękami na kierownicy, patrzył nie na mnie, lecz w dal. Tego się nie spodziewałam. A gdzie udawany niepokój połączony z wyrzutem w szarych oczach pseudozbawiciela? Troskliwość? Zainteresowanie moim stanem po wyjściu z omdlenia oraz niewątpliwego szoku? Jęknę raz jeszcze. Może mój jęk odniesie skutek?

Nie odniósł.

— Nie nadaje się pani na tropiciela — odezwał się Walicki z ironią, nadal prezentując mi swój profil. — Nie mieszkam na Polnej. Mieszkam na Dolnej, wścibska damulko.

No nie, są chyba jakieś granice bezczelności? Rzekomy wybawiciel przekroczył wszystkie!

— Ja wścibska? A panu, panie Walicki, czy jak mu tam naprawdę, ufoludki nadały przez satelitę, że snuję się po Polnej — wrzasnęłam. — I niby z jakiego to powodu miałaby mnie zżerać ciekawość, gdzie szanowny pan mieszka?

— Właśnie tego nie wiem — stwierdził Walicki, wciąż patrząc w dal. — I proszę nie wrzeszczeć.

— Śledził mnie pan!

— Niech będzie. Śledziłem. Co wyszło pani na dobre — Wreszcie spojrzał na mnie, lecz z jego szarych oczu biła taka udreka, że zaparło mi dech w piersiach. Co jest? Aż tak udawać chyba się nie da. — A teraz proszę, niech pani milczy. Proszę. Proszę. Zdaję sobie sprawę, że... Mniejsza z tym, nieważne.

I w głosie też udreka. Kogoś, kto cierpi. Ej, babo, nie daj się nabrać!

— Odwiozę panią do domu — dodał po chwili już opanowanym, zimnym głosem.

— Bardzo jestem zobowiązana. Bardzo.

Nie odpowiedział. Nie odezwał się ani słowem przez całą drogę. Nie zaszczyił mnie spojrzeniem ani razu. No i dobrze.

Chociaż nie. Bardzo niedobrze. Żeby mnie szlag! Wciąż słyszałam: przepraszam, kochanie... Wciąż czułam delikatne muśnięcie warg Walickiego na swoich, tak dawno przez nikogo niekochanych wargach.

Ej, babo! Trzymaj fason. Przyjmij z godnością tę niewygodną! dla siebie prawdę: faceci będą cię ciągnęli do łóżka, to masz jak w banku. Lecz na miłość prawdziwą, taką idealną niczym z bajki, nie licz. Przecież, do cholery, w bajki nie wierzysz. Tym bardziej nie wierzysz temu tam... Żeby go szlag! Temu Walickiemu!

## Rozdział dwudziesty szósty

Nim zdążyłam na chłodno przeanalizować swoje cudowne ocalenie, zadzwonił Igor, przepraszając, że nie może się dziś ze mną zobaczyć. Wypadła mu ważna sprawa, zaraz wraca do Warszawy. Trudno. Nie to nie. Moja babska ambicja sprawiła, że poczułam się jednak urażona. No bo jak to? Po tylu latach jakaś sprawa jest ważniejsza ode mnie? Więc w wyszukanie uprzejmych słów podziękowałam Igorowi za okazaną życzliwość. Zaprotestował gwałtownie. O niczym innym nie marzy, jak o spotkaniu, z tobą, Kasiu, z tobą! Dodał, że nawet nie wyobrażam sobie, ile z tym spotkaniem wiąże nadziei. Nadzieje Igora, uzależnione od zobaczenia się ze mną, nie rozbudziły mojego entuzjazmu, chociaż moją babską ambicję znacznie usatysfakcjonowały. Jednak, żeby mnie szlag! Sama w nim te nadzieje roznieciłam zaproszeniem na romantyczną kolację przy świecach. Trudno. Nadzieje nie nadzieje, niech mu służą za karmę duchową, najważniejsza jest pani Maria. Igor rzeczowo objaśnił, że ekipa sfilmowała już urzędasów, scena z wnukami jest rewelacyjnie wzruszająca, całość dokumentacji nie zajmie więcej niż trzy dni, natomiast należy koniecznie uruchomić postępowanie prawne, przeprowadzić sądownie zrzeczenie się praw do dzieci biologicznej matki, następnie sądowe przyznanie opieki nad nieletnimi ich babci, wtedy pani Marii będzie się należał całkiem przyzwoity dodatek na wychowanie wnuków. Mogę w tym pomóc, zaoferował się Igor, podobne procedury zazwyczaj wloką się niemiłosiernie długo, lecz mam dojścia do sądów rodzinnych, nadam im więc tryb na cito, zwłaszcza że chciałbym doczekać pomyślnego zakończenia swojego programu.

— Dlaczego miałbyś nie doczekać? Wywalają cię z telewizji? Czy wyjeżdżasz na antypody?

Zamiast odpowiedzi usłyszałam ciche: „Do zobaczenia, Kasiu”. I taki był koniec tej rozmowy. A może mu rzeczywiście odbierają program? No to co? Igor jest w telewizji ustawiony. Dadzą mu inny. Albo awansują. Ha, i mój były wskoczy na tak bardzo wysoki stół, że nie będzie mu wypadało zajmować się takimi na przykład paniami Mariami...

Och, dopiero teraz poczułam, jak potwornie bolą mnie powykręcane na wertepach zakazanej okolicy nogi. Kostki opuchły. Kozaki nadawały się do wyrzucenia. Szkoda. Mało używane. Zafundowałam je sobie jeszcze jako the best dziennikarka „Pięknego Życia”. A Walickiego powinnam całować po rękach w podzięce, że mnie śledził. Boże, gdyby nie on, leżałabym tam, w krzakach, zgwałcona i kto wie czy jeszcze żywa. Takie bandziory nie zostawiają świadków. Jak nic, poderżnęliby mi gardło. Mniejsza zresztą o moje gardziołko, ale Szymek?



Na próżno czekałby na swego paskudnego mamła... Sam w domu. Wydzwaniający na moją wciąż milczącą komórkę, która ani chybi stałaby się łupem bandytów. Pewno by płakał... Pewno by błagał: „Mamełku, odezwij się, proszę...”. W końcu zadzwoniłby do wujka. A cholerny wujek zawiadomiłby policję. Ile czasu zajęłoby im odszukanie mojego już pewnie gnijącego ciała? A potem pogrzeb. Elka zapłakana w czerni. Babcia Pola szlochająca. Moje koleżanki piętrowe w żałobie. Kunegunda Wspaniała przysłałaby wieniec. I mój synek chudziutki, z łapką ufnie włożoną w łapsko Walickiego! No nie, nawet leżąc w trumnie, takiego widoku bym nie zniosła! Tym większa, niestety, wdzięczność za ocalenie. Walicki Daniel. Mój prześladowca i wybawiciel. Co to za facet, czemu się na mnie uparł? Matko, tyle już razy przerabiałam ten temat. Dochodziłam do tyłu pozornie logicznych wniosków, że drań, łajdak, szuja, wszystko, co najgorsze w jednym, utykającym człowieku, lecz dziś mnie zaskoczył, a chociaż jego czułe wyznania tłumaczyłam kolejną manipulacją i wrodzoną przebiegłością, to do tej pory nie potrafię zapomnieć ani jego niewytłumaczalnej prośby — błagania, żebym zamilkła, nie mówiła słowa więcej, ani równie niewytłumaczalnej udręki w jego oczach. Ta udręka i w głosie, i w oczach nie były udawane.

Kimkolwiek on jest, ten Daniel Walicki, wierzę, że nie chodzi mu o zaciągnięcie mnie do łóżka.

Kimkolwiek on jest, wierzę mu, że nie zamierzał ani nie zamierza skrzywdzić mego syna.

Jednak muszę wiedzieć, kim jest. I dlaczego, sądząc, że go nie słyszę, mówił do mnie tak, jakbym była kobietą z jego marzeń, z jego snów?

Bo tu już mi się przestaje wszystko zgadzać. Oprzytomniałam, a za kierownicą siedział Walicki — niewzruszony jak kamień, twardy jak skała. Starający się mnie obrazić. Skutecznie zresztą, dlatego się tak rozwrzeszczałam. Przed sekundą dotykał moich ust swoimi wargami, a teraz nazywa wścibską damulką! A potem ta przejmująca udręka w głosie i w oczach...

W co on pogrywa?

Kim jestem dla niego?

Kim jest dla niego mój syn?

Z jakich powodów tak gwałtownie wtargnął w irtoje oraz Szymka życie?

Trudno, Danielu Walicki. Pozostanę wścibską damulką.

Zaczęłam od telefonu do pani Czesi. Chciałam sprawdzić, czy naprawdę przemianowałam Polną na Dolną. Jak się okazało, nie było to proste, gdyż pani Czesia poczuła się w obowiązku zdać mi relację z pobytu Igora w szkole, każde zdanie kończąc zachwyconym wykrzyknikiem. Że nie wyobrażam sobie jaki z niego cudowny, miły, bezpośredni człowiek! Chociaż taki wybitny, znany

milionom widzów! W ogóle nie wszedł do gabinetu Kunegundy! Odmówił wypicia z nią kawy! Poprosił na dół panie woźne! Każdą z nich na oczach dyrektorki pocałował w rękę! Mnie również, pani Kasiu! Chyba nie będę myła prawej ręki przez tydzień! Kunegundę ustawił między woźnymi! Trzeba było widzieć jej minę, pani Kasiu! Wywiad z Kunegunda ograniczył do trzech pytań! Wyłącznie dotyczących pani Marii! Na próżno biedaczka usiłowała robić dygresje o swoich rozlicznych osiągnięciach dyrektorskich! Przerywał uprzejmie, mówiąc, że wierzy w jej osiągnięcia, lecz kręci program interwencyjny i chce od niej jako pracodawczyni usłyszeć opinię o jej pracownicy! Dokładnie dobił Kunegundę pytaniem, czy zna warunki mieszkaniowe pani Marii! Zaniemówiła. Za to miał wiele pytań do Krysi! Pani Maria przez cały czas płakała! Po wyłączeniu kamer objął ją i pocieszył, że wszystko będzie dobrze! Kasia! A ja sądziłam, że taki ktoś jak on na maluczkich nawet nie spojrzy! Żałuj, że ci Kunegunda dała urlop! Też byś była w telewizji!

Wreszcie entuzjastyczne wykrzykniki doprowadziły panią Czesię do chrypki. Wyraziłam ogromny żal, że nie znajdę się w telewizji, poradziłam pani Czesi, by jednak rękę myła i zapytałam chytrze, czy Walicki również dostąpił zaszczytu uściśnięcia dłoni Wybitnego Człowieka?

— Kasia, Walicki wybiegł ze szkoły przed przyjazdem ekipy! Zachowywał się jak wariat! Zbladł i wybiegł — zachrypiała pani Czesia.

— On? Taki opanowany facet? — podpuszczałam panią Czesię.

— No właśnie. Przyszedł do mnie, by podbić zamówienia na nowe środki czystości. I nagle, bach! Zbladł i wybiegł!

— Pani Czesiu, tak bez powodu to by nie zbladł i nie wybiegał — drażyłam temat.

— Chyba chodziło mu o panią. On często wypytuje o panią. Serce nie sługa, a pani jest piękną kobietą — oznajmiła mimo chrypki z wyraźną radością pani Czesia.

— I wypytywał dziś o mnie?

— Gdy wszedł do pokoju, wydawał się lekko zaniepokojony. Powiedział, że pani szukał, a wtedy Krysi mu wyjaśniła, że wczoraj dyrektorka kazała pani przyjść do pracy o trzeciej rano, bo ma być błysk dla telewizji.

— Więc mu pani powiedziała, że Kun..., sorry, pani dyrektor zwolniła mnie do domu i dała wolne na trzy dni?

— Dokładnie.

— To powinien był się uspokoić, pani Czesiu. Niczego nie rozumiem...

— Oj, powiedziałałam mu o tej obrączce... I zapytałam, czy się znalazła. Bo pani miała dzwonić na jego komórkę, żeby poszukał tej obrączki. Zdenerwował się i

powiedział, że pani nie dzwoniła. Potem zdenerwował się jeszcze bardziej, bo zauważył, że ma wyładowaną baterię w telefonie... To ja mu powiedziałam, że pewno obie pojechałyście na Polną go szukać, a raczej tej obrączki... Wtedy właśnie zbladł jak ściana i wybiegł jak wariat. I co? Znalazłyście tę obrączkę?

— Oczywiście. U mojej przyjaciółki w torebce. Ona z tych bardziej roztargnionych... Do zobaczenia w poniedziałek, pani Czesiu.

Więc podał Czesi fałszywy adres, a mnie wmawiał, że się przesłyszałam. Skąd jednak wiedział, że to parszywa okolica? Może tam wcześniej miał melinę? Zaraz chyba pęknie mi łeb! Za dużo tajemnic. Co kolejna, to bardziej zawikłana. A już zaczęłam cię prawie lubić, Danielu Walicki. Co gorsza — zaufałam ci. Nic z tego, Walicki. Ani lubienia, ani zaufania.

Zbladł jak ściana? Wypadł z pokoju niczym wariat?

Nie bądź idiotką, Katarzyno Malicka. To cwany lis. Blednie na zawołanie. A wybiega niczym wariat, ponieważ do jakichś jego celów jesteś mu potrzebna żywa.

Żeby to szlag! Nie pozostaje mi nic innego jak udawać, że wierzę w każde twoje słowo. W którymś momencie, zwiedziony moją ufną naiwnością, pewny swego, popełnisz błąd. I ja tego błędu się uchwyczę. Jak końca nici Ariadny. A ty, choć ci daleko do szlachetnego Tezeusza, przeprowadzisz mnie przez swój mroczny labirynt i wtedy dowiem się, kto naprawdę ukrywa się pod nazwiskiem Walicki.

Wytropię cię. Ja, wścibską damulką. Tropicielka śladów niczym Old Surehand. A potem napiszę powieść pod tytułem Zerwana maska, która stanie się bestsellerem wydanym w wielomilionowych nakładach, tłumaczonym na sto piętnaście języków, zarobię takie mnóstwo kasy, że kupię pani Marii piękny domek, założę dla niej i jej wnuków sześciocyfrowe konto, Krysi też zafunduję mieszkanie w apartamentowcu, o matko, tylu jest potrzebujących: hospicja, domy starców, domy dziecka, schroniska dla psiaków... Mnie i Elee niewiele potrzeba do szczęścia. Elki marzenie to ten domek nad Krasówką... A ja obok drugi, nieco większy, bo przecież babcia Pola nie młodnieje, niestety, i tak byśmy sobie z babcią Połą mieszkaly, kiedy Szymek zda maturę i odfrunie na studia. Ta od Harry ego Pottera, Joannę Rowling, dzięki swojej powieści stała się bogatsza od królowej angielskiej. Cholerna miliarderka! I co ona z takim szmalem robi? Kupuje dla siebie kolejne posiadłości na Riwierze?

Ale tak w ogóle, pomysł z pisaniem książek jest dobry. Na przykład pamiętnik zatytułowany Ja, pani woźna... Lub namiętne romanse, w których wszystko fatalnie się zaczyna, lecz cudownie kończy...

Dobrze pomarzyć. Jeszcze lepiej byłoby wymoczyć obolałe nogi w wodzie z olejkami. I żeby tę miednicę przyniósł ukochany, bo mnie nie chce się ruszać z wygodnego fotela. Dzięki ci, Kunegundo, za urlop. Nauragam Igorowi, że cię tak zminimalizował. Kto tam wie, co ukrywasz pod swoją wyniośle królewską maską? Jaką ranę, jaki ból? Każdy niesie swój krzyż. Każdy... Ziewnęłam.

— Kaśka, szykuj obiad synowi. Rusz się.

Każdy niesie. Ja też... Szymek zje kanapki... Szymek się zmienia na lepsze... Wujek mówi, że mam się o ciebie troszczyć, mamle... Cholerny wujek... Nić Ariadny... Trzeba kupić motek nici, bo nici z nici Ariadny... Duży kłębek... Tajemnicze wnętrze Walickiego jest pewno mroczniejsze i bardziej poplątane od labiryntu krwiożerczego Minotaura...

Zapach. Błogi. Kuszący. Szklącej się na patelni cebulki z grzybkami...

Lecz ten drugi bynajmniej nie błogi. Podobny do tego, kiedy Szymek cierpiał na biegunkę...

Szymek zachorował? A ja mu, durna pała, smażę grzybki z cebulką?

Jeżu, jak mogę smażyć, skoro odnajduję samą siebie skuloną w fotelu?

— Szymek! Nie wolno ci jeść grzybów! — krzyknęłam, przecierając oczy. — Zaraz ci ugotuję ryż, bo jest najlepszy przy biegunce, a potem łykniesz stopera. Matko, Szymek ale cuchnie! Spodnie wraz z gatkami należało od razu namoczyć...

— Mamełku!

Mamełku? Mój syn zwraca się do mnie tym od tak dawna wyczekiwanym pieśczośliwym zdrobnieniem? Ja śnię. Śnię, słysząc radosne „mamełku” Szymka, wdychając błogi zapach smażących się grzybów wraz z tym drugim, typowo biegunkowym odorem.

— Kochany mamełku! — mój syn wbiegł do salonu, wskoczył mi na kolana, objął za szyję, o Boże, jak kiedyś, o Boże, tak dawno było to kiedyś, że przestałam wierzyć, iż takie kiedyś z okrzykiem kochany mamełku w ogóle mi się jeszcze przydarzy, bo to niczym cud, a zdarzył się. Kochany mamełku, powtarzał Szymek i te jego ramionka chudziutkie wokół mojej szyi i ciepłutki policzek przytulony do mojego, och tak, tak, powtórz kochany mamełku, obejmuj, przytulaj się, inaczej pomyślę, że to sen, a przebudzenie okazałoby się zbyt bolesne, trudne do zniesienia, więc tak, tak, synku, nie pozwól mi się obudzić, proszę, proszę.

— Kochany mamełku! Jestem zdrowiutki. To Sonieczka... — i znowu łapki Szymka wokół szyi, a policzek przy moim. — Sonieczka, nie ja... Ja ci zaraz, mamełku, wszystko wytłumaczę. Tylko obiecaj, że się nie zezłościś, dobrze?

Ja? Zezłościć? Na Szymka z własnej woli przytulającego się do mnie jak dawniej, jak kiedyś, zanim po raz pierwszy ze ściągniętymi złym grymasem brwiami powiedział: „Chcę do taty. Nienawidzę cię mamle”?

— Nie zezłóscisz się? Na pewno?

— Och, synku, wróciłeś... Nazywasz mnie znowu kochanym mamełkiem...

— I nie wyrzucisz Sonieczki? Ani jej dwóch piesków? Nawet nie zapytałam, kto to zacz ta Sonieczka i skąd dwa pieski. Sonieczka mogłaby się okazać nawet aligatorem, hipopotamem, mnie się chciało głaskać Szymka, przytulać go, witać po tej długiej wędrówce, z której właśnie wrócił, do mnie wrócił.

— Ojej, mamełku, chodź do kuchni, grzybki pycha... Przychodzimy, widzimy: ty śpisz. To my na paluszkach... Wujek pokroił cebulę, grzybki, kazał mi tylko mieszać, bo powiedział, że gdy się obudzisz, to zjesz je z przyjemnością... Co ci, mamełku? — zapytał Szymek, bo nagle cała zeszywniałam.

— Nic, synku. Wszystko w porządku — opanowałam się z trudem, gdyż ten cholerny, przeklęty wujek znowu się pojawił! Na paluszkach, żeby go szlag! Oglądał mnie śpiącą! I poczułam się nagle, jakby mnie zbrukał tym oglądaniem! A niech mu tam! Najważniejsze to kochany mamełku Szymka.

— Walimy do kuchni. Na grzyby. Pachną cudownie...

— Wujek doprawił...

Udałam, że nie słyszę. Grzyby okazały się wyśmienite. Wujek, kucharz doskonały, psia krew.

— Bo, mamełku, z Sonieczka to było tak... — mój syn rozpoczął opowieść, z której dowiedziałam się, że w jego szkole, a raczej w szkolnej piwnicy, oszczeniła się owa Sonieczka. I pewno by tam umarła, ale pani woźna usłyszała jej cichutkie skamlenie i znalazła ją leżącą wraz z dwoma ślicznymi szczeniakami. Wyniosła Sonieczkę z psiaczkami z piwnicy i — tu oczy mego syna wypełniły się zgroza — wrzuciła ją do kontenera ze śmieciami. Akurat nasza klasa kończyła lekcje i pani woźna powiedziała do nas, że Sonieczka zdycha z głodu, a na dodatek coś zjadła paskudnego, ponieważ ma okropną biegunkę, a te dwa psiaczki to również zaraz zdechną, więc lepiej żebyśmy jej nie ruszali, bo się zarazimy czymś paskudnym... Mamełku kochany — Szymkowi zatrzęsa się bródka — chłopaki chciały Sonieczkę dobić. Mamełku, oni do kontenera ciskali kamienie! Dobrze, że pani wyszła i wszystkich rozgoniła...No a ja... Mamełku, zostawiłabyś umierającą Sonieczkę i jej umierające dzieci między śmieciami?

— Synku, nie płacz. Rozumiem, że zadzwoniłeś natychmiast do wujka? Tak? I wujek natychmiast przyjechał?

— Mamełku, przyjechał i omal sam nie płakał nad Sonieczka i jej dziećmi. Powiedział, że trzeba do lekarza... Powiedział, że jeżeli jest za późno na pomoc, to przynajmniej Sonieczka z dziećmi umrze bez strachu i bez bólu, bo im pan doktor da specjalny zastrzyk i sobie usną, a gdy usną, to pojedziemy do jego ogrodu i tam je pochowamy.

— Ogrodu? Nie przesłyszałeś się, synku? Zignorował moje pytanie.

— Mamełku, ale nie trzeba było na szczęście nigdzie jechać! Pan doktor powiedział, że Sonieczkę da się odratować! Jej pieski też! Ojej, mamełku, pan doktor zrobił Sonieczce i jej pieskom ze cztery różne zastrzyki. Takie na wzmocnienie i przeciw biegunce. Dał również tabletki. Kazał Sonieczkę karmić ugotowanym na wodzie ryżem. Ale ona nie ma pokarmu, więc kazał pieski karmić jak niemowlęta kaszka Bebiko i przez smoczek. No i żeby Sonieczka z pieskami miały ciepło. I mówił, że znalazły dobrych ludzi, którzy się nimi zaopiekują, mamełku. Jesteśmy dobrymi ludźmi, prawda mamełku? Czemu milczysz? Wujek powiedział, że jesteśmy dobrymi ludźmi.

— Chyba staramy się nimi być, synku — odpowiedziałam w końcu.

— Mamełku, ja wiem, że ty myślisz, dlaczego my, a nie wujek? Wujek jest bardzo dobrym człowiekiem. On by wziął szczeniaki. Ale ja zawsze tak strasznie chciałem mieć pieska. Nie mówiłem ci... no, bo wiesz, byłem na ciebie wściekły za tatę... Dopiero wujek mi wytłumaczył, że nie powinienem...

— Synku, chodźmy do Sonieczki — przerwałam ze ściśniętym gardłem. Wujek mu wytłumaczył... Boże, odzyskanie syna zawdzięczam Walickiemu! Naprawdę wolałabym zawdzięczać je sobie! Dlaczego to nie ja wpadłam na pomysł, że Szymkowi przyda się nauka pływania, trening siłowy? Dlaczego nie ja podsunęłam mu Harry'ego Pottera? Zostawiałam go samego na długie godziny, uważając, że skoro ma komputer, gry, DVD, filmy, to już więcej niczego mu nie potrzeba!

Gotowałam obiady, szykowałam kanapki do szkoły, dbałam, żeby miał zawsze świeże owoce, jogurty, bo zdrowe... Obcy facet, a wiedział, co jest potrzebne mojemu synowi...

— Mamełku, tylko się nie przestrasz... Sonieczka jest bardzo, bardzo chuda... Sierść jej wyleniała, lecz gdy ją podkarmimy i wyleczymy, zobaczysz, jaka okaże się śliczna...

W pokoju Szymka cuchnęło okropnie. Na biurku stały paczki z odżywkami dla niemowląt i buteleczki ze smoczkiem. To Walicki kupił wszystko, co trzeba. Pewno je karmił. O mało się nie popłakał... Nie dziwię mu się wcale. Też się rozplakałam, patrząc na to straszliwie sponiewierane zwierzę, które jeszcze niedawno miało zdechnąć z głodu między zwałami śmieci, teraz zaś ze swoimi małymi przy sutkach leżało na najlepszym, z prawdziwego moheru, kocu Szymka i nie miało siły podnieść łebka, tylko patrzyło na mnie błagającymi o litość ślepiami...

Jezu, tak dziś na mnie patrzył Walicki. Dokładnie tak samo.

— Mamełku, nie płacz. Wujek powiedział, że najdalej za tydzień Sonieczka zacznie biegać. A pieski będą czekać.

I podskakiwać. Cieszysz się? Powiedział, że masz się o nic nie martwić, bo jesteś przepracowana, on się wszystkim zajmie. Kaszkę ryżową ugotował na dwa dni. Jest w lodówce. Na razie Sonieczkę należy karmić bardzo ostrożnie, małymi dawkami. Natomiast szczeniaki co godzinę, też małymi porcjami. Na tych buteleczkach jest podziałka.... Widzisz, mamełku, jaki wujek jest dobry? Dobry...

Tak bardzo chciałam w to wierzyć.

Zbyt wiele jednak przemawiało przeciwko Walickiemu.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Szymek uparł się, że to on odbędzie nocny dyżur przy pieskach. W rezultacie nie spaliśmy oboje. Szczęniaki, skowycząc, protestowały, kiedy je odciągaliśmy od sutków matki, aby je dokarmić odżywką dla niemowląt. Protestowały przeciwko pięćdziesięciogramowym porcjom bebika, wciąż głodne, mimo brzuszków już podobnych do małych baloników. Słyszając swoje biadolące żałośnie dzieci, zaniepokojona Sonieczka cicho popiskiwała. Śledziła każdy nasz ruch tymi błagającymi o litość brązowymi oczami. Szymek głaskał ją po wychudzonym grzbiecie, czule przemawiając: „Sonieczko, myz mamełkiem twoim dzieciom nie robimy krzywdy, nie bój się, psinko”.

Miałam poważne obawy, czy wyzdrowieje. Była straszliwie wychudzona. Taki psi szkielecik. Poruszający do głębi psi szkielecik, którego szlaku cierpień nie da się odtworzyć. Obroża na szyi świadczyła, że suczka miała swój dom, z którego pewnie ją wyrzucono na ulicę, gdy okazało się, że będzie miała młode. Malutka suczka żywiąca się odpadami przy śmietnikach. Za iloma przechodniami biegła, skamlać i błagając udręczonym spojrzeniem o litość? O przygarnięcie? O nowy dom? Ilu ją odgoniło kopniakiem? A ilu rzuciło kawałek kaszanki? Urodziła swoje szczeniaki w szkolnej piwnicy. Potem wylądowała wraz z nimi w śmierdzących odpadach. Już bez nadziei nie tylko na nowy dom. I gdyby nie mój syn, nie Walicki...

Nad ranem Sonieczka po raz pierwszy nie zwymiotowała przyjętego pokarmu. Szymek rozplakał się, a ja wraz z nim. Będzie dobrze, hurra, hurra! Sonieczka wyzdrowieje! W jej sutkach pojawi się mleko. Na pokarmie matki szczeniaki szybko nabiorą sił. Urosnie im miękkie futerko. Otworzą ślepe oczka.

Odańczyliśmy z Szymkiem dziki taniec radości.

I znowu mój syn zarzucił mi ręce na szyję, przytulił swój policzek do mojego i powiedział: „Mój kochany mamełku”.

O ósmej rano zadzwonił Walicki. Oschłym głosem przeprosił mnie za kłopot, jednak chyba rozumiem, że nie mógł zostawić Szymka wraz z umierającymi pieskami. On natomiast zdaje sobie sprawę, ile czasu pochłonie nam opieka nad nimi. Co ma swoje minusy, lecz również pozytywne strony. Jeśli chodzi o pozytywy, to Szymek rozwinie w sobie empatię, zaś pani przestanie uważać, że jest jedyną na świecie skrzywdzoną osobą. O ile mnie, oczywiście, interesuje los ssaków nienależących do gatunku homo sapiens. Takich na przykład wykopanych na ulicę suczek które niedawno się oszczeniły. I mam mu nie przerywać. Rozmowa ze mną nie sprawia mu satysfakcji. Minusem jest, że Szymek nie może opuszczać szkoły ani zaniedbywać się w lekcjach. Kolejny problem to moja praca,



której również nie mogę porzucić, zaś psiaczki wymagają stałej opieki. Dobrze się składa, że dyrektorka udzieliła mi płatnego urlopu. Mój urlop kończy się w najbliższy piątek, potem są kolejne dwa wolne weekendowe dni. Bardzo przeprasza, lecz za moimi plecami porozumiał się z babcią Połą. Babcia Pola jest zachwycona perspektywą zostawienia u niej na jakiś czas piesków. Jasna sprawa, że babcie Połę zaopatrzy w odpowiednią ilość leków oraz pokarmu dla zwierzaków. Co tydzień, wioząc nas do Korablewa, uzupełni zapasy. Przyjedzie po nas i po pieski w piątek po godzinie piętnastej.

Nie zdążyłam pisać słowa. Walicki rozłączył się.

— Mamełku? Kto dzwonił? Chyba nie wujek... Dlaczego masz taki wściekły wyraz twarzy?

Zapewniłam syna, w myślach licząc do dziesięciu, że nie wujek. Co Szymka ucieszyło i skłoniło do wygłoszenia przydługiego peanu na cześć wujka. Tym razem policzyłam do pięćdziesięciu. Z przeciwnym skutkiem. Im dłużej liczyłam, tym większa narastała we mnie wściekłość. Co tam wściekłość! Po prostu furia. Uświadomiłam sobie, że nawet wygrana w totka, kupno nowej bryki i ucieczka na antypody nie uchronią mnie przed mackami Walickiego! Zawsze będzie gdzieś w pobliżu. Żeby go szlag!

Szymek po piętnastu minutach wyczerpał zapas podziwu dla wujka. Tak bardzo się uradował, że i ja, mamełek kochany, za wujkiem przepadam oraz go podziwiam. Matko, znowu oszukiwałam swego syna! Oszukiwałam, kiedy mnie nienawidził z powodu taty, ja zaś nie miałam odwagi mu powiedzieć, że jego tata to łajdak. Teraz, bojąc się stracić odmienionego Szymka, za żadne skarby nie powiem mu, jaknie znoszę, nie trawię, nie cierpię Walickiego. Trudno. Muszę Walickiego i trawić, i udawać, że podziwiam jak cholera i jak cholera lubię!

Szymek po nieprzespanej nocy był bledziutki, ziewający. Zdecydowałam, że szkołę dziś wyjątkowo opuści. Zapakowałam go do łóżka, usnął natychmiast. Nakarmiłam Sonię ugotowaną przez Walickiego ryżową kaszką. Dokarmiłam piszczące kłębuszki kupioną przez Walickiego odżywką przez butelkę ze smoczkiem, też kupioną przez Walickiego. Cholera, gdzie się nie odwrócę, wszędzie Walicki! A świnia Igor wczoraj nie zadzwonił. Mimo zapewnień, że o niczym innym nie marzy, jak o spotkaniu ze mną!

W tej samej chwili świnia zadzwoniła. Jest w Łodzi, zaprasza na obiad do Zielonej. Na czternastą, o ile ta godzina mi odpowiada.

Odpowiadała. Do trzynastej zajmę się psiakami. Do trzynastej Szymek się wyśpi i przejmie pałeczkę, natomiast ja, odpicowana na bóstwo, oczaruję Igora. Właściwie, nie chciało mi się tak naprawdę czarować go. Byłam notorycznie niedospana i zmęczona po silnych przeżyciach związanych z ulicą Polną. Z

tajemnicą Walickiego do rozszyfrowania w głowie oraz psiaczkami w domu. Po co mi Igor wiążący z tym spotkaniem nadzieje? A może już zrezygnował z nadziei, skoro zaprasza na obiad, nie upominając się o obiecaną kolację przy świecach? Igorowi jednak należy poświęcić tę godzinkę. Zachował się nader przyzwoicie. Program o pani Marii wyemituje na cito. Przyspieszy też postępowanie w sądzie rodzinnym. Nawet dwie godzinki mu się należą. To ja jestem świnia, nie on.

— Ojej, mamełku, jakaś ty ładna — zachwycił się na wpół przytomny po obudzeniu Szymek. — Umówiłaś się z wujkiem?

Znowu wujek! I nałgać nie mogę, bo się wyda, że nie z wujkiem!

— Synku, dlaczego miałabym się umawiać z wujkiem? — spytałam, chytrze kombinując, że wujek, ten łotr spod ciemnej gwiazdy, usiłuje Szymka wyciągać na zwierzenia osobiste dotyczące mojej osoby.

— Bo go lubisz. A on ciebie również lubi, mamełku. Oboje wiele wujkowi zawdzięczamy.

— Naprawdę?

— Mamełku, gdyby nie wujek nadal bym chciał do taty — i buźka mego syna skurczyła się boleśnie.

— Co ci takiego powiedział, że już nie chcesz do taty?

— Powiedział, że to tata nas porzucił... Że był dla nas niedobry... Powiedział, że wiele wycierpiałaś. Najwięcej przeze mnie, gdy cię tak nienawidziłem... Mamełku! Jak mi dałaś ten album, ja zrozumiałem prędko, dlaczego mi go dałaś! Bo tam na ani jednym zdjęciu nie byłem z tata! Na ani jednym! Strasznie cię za to nienawidziłem... Tak sobie ślicznie wymarzyłem swego tatę! Starłem się nie pamiętać, że nigdy nie brał mnie na kolana... Nigdzie ze mną nie chodził... Że po prostu mnie nie chciał! — Szymek z płaczem rzucił mi się na szyję. Mój biedny, skrzywdzony synek. Ile dałabym, mogąc zaprzeczyć, powiedzieć, że tata go kochał, tylko ja byłem podła, zła, a nie tata! Boże, jednak jestem i zła, i podła! Walicki ma rację, twierdząc, że najbardziej obchodzi mnie czubek własnego nosa. Podpytywałam Szymka w imię swoich egoistycznych celów! Teraz mój syn płacze. Wtula się we mnie i płacze, powtarzając, że mamełku, ale tak naprawdę, nigdy nie przestałem cię kochać... Wierzysz mi, mamełku?

— Synku, zawsze w to wierzyłam — rozplakałam się, nie zważając na powleczone resztkami tuszu rzęsy.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— I kochasz mnie mimo wszystko?

— Jakie „mimo wszystko”. Synku? Coś ty. Kocham cię jak nikogo na świecie!

— Mamełku, ja ciebie też! Nawet wujka tak nie kocham!

— Synku, kochaj i wujka. Kochaj, kogo chcesz! Tylko bądź szczęśliwy.

— Jestem szczęśliwy. Bardzo, bardzo. Mam ciebie. Mam wujka. Mam babcię Połę. Ojej, mamełku, płaczesz na czarno — roześmiał się przez łzy Szymek. — A wujkowi i tak się podobasz.

Nie zamierzałam więcej drażnić tematu wujka. Uczciwie powiedziałam Szymkowi, że mam spotkanie z takim jednym panem z telewizji, nie z wujkiem.

— Ach, wiem. Wujek mi opowiadał, jaka jesteś wspaniała, sprowadzając w sprawie tej biednej pani Marii telewizję. W takim razie szybciosem do łazienki i maluj się od nowa.

Owszem, pognałam do łazienki. Nie malować się, lecz zmyć resztki tuszu. Już byłam spóźniona. Nie czas na poprawianie urody. Trudno. Zniosę z godnością rozczarowanie Igora. Niech zobaczy, jak wygląda prawdziwa pani woźna, zapychająca do roboty na szóstą rano. Z żalem zabrałam z sobą jedną stówkę. Po pierwsze, nie wypadało kazać Igorowi aż tak długo na siebie czekać, więc do Grand Hotelu pojechałam taksówką. Po drugie — niechaj sobie Igor nie wyobraża, że ze mnie ostatnia dziadówka. Osiem dych chyba starczy na zafundowanie mu ptysia z kremem śmietankowym. Pamiętam, jak się kiedyś tymi ptysiami objadaliśmy. ..

Igora dostrzegłam od razu. Rzeczywiście w telewizji prezentował się mimo dwóch podbródków znacznie lepiej, od tego są wizażyści, rozprawia się z każdą zmarszczką, bruzdą, wątrobowymi plamami, wągami, a odpowiednie oświetlenie dokończy dzieła.

Przy stoliku pod ścianą wyłożoną zieloną materią, na zielonej kanapie siedział otyły, podstarzały facet. Patrząc na niego, sama poczułam się stuletnią staruszką. Mój Igorze, a kochała się w tobie przynajmniej połowa studentek uniwerku! Nie kłamałeś, Igorku. Pochlastało cię życie.

— Kasia! Tutaj! — zawołał Igor i wstając, machał ręką.

Z bliska wyglądał jeszcze gorzej. Nalana twarz miała odcień gromniczej świecy. Kilka czarnych brodawek wokół ust. Usta w sinawym kolorze.

— Pozwól, niech ci się przyjrzę... Nadal śliczna...

— Przestań, bo jeszcze uwierzę. Owszem, w konkursie na Miss Pań Woźnych do finału może bym się zakwalifikowała.

Roześmiał się. Pochylił się nad moją ręką. Usta miał zimne. Dłoń lodowatą. I też pokrytą ciemnymi plamami.

— Siadaj, Kasienko. Boże, jak się cieszę, że jeszcze cię zdążyłem zobaczyć...

Poczułam się nieswojo. Co on plecie, ten Igor? Wypił zbyt wiele drinków, czekając na mnie?

— Sprawiam przykre wrażenie, prawda? Przed programem charakteryzatorka męczy się nad moją twarzą równą godzinę.

Inaczej spadłaby oglądalność — zaśmiał się, jakby opowiedział świetny dowcip.

Poczułam się wyjątkowo nieswojo. Fakt, piękny nie jest. Lecz czemu ma służyć ten ekshibicjonizm? Zamierza w taki sposób wzbudzić we mnie litość?

— Igor, czego oczekujesz? Ze zaprzeczę i powiem: „Ach, kochany, jesteś nadal niebywale atrakcyjnym facetem”?

Zastanawiał się. W palcach podobnych do krągłych wałeczków miał serwetkę w zielonym kolorze. Wszystko w tej sali restauracyjnej było zielono-złote, pretensjonalne, nachalnie bogate.

— Chciałbym na siebie popatrzeć twoimi oczami — odezwał się po długiej, krępującej chwili milczenia.

— Na pewno?

— Tak Kasiu. Na pewno.

— Okej. Widzę otyłego faceta. Przedwcześnie postarzałego. Jednak również w tym facecie widzę młodego mężczyznę, którego kiedyś kochałam. Był urokliwy, dowcipny, cieszył się życiem. Planowałam z nim doczekać późnej starości i przynajmniej dwunastki wnuków! — powiedziałam ze złością. Żeby go szlag! W ogóle nie należało się z nim spotykać! W ogóle jak mogłam sobie choćby przez moment wyobrazić Igora w roli mojego życiowego partnera! Chyba mnie pokreśliło! Nie wiem, który z moich dwóch mężów okazał się większym draniem! Igor czy Przemek? Każdy z nich podeptał moje uczucia, z godności zadrwił niegodziwie, po łajdacku, że nic do wspominania, nawet tego, co się wydawało szczerze i piękne, bo czy było piękne? Szczerze? Jak wierzyć w uczucia faceta, który na własnym ślubie poszedł z inną w krzaki?

— Nigdy mi nie wybaczyłaś tej dziewczyny, której imienia nawet nie pamiętam?

— Igor, a ty byś wybaczył?

— Czas goi podobne rany.

— Nic bardziej głupiego w życiu nie słyszałam! A twoją ranę po śmierci żony czas zagoił?

Podszedł kelner, więc zamilkliśmy. Postanowiłam wypić tylko kawę, podziękować Igorowi za program o pani Marii i wynieść się stąd, więcej nie oglądać tego tłustego faceta, który, żeby go szlag, cynicznie wyznaje, że nawet nie pamięta przelecianej w krzakach dziewczyny! Schowałam swoją płonąca gniewem twarz za kartą dań. Matko, tu nawet mała kawa kosztuje tyle, ile ja

wydaję przez jeden dzień na utrzymanie domu! Wybitna Osobowość Telewizyjna zaprosiła mnie tu celowo, chcąc pokazać, na jakie rachunki ją stać!

— Co zamawiasz?

— Małą kawę.

— Na razie mała kawa dla pani, dla mnie herbata. — Igor odprawił kelnera. Na razie? O, Igorku, zdziwisz się, ponieważ nie będzie nic poza na razie!

— Kasia, okłamałem cię. Nigdy się nie ożeniłem.

— Co? — po prostu mnie zatkało.

— Zmyślając tę historię, chciałem wzbudzić w tobie współczucie.

— Współczucie? Moje współczucie? Byłeś i nadal jesteś łajdakiem, Igor. W taki cyniczny sposób podpuściłeś mnie na osobiste zwierzenia! To obrzydliwe. To podłe!

— Wiem. Ale musiałem. Kasia, poczekaj, nie odchodź — przytrzymał moją rękę. — Chryste, Kasia, pozwól mi się usprawiedliwić... A potem osądź.

— Jesteś żaloszny. Dobra, posłucham. Niech się dowiem, jaki kit zamierzasz mi wcisnąć. Gadaj.

— Kasia...

— Zgadza się. Tak brzmi imię twojej pierwszej żony. Ciekawe, że go przez tyle lat nie zapomniałaś... To mi pochlebia. Jak cholera pochlebia. Ale się streszczaj.

— Chryste... Kasia... — Przymknął oczy. Otyłym ciałem wstrząsnęło drzenie. — To również zabrzmiało fałszywie i banalnie. Kasiu. To, jak bardzo cię kocham, zrozumiałem w tej samej chwili, kiedy nakryłaś nas w krzakach. Nie mam zamiaru wciskać ci kitu. Przeżyłem wówczas koszmar.

— Ciekawostka! A ja? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co ja przeżyłam?!

— Właśnie o to chodzi, że zrozumiałem to zbyt późno. Ze swoją miłość straciłem na zawsze.

— Nawijaj dalej. Podoba mi się twoje nawijanie. Zawsze umiałeś nawijać. — Byłam tak wściekła i znowu upokorzona, że chętnie oplułabym tę nalaną gębę o niezdrowej cerze, poznaczonej obrzydliwie czarnymi naroślami. Ale po takim draniu można się wszystkiego spodziewać. Jednak drań się przyda, pani Maria musi odzyskać wnuki. Toteż uśmiechnęłam się z przymusem.

— Kasia. Nie zniżaj się nade mną. A o program się nie martw. Bez względu na to, co mi powiesz, będę interweniował w sprawie pani Marii nie tylko za pośrednictwem telewizji. Przecież ci mówiłem, że pomogę. Na ile będę mógł. Na szczęście, jeszcze trochę czasu mi zostało. — Dopiero teraz otworzył oczy. Były wilgotne, jakby od wstrzymywanych łez. Patrzyły na mnie ze smutkiem, z gorącym błaganiem, z pokorą. Co jest? Tak nie zachowuje się cyniczny facet.

— Igorze, to ty się nad sobą znęcasz. Było, minęło...

— Nie minęło, Kasiu. Owszem, próbowałem o tobie zapomnieć. Przez moje łóżko przewinęły się setki kobiet. Piłem. Nawet ćpałem. Lecz nie minęło, chociaż tak bardzo chciałem, żeby minęło. Kochałem i kocham wciąż jedną kobietę. Propozycję robienia własnego programu w telewizji potraktowałem jak przepustkę do ciebie. Ubzdurałem sobie, że ci się dzięki niemu przypomnę. Wiesz, na samym początku mojej kariery wyglądałem nieco lepiej... Jeszcze podobałem się kobietom. Więc każdy telefon po programie mógł być telefonem od ciebie... Każdy list również. Zadzwoń, a ja ci powiem, że ty, tylko ty, zawsze, wszędzie, ze mną, we mnie, w moich pragnieniach, w moich celach, że nawet poprzez swój program cię przywołuję... Pamiętałem twoją wrażliwość. Robiłem programy o ludzkich dramatach z myślą, że zwrócę twoją uwagę — mówił gorączkowo, a ja spostrzegłam w jego oczach dwie łzy, dwie niemęskie łzy; nawet ich nie otarł, może nawet nie wiedział o nich, o tych łzach, i te łzy mną wstrząsnęły i pomyślałam, że spóźniłam się do niego ze swoim telefonem, a on się spóźnił ze swoimi wyznaniem. — I nagle zadzwoniłaś. Twój głos spośród tysięcy innych głosów rozpoznałbym bez trudu...

— Igor... Przykro mi — tylko tyle mogłam mu powiedzieć.

— Wiem. Nawet nie zadam ci pytania, czy zdołałabyś mnie pokochać. Mnie, tłustego, brzydkiego...

— Przestań! Naprawdę kocha się nie za wygląd, Igorze. Kocha się za wnętrze. Ale na twoje pytanie odpowiem. Jesteśmy dla siebie obcy. Dziela nas całe lata świetlne. Musielibyśmy się na nowo poznawać, odkrywać siebie. Długa droga. Zakończona niewiadomą. Nagle okazałoby się, że kochałeś nie mnie, lecz swoje o mnie wyobrażenie, upiększane, idealne, wyjątkowe. Spragniony wędrowiec na pustyni omamiony fatamorganą, złudnym mirażem, a tu, zamiast zbawczej oazy, skrzeczy rzeczywistość, nie ma wody, nie ukoisz pragnienia. Niestety, Igorze, nasza wspólna droga skończyła się, zanim ją rozpoczęliśmy. Nie cofniemy się do jej początku. Ona zarosła czasem.

Milczał. I dobrze, że milczał. Powiedzieliśmy chyba sobie wszystko. Czas się pożegnać. Wstałam.

— Kasiu, mam prośbę. Wyda ci się na pewno idiotyczna. Nie wykpij mnie. Oszczędź. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem odrażający...

— Igor! Nie powiedziałam, że jesteś odrażający!

— Postaram się w to uwierzyć. Chociaż brzydzę się Barn siebie.

Boże, co mu jest? W oczach, już suchych, determinacja człowieka, który za moment zamierza skoczyć w przepaść.

— Igor?

— Nie zobaczymy się więcej, Kasiu.

— Igor? Dlaczego?

— Nie zobaczymy się więcej — powtórzył cicho. — Spełnij moją prośbę, a będę szczęśliwy.

— Dobrze. Spełnię. Pod warunkiem, że nie każesz mi robić strip tizu — zażartowałam.

— To gorsze niż striptiz. Pocałuj mnie.

— Tutaj? W knajpie?

— Tutaj. Teraz.

Boże mój, człowieku, jaki musisz być, mimo swojej kasy, stanowiska i popularności, nieszczęśliwy! Objęłam go, przytuliłam policzek do jego policzka. Policzek Igora był lodowaty.

Jego usta również. Pocałowałam ponownie. Chciałam je ożywić, ponieważ wydały mi się martwe. Całowałam raz po raz. Spod zamkniętych powiek pociekły mu łzy. Otarłam je tak, jak ocierałam łzy synowi, kiedy był mały i czuł się skrzywdzony. I nawet nie wiem, kiedy mi się wyrwało:

— Igor! Sadzę, że mogłabym cię kochać! Odsunął mnie delikatnie.

— Dziękuję za wszystko, Kasiu. Za spełnienie mojej prośby. I za to wzruszające kłamstwo również. A teraz proszę, zostaw mnie. Odejdź. Przepraszam. Muszę zostać sam.

Pocałowałam go jeszcze raz. Minełam kelnera niosącego dwie filiżanki. Zabrakło mi odwagi, aby odwrócić się i spojrzeć na Igora.

## Rozdział dwudziesty ósmy

To nie były dobre dni. Chociaż nie musiałam wstawać o czwartej rano. Chociaż Sonieczka zdrowiała w oczach, a jej szczeniaki zamieniły się w pulchne kuleczki przyssane do sutek matki i nie potrzebowały uciążliwego dokarmiania butelką. Usiłowałam porozmawiać z Igorem. Nie ma takiego numeru, informował mnie za każdym razem anonimowy głos w słuchawce. Znaczy, że albo Igor zastrzegł swój numer, albo zmienił operatora. Oficjalny telefon do programu odbierał jakiś nowy facet, twierdząc uporczywie, że redaktor Niewiadomski obecnie jest nieosiągalny. Nie, nie może mu przekazać żadnej wiadomości. Nie, nie wolno mu podać numeru komórki redaktora. Ani numeru telefonu stacjonarnego. Proszę podać nazwisko, poinformuję redaktora, że pani dzwoniła.

Podawałam. Nie oddzwaniał.

Nie tylko nie chciał się ze mną spotkać. Nie życzył sobie ze mną żadnych kontaktów. Przynajmniej tak zinterpretowałam jego uporczywe milczenie.

Mając po dziurki w nosie moich natarczywych telefonów, dyżurujący facet oświadczył, że redaktor Niewiadomski kazał panią uspokoić, program interwencyjny zostanie wyemitowany za dwa tygodnie, natomiast sprawa sądowa o odebranie praw do dzieci biologicznej matce odbędzie się najdalej za miesiąc.

Pogubiłam się. Czemu mnie odtrąca? Obraziło go moje kłamstewko, które sam określił jako wzruszające? No, wyrwało mi się, to prawda. Czy mogłabym pokochać Igora? Raczej nie. Nie wiem zresztą. Lecz zaprzyjaźnić się z nim — na pewno tak. Jeżeli jednak mnie kochał przez te wszystkie lata, to na jego miejscu również wypięłabym się na przyjaźń. Kochał? Nie kochał? Jaka jest prawda? Jego inna i moja inna.

O co mu tak naprawdę chodziło?

Elka puknęła mnie w czoło, nazywając niepoprawną idiotką. Ten twój były, kretyńko, ma lasek na kopy. Nie musi im nawet ściągać majtek. One go zaliczają, ponieważ on robi za telewizyjną gwiazdę. Nawet gdyby miał cztery podbródki, brzuch opadający na kolana tudzież garb na plecach, też by mu włąziły same do łóżka. Nic nie wiesz o życiu, babo. Odegrał przed tobą niekiepski cyrk. Po co? Choćby po to, abyś teraz w ten właśnie, a nie inny sposób się zachowywała. Poniżała się, wisząc na telefonie. On cię urabia, babo. Doskonale wie, że neurobiona nie prześpisz się z nim. Zapomniałaś, durna babo, jak się usprawiedliwiał, wyłączając z krzaków? Biedaczkowi na biało ubrana Julia pomyliła się z własną, też na biało ubraną żoną. I co wtedy zrobiłaś? Dałaś mu w pysk. Przy wszystkich. Sądzisz, że taki facet, co to w dniu własnego ślubu uprawia seks z białą damą w krzakach, zapomniał ci to pranie gęby? Swoją absolutną



kompromitację? Pamiętasz, jak podciągając spodnie, nawiewał w las, aż się kurzyło? Nawet z uniwerku się wyniósł i z łodzi, ponieważ pokazywano go palcami. Zastanów się, babo. Skoro cię niby tak kochał, tak ciągle i wciąż, to czemu czekał na telefon od ciebie? Dla niego zdobyć twój telefon to pestka. Kochał, tęsknił, marzył, lecz nie przysyłał ci kwiatów z miłosnymi liścikami. Czy tak zachowuje się konający z miłości facet? A tu nagle, bach! Dzwonisz. Czemu nie? Zrobi ten program. Przy okazji dołożą mu kolejny listek do laurowego wieńca sławnego autora programu, ponieważ sprawa ewidentna jak drut. Lepszy z niego spryciula. Znalazł formułę na program, który chwyta widzów za serca, więc ma wielomilionową widownię. Och, i znowu babki w wieku od lat czternastu do stu będą szlochać, kiedy On We Własnej Osobie swoim modulowanym głosem opowie o dramacie starej woźnej skrzywdzonej przez bezduszne prawo. A ty, babo, co mu kiedyś przywalałaś i z jednej, i z drugiej strony, również się rozszlochasz! Program na cito, poza terminami, łącznie z obietnicą popchnięcia sprawy w sądzie rodzinnym! W taki prościutki sposób uświadomił ci, ile znaczy, ile może, jaki jest ważny, szlachetny, wspaniałomyślny i w ogóle wspaniały!

Potem znakomita scenka w Zielonej. Spełnij moją prośbę, pocałuj mnie, więcej się nie zobaczymy. Ach, cóż za rozdzierające serce na ćwierci przedstawienie! Kaśka, nawet od obiadu się wykpił! Teraz nie odbiera twoich telefonów. Czeka, aż zmięknie. Aż mu wyznasz, że tak, tak, Igorku! Jestem nieszczęśliwa, tyram za grosze jako woźna, otwieram wrota swego serca na oścież, padam ci w twoje opiekuńcze ramiona, jam twoja! Durna babo, powiedz, dlaczego facet o takich znajomościach, nie zająknął się słówkiem, że znajdzie ci jakąś godną pracę? Tu, w Łodzi? Wystarczyłby jeden jego telefonik do któregoś z naczelnych! Lub telefon do któregoś z warszawskich kumpli. I już smarujesz raz na tydzień stały felieton o sztuce, reportaży z wernisażu. I płynie ci raz na tydzień kasa większa niż za miesięczne czyszczenie kibli u słodkiej Ilonki. Zaproponował? To kombinuj, babo, dlaczego tego nie zrobił!

Wolałam nie kombinować. Wypłakałam swoje kolejne doświadczenie w poduszkę. Trudno. Igora skreśliłam. Program o pani Marii polecą, inne media powinny temat również podchwycić, zrobi się szum. Happy end pewny. A mnie czekał ciężki weekend w towarzystwie Walickiego, zaś od poniedziałku powrót do mopa. Żeby go szlag, tego Igora! Elka miała rację w stu procentach. Tę trzy tygodnie trwającą karierę pani woźnej odczuwałam we wszystkich mięśniach, we wszystkich kosteczkach, w nie do końca zagojonych, bo wciąż na nowo otwierających się wżerach na dłoniach, w wiecznie opuchniętych nogach, w ciężkich od niewyspania powiekach, a przede wszystkim w braku nadziei, że nic, poza szorowaniem, pastowaniem, froterowaniem, myciem okien i drzwi, tych

hektarów powierzchni podłogowej oraz hektarów powierzchni ściennych lamperii, do emerytury na mnie nie czeka, do niej zaś nie dotrzmam, ponieważ umrę znacznie wcześniej z wycieńczenia. A nie wolno mi umrzeć, bo co z Szymkiem?

Złośliwy los lub perfidne działanie Walickiego pozbawiły mnie nawet złomu. A nowego złomu z pensji pani woźnej się nie dorobię. Żaden bank nie udzieli mi większego kredytu. Boże mój, i tak ma być zawsze? Na łasce Walickiego? Który w odpowiednim momencie zażąda dowodu wdzięczności? I będę musiała, zaciskając zęby, przespać się z nim? Albo w ogóle — sypiać?

Mój syn go kocha. Mój syn jest z wujkiem szczęśliwy...

Nie myśleć i o tym. Nie myśleć. Nie wybiegać przed konie. Tmdno. Zawiozą mnie tam, gdzie zażyczy sobie Walicki. Trudno. Zacisnąć zęby, oblec twarz w wymuszony uśmiech, mój syn dosyć wycierpiał.

Całą drogę do Korablewa zaciskałam zęby. Za to Szymkowi usta się nie zamykały. Siedział z tyłu, wpatrując się w Sonieczkę ze śpiącymi przy jej sutkach szczeniakami i zachwycał się wujkiem. Oj, wujku, sam chętnie spałbym w takim legowisku, jakie kupiłeś psiaczkom! Mięciutkie, ciepłutkie, wygodne! Mają jak w puchu! Nawet wałeczek dokoła! Wujku, ten wałeczek po to, żeby pieski mogły sobie głowy na nim oprzeć, tak? Ale ktoś wymyślił! Super, wujku! Mamełku, prawda, że super?

Po pięćdziesiątym super wujku, wypowiedzianym przez syna, byłam gotowa Walickiego udusić, zarznąć, lecz powtarzałam posłusznie: „Tak, synku. Super. Super”.

Babcia Pola na mój widok chwyciła się za głowę.

— Bój się Boga, Kasia, ty znowu schudłaś! Córciu, co z tobą? A mówiłam ci, Daniel, że ta praca ją wykończy.

Daniel? Kiedy babcia Pola zdążyła wypić brudzia z Walickim? Tydzień temu jeszcze się tak nie spoufalali. Wniosek wyłącznie jeden: Walicki babcie w ciągu ostatniego tygodnia odwiedzał. W sprawie piesków? Nie musiał, ponieważ znał numer komórki babci. Po co więc do niej jeździł? Prosta odpowiedź. Pieski to pretekst. Walicki, odgrywając przed babcią rzekomą troskę o mnie, zyskiwał w niej sprzymierzeńca dla swoich dalszych, podłych planów. Ależ z niego drań! Wykorzystywał ufną naiwność starej, kochającej mnie i Szymka kobiety!

— Babciu — zaprotestowałam, podczas gdy Walicki wraz z Szymkiem opróżniali bagażnik z psiej karmy. — Czuję się świetnie.

— Akurat. Trupio blada, wychudzona — mruknęła babcia i, jeśli nie uległam omamom, uśmiechnęła się chytrze do Walickiego dźwigającego pakę z karmą dla psów. Załamalam się. Walicki uknuł spisek i otrzymał przyzwolenie babci.

I znikąd ratunku! Czego ten człowiek chce ode mnie? Od nas? Zewsząd zaciskały się jego drapieżne macki. Odbiera mi syna, co ja mówię! Już mi odebrał! Teraz odbiera babcię Połę! Zaraz dobierze się do ostatniej życzliwej mi i kochającej osoby, do Elki! A co dalej? Co dalej? Nie wiem! Wiem jedno, że czuję się tak, jakbym stała na brzegu przepaści, oczekując tego ostatecznego uderzenia w plecy, które strąci mnie w dół i zaczną spadać, bez krzyku, ponieważ i mego krzyku nikt nie usłyszy.

— Wiesz co, córcia? Odpocznij sobie w spokoju. Zdrzemnij się. — Babcia, nie zważając na mój opór, zaciągnęła mnie do pokoju, zapewniając, że będę im jedynie przeszkadzać, płatać się pod nogami, a oni przyszykują kolację, kolację niespodziankę. Nadając, uśmiechała się wciąż tym chytrym, tak do niej niepasującym uśmiechem.

Perspektywa kolacji niespodzianki wywołała u mnie kołatanie serca. Pozwoliłam się babci rozebrać z kurтки, przykryć kocem. Nie oczekiwałam przyjemniej niespodzianki. Znałam jej autora. Żeby go szlag!

Stos naleśników ze śliwkowymi powidłami pachniał wabiąco. Szymek wpatrzony w Walickiego. Babcia wpatrzona w Walickiego. Walicki wpatrzony wyłącznie w talerz. Dziobałam swój naleśnik, zaś każdy kęs stawał się gwoździem nie do przełknięcia. Poza nieświadomym niespodzianki Szymkiem, pozostałym również dziwnie nie dopisywał apetyt.

Babcia Pola w końcu oderwała zachwycony wzrok od Walickiego, chrząknęła raz i drugi, znowu pochrząkała, jakby do dodania sobie odwagi, poszperała w kieszeni fartucha, wyciągnęła stamtąd wypchaną, dużą, białą kopertę i przesunęła ją przed mój talerz, obdarzając mnie już nie chytrym, lecz triumfującym uśmiechem.

— To twoje — oznajmiła równie triumfująco.

Walicki natychmiast z nagłą gorliwością zaatakował widelcem naleśnik Zamariam. Biała, wypchana koperta, chociaż podana przez babcię, mnie wydała się gotowym do ataku grzechotnikiem.

— Córciu kochana. Najmilsza. Jedyna — babcia chlipnęła i końcem fartucha otarła nagle załzawione oczy. — Równe pięćdziesiąt tysięcy. Są twoje.

Walicki w roztargnieniu zamiast naleśnika kroił ze zgrzytem noża pusty talerz.

— Ojej, babciu! Wygrałaś w totka? — zdumiał się Szymek.

— Sprzedałam pół hektara łąki za domem, wnusiu.

Pół hektara, czyli wszystko, co miała! Został jej ten maleńki zagonek z warzywami i sadek na splechietku ziemi nie większym od chusteczki do nosa!

— A po co komu twoja łąka, babciu? — dalej zdumiewał się mój syn.

— Ten pan, który ją kupił, zamierza wybudować na niej dom. Tak przynajmniej powiedział... — tu babcia jakby z lękiem spojrzała na Walickiego, dodając szybko, że tak naprawdę nie ma pojęcia, jakie plany ma ten pan, bo się jej nie zwierzał, lecz był z miasta, a teraz wszyscy z miasta mają bzika na punkcie budowania domów na wsi i nad wodą.

Ten pan. Jeżeli to rzeczywiście Walicki wyłożył taką kasę, wówczas przekonanie Krysi, że widziała go wysiadającego z wypasionej bryki przed cmentarzem, nabierało cech prawdopodobieństwa. Do tego trzeba dodać posługiwanie się fałszywym adresem. Zadekował się w szkole. Nie jest po zawodówce, tak ja jak nie jestem po pięciu klasach podstawówki. To ustaliłam. Należy jeszcze ustalić tożsamość tajemniczego kupca, lekką ręką wykładającego pięćdziesiąt patyków za pół hektara łąki, którą olał jako nic niewartą nawet syn babci Poli.

— Babciu. Dziękuję ci ze szczerego serca za tak ogromną sumę, której przyjąć nie mogę...

— Córcia. Możesz. Przeczekasz z tymi pieniędzmi najgorszy okres. Starczą ci co najmniej na pół roku... Zrezygnujesz z rujnującej twoje zdrowie pracy. Jesteś delikatna. Jesteś doskonale wyuczona. W ciągu pół roku znajdziesz dla siebie odpowiednią pracę... Córcia... Nie mogę patrzeć, jak się z tygodnia na tydzień wyniszczasz...

O, dobry Boże, babcia Pola rozplakała się. Przeze mnie. Moja dobra, najlepsza, a ja jej zadaję ból. Szymek rzucił się pocieszać babcię, obejmując, głaszcząc jej siwe włosy zwinięte w koczek

— Babciu, ale ja muszę wiedzieć, komu sprzedałaś swoje ziemię. Babciu, błagam, nie płacz.

— A przyjmiesz te pieniądze? Ty i Szymek jesteście cała moja rodziną... Poza wami nikogo nie mam... I tak sobie marzę, wybaczyć starej samotnej kobiecie jej marzenia, przepraszam, jeżeli cię nimi urażę, ale marzę... bo ja jestem coraz starsza, córciu, zaraz mi siedemdziesiąt i pięć stuknie... To ja marzę, że może kiedyś... Ach, mniejsza z tym, co może być kiedyś...

— Powiedz, babciu, o czym marzysz? — spytałam ze ściśniętym gardłem.

— Córcia, a co mi po moich marzeniach, jeżeli ty się wcześniej rozchorujesz? Zapadniesz na jakąś straszną chorobę? Nadarzyła się okazja, więc sprzedałam i przestań mnie dręczyć, wypytywać kto i dlaczego! Jakiś durny mieszczuch napalił się na ten kawałek nic niewartej łąki. Bardzo mu się spieszyło... Powiedział, że to piękne miejsce... Zawiózł mnie do notariusza. Odwiózł. Zapłacił. A na co mnie starej takie pieniądze?! — babcia się zdenerwowała. — Ja tam na swój pogrzeb i

nie tylko na pogrzeb uskładałam na koncie w banku... Więc nie przepytuj starej babki, tylko przyjmij mój prezent! Prawda, Danielu?

Milczał. Spojrzał na mnie z taką niewypowiedzianą męką w szarych oczach, że się przestraszyłam. Boże, zaraz zwariuję. Niczego nie rozumiem! O co tu chodzi? Co jest grane?

— Sadzę, że to jest niezwykle dar. Takich darów się nie odrzuca. Jak nie odpycha się od siebie kochających osób —odezwał się Walicki tak udręczonym głosem, jak wtedy, kiedy mnie odwoził do domu z Polnej. Twarz zastygła mu w kamienną maskę. — Pozwolicie, panie, że udam się na spoczynek. Jestem bardzo zmęczony.

— Wujku, miałeś mi jeszcze pokazać Mały i Wielki Wóz.

— Wybacz, synku. Pokażę ci jutro. Dobranoc. Wychodząc z kuchni, powłóczył ciężko nogą. Przygarbił się, jakby nagle na jego barczyste plecy spadł ciężar trudny do udźwignięcia.

Nie odpycha się od siebie kochających osób, powiedział. Oczywiście, mówił o babci Poli. Na pewno tylko o babci Poli?

Wybacz, synku.

Dlaczego obce mu w końcu dziecko nazwał synku? Wybacz, synku.

— Kasia. To dobry człowiek — usłyszałam głos babci. — Nie wyrządzi Szymkowi krzywdy. Postaraj się mu zaufać.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

W poniedziałek, po kolejnej nieprzespanej nocy, powlokłam się do szkoły. Nie cieszyła mnie wepchnięta do bielizniarki pod stos prześcieradeł biała koperta. Ani złożona babci Foli obietnica, że wypowiem pracę. Ani radość Szymka, że jego mamełkowi zagoją się wżery na dłoniach i przestanie szurać po domu opuchniętymi nogami. A samochodu, mamełku, nie kupuj. Wujek nas będzie woził. Wujek powiedział, że nie wyobraża sobie dalszego życia bez babci Poli, Krasówki, okolicznych lasów. Nie byłam w stanie wysłuchiwać tego, co wujek jeszcze powiedział. Niewiele brakowało, a po raz drugi uderzyłabym swego syna. Licząc do dziesięciu, z zamkniętymi oczami poprosiłam, żeby przestał, przestał, na litość boską, mówić o wujku. Ty go, mamle, mimo wszystko nie lubisz? — na buzi Szymka pojawiła się zdumiona niepewność, a ponieważ milczałam, zaciskając oczy i gardło, aby nie wybuchnąć, spojrzał na mnie z takim żalem i takim zawodem, jakbym mu znowu odbierała kogoś kochanego. Zdobyłam się więc na cichy szept, że nie, skądże, synku, lubię wujka, bardzo lubię, tylko są pewne sprawy, których nie rozumiesz... Rozumiem — odpowiedział Szymek — że kłamiesz, mamle. Szkoda, że kłamiesz. Poza tym to ty, mamle, niczego nie rozumiesz. Niczego! Ty w ogóle nie patrzysz w niebo.

Co Szymek chciał przez to powiedzieć? Nie patrzę w niebo? Niebo? Co to jest niebo? Niebo w rozumieniu mego syna? Gwiazdozbiory? Mleczne drogi?

Nie, nie patrzę. Nikt mi z nieba nie sypnie kaszą manną. Zeby przetrwać w obecnych czasach, należy twardo stąpać po ziemi. Czego, niestety, nie potrafię. Dlatego ciągle potykam się o nowe przeszkody. Tracę dobrą pracę w „Pięknym Życiu”. Daję się nabrać Igorowi. Nie walczę z Walickim. I w ogóle tak tak, synku, niczego nie rozumiem. Poza jednym. Że wciąż nie ufam twemu wujkowi w obawie, aby cię nie skrzywdził. Babcia Pola mu ufa. Ty również. Ja — nie. Nie potrafię. Za bardzo i za szybko mnie osaczył. A ciebie nazywa synkiem, jakby był twoim prawdziwym tatą. Wybacz, synku. Nie ma prawa tak się do ciebie zwracać. Nie ma! I nigdy nie będzie miał!

W szkole zastałam wybłyszczony, sprzątnięty do ostatniego pyłka parter. Oraz trzy rozradowane twarze składające się na komitet powitalny. Pani Maria, Krysia wspólnie z Miską omal nie zadusiły mnie w objęciach. Zaciągnęły do kanciapy pani Marii. A tam, o ludzie, tort, kawa, martini, tonik, cytryna, deserowe talerzyki. Elegancja Francja. Powariowały do reszty?

Z tych swoich nędznych pensyjek urządziły przyjęcie? I odwalily za mnie robotę?

— Cicho ma być! — pomalowane czarną kredką brewki Miśki ściągnęły się nad nosem w komiczny trójkąt udawanego gniewu. — Bez gadania! Należało ci się i tyle! A co? Może sądziłaś, że takie jak my nie znają się na odpowiednich dla ciebie trunkach? Fakt, że nade wszystko przedkładałam bimberek, lecz wyjątkowo napiję się tego podłego wińska... Krysia, rozlewaj! Pani Mario, niechże pani przestanie popłakiwać, chlapnie dla kurażu, a potem wygłosi swoje dziękczynne błogosławieństwo...

— Dziewczyny, co wam odbiło? Pani Mario, żadnych podziękowań, już wam mówiłam: to ja w stosunku do was zaciągnęłam dług wdzięczności...

— Ale gładzi, co nie, Krysia? — Miśka wypła martini, otrząsnęła się identycznie jak ja po skosztowaniu jej bimberku.

— O której dzisiaj przyszłyście, żeby posprzątać moje rewiry? Nie trzeba było...

— Trzeba! W taki sposób zyskałyśmy całą godzinę dla siebie. Kasia, chcemy ci powiedzieć, że jesteś superbabka. Gdyby nie ty, pani Maria...

— Albo obrażę się i wyjdę, albo przestaniecie pleść bzdury. Pani Mario kochana, a mówiłam, że należy wierzyć w cud? Najdalej do świąt Bożego Narodzenia wnuki do pani wrócą. Redaktor Niewiadomski rozmawiał z panią? Ze należy złożyć sprawę o prawo do opieki nad wnukami?

— Niech mu Bóg odpłaci wszystkim, co najlepsze. Rozmawiał. Obiecał pomóc, żeby to szybko załatwić... Moja córka, która już o tym wie, podczas widzenia skakała z radości. Bo nareszcie pozbędzie się dzieciaków. Kasia, Krysia ma rację, gdyby nie ty... — pani Maria oparła na moim ramieniu siwą głowę — gdyby nie ty, Kasia...

— Ej, jedzmy tort, pijmy, cieszymy się! — krzyknęła Miśka. — Twoje zdrowia, Kaśka!

— Wasze zdrowie, kobietki — powiedziałam i patrząc na moje piętrowe koleżanki, pomyślałam, że będzie mi ich brakować, bardzo brakować. Pana dozorcę nocnego również.

— Coś tak posmutniała? Kaśka? Rozklejasz się? Może chcesz bimberku zamiast tego eleganckiego świństwa?

Chciałam. Wypiłam bez otrząsania pół musztardówki. Zebrałam za ten wyczyn gromkie oklaski.

— Zagryź natką pietruszki, pomaga, lecz na wszelki wypadek nie chuchaj na Kunegundę — doradziła Miśka.

Zagryzłam. Rozczuliłam się. Wyczułowałam każdą. Jednak musiałam im powiedzieć, że rezygnuję z pracy pani woźnej. Oczekiwałam okrzyków protestu

lub mało pochlebnych dla siebie komentarzy w rodzaju: „To było do przewidzenia, przecież ona uczona, to czego się po takiej spodziewać?”.

Miśka zapiała wiadomość bimbrem wprost z butelki. Bez zagryzania. Podała Krysi. Krysia chlapnęła sobie zdrowo. Podała

pani Marii. Pani Maria odstawiła niekiepsko naruszony literek na stolik.

— I chwała Bogu, kochana. Od razu gadałyśmy, że to nie dla ciebie robota.

— No — potwierdziła Miśka. — Jak chucherko. Pchnąć silniej palcem, a się przewróci.

Krysia po prostu objęła mnie, szepcząc, że będzie jej mnie brakowało.

W oczy wpadły mi wielkie, kłujące paprochy. W serce też.

Rzuciły się, by mnie pocieszać. Płacząc, powiedziałam, że przecież będziemy się widywać, spotykać...

— Kasiunia, jesteś dobrym człowiekiem, lecz nie będziemy — odezwała się cicho pani Maria. — Ty chodzisz innymi ulicami niż my. Na twoich ulicach czułybyśmy się nieswojo. Wiesz, jak nasze wyglądają... Też do nich nie pasujesz.

— Pani Mario...

— Niech cię Bóg błogosławi, Kasiunia. Będę się za ciebie modlić do końca swego życia.

— A my nigdy cię nie zapomnimy, co nie, Krysia? Teraz pędź na dół. Już siódma: czas otwierać szatnię...

Wiedziałam, że chciały zostać same. Chyba i im ostre paprochy powpadały w oczy.

Otworzyłam szatnię. Potem wrota dla VIP-ów. Następnie udałam się do pani Czesi. Bardzo się ucieszyła na mój widok.

Zastrzegając dyskrecję, poprosiłam ją, aby moje pobory podzieliła na trzy i przelała na konta moich już byłych koleżanek piętrowych.

Kunegunda Wspaniała wyraziła zdecydowany opór, powołując się na przepisy nakazujące złożenie wymówienia z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Proszę bardzo. Złożę je, lecz dostarczę również czternastodniowe zwolnienie lekarskie z dzisiejszą datą.

Lecz Kunegunda nie z takich, co to pozwalają na fochy podgatunkowi ludzkiemu.

— Ach, tak? — wycedziła. — W takim razie zwalniam panią, moja pani, w trybie dyscyplinarnym. Za nieusprawiedliwione opuszczenie trzech dni pracy.

— Pani dyrektor była uprzejma udzielić mi trzydniowego, płatnego urlopu. Plus premię za nocne godziny dodatkowego sprzątnięcia szkoły na przyjazd ekipy telewizyjnej.

— A dowodem na piśmie pani dysponuje?



— Niestety. Za to w przeciwieństwie do pani dywsktea dysponuję honorem.

Trzasnęłam drzwiami, już mogłam sobie pozwolić na trzaśnięcie drzwi do królewskiego gabinetu Kunegundy Wspaniałej. Miss Grażyna podskoczyła na krzesło. Roześmiałam się.

— Goodbye, Miss Grażyna. Goodbye.

Wracałam do domu. Tymi samymi ulicami co zwykle. Kochane, piętrowe przyjaciółki, mylicie się. Te ulice na zawsze

pozostaną moimi. Chodziłam nimi nocą. Przemierzałam je w świetle dnia. Przystawałam przy tyłu odrapanych, brudnych, cuchnących kamienicach, łapiąc oddech lub czekając, aż minie ból w kołaczącym ze zmęczenia sercu. Potykałam się na tyłu wykrzywionych płytach chodnikowych. Nie potrafię ich zapomnieć. Nie chcę zapomnieć. Wpisały się na trwałe w krajobraz mego życia. Wy również, na czele z panią Marią.

Spotkam się z wami jeszcze nie raz. Napiję się biberku z nie pierwszej świeżości musztardówki.

Mój dom.

Mój?

Nie, nie mój. Nigdy do niego nie pasowałam. Do jego luksusowo urządzonego nie przeze mnie pokoi.

Ten dom nie był mój. Poza meblami u Szymka nic tu nie było mojego. Wszystko należało do przebywającego w niewiadomym miejscu męża.

Pijąc kawę, zastanawiałam się, co dalej. Napoczną pieniądze podarowane przez babcię Połę, to jasne, lecz zwrócę potem każdą złotówkę. Aha, i te dwie podrzucone przez Elkę stówki! Mam forszę, więc jej zwrócę. I żadnych więcej garbów, kochana!

Elka wyparła się. Nawet wtedy, gdy powiedziałam jej o darowiźnie babci Poli. Przysięgła na głowy swoich dziewczynek, że to nie ona. Uwierzyłam. Głowy dziewczynek są dla Elki święte. Więc w takim razie kto?

Po dłuższych dedukcjach, jeżeli wykluczę Elkę, to dostęp do mojej torebki tamtego dnia mógł mieć jeszcze tylko Walicki.

Cholera, gdzie się obróć, tam zawsze Walicki! Trudno. Powiem mu, co sędzę na temat grzebania w cudzych torebkach! I żeby się udławił swoją litościwą jałmużną!

Zachrobotął klucz w zamku. Szymek? O tej porze? Zachorował? Urwał się z budy?

— Mameł? — zdumiał się mój syn. Spojrzenia, jakim mnie obrzucił, nie zaliczyłabym do przyjaznych. Zaraz doda: „Chcę do wujka. Nienawidzę cię, mamle”.

— Dlaczego nie jesteś w szkole?

— Nic ci do tego, mamle! — wrzasnął, kopiąc w ścianę.

— W porządku. Nic mi do tego. Obecnie wychowuje cię wujek. Ja tylko karmię i ubieram...

— Jesteś wredną małpą! — wrzasnął o ton głośniej, ponownie kopiąc nieszczęsną ścianę. — Niewdzięczną małpą! Bo jak można nie lubić wujka, który tyle dla nas zrobił?

Dzwonek domofonu na moment zmienił kierunek ataku Szymka. Mój syn wykrzywił wargi w ponurym uśmiechu.

— No proszę... Wszystko się zgadza. Wujek jednak dobrze się domyślał. Ze pewno kogoś masz. — Szymek uderzył pięścią w fotel. Domofon wciąż dzwonił. — Zaraz się przekonamy, kogo... Wolna chata, synek w budzie, więc od razu zaprasza się ukochanego... To pewno ten grubas z telewizji. Wujek mówił, że się znacie... Że gdybyście się dobrze nie znali, taki ważniak telewizyjny nie przyjechałby kręcić reportażu o pani Marii... Ruszysz tyłkiem? Nie? To ja go wpuszczę!

Sufit niebezpiecznie zawirował tuż nad moja głową. Drugi raz nie znajdę sił, aby przerabiać nienawidzę cię, mamle, chcę do wujka. Przettrzymałam trzy lata, wysłuchując nienawidzę cię, mamle, chcę do taty. Miałam nadzieję, że mój syn wyleczył się z nienawiści do mnie. I oto ją tracę. Trudno. Czeka nas zasadnicza rozmowa, panie Walicki...

— Pani Katarzyna Malicka?

Szymek wprowadził do salonu nieznanego mi mężczyznę. Nosił długi granatowy płaszcz do pół łydki, łyśkał wypucowanymi butami oraz wypucowanym uśmiechem. Autorytetu dodawały mu okulary w oprawkach udających złoto oraz lśniąca czernią teczka. Przedstawił się jako pełnomocnik angielskiej firmy prawniczej Smith & Son. Odmówił wypicia herbaty. Nie był dżentelmenem. Usiadł bez zaproszenia w fotelu, poprawił okulary, otworzył czarną teczkę, zaszeleścił papierami. Zgasił wypucowany uśmiech. Oświadczył, że Przemysław Malicki złożył przeciwko mnie pozew o rozwód. Jednakowoż nie ma ochoty spotkać się ze mną w polskim sądzie. Chce przeprowadzić szybki rozwód za pośrednictwem ambasady...

— Pan wybaczy — przerwałam. — Szymek, idź do swego pokoju.

— Nie chcę. Chcę dowiedzieć się prawdy o tobie, mamle. I o tacie.

Pełnomocnik postukiwał nerwowo piórem marki Parker o marmurowy blat stolika, dając do zrozumienia, że jego czas jest zbyt cenny, aby marnować go na rodzinne pogawędki. W moim kierunku przesunął papiery, z którymi polecił mi się zapoznać i we własnym interesie podpisać. Poprosiłam, żeby był uprzejmy sam

przeczytać. Ręce mi tak drżały, że czym prędzej schowałam je pod stolik. Nareszcie! Nareszcie mój stan prawny zostanie uregulowany.

— Okej — powiedział pełnomocnik, aby następnie wyłuszczyć, co następuje: klient życzy sobie rozvodu bez orzekania o winie. Klient w taki sposób okazuje swoją wspaniałomyślność pozwanej. Klient podkreśla, że Katarzyna Malicka nie posiada żadnych praw do ewentualnych roszczeń majątkowych. Mieszkanie oraz zawarte w nim dobra w postaci dzieł sztuki, mebli et cetera, et cetera są jego własnością. Klient nie zamierza płacić alimentów na małoletniego Szymona Malickiego. Jeżeli pozwana takowych będzie się domagać, klient zażąda przeprowadzenia testu na ojcostwo, które wykaże, iż nie on jest biologicznym ojcem małoletniego syna pozwanej...

Twarz Szymka zbielała. Żałośnie zadrżała mu bródka. Dowiedział się prawdy o matce. Boże, za nic nie narażę Szymka na upokarzającą procedurę testu na ojcostwo. Na udowodnienie, że Przemek jest jego prawdziwym ojcem. To koniec. Straciłam Szymka. Tata, za którym tęsknił, nie był jego tatą, ponieważ matka puściła się z innym facetem. Oto dlaczego tata go odpychał, nie zaakceptował...

— Dawaj pan. Podpiszę. Wszystko podpiszę. Tylko niech mi pan oszczędzi dalszej opowieści o wspaniałomyślności swego klienta.

Podpisałam, nie patrząc na syna. Po co? Pełnomocnik wyjdzie, zdążę usłyszeć, jak bardzo mnie nienawidzi. Może nawet doda: „Nienawidzę cię, dziwko”? Skoro już raz nazwał mnie świnią...

— Jestem zobowiązany do przekazania pani następującej informacji. Jeżeli podczas nieobecności mego klienta sprzedała pani lub w jakikolwiek inny sposób pozbyła się rzeczy będących jego własnością, mój klient oskarży panią o kradzież oraz będzie domagać się materialnego zadośćuczynienia. Mój klient zawiadomi panią o ostatecznym terminie opuszczenia mieszkania, które od tej pory jest przez panią zajmowane nielegalnie. Mój klient pozwala pani zajmować lokal pod warunkiem dokonywania wszelkich obowiązkowych opłat oraz opłaty za wynajem w wysokości trzystu funtów miesięcznie, którą to kwotę zobowiązana jest pani wpłacić na konto mego klienta do dnia dziesiątego każdego miesiąca. Mój klient ostrzega, że jeżeli wymieniona kwota trzystu funtów będzie płacona nieregularnie, podejmie odpowiednie kroki prawne, mające na celu natychmiastową eksmisję pani wraz z małoletnim Szymonem Malickim. Proszę teraz podpisać oświadczenie, że wyraża pani zgodę na powyższe warunki.

Podpisałam dokument, nie czytając jego treści.

— Mogę panu zadać dwa pytania? — głos Szymka drżał z emocji. Lepiej, synku, daruj sobie. Przyznam się, żeby ci ulżyć. Powiem, że to wszystko prawda. Jeśli zapytasz, kto jest twoim ojcem, wruszę ramionami i udając obojętność,

odpowiem: „A skąd ja mogę pamiętać po tylu latach?”. Niech tak zostanie, synku. Twoja nienawiść do mnie nie sprawi ci bólu. A ja? Cóż ja? Mnie jakby już nie było. Wszystko mi odebrano. Nawet dobre imię. — Jeżeli pan Przemysław Malicki nie jest moim biologicznym tatą, dlaczego noszę jego nazwisko? Dlaczego dopiero teraz żąda testów? Czemu nie zrobił ich zaraz po moim urodzeniu? Dlaczego mnie przez tyle lat tolerował?

— Chłopcze, zadałeś mi aż cztery pytania. Na żadne z nich nie odpowiem. Moim zadaniem było przekazanie postanowień mego klienta. Pani natomiast oficjalne orzeczenie o rozwodzie otrzyma w ciągu dwóch tygodni. Może nawet wcześniej. Zegnam. Sam trafię do wyjścia.

— Świnia — w głosie Szymka wzbierał płacz i złość. Trudno, synku. Przykro mi. Lłzyj sobie. Wymyślaj mi, ile zdołasz. Nie będę się bronić. Nawet się nie rozpłacę. Chyba i łzy mi wyschły. Nazywaj mnie świnia, jeśli chcesz. Co po świni? Dziwka? Pospiesz się, synku. Bardzo proszę, pospiesz się z obrzucaniem mnie błotem. Nic mnie nie boli. Nic. A taka jestem zmęczona.

— Świnia! Wujek mówił, że mój tata nie był dobrym człowiekiem. Że cię strasznie skrzywdził! Świnia! Mamełku! Czemu podpisałaś? A niechby przeprowadzał te swoje testy! Mamełku? Mamełku?

Powoli zapadłam się w ciemność.

## Rozdział trzydziesty

W szpitalu spędziłam cztery dni. Poza krańcowym wycieńczeniem, jak orzekło konsylium lekarskie, nic mi nie dolegało. Podłączono mnie do przeróżnych wzmacniających kroplówek. Elka po szkole wpadała z rozwianym blond włosom, targając siaty z zamorskimi owocami. Na widok winogron, które kazała mi pożerać kilogramami, miałam odruch wymiotny. Znienawidziłam ponadto kiwi, mandarynki, pomarańcze, grejpfruty i ananasy. Błagałam Elkę o zmiłowanie, jędza, wystarała się o stałą przepustkę i siedziała dotąd, dopóki jej pielęgniarza albo lekarz nie wyprosilili. Szymek niczego nie przynosił. Wślizgiwał się po porannym obchodzie lekarskim, bledziutki taki i taki znowu mój, taki znowu obolały, poczuwający się do swojej niezawinionej winy, gotowy na swoją jedenastoletnią głowę wziąć grzechy i łajdactwa wszystkich, jakby je nagle pojął, rozumiał i przepraszał, że nie potrafił mnie przed nimi obronić. Jedenastoletni, dorosły nagle mężczyzna. Brał moją rękę w swoją łapkę, przytulał do swego policzka, milcząc, wpatrywał się we mnie proszącymi o wybaczenie wielkimi, ciemnobrązowymi po ojcu oczami. Odpędzany przez lekarzy zniknął, aby za chwilę pojawić się znowu. Powinnam była go również wygonić, opuszczał przecież szkołę," wiedziałam jednak, że dla Szymka najważniejsze jest teraz być ze mną i przy mnie jak najdłużej.

Przeważnie milczeliśmy. Raz zapytałam, kto się nim opiekuje.

— Wujek. Nie gniewasz się?

— W porządku.

Tak zresztą przypuszczałam. Wujek czuwał. Wujek uświadomił Szymkowi, że jego tata jest złym człowiekiem. Ze jego tata mnie strasznie skrzywdził. Jakby wujek znał Przemka od dawna. Jakby od lat śledził mego męża, a o naszym małżeństwie wiedział nieomal wszystko. Słuchając pełnomocnika adwokackiej spółki Smith & Son, byłam przekonana, że Przemek przekroczył granice wszelkiego możliwego łajdactwa. Myśląc o nim, zastanawiałam się, czy w ogóle istnieją jakiegokolwiek granice łajdactwa...

Przemek pozwolił mi wybierać. Albo zaakceptuję jego szantaż, albo będę musiała walczyć. Wiedział, że nie zgodzę się na testy. Zagrał na mojej dumie i uczuciu do syna. Draństwo ostateczne, lecz chociaż pozory wyboru zachowane. Jakim jednak mianem określić wujka? On pozamykał przede mną wszystkie furtki. Dzień po dniu odbierał mi syna. Omotał moich nielicznych bliskich. Jeśli przed nimi zacznę snuć swoje teorie spiskowe, popukają się w czoło, powiedzą: „Zwariowałaś, Kaśka. Walicki to najporządniejszy człowiek pod słońcem”.

Wraz z tuzinami recept oraz tuzinami rad od lekarza prowadzącego otrzymałam wypis ze szpitala. Był piątek. Mój syn nie pozwolił mi nieść nawet szczoteczki do zębów. Ostrożnie, mamełku, ostrożnie, powtarzał, prowadząc mnie szpitalnym korytarzem. Byłam przekonana, że przed szpitalem czeka polonez wujka, a on sam z bukietem kwiatów czyha przy wyjściu.

Nie czyhał. I to mnie przeraziło. Nie liczyłam na takt Walickiego, więc dlaczego nie czyha? Bo coś knuje? Co? Buźka Szymka promieniała radością. Czy dlatego tylko, że opuszczam szpital? Matko, popadam w paranoję.

— Mamełku, słabo ci? — wystraszył się Szymek.

Ale już maluchem podjechała pod szpital Elka. Odwożąc nas do domu, cały czas nadawała. Ze się wszyscy cieszą z mego powrotu, że teraz wszyscy mną się zajmą, wszyscy mnie przypilnują. Szymek jej potakiwał, a ja, słysząc wciąż powtarzający się zaimek wszyscy, natychmiast w każdym widziałam Walickiego.

— Zejdz ze mnie, Elunia — powiedziałam. — Czuję się świetnie, mam leki, jestem dużą dziewczynką i bynajmniej nie życzę sobie, aby się mną wszyscy zajmowali. Lepiej powiedz, co u Kunegundy Wspaniałej?

— Kunegunda niczym rozdartą sosna. Dzwoniła, błagając, żebym cię namówiła do powrotu — zachichotała Elka. — Jest gotowa podnieść ci pensję, zarzucać premiami...

— Co jej powiedziałaś? — Kunegunda jako rozdartą sosną bardzo mi się spodobała.

— Ze trafiłaś szóstkę w totka.

— I uwierzyła?

— Jako ta sosna rażona piorunem, złamała się po korzenie. Zabiadoliła, że w ciągu jednego dnia straciła dwóch pracowników. Ciebie i Daniela... Kaśka, gorzej ci? Pobladłaś?

— Lepiej patrz przed siebie, zamiast na mnie. Przejechałaś czerwone światła.

— Bo zbladłaś.

— Sama zbladłaś, piratko drogowa. O mało nie spowodowałaś czołowego zderzenia z nissanem. Skup się na prowadzeniu swojej puszki.

Elka nieodmiennie obrażała się w imieniu swego malucha. Więc obraziła się i teraz. Zamilkła. No i dobrze. Boże, wcale nie dobrze! Fatalnie po prostu. Daniel, powiedziała Elka. Podobnie jak babcia Pola zdążyła przejść z Walickim na ty? Obskoczył i babcię, i moją przyjaciółkę? Szybki jest. Zwolnił się w tym samym dniu co ja! No, wiedział, że się zwolnię, ponieważ był świadkiem mojej obietnicy wymuszonej przez babcię Połę. Ale dlaczego on się zwolnił? Zabrano mnie do szpitala przed południem. Szymek zadzwonił na pogotowie?

Czy najpierw do wujka? Tak czy siak, Walicki dowiedział się o skutkach wizyty pełnomocnika mego męża. I natychmiast się zwolnił... Wolałam nie dociekać przyczyn. Za kilka godzin, otoczona zapachem Ferrari Extreme, znajdę się w polonezie Walickiego. Dwa dni z Walickim w Korablewie. To przerastało moje możliwości. Dwa dni? Co ja gadam? Przecież on się zwolnił! Odtąd codziennie z Walickim! I nie ma gdzie się przed nim schować. Ani oświadczyć mu prosto w twarz, co o nim myślę! Bo mój syn kocha wujka. Bo mój syn, gdyby nie wujek, uwierzyłby, że spłodziłam go nie z tatą. Bo w ogóle wszystko zawdzięczam wujkowi. Tę kawę również. To Walicki jest owym głupkowskim kupcem przepłacającym dziesięciokrotnie wartość babcinej łączki. Prostuduszną babcia uwierzyła, że chodzi o moje zdrowie, dobro i tak dalej. Kasę przyjął. Musiałam. Inaczej zniszczyłabym radość babci, a ta jej radość jest bezcenna. To radość serca oddanego mnie i Szymkowi, obolałego, podeptanego przez rodzzonego spa. Jak mogłabym powiedzieć temu sercu, że ktoś je podle oszukał? Że temu draniowi bynajmniej nie zależy na moim zdrowiu, nie obchodzą go niezagojone wżery na dłoniach, że ta forsa to kolejna pułapka, jaką na mnie zastawił i w jaką wpadłam. Wpadłam? Na pewno? I nagle pojawiła się przede mną maleńka furteczka. Trudno. Wolę poniżyć się przed Igorem, niż być dokładnie ubezwłasnowolniona przez Walickiego. Będę wydzwaniać do Igora. Nie odbierze telefonu? Okej, pojedę do Warszawy. Jeżeli nie zechcą mnie wpuścić do Wybitnego Człowieka, położę się plackiem przed wejściem głównym telewizji i ogłoszę strajk głodowy. Tak czy siak Igora dopadnę. Pomógł pani Marii. Teraz niech pomoże mnie. Muszę mieć pracę. Boże, niekoniecznie jako dziennikarka! Matko, władam biegle angielskim i francuskim! Mogę tłumaczyć filmy, robić przekłady książek! Niech mnie gdzieś wetknie! Co to dla niego? Jak określiła Elka, mniej niż pestka! Zażąda łóżkowej wdzięczności? Trudno. Poświęcę się ten jeden raz. Nawet będę wydawać okrzyki rozkoszy. Szeptać mu do ucha, że jest najwspanialszym kochankiem, że tylko on, nikt inny nie sprawił mi takiej rozkoszy... Załatwi mi pracę. Zacznę zarabiać pieniądze. Jestem pracowita jak mróweczka i ambitna, więc szybko okaże się, że jestem the best. A potem, wujku, w twojej obecności oddam te pieniądze babci. I poproszę, żeby od tajemniczego kupca odkupiła naszą łączkę. Bo to jest nasza łączka. Naszej rodziny. Twoja babciu, Szymka i moja...

— Do kogo tak szczerzysz zęby? — zapytała Elka, zatrzymując malucha na parkingu przed moim blokiem. — Wsiadka. Szymek bierz siaty. Pilnuj, żeby matka zabrała z sobą owocowe witaminy do Korablewa. Codziennie ma zjeść kilogram winogron, dwie pomarańcze, trzy grejpfruty, kilka kiwi i przegryzać to wszystko mandarynkami. Aha, Szymek. Dla was też kupiłam, dlatego to takie

ciężkie! I jeszcze jedno: nie wypuszczaj matki do lasu! Ma odpoczywać, a nie czołgać się w poszukiwaniu podgrzybków! A tu są cztery kurczaki! Dasz babci Poli, niech nagotuje na nich dla matki pożywnego rosółku, mięsko obsmaży i starczy dla wszystkich! To wstyd tak tydzień w tydzień objadać starą kobietę! Aha, Szymek i ubierzcie się ciepło, zapowiadają ochłodzenie! Matko, Kaśka, ale napędziłaś nam wszystkim strachu! Ten twój Daniel o mało nie dostał zawału! Wreszcie spotkałaś odpowiedniego faceta... O matko, Kaśka, już odjeżdżam! W poniedziałek wpadnę po południu, to się nagadamy.

Zostawiła nas na parkingu wTaz z pięcioma torbami. Mój Daniel; wreszcie spotkałaś odpowiedniego faceta. Żebyś ty, kochana, zwariowana przyjaciółko, wiedziała o tym moim Danielu to, co ja wiem lub lepiej: czego nie wiem, a powinnam się dowiedzieć... I jeszcze ten powrót do mieszkania, w którym nie ma nic mojego. Do nagle przeraźliwie cudzego, obcego mieszkania...

— Mamełku?

— Co, synku?

— Ciocia jest bardzo, bardzo dobra. A ja byłem w stostraku do niej taki podły... I nie tylko w stosunku do niej...

— To nie twoja wina, synku.

— Wujek też mi tak mówił...

— Wujek jest mądry... — powiedziałam, zaś rnoje aćrce zaprotestowało gwałtownym kołataniem.

— Chciałbym, żebyś go choć trochę polubiła...

— Postaram się — z trudem się uśmiechnęłam, myśląc, że w tym przeraźliwe obcym mieszkaniu czyha na mnie dobry, mądry wujek, który nakrył do stołu i udekorował go kwiatami, natomiast w kuchni podgrzewa w piekarniku pieczoną kaczkę z jabłkami, przepytawszy wcześniej Szymka o moje ulubione danie.

— No to chodźmy, mamełku. Powolutku, ostrożnie, nie wolno ci się przemęczać.

W cudzym mieszkaniu, w którym łaskawie pozwolono mi przebywać po opłaceniu czynszu i trzystu funtów za wynajem, nie zastałam jednak wujka. Jedyne dyskretne zapach Ferrari Extreme oraz idealnie wysprzątane pokoje świadczyły o jego obecności. Stół, zgodnie z moim przypuszczeniem, był nakryty do obiadu! Bezczelny, przygotował trzy nakrycia! Na dwóch, żeby to szlag, złożone na krzyż sztucce. A pośrodku stołu cudaczna dekoracja w postaci kuchennego garnka, z którego wystawała gromniczna świeca, wokół garnka zaś mnóstwo połamanych, nadpalonych, rozrzuconych w nieładzie zapalek... Jakby ktoś, komu drżą ręce, na próżno usiłował zapalić tę świecę... Boże, co jest? Ja



gdzieś widziałam taki stół z trzema nakryciami, z garnkiem, gromnicą i tymi zapalkami...

— Mamełku, twoja ulubiona kaczka z jabłkami — oznajmił radośnie Szymek, wnosząc półmisek z pieczenia obłożoną opiekanymi kartofelkami.

Żeby go szlag, tego twojego wujka! Wynajął brygadę do sprzątania, zamówił w jakiejś knajpie kaczkę, czemu jednak ma służyć ta aranżacja stołu? Garnek z gromnicą, te dziesiątki połamanych, rozrzuconych zapalek.. Zaraz, przecież ten nieład jest pozorny! Zapalki układają się w ramiona obejmujące garnek... Boże, ja naprawdę gdzieś to wszystko widziałam...

— Mamełku, wujek zakazał mi mówić, ale powiem: to on posprzątał i tę kaczkę też sam przygotował...

— Więc wszystko sam, powiadasz? Ten garnek też sam?

— No... Wujek chciał ci sprawić przyjemność. Spojrzałam na ramiona obejmujące garnek z niezapaloną gromnicą. Na dwa białe, płaskie talerze ze sztućcami ułożonymi na krzyż. Gdzie ja to widziałam? Co zamierzał tą dekoracją przekazać mi Walicki? Nie wiedziałam. Lecz na pewno nie sprawił mi nią przyjemności. Wręcz przeciwnie. Wstrząsnął mną. Była jak memento mori. Komu z nas dobry wujaszek groził? Szymkowi? Mnie?

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Walicki zjawił się o szesnastej z punktualnością zegarynki. Mnie uklonił się tak chłodno, że z radosną ulgą nie podałam mu ręki. Szymka natomiast wyciskał niczym stęskniony, powracający z długiej podróży ojciec. Byłam przekonana, iż ten pokaz czułości dobry wujaszek urządził specjalnie dla mnie. Zniósł cztery torby Elki i spakowany przez Szymka toból z moimi ciepłymi ubraniami, których ilość wskazywała na to, że wybieram się zdobywać biegun północny. Ostentacyjnie zajęłam miejsce z tyłu. Milczałam. Szymek poczuł się w obowiązku w moim imieniu podziękować za przepyszną kaczkę, no i w ogóle za wszystko. Nadal milczałam. Prędzej pypciami pokryje się mój język, nim draniowi za cokolwiek podziękuję. I, wujku, mamełkowi bardzo się podobało to, co ustawiłeś na środku stołu, trajkotał Szymek.

— Czyżby? — Już nie chłodem, raczej polarnym mrozem zabrzmiał głos Walickiego. Mój biedny syn zmieszał się, rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie. Trudno. Radź sobie sam. Następnym razem nie kłam.

— Ojej, wujku, naprawdę! Chociaż ja nie bardzo zrozumiałem, po co ustawiłeś garnek, gromnice i porozrzuciłeś te zapalki...

— Ważne, że twoja mama zrozumiała — brzmiała lodowata odpowiedź.

— A kto panu powiedział, że zrozumiałam sens tej idiotycznej instalacji? Nie szkoda było marnować tylu pudełek zapalek? — zapytałam zjadliwie.

— Widocznie przeceniłem pani kwalifikacje historyka sztuki.

— Widocznie.

W jaki sposób wujcio dokopał się do informacji, że z wykształcenia jestem historykiem sztuki? Podczas mego pobytu w szpitalu dokonał rewizji w mieszkaniu? Grzebał w moich szufladach? W dokumentach? W korespondencji? Naruszając strefę mojej prywatności? Poczulałam się tak, jakby mnie zgwałcił. Brudna, poniżona, naga. Jednak skoro on tak, to ja również odpłacę mu pięknym za nadobne. Gdy tylko Igor załatwi mi pracę, stanę się agentką do zadań specjalnych, której celem będzie wyśledzenie przeszłości Walickiego. Wytropię go. Dowiem się, gdzie mieszka. Dorobię wytrych, przejrzę każdy kąt w jego mieszkaniu. Pożyczę od Elki malucha, gdzie polonez wujcia, tam za polonezem niepozorny maluszek... Wujcio wyobraża sobie, że trafił na idiotkę? Żeby go szlag! Gdzie ja widziałam dokładnie tak zaaranżowany stół?

Z gromnicą w garnku, której drżące po stracie kogoś bliskiego dłonie nie potrafiły zapalić i rozpadły się jak truchło, w ostatnim odruchu usiłując objąć gliniany garnek... Garnek? Nie, to urna z prochami... Stół — symbol rodziny. Nakryty do kolacji? Obiadu? Krzesła, na których usiądzie za chwilę szczęśliwa

rodzina. Ona, on i ich dziecko. Trzy nakrycia. Na dwóch skrzyżowane sztuce... Z nich nikt nie skorzysta. To tych dwoje, co odeszli. Kto odszedł? Matka? Ojciec? Dziecko? Jezu, kto? Matka i dziecko. Ojciec już nigdy z nimi nie zasiądzie przy rodzinnym stole. Chce zapalić im gromnicę, lecz sam zamienia się w truchło. Jezu, gdzie ja to widziałam? Gdzie? Ważne, że twoja mama zrozumiała... Nie, Walicki nam nie groził, teraz to pojęłam. On zamierzał w taki sposób przekazać mi ważną informację o sobie. Żeby mnie szlag! Musiałam tak obrzydliwie go wykpić? Jak to teraz odszczekać? Nie da się. Babo, durna babo, jeszcze chwila, a rozplączesz się nad biednym wujaszkiem! To twój wróg. Nie cierpisz go. Pamiętaj o tym. A ten stół to kolejna z jego sztuczek... Obliczona na rozbudzenie w tobie zainteresowania jego osobą. Żebyś go tak nieustannie nie olewała. Żebyś zrozumiała... Co, do cholery, miałam zrozumieć? Dokładnie niczego nie kapuję! Ważne, że twoja mama zrozumiała. Palant! Pozer! Dupek! Oszust! Drań! Łajdak!

Dojeżdżając do Korablewa, Walicki zaproponował zatajenie przed babcią Połą faktu mego pobytu w szpitalu, ponieważ nie chciał jej niepokoić. Szymek wykrzyknął natychmiast, że ty, wujku, jesteś taki dobry, o wszystkim pomyślisz, o wszystkich się zatroszczysz; i zachwycił się dobrocią Walickiego aż do wjazdu na podwórko, podczas gdy mną trzęsła cholera. Przeklęty wujcio pomyślał nawet o babci, a ja nie! Żeby mnie szlag! Pełna poczucia winy rzuciłam się z uściskami powitalnymi, zapewniając, że czuję się doskonale, że teraz od wtorku się byczę, odsypiam zaległości i w ogóle, dziękuję ci, babciu, sama widzisz, babciu, jak świetnie już wyglądam!

— Nie zagaduj. Wyglądasz okropnie! Córcia, natychmiast masz się położyć! Ledwo trzymasz się na nogach. Matko święta, Daniel, Kasię trzeba do lekarza albo do szpitala! Iak do szpitala. Koniecznie do szpitala! Niech ją dokładnie przebadają! Toż ona coraz chudsza! Oczy zapadłe, skóra aż przezroczyta...

Babcia na zmianę z Szymkiem karmili mnie co trzy godziny, tucząc jak indyka na święta. Walickiego widywałam wyłącznie podczas obiadów i kolacji. Był milczący, jakby nieobecny. Czasami przechwytywałam jego udręczone spojrzenie. Miałam je w nosie. Wyrzuciłam z pamięci zbędny balast: rozważania o tym, skąd znam tę, mającą mną wstrząsnąć, aranżację stołu. Postanowiłam odpoczywać, obmyślać strategię rozmowy z Igorem. Tak wiele od niej zależało. Właściwie — cała moja i Szymka przyszłość. Muszę zwrócić babci kasę, inaczej byłabym zwykłą świnią. Nie dane mi jednak było odpocząć.

W niedzielę wypoczywałam na leżaku... Ostatnie ciepłe dni jesieni. Szkoda. Nie cierpiałam zimy. Nie znosiłam coraz krótszych dni, wcześniej zapadającej ciemności.

— Mamełku! — podniecony Szymek wypadł nagle z kuchni. — Babcia mówi, że od poniedziałku naszą łączkę rozkopia, bo ten kupiec zamierza wybudować dom! Ale babcia mówi też, że to dobrze. Podobno ten pan ma uroczą żonę i synka w moim wieku, a ten synek oraz żona tego pana ubóstwiają jak my zbierać grzyby! Babcia mówi, że na pewno się z nimi zaprzyjaźnimy. Mówi, że się cieszy, bo zwykle przez pięć dni jest samiutka jak palec, a jak ten pan się wprowadzi z rodziną, to już nie będzie samiutka jak palec!

Mimo przygrzewającego słońca ogarnął mnie przenikliwy chłód. Powiedziałam Szymkowi, że to rzeczywiście wspaniała perspektywa. Wszystko wydaje się cudowne. Coraz bardziej cudowne. A najcudowniej byłoby, żeby z wujkiem poszedł na ryby. Przydałaby się świeżutka, pachnąca czystą wodą Krasówki płotka, okonek jakiś szczupaczek...

Musiałam z babcią Polą rozmówić się bez świadków. Co to znowu za heca z panem, uroczą żoną, ich synem, równolatkiem mego syna? Więc durnowatym kupcem nie był Walicki, ale jakiś inny, dziwnym zrządzeniem losu pałający chęcią nabycia babcinej łączki, przepłacający łaskawca? Gdzie się taki idiota znalazł? Akurat teraz? Kiedy padałam na twarz z przepracowania, wyczerpania, a przede wszystkim z powodu zżerających mnie jak piranie nerwów, obaw, wszelakich lęków przed wujaszkiem?

Po piętnastu minutach wujaszek z Szymkiem maszerowali z wędkami nad Krasówkę.

Natychmiast wparowałam do kuchni. Wydarłam babci Poli z rak ściereczkę do wycierania naczyń. Zastanawiające: babcia nie zaprotestowała. Usiadła posłusznie, zmieszana, zakłopotana i uśmiechająca się przepraszająco.

— Babciu Polu, mów prawdę. Nie oszukuj. Kim jest ów tajemniczy kupiec?

— No... taki jeden pan... — bąknęła babcia Pola, wzdychając. — Oj, Kasia, nie dręcz mnie, starej... Czy to ważne, kim jest? Sama wiesz, że ci miastowi szukają na gwałt ładnych miejsc... Budują się...

— Tak na gwałt, że w ciągu kilku dni załatwił notariusza i już zamierza się budować? Potem zamieszkać? Z uroczą żoną i uroczym synkiem? Nawet zdążył ci przedstawić rodzinę? Masz mnie za kompletną idiotkę, babciu? Przez skórę czuję, że ta sprzedaż i ten tajemniczy pan mają związek ze mną.

— Córcia, to porządny, uczciwy człowiek. Uwierz mi. Proszę.

— Znam go?

— Córcia, proszę...

— Znam?

— I tak, i nie — odpowiedziała babcia Pola z męką w głosie.

— Babciu, ty nie potrafisz kłamać.

— Więc nie zmuszaj mnie do kłamstwa! — zawołała i ukryła twarz w dłoniach. Płakała.

— Boże, babciu, nie chciałam ci zadać bólu. Ale zrozum i mnie...

— Rozumiem, Kasia. Doskonale rozumiem — szept babci spłynął poprzez starcze, brązowe, pokryte wypukłymi żyłkami dłonie wciąż zasłaniające twarz. — To człowiek, jak ty, nieszczęśliwy. Nie ma złych zamiarów. Trochę cierpliwości, a sam ci wszystko powie. Ja więcej nie mogę.

— Babciu, przerażasz mnie. Mówisz o Walickim? Odsłoniła mokrą od łez twarz.

— Nie, Kasiu. — spojrzała mi prosto w oczy. — Nie o Walickim.

— Jezu, więc o kim?

— Dowiesz się w odpowiednim czasie. Oj, córcia, przestań węszyć, podejrzewać... Czy ja potrafiłabym wyrządzić tobie lub Szymusiowi krzywdę? Mnie przecież wierzysz. Toteż uwierz: nikt nic przeciwko tobie nie knuje. Gdyby ktoś stanął przeciwko wam, wydrapałabym mu osobiście oczy! Teraz najważniejsze jest, żebyś poddała się badaniom. Wyzdrowiała. Doszła do siebie. Bo kto mnie, starą, pochowa, kiedy przyjdzie mój czas? Nikogo poza wami nie mam.

I popłakałyśmy się obie.

Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę wypytywała babci Poli o tajemniczego nabywcę łączki, na której zamierza wybudować dom dla uroczej żony i jedenastoletniego synka. Niech buduje. Może i rzeczywiście dobrze, że buduje? Szkoda, że to nie my, ja z Szymkiem, zamieszkamy w tym domu z widokiem na Krasówkę. W każdym razie uspokołam się: pięćdziesięciu tysięcy nie zawdzięczam łaskowości Walickiego. Ale kasę i tak babci oddam. Matko, to kawał grosza! Igor wystara mi się o dobrze płatną pracę, co pozwoliłoby mi zaciągnąć kredyt. Można by i dom babci wyremontować i dobudować piętérko, i zamieszkalibyśmy razem: ja, mój syn i babcia Pola. Szymek do szkoły miałby całkiem blisko... Zaledwie trzy kilometry do dziesięcioletniego Daniszyna, w którym są podstawówka, gimnazjum, liceum...

Tak realne, tak bliskie wydało mi się spełnienie marzenia, bo czemu nie? Tylko na przeszkodzie wciąż stała ta moja praca, ta praca, której nie mam; lecz Igor nie jest łajdakiem, pomoże mi, na pewno pomoże! Dałam się zasugerować Elce, że Igor przez piętnaście lat knuł wredną zemstę i piętnaście lat czekał, aby ją spełnić. Naprawdę, Elka jest durna, ale ja jeszcze durniejsza! Igor nie oddzwaniał, bo pewnie gdzieś w terenie kręcił kolejny program, a może jeszcze nie był gotowy na spotkanie ze mną... Mniejsza z tym! Cofam wszystkie inwektywy, jakimi Igora obrzuciłam. Wiem, że Igor nie zostawi mnie bez pomocy, zostaniemy

przyjaciółmi, a może nawet... Może go pokocham? Nie przeszkadza mi zupełnie, że jest otyły... On na pewno choruje na bulimię.

I przez całą drogę powrotną marzyłam o tym naszym wspólnym domu z babcią: trzy pokoje dla nas na pięterku, łazienka, wreszcie we własnych ścianach, bo te obce, Przemkowe, stały się nienawistne, zaś nie znając granic podłości, do jakich jeszcze zdolny posunąć się mój drugi eksmaż, nie mogłam mieć pewności, czy na przykład za dwa tygodnie, za miesiąc, za półtora nie otrzymam pisma nakazującego opuścić lokum w ciągu dwóch godzin.

Jeśli pokocham Igora?

Chyba zdumiałam do reszty.

Jednak tak bardzo chciałabym kogoś pokochać. I być kochaną. Dlaczego tą osobą nie mógł być właśnie Igor?

Boże, a jeśli to Igor jest tajemniczym nabywcą babcinej łączki? Szalona myśl, lecz Igor mówił, że nigdy nie przestał mnie kochać... Czy to nie szaleństwo kochać przez tyle lat jedną kobietę? Nieważne, z iloma sypiał. Nieważne, ponieważ kochał wyłącznie mnie. Przez piętnaście lat nie słyszał mojego głosu, a gdy zadzwoniłam, poznał natychmiast, że to ja... Urocza żona, jedenastoletni syn. To Igor. Boże, tak! Tak! Igor! Nikt inny. Babcia powiedziała, że ten ktoś jest jak ja nieszczęśliwym człowiekiem. Zgadzało się, Igora trudno nazwać szczęśliwym człowiekiem... Babcia powiedziała, że znam, a jednocześnie go nie znam... Wszystko się zgadzało się.

To Igor. Igor buduje dom dla swojej przyszłej, uroczej żony i jej jedenastoletniego syna. Dla nas.

Czyste szaleństwo. Wspaniałe szaleństwo. Niech się spełni. Igorze, jesteś jedynym mężczyzną na świecie, którego byłabym w stanie pokochać...

I nagle wszystko, co złe, oddaliło się. Ogarnął mnie spokój. Poczułam się jak rozbitek który ze swojej maleńkiej, rozpadającej się tratwy dostrzega brzeg stałego, pewnego lądu. I wie, że do niego dopłyne.

Walicki stał się mi obojętny. Już mi nie zagrażał. Oczywiście, ze względu na Szymka pozwolimy mu z Igorem nadal się z nim kontaktować. Niech już sobie zostanie kochanym wujkiem dotąd, dopóki nasz syn będzie wujka potrzebował.

Postanowiłam nie dzwonić do Igora. Wiedziałam dokładnie, kiedy się do mnie odezwie. Po czwartkowej emisji programu o pani Marii.

Elka wpadła do mnie zaraz po weekendzie. Przyniosła torbę owocowych witamin. Spodziewała się zastać słaniającą się, wyblakłą przyjaciółkę, a zastała promieniejącą szczęściem kobietę.

— Kaśka! To ty? — zdumiała się. — Dwa dni temu byłaś nieomal w stanie terminalnym... Dostrzegam tylko jedną przyczynę twojej metamorfozy.

Zakochałaś się nareszcie w Danielu! Ej, twój grymas ma świadczyć, że nie w Danielu? Jak nie w nim, to w kim? Innego faceta przy tobie nie widzę! Ej, Kaśka, coś kręcisz!

— Jeszcze się nie zakochałam — oświadczyłam dyplomatycznie — ale dobrze kombinujesz, Elunia. Kombinuj dalej.

— Okropnie jesteś tajemnicza — zdenerwowała się moja przyjaciółka. — Co to znaczy: jeszcze nie? Ściemniasz i tyle! Znam twoją głupią gębę i tak kretyńsko promieniowała dwa razy w życiu: kiedy zakochałaś się w Igorze, a potem w Przemku!

— Elunia, przysięgam, że nie wiem. Wiem, że chcę kogoś pokochać.

— Kogo? — zapytała rzeczowo Elka. — Znam go?

— I tak, i nie.

— Kaśka! Albo się kogoś zna, albo się nie zna. Jaki ty mi tu kit wciskasz?

— Nie wciskam kitu. Obiecuję, że dowiesz się pierwsza, kiedy już naprawdę sama będę wiedziała, czy to on...

— Lepiej powiedz od razu. Dwa razy popełniłaś cholerny błąd, zakochując się w nieodpowiednim facecie. Przestrzegałam cię przed Igorem. Przestrzegałam przed Przemkiem. Znowu wybierzesz dla siebie jakiegoś drania. Ty ich po prostu przyciągasz jak magnes. Powiem ci, mimo że twego tajemniczego obiektu westchnień nie znam. On mi się nie podoba. Właśnie dlatego, że jest tajemniczy. Jakbyś się bała przyznać kto to. I w ogóle skąd go wytrzasnęłaś? Spadł ci z nieba? To któryś z twoich dawnych znajomych dziennikarzy?

Splawiłam Elkę po dwóch godzinach podchwytliwych pytań. Wyszła z przekonaniem, że jednak zakochałam się w Walickim.

Szymek cieszył się, że jego mamelekma wilczy apetyt i coraz piękniej wygląda.

Walicki zadzwonił z pytaniem, czy aby na pewno nie potrzebuję pomocy lekarskiej. Podziękowałam uprzejmie za troskliwość.

Od poniedziałku do czwartku żyłam jak we śnie. Urządzałam nowy dom nad Krasówką, w którym koniecznie musi zamieszkać babcia Pola. Pokoje gościnne dla Krysi z dziećmi i Miśki z aktualnym narzeczonym. Krysia wraz z dziećmi nigdy nie wyjeżdżała poza Łódź. Ale jej dzieciaki będą miały uciechę, chlapiąc się w Krasówce i biegając po lasach!

W wyobraźni zagospodarowałam również stary dom babci Poli. Postanowiłam, że podarujemy go pani Marii. Pani Maria jest już w tym wieku, że nie może zasuwać z mopem po szkole. Jej wnukom na pewno przyda się czyste, nieskażone wyziewami wielkiego miasta powietrze.

Jak w bajce. Z zakończeniem: i odtąd wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Czemu by nie...

W czwartek włączyłam telewizor godzinę przed programem Igora. Nie, serce mi nie waliło, dłonie nie drżały. Serce nareszcie uspokojone, a dłonie pewne.

Czekałam, popijając sok pomarańczowy.

Nawet jeśli nie pokocham Igora, dobrze mi będzie zestarzeć się przy kimś, kto mnie kocha.

Na ekranie pojawił się napis: NAPISZ DO MNIE, POMOGĘ CI. Teraz kolej na Igora.

Serce, uspokój się! Wycisz się, proszę! Zamiast Igora na ekranie pokazał się jakiś młody facet i zapowiedział program. Z piętnastominutowego dokumentu interwencyjnego w sprawie pani Marii nic nie zapamiętałam. Emisja się skończyła, ja zaś tkwiłam w bzdurnej nadziei, że zaraz, za sekundę ukaże się Igor, albo że wyjaśni, dlaczego ten facet prowadził program zamiast redaktora Niewiadomskiego.

Nadal pogrążona w bzdurnej nadziei, że usłyszę głos Igora, kilkanaście razy wystukiwałam numer redakcji, za każdym razem się myląc. Głos, jaki wreszcie zabrzmiał w słuchawce, był zupełnie obcy. Wyjaśniłam gorączkowo, że muszę natychmiast rozmawiać z redaktorem Niewiadomskim. Wyjechał, brzmiała obcesowa odpowiedź. Prawie krzyżąc, zapytałam, kiedy wróci? Nie wiadomo, odparł głos. I taki był koniec rozmowy.

Zadzwoiłam na komórkę Igora. Nie ma takiego numeru, poinformował mnie automat.

Zerwałam się z fotela. Natychmiast muszę jechać do Warszawy. To nic, że nie znam adresu! To nic, że zapadł już zimny, przedlistopadowy zmierzch! To nic, że zaraz Szymek wróci z basenu. Zostawię mu karteczkę... Zadzwoię do Waliekiego, niech się nim zaopiekuje pod moją nieobecność. Kiedy wrócę?

Nie wiem! Nie wiem! Wiem jedno — muszę odnaleźć Igora!

Właśnie pisałam ową karteczkę do syna, nie bardzo rozumiejąc, co piszę, gdy odezwał się domofon.

Igor! Tylko Igor! Dlatego nie prowadził programu! Dlatego w redakcji powiedziano, że wyjechał... Do mnie wyjechał, do mnie!

— Wchodź! — krzyknęłam. — Boże, Igor, tak się bałam! Tak się bałam, że coś z tobą...

Otworzyłam drzwi, nie czekając na dzwonek. Zbiegłam na półpiętro. Wpadłam na mężczyznę w granatowym uniformie. Wyminęłam go. To zrozumiałe, że Igor wchodzi wolno, przy jego nadwadze...

— Proszę pani! Pani Katarzyna Malicka?

Niech sobie woła. Nie miałam czasu. Biegłam przecież prosto w ramiona Igora.

— Przesyłka kurierska dla pani.



Wróciłam, przeskakując po dwa stopnie. Wydarłam z rąk kuriera kopertę. Boże mój, od Igora! Machnęłam podpis i już lądowałam w fotelu, przyciskając białą kopertę do piersi. Ucałowałam imię nadawcy.

„Droga moja Kasiu,

Tylko nie płacz. Pamiętasz, jak odwołałem Twoje uroczе zaproszenie na kolację przy świecach? Nawet jeśli nie musiałbym wyjechać z Łodzi, wybac mi, i tak bym nie przyszedł. Nie przyszedłbym, chociaż jeszcze wtedy tliła się we mnie iskierka nadziei, że to nie okaże się tym, czym się okazało. Miła moja. Tylko nie płacz. Nie przyszedłbym, ponieważ nie śmiałbym Ci spojrzeć w oczy. Nie przyszedłbym, ponieważ bałbym się, że zechcę z tej iskierki nadziei skorzystać, stanę się zbyt słaby i wypłaczę swój strach w Twoich ramionach. Wiem, że otworzyłabyś je dla mnie. Bo tych, którzy umierają, należy pocieszyć.

Pamiętasz nasze spotkanie w Zielonej? Moje pytanie, czy mogłabyś pokochać takiego nieatrakcyjnego grubasa jak ja? Miałaś rację, dzieliły nas lata świetlne. Lecz nie tylko, miła moja. Poprzedniego dnia zapadł wyrok Czerniak, mimo wcześniejszej chemioterapii, rozpełzł się we mnie. Pozostał mi zaledwie miesiąc życia. Może dwa. To zbyt krótki okres czasu, aby poznawać się na nowo. Tylko nie płacz. Teraz rozumiesz, dlaczego chciałem, żebyś mnie pocałowała? Pocałowałaś mnie. Nie zbrzydziły cię moje zimne wargi. Wiem, chciałaś je ogrzać ciepłem swoich ust. Uśmiejesz się. Liczyłem twoje pocałunki. Pocałowałaś mnie cztery razy. Otarłaś moje łzy. Powiedziałaś. "chyba mogłabym cię pokochać". Tylko nie płacz. Zabieram z sobą wspomnienie Twych dłoni na mojej twarzy. Smak twoich ust. Uczyniłaś mnie człowiekiem szczęśliwym, miła moja.

Nie zamierzam pokornie czekać na to, co nieuchronne. Z Tobą to łatwe. Bo byłaś ze mną zawsze i teraz jesteś. W tej mojej ostatniej chwili. Tylko nie płacz.

Spodziewaj się wezwania od mego adwokata. Wszystko, co posiadam, zapisałem Tobie.

Moja ostatnia prośba: nie przyjeżdżaj na pogrzeb. Zrobię z niego cyrk.

Tylko nie płacz."

## Rozdział trzydziesty drugi

Świat nagle wyciszył się. Oglądałam siebie, to, co mnie otaczało i to, co się wokół mnie działo, jakby w lustrzanym odbiciu. Wstawałam, brałam prysznic, ubierałam się, jadłam, sprzątałam, gotowałam obiad, odpowiadałam na zadawane mi pytania — ciągle z głębin tej ciszy. Mój syn, Elka, babcia Pola, Walicki, przechodnie na ulicy, ludzie w sklepach stali się postaciami obojętnymi, jednakowo obcymi, pochodzącymi z lustrzanego odbicia.

Nie oglądałam telewizji. Zanurzona w ciszę obojętnie wysłuchałam komunikatu Elki: Tak mi przykro, że on umarł. Ale mu wyprawili pogrzeb! Zresztą wiesz, na pewno oglądałaś w Wiadomościach. Łajdak, lecz go szkoda.

Mijał dzień za dniem. Jakież rozmowy z Elką, z których nie zapamiętałam ani słowa. Telefony od stęsknionych i przejętych śmiercią Igora koleżanek piętrowych. Wyjazdy do babci Poli. Nikt nie dostrzegł w mojej twarzy ani w zachowaniu żadnej zmiany. Nawet czasem się śmiałam. Z czego? Lub z kogo? Nie wiem. Po co mi zresztą wiedzieć? Tak mi dobrze. Wszystko doskonale, idealnie obojętne w coraz głębszej i głębszej ciszy.

Minął tydzień? Dwa tygodnie? Jakie to ma znaczenie? Dla mnie — przebywającej w oUjlinie ciszy — żadne. Adwokat Igora musiał mi trzykrotnie powtarzać, o co chodzi, kim jest, kogo reprezentuje. Z tego trzykrotnego powtarzania zrozumiałam jedynie tyle, że powinnam się stawić w kancelarii adwokackiej w Warszawie, przy ulicy Królewskiej czternaście, dnia dziesiątego listopada o godzinie jedenastej,

To już listopad?

Kartki na ściennym kalendarzu zatrzymały, czas na dwudziestym ósmym października.

Poprosiłam Szymka, żeby uaktualnił datę. Był dziewiąty listopada.

Zadzwoiłam do Walickiego, prosząc go o zajęcie się synem, ponieważ wyjeżdżam jutro w sprawach służbowych. Zgodził się bez protestów.

Warszawa. To chyba niedaleko od Łodzi? W Łodzi są dwa dworce kolejowe: Łódź Fabryczna i Łódź Kaliska. Z którego odjeżdżają pociągi do Warszawy? Nie wiedziałam. Albo nie pamiętałam. Czy to zresztą ważne? Z któregoś dojadę.

Trzeba zabrać w podróż jakieś pieniądze. Ile? Też nie wiedziałam. A, wszystko jedno ile. W roztargnieniu naładowałam portfel setkami z białej koperty.

Wstałam waz ze świtem. Szymek jeszcze spał. To dobrze. Wolałam uniknąć pytań dokąd i po co wyjeżdżam. Sama nie bardzo wiedziałam, po co. Po coś, co jest związane z Igorem. Tylko nie płacz.

Z całej rozmowy z adwokatem zapamiętałam jedynie adres i godzinę spotkania. Warszawa, ulica Królewska czternaście, godzina jedenasta.

Napisałam do Szymka karteczkę. Wysłałam w listopadowy mrok. Złapałam taksówkę. Kazałam zawieźć się na Fabryczny.

Nie bardzo pamiętam, jak znalazłam się na peronach. Na peronie drugim stał pociąg. Z tabliczką: WARSZAWA WSCHODNIA. Wschodnia? Niech będzie Wschodnia. Wszystko mi jedno.

W przedziale nikogo poza mną. Cisza była tak doskonała, że nie słyszałam nawet stukotu kół pociągu.

Jakiś facet w mundurze wszedł bez ceregieli i czegoś ode mnie żądał coraz bardziej podniesionym głosem. A, prawda. Zapomniałam kupić bilet. Wyjęłam wypchany setkami portfel. Niech sobie bierze na ten bilet. Warszawa Zachodnia, Centralna czy Wschodnia? — zapytał, wyciągając z torby bloczek. To tyle tych Warszaw? Zdenerwował się. Dokąd? Królewska czternaście, odpowiedziałam. Spojrzał na mnie, jakbym była jakimś dziwolągiem. Ktoś taki jak pani powinien jeździć z opiekunem, chyba tak powiedział. Wetknął mi portfel do torebki, zasunął przy niej zamek. Wsiądzie pani na Centralnym. Stamtąd krok do Królewskiej. Każdy pani powie. Proszę nie brać taksówki, oni tylko czyhają na takich pasażerów. Ma pani przy sobie mnóstwo pieniędzy. Niech je pani schowa pod płaszcz. Na Centralnym grasują złodzieje. Zrozumiała pani?

Nie bardzo. Mówił zbyt głośno. Naruszał moją bezpieczną ciszę. Tak, tak, potwierdziłam, co do słowa. Zajrzę do pani, chyba tak powiedział, nie wiem, ponieważ chciałam, aby wreszcie wyszedł.

Pociąg zatrzymywał się trzy razy na jakichś stacjach. Wypełnił się ludźmi. Mój przedział również. Trzy grube kobiety nieomal wcisnęły mnie w okno. Cuchnęły potem. Rozmawiały. Śmiały się. Zapominając o płaszczu, ściskając torbę, wysłałam na korytarz.

Mignęły mi oddalające się perony z napisem WARSZAWA ZACHODNIA.

To ta Warszawa, z której na Królewską kilka kroków? Trudno, wsiądę na następnym, wezmę taksówkę.

Na korytarz ze wszystkich przedziałów powychodzili ludzie. Pociąg hamował. Rozgadany tłum popychał mnie ku wyjściu.

WARSZAWA CENTRALNA.

Odniosłam wrażenie, że tu już kiedyś byłam.

Byłam, nie byłam? Czy to ważne?

Wjechałam ruchomymi schodami na górę. Płatałam się w labiryncie jaskrawo oświetlonych korytarzy. Nie wiem jak długo. Chyba jednak długo. Zresztą,

nieważne. Najwyżej się spóźnię. To ten adwokat Jakiśtam ma do mnie sprawę, nie ja do niego.

Szklane drzwi rozsuneły się, znalazłam się na ulicy. Wiał przenikliwy wiatr. Padał mokry śnieg. Przeszłam chyba wiele ulic. Co to za miasto, że nigdzie nie ma taksówek? Czy na pewno wysiadłam w Warszawie?

— Czego pani szuka? — zapytał ktoś. Uciekłam, ściskając torebkę.

Znalazłam się nagle znowu przed dworcem. WARSZAWA CENTRALNA. Rząd taksówek.

Taksówkarz spojrział na mnie, jakbym była jakimś dziwolągiem. Nie wożę świrów, powiedział. Pokazałam mu wypakowany setkami portfel. Chcę na Królewską czternaście. Nie jestem świrem.

Roześmiał się. Jego śmiech przebił się przez moją ciszę, w którą zaczęły się wlewać obce, wrogie dźwięki. Zatkaną uszy. Zamknęłam oczy. Trochę lepiej.

Jeździł i jeździł. A niech sobie jeździ. Byle nie gadał.

Nie gadał. W taksówce było ciepło. Nawet nie sądziłam, że tak przemarzłam i przemokłam od śniegu. Śnieg? Dwudziestego ósmego października? Tylko nie płacz.

Ach, prawda. Jest listopad. Siedzę w taksówce. Jadę na Królewską czternaście.

Taksówka zaparkowała przy krawężniku.

— Koniec trasy. Trzy stówki się należy.

Aż trzy? A niech tam. Wyjęłam zwitek banknotów. Pewno za dużo, lecz nie chciało mi się liczyć.

— O cholera! — powiedział. — Za taki szmal mogę na panią czekać choćby do wieczora.

Wszystko mi jedno. Poczeka, nie poczeka. Go za różnica?

Jedenastopiętrowy budynek przy Królewskiej czternaście zaplątał mnie w labirynt korytarzy. Z windy nie skorzystałam. Czy adwokat mówił, na którym piętrze mieści się jego kancelaria? Nie pamiętałam. Wędrowałam dziesiątkami długich korytarzy. Mijałam dziesiątki drzwi przeróżnych firm. Wszędzie panowała cisza, zaś leżące na posadzce chodniki tłumiły moje kroki oraz kroki nielicznych interesantów. Było ciepło. Moja przemoczona do bielizny sukienka wyschła. Właściwie to mogłabym tu zostać. Skulić się pod ścianą i zasnąć.

Straciłam rachubę pięt. Wszystkie korytarze i wszystkie drzwi były do siebie podobne. Zeszłam z powrotem na parter i rozpoczęłam od nowa szukanie kancelarii mecenasa lakiegośtam.

— Kogo pani szuka? — zapytała tutejsza pani woźna, pchająca tak doskonale mi znany zestaw do sprzątania. Nie patrzyła na mnie jak na dziwoląga. Patrzyła z ciekawością i współczuciem.

Powiedziałam, że kancelarii adwokackiej.

— To będą czwarte drzwi na lewo.

Rzeczywiście. Tabliczka głosiła, że to KANCELARIA ADWOKACKA. Pod nią, na drugiej, o wiele mniejszej, wymieniony szereg nazwisk. Żadne nie kojarzyło mi się z adwokatem Jakimśtam.

Za półokrągłym stołem, podobnym do sklepowej lady, obstawionym telefonami, siedziała młoda kobieta.

— Jałmużny nie udzielamy.

Mimowolnie poprawiłam włosy. Obciągnęłam sukienkę. Kierowca taksówki uznał mnie za świra, ta kobieta tutaj za żebraczkę. A niech im tam.

— Jestem umówiona na jedenastą z adwokatem.

— Z którym? — głos tej kobiety rozdzierał trzaskiem moją bezpieczną otulinę ciszy.

— Kazał mi przyjechać na jedenastą. Z Łodzi.

— Sprawdzę. Jak pani godność?

— Godność?

— Nazwisko, imię — podniosła głos kobieta. — Też pani nie rozumie? Co pani w ogóle rozumie?

— Królewska czternaście. Godzina jedenasta. Mecenas Jakiśtam. W sprawie spadku po redaktorze Niewiadomskim.

Bardzo wysoki mężczyzna pojawił się niemal natychmiast. Przedstawił się: Stefan Starczewski.

— Zapraszam do siebie, pani Katarzyno.

Poza biurkiem niczego więcej z jego gabinetu nie zapamiętałam. Może jeszcze tylko kubek gorącej kawy doprawionej koniakiem oraz smak zbyt słodkich ciasteczek

Popijałam kawę, gryzłam ciasteczka, a mecenas Stefan Starczewski odczytywał coś z jakichś papierów. Niczego nie rozumiałam. Poza tym, że Igor swoim spadkiem narobił mi kłopotów.

— Wiem, to dla pani w jej obecnym stanie bardzo trudne. Jeżeli udzieli mi pani pełnomocnictwa, załatwię czynności proceduralne, odprowadzę od spadku podatki.

— Bardzo proszę. Udzielam.

— W takim razie — podsunął mi pismo — niech pani potwierdzi swoim podpisem.

Podpisałam.

— Mogę wrócić do domu? Do swojej ciszy?

— Ciszy? — powtórzył jak echo adwokat. — Przykro mi. Muszę wypełnić ostatnią wolę pana Niewiadomskiego. Mam panią zawieźć do jego mieszkania. Zresztą, należącego już do pani.

— Dobrze. Byle szybko. Chcę do domu.

— Pani Katarzyno? Gdzie pani płaszcz?

— Nie wiem. Chyba został w pociągu.

— Przyszła pani piechotą z dworca?

— Przyjechałam taksówką. Ale zapłaciłam, mam pieniądze. Kierowca powiedział, że będzie na mnie czekał nawet do wieczora. Uczynny człowiek

— Rozumiem. Pani Katarzyno. Zanim zawiozę panią do mieszkania redaktora, trzeba kupić dla pani ciepły płaszcz. Temperatura spadła do minus ośmiu stopni. Pada gęsty śnieg.

— Pada? Niech pada.

— Pani Katarzyno, najpierw kupimy płaszcz. Jeżeli zabraknie pani pieniędzy, pożyczę. Następnie pojedziemy na Wilczą siedem. Dałem swemu klientowi słowo honoru, że zawiozę tam panią. Rozumie pani, co mówię?

Chyba rozumiałam. Zresztą wszystko jedno: rozumiałam, nie rozumiałam. Niech mu tam, temu adwokatowi. Byle szybciej do domu.

Wyszliśmy na ulicę. Zachłysnęłam się zimnem. Adwokat usadził mnie w swoim wozie zaparkowanym przy ulicy.

Taksówka jednak czekała. Porządny gość. Mógł przecież prysnąć.

Adwokat podszedł do taksówki. Trwała krótka wymiana zdań. Taksówkarz odjechał. Adwokat wrócił. Był wściekły.

— Dała mu pani dwa tysiące złotych, a za kurs z dworca należało mu się sześć pięćdziesiąt. Drań. Dobrze, że nie odjechał. Czekał, bo pewno sądził, że wyciągnie od pani więcej. Ale odzyskałem pani pieniądze!

Odzyskał, nie odzyskał, co za różnica. Byle szybciej do domu.

W sklepie kupiłam pierwszy lepszy płaszcz i rękawiczki. Byle szybciej do domu.

Na Wilczą nie jechaliśmy długo.

Mieszkanie Igora było na drugim piętrze. Adwokat otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka.

— Za pół godziny po panią przyjadę.

— Co mam tu robić?

— Pan Niewiadomski powiedział, że pani będzie wiedziała.

Moja cisza rozdzierała się w wielu miejscach. Przestała być bezpiecznym azylem. Pojawił się lęk. Usłyszałam szcęk klucza. Adwokat zamknął mnie w mieszkaniu Igora. Tylko nie płacz.

Korytarz z wbudowaną szafą. Otworzyłam ją. Puste wieszaki bez ubrań. Półki bez jednej koszuli.

W łazience ani jednego ręcznika. Usunięte wszystkie przybory toaletowe.

Kuchnia. Ładne kafelki. W wiszących szafkach brak talerzy, garnków, patelni, sztućców. Kosz na śmieci opróżniony. Lodówka pusta.

Sterylna czystość. Odszedł z pedantyczną skrupulatnością, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Jakby w ogóle nie istniał.

Pchnęłam kolejne drzwi. Niewielki pokój. Tapczan zasłany z przerażającą dokładnością. Z nocnej lampki wykręcona żarówka. Za to na ścianach dziesiątki zdjęć o różnych formatach, oprawionych w ramki.

To my. Ja i Igor. W kilka godzin po ślubie. Igor w sztruksowych spodniach i błękitnej koszuli. Ja w białej sukience. Objęci, szczęśliwi. Rozpoczynający wspólne życie, które miało przetrwać zaledwie kilka godzin. O czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy...

Weszłam do drugiego pokoju. Z regałów usunięte książki. Na biurku wyczyszczony z pamięci laptop. Stacjonarny telefon z wyrwanym kablem. Komórka bez baterii. Nasze zdjęcie.

Powiększone do rozmiarów obrazu na ścianie. I obok przytulone do niego dziesiątki małych, prawie miniaturowych zdjęć — niczym ofiarowane, pokutne wotum.

Tylko nie płacz.

Cisza pękła nagle niczym lustro na tysiące kłujących, ostrych odłamków.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Od rana, poza ciasteczkiem u adwokata, nic nie jadłam. W pociągu do Łodzi marzyła mi się jajecznica na bekonie, przynajmniej z czterech jajek. Do tego kubek rozgrzewającej, mocnej herbaty. Pociąg miał popsute ogrzewanie. Szyby były pokryte mrozem. Oddechy pasażerów zamieniały się w parujące białe obłoczki. Jediną ocieplającą warstwą kupionego płaszcza była podszewka. Marzłam. Pociąg w Koluszkach stał godzinę. Nie wiadomo dlaczego. W każdym razie stał. Przemarzłam do szpiku kości. Zamieniłam się prawie w lodowy posąg, czekając przed Fabrycznym na taksówkę.

Sztywnymi paluchami z trudem wystukałam kod przy domofonie. Z podobnym trudem otworzyłam drzwi mieszkania. Stałam, nie zapalając światła. Po tylu godzinach powolnego zamarzania otaczające mnie teraz ciepło wydało się cudem. I jeszcze ten zapach: zapach jajecznicy smażonej na bekonie. Drugi cud.

Z laichni usłyszałam głos Walickiego. A ten co tu jeszcze robi? Nie przesadza z opieka nad moim synem? Szymek dawno powinien spać; jest przed jedenasta.

Walicki mieszał jajecznicę na patelni, Szymek siedział za stołem, pogryzając chleb z masłem.

— Mamełek! — chleb wypadł Szymkowi z ręki. — Wyglądasz, jakbyś wracała z pogrzebu!

— Bo wracam z pogrzebu, synku.

Walicki wyłączył gaz pod patelnią. Ależ on nasmażył tych jajek! Dopisuje mu, jak widać, apetycik.

— Bardzo pani współczuję — odezwał się, wlepiając oczy w patelnię.

— Nie musi pan. — Nagle odechciało mi się jeść. Znowu zrobiło mi się bardzo zimno. — Dziękuję panu za opiekę nad Szymldem...

— Bardzo niepokoiłiśmy się o panią. Zapomniała pani komórki. Od śmierci swego pierwszego męża zachowywała się pani jak automat. Nie powinienem był pozwolić, żeby jechali pani sama do adwokata — mówił, nie odrywając wzroku od dymiącej jajecznicy. — Szymek! Przygotuj mamie gorącą kąpiel. Jest przemarznięta, aż sina na twarzy.

W ten prosty sposób spławił Szymka z kuchni. I słusznie. Nie wierzyłam ani jednemu słowu Walickiego. Odgrywał scenę nad zwyczajnej troski o mnie na użytek syna. Od śmierci pierwszego męża zachowywałam się jak automat. Proszę, jaki spostrzegawczy. Nikt nic nie zauważył w moim zachowaniu, nawet babcia Pola. Ale Walicki zauważył. Żeby go szlag. Żeby go szlag? Ja tak pomyślałam? Kiedy adwokat przyszedł po mnie, rzuciłam mu się na szyję. Płacz — powiedział.



— Cisza, jaka się pani otoczyła, pozbawiała panią wszelkich emocji. Człowiek bez emocji jest jak martwy. Więc płacz. I wracać do żywych.

Wróciłam. Czego dowodem było moje wściekłe „żeby go szlag!” pod adresem Walickiego.

— Panie Walicki. Informuję pana uprzejmie, że jestem pełnoletnia i nie potrzebuję niańki, to raz. A dwa, pan zbyt dużo o mnie wie. Skąd pan czerpie te wiadomości? Podpisał pan kontrakt z krasnoludkami? I one panu doniosły, że Igor był moim pierwszym mężem, a celem mojej podróży do Warszawy było spotkanie z adwokatem? Może również doniosły, w jakiej sprawie się z nim spotkałam?

— To proste — odezwał się bardziej do patelni niż do mnie. — O pierwszym mężu powiedziała mi sporo pani przyjaciółka. A po co miałyby pani jeździć do Warszawy, jeśli nie do adwokata, skoro redaktor Niewiadomski kazał pochować się w rodzinnym grobowcu, obok matki i ojca, w Radomsku? Był samotny. Kochał panią. Zapisał pani cały majątek. Stąd adwokat. Pełnomocnik i wykonawca testamentu.

— Patelnia, do której pan przemawia, nie mając odwagi spojrzeć mi prosto w oczy, pewno panu uwierzyła, lecz ja nie, panie Walicki.

— Szkoda w takim razie, że nie jest pani patelnia — odgryzł się gniewnym pomrukiem.

— Ja nie żałuję — zapominając o Szymku, podniosłam głos — ponieważ nie dam się panu nabrać, panie Walicki. Czy jak tam panu naprawdę: Kowalski, Nowak, Józwiak? Jedno pytanie. Dlaczego pan się nami zainteresował? Mną, moim synem? Dlaczego pan ingeruje w nasze życie?

— Zadała pani zbyt dużo pytań. Na żadne nie odpowiem. Nie teraz — odwrócił się od kuchenki gazowej. Oczy miał obojętne.

— A kiedy, jeśli wolno spytać? — Wkurzył mnie maksymalnie swoją obojętnością. Najchętniej zwałabym mu na łeb zawartość patelni.

— Nie wiem. Może kiedyś. Może nigdy. To zależy wyłącznie od pani.

— Ode mnie?

— Dokładnie — wyminął mnie i wyszedł z kuchni. Za moment stuknęły za wychodzącym Walickim drzwi.

— Mamełku! Kapiel gotowa! A gdzie wujek?

— Poszedł sobie.

— Poszedł? I nie pożegnał się? Obraził się? Nawet jajeczniczy nie zjadł. Tak się martwił o ciebie, że cały dzień nic nie jadłaś... — buźka mego syna wydłużyła się żałością.

— Cały dzień? Nie poszedłeś do szkoły?

— Mamełku. Chciałem, ale napisałaś taka dziwna kartkę. Od razu zadzwoniłem do wujka... Przestraszyłem się, że coś złego sobie zrobisz...

— Gdzie ta kartka?

— Tutaj...

Szymek. Jadę. Nie martw się. Wrócę.

Nic dziwnego, że się wystraszył. Przyciągnęłam syna do siebie. Serce mu wciąż było niespokojnym, nierównym rytmem.

— Wyjeżdżaliśmy z wujkiem na na dworzec wiele razy. Czekaliśmy na każdy popołudniowy pociąg z Warszawy. Na każdziutki. Żadnym nie wracałaś. Wujek udawał przede mną, że to nic takiego... Nawet, jeżeli dziś nie wrócisz, to również nic złego. Ale poznawałem po jego oczach, jak bardzo się niepokoi. Mnie zmuszał do jedzenia, ale sam ani kęsa do ust nie włożył. Potem na dworcu zapowiedzieli ponad godzinne opóźnienie pociągu. Potem zapowiedzieli dwugodzinne. Zmarłem. Przyjechaliśmy do domu. Wujek powiedział, że musimy zjeść coś gorącego i pożywnego. Szybko zjeść i jechać na ten opóźniony pociąg. Tak bardzo się baliśmy, tak baliśmy...

— Już dobrze, synku. Już dobrze — objęłam Szymka mocniej. Szymek jest naiwnym dzieciakiem. Łatwo nim manipulować. Mną nie.

— Mamełku?

— Co synku?

— Wiesz, kocham wujka.

— Wiem — tylko tyle wydusiłam przez nagle zaciśniętą krtani.

— Mamełku, wujek też mnie kocha. Wujek powiedział, że kocha mnie jak swego rodzzonego syna. — Łapka Szymka powędrowała pieszczotliwie po moich policzkach, lecz ta pieszczota sprawiała mi dotkliwy ból. Kocha jak swego rodzzonego syna. Co to ma znaczyć? Kolejne wyrefinowane łajdactwo. — Chcę mieć tatę, mamełku. Bardzo chcę mieć tatę. Tylko mi nie mów, że go mam. Nie mam. Nigdy nie miałem. Wujek mi to uświadomił. Zresztą pamiętam, jak bardzo mnie prawdziwy tata nie lubił. Wymyślałem sobie, że był dobry. Sama najlepiej wiesz, co sobie wymyślałem. I jaki byłem podły dla ciebie. Mamełku, wujek też cię kocha. Bardzo, bardzo.

— Powiedział ci, że mnie kocha?

— Mamełku, nie musiał! To widać w jego oczach, kiedy patrzy na ciebie. A dziś szalał z niepokoju. Tylko udawał spokojnego, żebym ja za bardzo się nie martwił. Mamełku, ożeń się z wujkiem.

— A jeśli ja nie kocham wujka?

— A mojego tatę pokochałaś od razu?

— Szymuś, jestem zmęczona, głodna. Zjedzmy tę jajecznicę. — Odsunęłam syna od siebie. Ucałowałam jego wpatrzone we mnie błagalnie oczy. — Nałożysz mamełkowi? Tylko dużo. Jajecznica wujka, chociaż ostygła, wciąż pachnie smakowicie.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Niełatwy ten mój powrót do żywych. Tak jak mój syn, który wymyślił wizerunek cudownego taty, podobnie ja stworzyłam remedium na wszelkie zło w postaci Igora. Podobnie jak mój syn, swoje szaleńcze marzenia przyjął za prawie spełnione. Podobnie Szymek, który chciał być przez swego tatę kochany, pragnęłam, dwa razy sromotnie upokorzona przez tych, których kochałam, zaznać prawdziwej miłości. Byłam w stanie wybaczyć Igorowi dlatego, że dzieliły nas lata świetlne i musielibyśmy się poznawać od nowa. Potrafiłam wybaczyć Igorowi, ponieważ mu uwierzyłam, że poza mną nie kochał innej kobiety.

Tylko nie płacz.

Dziesiątki, setki fotografii, na których widnieliśmy my, zatrzymani w czasie. Spędzał wśród nich, nieprawdziwych, iluzorycznych, dzień po dniu, rok po roku; przez ile lat? Nie dowiem się tego nigdy. Wiem jedno: ani ciebie, ani mnie z tamtego rozjaśnionego naszym ulotnym szczęściem dnia dawno już nie ma. Pomyliłeś się, Igorze, każąc mi oglądać nas sprzed lat, powielonych w setkach zdjęć. Zamierzałeś we mnie wzbudzić poczucie winy? Że nie kochałam cię tak jak ty mnie, aż do końca świata? Że zamiast pozostać na zawsze samą, potrafiłam pokochać drugiego mężczyznę? Że nie umartwiałam się masochistycznie? Twoje uczucie stało się chorobą. Ekshibicjonizmem. Fetyszyzmem. Stało się dla mnie czymś nie do zaakceptowania.

Zadzwoiłam do adwokata Starczewskiego. Kazałam mu zniszczyć wszystkie fotografie wiszące na ścianach w mieszkaniu Igora, samo zaś mieszkanie sprzedać jak najszybciej. Kwotę ze sprzedaży, po odliczeniu podatków, miał przelać na moje konto. Prosiłam go, by jak najszybciej załatwił pozostałe procedury związane ze spadkiem po redaktorze Niewiadomskim. Zapytałam, jakiej kwoty mogę się w sumie spodziewać. Mecenas chyba stracił dla mnie resztki sympatii. Chłodnym głosem poinformował, że łącznie będzie tego około siedemset tysięcy złotych, po czym dodał zjadliwie, że pewno spodziewałam się znacznie więcej, ale redaktor Niewiadomski prowadził działalność charytatywną. Z nie mniejszą zjadliwością zapytałam, czy działalność charytatywna redaktora Niewiadomskiego polegała na wrzucaniu do podłóg żebrzących dziesięciu czy dwudziestu złotych? Pani obraża pamięć zmarłego! — usłyszałam w słuchawce oburzony okrzyk. — Pani w ogóle nie znała redaktora! Nie rozumiem, jak on przez tyle lat mógł panią kochać! Odpowiedziałam, że ja również tego nie rozumiem, ale z pewnością wyjaśniłby nam ten problem dobry psychiatra.

Siedemset tysięcy. Niewyobrażalna suma. Przynajmniej dla mnie. Sorry, Igorze, przyjmę ją, lecz z niej nie skorzystam. Byłam dla ciebie fantomem, a

fantomy nie potrzebują pieniędzy. Za te pieniądze, uwolniona od fantomów marzeń, spełnię rzeczywiste marzenia innych.

Mojej jedynej przyjaciółce, Elżbiecie Popielskiej, anonimowo przekażę na konto dwieście tysięcy. Niech wybuduje sobie swój wymarzony domek nad Krasówką. Sąsiadka babci Poli, Maniocha, ma prawie hektar piaszczystej łączki i kiedyś wspominała, że chętnie by się jej pozbyła.

Pani Marii w ten sam sposób podaruję również dwieście tysięcy. Niech nie martwi się o przyszłość trójki wnuków.

Pozostałą kwotę przekażę na jedno z łódzkich hospicjów.

Za dwa tygodnie cała kwota wpłynęła na moje konto. Nie zagrzała na nim długo miejsca. Poszłam do notariusza. Rozdysponowałam pieniądze według planu.

Więc dzięki ci, Igorze. Spoczywaj w pokoju.

A jeżeli naprawdę dałam ci w twoich ostatnich dniach trochę radości, nadziei i szczęścia, to bardzo się cieszę.

Mój syn jakby zapomniał o swojej propozycji ożenienia mnie z wujkiem. Lub może Walicki, któremu się zwierzył, zabronił mu o tym wspominać?

Zima rozpanoszyła się na dobre. Prawie nie wychodziłam z domu. Tyle, co do sklepu. I do Korablewa.

Pod koniec listopada zachorowała Sonieczka. Babcia Pola zadzwoniła, mówiąc, że suczka od dwóch dni nic nie je, nie pije, bardzo osłabła, a nos ma gorący jak piekarnik. Walicki z popłakującym Szymkiem natychmiast pojechał do Korablewa. Potem prosto do weterynarza. Weterynarz pobrał krew. Badanie wykazało, że Sonieczka zapadła na chorobę pokleszczową. Wymagała leczenia antybiotykiem podawanym co sześć godzin na dobę. Walicki zadzwonił z pytaniem, czy ma zostawić Sonię w psiej klinice, czy przywieźć do domu. Stwierdził, że sam może robić psu zastrzyki, rozumie jednak, iż dla mnie tak częsta jego obecność w moim mieszkaniu byłaby niemiła. W tle słyszałam szloch Szymka. Z gęsią skórką na plecach powiedziałam, że będzie mi miło.

Walicki wniósł coś, co jedynie z nazwy przypominało żywe stworzenie. Łeb Sonieczki zwisał bezwładnie. Oczy miała pokryte bielmem. Jej długa, jeszcze tak niedawno jedwabista, teraz zmierzwiona sierść nie maskowała chudości. Ogon oklapł żałośnie.

Szymek zapuchł od płaczu. Rzuciłam się go pocieszać.

— Może lepiej zajmijmy się suczką? — przerwał mi cierpko Walicki. — Ona wciąż żyje. Trzeba jej wymościć posłanie, ułożyć, zapewnić jak każdemu ciężko choremu bezwzględny spokój.

Chociaż miał rację, pomyślałam, że należało Sońkę zostawić w psiej klinice, ponieważ teraz będę musiała znosić szarogęszenie się tego typu.

— Połóżmy ją u mnie w pokoju, wujku — zaproponował Szymek.

— Nie. Przecież musisz się wyspać. Lekcje też czekają na odrobienie.

No i proszę, ledwo wszedł do mego domu, już się rządzi. Chociaż ma rację, niestety. Szymek z suczką przy tapczanie nie zmrużyłby oka, zaś Sońkę zadreńczyłby głaskaniem.

Zaproponowałam niewykorzystywany pokój Przemka. Dywan był tam gruby, miejsce wydawało się neutralne: ani Sonia nam, ani my jej nie zakłócimy spokoju. Walicki ułożył bezwładne ciało psa na posłaniu, okrył je kocem i poprosił o... klucze.

— Klucze? Jakie klucze? — zdumiałam się.

— Od pani mieszkania. Sonia ma dostawać zastrzyki co sześć godzin. Pierwszy zastrzyk zrobiono jej w lecznicy o godzinie siedemnastej. Z prostego rachunku wynika, że kolejny powinien zostać zrobiony o jedenastej wieczorem. Następny wypadnie o piątej rano. Przecież chyba nie życzy sobie pani być budzona raz przed północą, a drugi raz o świcie?

— Ależ wujku! To bez sensu! Po prostu mamełek ci pościeli tutaj, będziesz razem z Sonią! Wtedy nikogo z nas na pewno nie obudzisz! Prawda, mamełku? Wujek może u nas spać?

— W żadnym wypadku — zmieszał się Walicki. — To niemożliwe.

— Możliwe! Możliwe! Mamełku, wujek ci przecież w niczym nie przeszkodzi! No, powiedz, że nie przeszkodzi!

— Szymek ma rację — przyznałam oschle. — I tak jestem ogromnie zobowiązana, że zechciał pan zająć się naszą Sonią.

— Może jednak odwozę Sonię do lecznicy? Nie przewidziałem, że mogę sprowokować krępującą dla nas obojga sytuację...

— Mnie ona nie krępuje, panie Walicki. Dostanie pan pościel, ręcznik, mydło jest w łazience, pasta do zębów również, mamy nawet zapas nowych szczoteczek do zębów.

— No widzisz, wujku, mamełek jest w porzo. Mnie się również przydasz, pomożesz w matmie, bo mamełek matmy ani w ząb — ucieszył się Szymek.

Walicki nie śmiał spojrzeć mi w oczy. Zaczerwienił się jak uczeń przyłapany na gorącym uczynku. Wymamrotał, że dziękuje, przeprasza, nie zamierzał, nie pomyślał, no i w ogóle postara się tej gościny nie przedłużać, gdy tylko Sonia poczuje się lepiej, będzie ją woził na zastrzyki do lecznicy.

— Ojej, wujek, przestań tyle nawijać. Mamełkowi twoja obecność sprawi przyjemność. Mówiłem ci przecież, że mamełek bardzo, ale to bardzo cię lubi. —

Radość Szymka wydała mi się podejrzana, natomiast zmieszanie Walickiego udawane. Pewno wcześniej wszystko dokładnie ukartowali. Żeby mnie szlag! Sama ukręciłam bicz na siebie. Walicki mieszkający ze mną pod jednym dachem, korzystający z mojej łazienki, wycierający się moim ręcznikiem! Matko, gdy się stąd wyprowadzi, wyrzucę do śmieci i pościel, i ręcznik. Na szczęście do pokoju mojego eksmęża nie wchodzę. I to jedyna pociecha. Chociaż nie. Ale ja durna! Stwarzając pozory intymności, może zdołam naciągnąć Walickiego na zwierzenia? Dowiedzieć się, kim jest naprawdę, to już byłby sukces! Okej, Szymek Szkoły aktorskiej nie kończyłam, lecz potrafię być czarująca. Zacznę od zaraz.

— Pewno, że pana obecność sprawi mi przyjemność — uśmiechnęłam się zalotnie. — Jestem, podobnie jak pan, bardzo samotna. Szymuś, pokaż wujkowi łazienkę. Na pewno wujek zechce się nieco odświeżyć przed kolacją. No właśnie, panie Danielu, co by pan powiedział na zapiekanke ziemniaczano-grzybową? Spécialité de la maison. Według mego własnego przepisu. Akurat odrobi pan z Szymkiem matkę. Przydałoby się do tego czerwone, półwytrawne wino...

— Mogę skoczyć — ucieszył się Walicki tak szczerze, że już byłam pewna wygranej. — Przy okazji kupię dla siebie przybory do golenia. Aha, miód pani ma? Nie? No właśnie, więc i miód... Dziś spróbujemy karmić Sonieczkę mlekiem z miodem i rozmaconym jajkiem, to ją wzmocni. Aha, wpadnę również do apteki. Jeżeli nie zechce jeść z łyżeczki, będziemy jej pokarm podawać pipetką. Trzeba ratować psinę.

Wrócił po godzinie, przebrany, odświeżony, ogolony, pachnący świeżym Ferrari Extreme. Znaczy — był w domu. Dwie butelki bordeaux postawił na stole w kuchni.

— Rocznik osiemdziesiąty — oznajmił z triumfem. Podziękowałam wylewnie. Rocznik osiemdziesiąty? Ciekawostka. W jakim to sklepie nabył bordeaux o takim roczniku? Założę się, że ma niekiepsko wyposażoną piwniczkę. Wniosek: facet jest bogaty. Drugi wniosek: stary, prawie dwudziestoletni polonez, którym jeździ, to przykrywka. Bardzo prawdopodobne, że rzeczywiście posiada drugi, wypasiony wóz. Bardzo prawdopodobne, że Krysia przed cmentarzem spotkała prawdziwego Walickiego. Bardzo prawdopodobne też, że to jednak Walicki kupił od babci Poli łączkę. I może wcale nie jest samotny, lecz ma uroczą żonę oraz syna, rówieśnika Szymka... Bzdura! To się nie trzyma kupy! Do czego byłby mu wówczas potrzebny Szymek? Powiedział przecież, że jest dla niego jak rodzony syn... Chyba lekko zbladłam, ponieważ Walicki zapytał z niepokojem:

— Źle się pani poczuła? Przepraszam, nie pomyślałem, że jest pani zmęczona po tylu ciężkich przeżyciach. Proszę sobie odpuścić zapiekankę. Nie jestem głodny.

Boże, patrzył na mnie z taką troską i z taką czułością, że wbiłam oczy w stół. Tak bardzo, tak potwornie byłam samotna, od lat, od tylu lat sama, ze swoimi problemami, troskami, zmartwieniami, pragnieniami, zagrożeniami... Najgorszym zagrożeniem był zaś właśnie on, bo gdybym tylko dała przyzwolenie, na pewno by mnie objął, przytulił i jak wtedy na Polnej, powiedział kochanie moje... Lecz przecież nie wolno mi zapominać, że z taką odgrywaną pierwszorzędnie czułością spogląda na mnie mój wróg.

— Czuję się doskonale, Danielu. Niech pan idzie do Szymka wtłaczać mu matkę. A ja zabieram się za zapiekankę. I proszę mi się po kuchni nie plątać. Zawołam, gdy nakryję do stołu.

Odetchnęłam, gdy wyszedł. Otarłam durnowatą łzę. Żeby to szlag! Historia z Igiem uświadomiła mi to, co usilnie w sobie tłamsiłam — ja po prostu również pragnęłam być normalną kobietą. Która kocha i jest kochana. Tylko tyle. Czy aż tyle? Czemu Walicki okazał się jeszcze jednym draniem w moim życiu? Nawet gorzej niż draniem! Podstępny łajdakiem! Osaczył mnie, a ja nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Bordeaux rocznik osiemdziesiąty. Też nie trzyma się kupy. Chyba że Walicki uważa mnie za skończoną idiotkę, która bordeaux rocznik osiemdziesiąty nie odróżnia od wina za osiem złotych. Celowo daje mi do zrozumienia, że ma pieniądze? W tym nie ma żadnego sensu! Inaczej po co mieszkałby pod fałszywym adresem? Po co ukrywałby swoją prawdziwą tożsamość? Uspokój się, Katarzyno. Udawaj słodką idiotkę. Mężczyźni przepadają za słodkimi idiotkami. We wszystkich znanych mi związkach kobieta, jeżeli górowała intelektualnie nad swoim partnerem, miała przechłapanie. Albo udawać głupszą, albo odejść.

Zapiekanka pachniała i wyglądała znakomicie. Stół nakryłam obrzydliwą acz słodką serwetą w karminowe różyczki. Otrzymałam tę serwetę pod choinkę od Przemka, tak bowiem mój były już na szczęście mąż oceniał mój gust i mnie samą. Zapaliłam kadzidelka. Przygasiłam górne światło. Liczyłam na inteligencję Szymka. Powinien zjeść szybko i równie szybko zmyć się z kuchni. Nie zawiodłam się. Wyniósł się niemal natychmiast razem z talerzem, mówiąc, że w telewizji lecą Cztorej pancerni.

Walicki znowu udawał nadzwyczaj zmieszanego. Milczał. Trudno. Przejęłam inicjatywę. Zagadnęłam go o zdrowie Soni. Mrukliwie odpowiedział, że suczka ma duże szanse wyzdrowieć. Zapytałam, czy zapiekanka mu smakuje. Wyszeptał, że jest pyszna. Przy trzecim kieliszku wina udałam lekko zawianą, rozpięłam dwa



górne guziki sweterka, nawet niby przypadkiem dotknęłam jego dłoni. Była zimna. Jak dłoń Igora. Cholera, co jest?

— Niepotrzebnie się pani wysiła. Nic z tego. Niczego pani ze mnie nie wyciągnie — odsunął gwałtownie talerz. — Znam panią zbyt dobrze. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak dobrze.

— Bardzo podniecające, dobry wujaszku Wania — zasyczałam jadownicie ze złości, że tak szybko mnie przejrzał, i jeszcze jadowniciej na niego spojrzałam. — Byłabym zobowiązana, gdyby wujaszek wyjaśnił mi, skąd tak dogłębne zainteresowanie moją osobą? A przede wszystkim znajomość mego CV?

— Prawdopodobnie nigdy się pani nie dowie. Dziękuję za kolację — Walicki wstał.

— Cholera, siadać! — Gdyby nie Szymek za ścianą, rozdarłabym się głośniej. — Nie jestem dobra w rozwiązywaniu szarad ani krzyżówek. Siadać i gadać jak na spowiedzi. Bo to nie fair, dobry wujaszku, osaczać mnie ze wszystkich stron. Manipulować moim synem, wkradać się w łaski mojej naiwnej przyjaciółki, a co już jest zupełnie podłe, omamiać babcię Połę! Żeby pana szlag! Fałszywy konserwator, fałszywy adres, nawet nie wiem, czy Walicki to pana prawdziwe nazwisko.

— A czy to ma jakieś znaczenie, kim jestem, gdzie mieszkam, jak się naprawdę nazywam? — zapytał i spojrzał na mnie tak smutnymi oczami i jednocześnie z taką czułością, że pomyślałam: „Boże, on zwariował. To wariat, może schizofrenik, może paranoik. Boże, on mi zaraz wyzna miłość! Już nie pierwszy raz w ten sposób patrzy, już tam, na Polnej, kiedy zasłabłam, powiedział kochanie moje. I to nieśmiałe muśnięcie moich warg...”.

— Milczy pani. Niczego pani dotąd nie zrozumiała i nadal nie rozumie, i pewno nigdy nie zrozumie. Dlatego nie dowie się pani, kim jestem. Niech pani uzna, że jestem nikim. Dla pani jestem nikim. Na zawsze i do końca.

Silniej niż zwykle powłócząc nogą, ruszył ku drzwiom kuchni. Widziałam jego nagle przygarbione plecy. Głowę wciśniętą w ramiona. Gdyby to był kto inny, nie Walicki, podbiegłabym do niego, objęła, przytuliła i — tym przygarbionym, zmęczonym, przytłoczonym niewyobrażalnym ciężarem plecami — powiedziała, że nie obchodzi mnie, jak naprawdę się nazywa, ponieważ kocham go takim, jakim jest. Ale to były plecy mojego wroga, mego prześladowcy, więc tylko im się przyglądałam, czując chociaż tę maleńką satysfakcję, że swoimi pytaniami dołożyłam im spory ciężar. Dobrze im tak, niech się pod ciężarem uginają, żeby je szlag, niech nawet pod tym ciężarem upadną.

## Rozdział trzydziesty piąty

Od tego wieczoru starannie unikałam spotkań z Walickim. Kładłam się spać przed siódmą, zamykając drzwi salonu na klucz, nieosiągalna nawet dla Szymka, któremu to zresztą zupełnie nie przeszkadzało, tak był przejęty chorobą Soni i bliskością wujka.

Po tygodniu leczenia Sonia zamieniła się w uroczą, rozbrykaną psinkę. Walicki zniknął z mego mieszkania. Niestety, jedynie z mieszkania. Codziennie po obiedzie Szymek wychodził: a to na basen, a to na trening, a to do kina, wracając do domu roześmiany i rozgadany. Zaciskając zęby, wysłuchiwałam długich peanów na cześć wujka. Trudno. Musiałam dzielić się z Walickim moim synem. Z ogromną przykrością stwierdzałam, że Szymek zyskuje wiele dzięki Walickiemu. Rozwijał się fizycznie, jego tak zawsze chude i wąskie ramionka nabrały nie tylko ciała, ale i mięśni. Zachłannie czytał pożyczane mu przez Walickiego książki. Gry komputerowe poszły w ką, komputer służył teraz Szymkowi za źródło informacji przydatnych w nauce. Na wywiadówce dowiedziałam się, że mój syn, matematyczny osioł, zrobił nadzwyczajne postępy, a i z innych przedmiotów oceny mierne zamienił na dobre. Polonistka zachwycała się odczytaniem Szymka i dojrzałym stylem jego wypracowań. Najgorzej wypadał wciąż z języka angielskiego. Na słabiutki, naciągnięty mierny. Wychowawczyni doradziła mi, żeby Szymka zapisać na korepetycje, ponieważ ma ogromne braki i nie nadąża z ich nadrabianiem. Żeby to szlag! Co ze mnie za matka! Mówię płynnie w dwóch językach, a mój syn musi chodzić na korepetycje! Toteż natychmiast po wywiadówce oznajmiłam Szymkowi, że będę go douczała nie tylko z angielskiego, rozpoczniemy również kurs francuskiego. Obawiałam się jego protestów, ale Szymek zawołał radośnie:

— A wiesz, mamelku, wujek już dawno zamierzał cię prosić, żebyś mnie uczyła i angielskiego, i francuskiego, bo on akurat tych języków dobrze nie zna. Zna niemiecki i wiesz, mamelku, raz na tydzień przez godzinę katuje mnie was ist das. Wujek mówi, że dzisiaj wykształcony człowiek powinien posługiwać się biegle przynajmniej dwoma językami obcymi. Ale ja chętnie będę się uczył trzech! W ogóle, mamelku, chce mi się teraz uczyć! Nawet tej okropnej matmy! Kiedyś nic mi się nie chciało. No, bo ten prawdziwy tata wciąż zaprzętał moje myśli...

— To świetnie, synku — odpowiedziałam i czym prędzej zamknęłam się w łazience, wyciągać z oczu ostre paprochy. Te z oczu dały się w końcu wyciągnąć. Te z serca nie. Kłuły i kłuły.

Przeklęty wujek! Dawno zamierzał mnie prosić... Wszystko, co mój syn osiągnął, zawdzięczał Walickiemu. Boże, to bolało! Stawało się gryzącym wyrzutem sumienia. Walicki krok po kroku udowadniał mi, że kiepska ze mnie matka... Po prostu potwór. Ktoś, kto w ogóle nie powinien mieć dzieci. Wredny babsztyl, zatracający się w rozpamiętywaniu dawno doznanych krzywd, goniący za czymś, co nie istnieje, a co się potocznie nazywa miłością, wciąż skarżący się na swoją samotność. Kobieto! Ty nie wiesz, co to prawdziwa samotność! Powinnaś dzień w dzień padać dziękczynnym plackiem przed opatrnością, która cię obdarzyła zdrowym synem, dała ci wierną przyjaciółkę, kochającą cię jak rodzoną siostrę, i podarowała szczodre uczucie babci Foli! A teraz jeszcze uwalnia cię od Przemka! Wisi, co prawda, nad twoją głową widmo eksmisji, wynajmowania mieszkania, szukanie pracy... Gdyby nie pieniądze od babci Poli... Na pewno od babci Poli?

Skoro nie Igor kupił łączkę, to pozostaje Walicki. Znasz go i nie znasz, dyplomatycznie odpowiedziała babcia Pola. Walickiego również niby znam, lecz bardziej nie znam...

Nagle po plecach przebiegł mi nieprzyjemny dreszcz. Skąd Walicki wiedział, że biegle władam francuskim i angielskim? Że kończyłam historię sztuki? I wtedy wszystko zrozumiałam. Szymek! Szymek jest głównym źródłem jego informacji! Żeby cię szlag, wujaszku! To gorzej niż draństwo, wyciągać z ufego i kochającego cię chłopca informacje o jego matce!

Na początku grudnia, poza srogą zimą, w moje życie ponownie wkroczył Walicki.

Pojechałam do Warszawy, by ostatecznie zamknąć sprawę spadku po Igorze. Doszłam do wniosku, że adwokat Starczewski pomoże mi w załatwieniu wszelkich kwestii prawno-fiskalnych związanych z darowizną i dzięki niemu pozostanę anonimową, dobrą wróżką. Adwokat przyjął mnie chłodno, jednak szczeka mu opadła, kiedy usłyszał moje dyspozycje. Jego szczeka była mi obojętna, mógłby ją sobie nawet odgryźć, uciełam natychmiast wszelkie „ochy" i „achy", zaś pytanie, czemu rezygnuję z pieniędzy, zignorowałam. Podpisałam kolejne pełnomocnictwo, podałam dane beneficjentów, zaznaczając, że moim życzeniem jest, aby obdarowani otrzymali pieniądze przed świętami Bożego Narodzenia. Wracałam do Łodzi pociągiem, wyobrażając sobie radość Elki, pani Marii i prowadzącej Hospicjum im. św. Jerzego nieznanej mi lekarki. Ani przez sekundę nie było mi żal, że oddałam pieniądze, które moje własne potrzeby rozwiązałyby w sposób radykalny. Pomyślałam ze smutkiem o Igorze. Spóźniłeś się, mój miły. Spóźniłeś się do mnie już w dniu naszego ślubu. Nawet gdybyś teraz był zdrowy, gdybyś nie musiał odejść, spóźniłeś się. Nic dwa razy się nie

zdarza, żaden dzień się nie powtórzy, nie ma dwóch podobnych nocy, dwóch tych samych pocałunków, dwóch jednakich spojrzeń w oczy. Pamiętasz, mój miły, nasze noce, nasze dni, nasze pocałunki? Kochaliśmy w sobie wszystko, zapatrzeni w siebie, zauroczeni sobą. Dziękuję ci, miły mój, za tamte noce, dni i pocałunki. Zachowam je w swojej pamięci nieskażone. To, co stało się potem, jest teraz, po latach, bez znaczenia. Rozumiesz więc, dlaczego nie mogłam przyjąć od ciebie twoich pieniędzy? Tylko nie płacz.

Odwróciłam twarz ku oknu, za którym uciekały w przeszłość ośnieżone drzewa, pola, jakieś domki z zamkniętym w nich własnym życiem. Po raz drugi opłakiwałam śmierć Igora. I pewno jeszcze nie raz zapłacę za tamtymi naszymi czystymi, szczęśliwymi chwilami.

Mimo mrozu nie skorzystałam z taksówki. Wybrałam inną trasę do domu. Te wszystkie ulice, którymi chodziliśmy wespół objęci, planując swoją szczęśliwą przyszłość. Dużo tych ulic. Dziesiątki wystaw, których już nie ma, a przed którymi przystawaliśmy jedynie po to, aby przywrzeć do siebie ustami. Szłam wolno i odtwarzałam czas spędzony niegdyś z Igorem. To nasza ostatnia przechadzka, mój miły. Nic dwa razy się nie zdarza... Żaden dzień się nie powtórzy...

A jednak żal.

Melodyjka mojej komórki przywołała mnie do rzeczywistości. Zaniepokojony i chyba czymś ogromnie wzburzony Szymek dopytywał się, kiedy wrócę. No tak, znowu zapomniałam o swoim synu! Wyjeżdżając rano, powiedziałam mu, że na pewno zdążę na obiad. A tu czarny, mroźny, grudniowy wieczór, nawet pora kolacji minęła.

— Zaraz będę, synku! U mnie wszystko w porządku, a u ciebie?

— Mamełku, pospiesz się, błagam. Nie wiem, co robić, a wujek ma wyłączoną komórkę!

Cholerny wujek! I dobrze, że ma wyłączoną komórkę! Wreszcie ja okazuję się potrzebna Szymkowi. W zastępstwie cholernego wujka, co prawda, ale dobre i to.

Szymek był zapłakany i przerażony.

— Mamełku, ja go nie mogłem tak zostawić... — wyjąkał z trzęsącą się po dziecinnemu bródką. — Mamełku, sama zobacz...

Pomyślałam, że chodzi o kolejnego zdychającego z głodu i mrozu psiaka. Ale nie chodziło o psa, chociaż dzieciak wbity w kąt kuchni, patrzył śmiertelnie przestraszonymi oczami skatowanego psa, który może jadł tydzień temu, a może w ogóle nie jadł od tygodni, żywiąc się jedynie odpadami ze śmietników. Boże mój, pracując jako pani woźna, widziałam wiele wynędzniałych dzieciaków, ale takiego nie oglądałam nigdy. Nie wiem, ile miał lat. Mógł mieć pięć, najwyżej

siedem. Kiedy ostatni raz zetknął się z mydłem i wodą, trudno było określić. Śmierdział moczem i kałem. Skołtunione, zlepione brudem włosy opadały mu na ramiona. Boże, na zewnątrz minus piętnaście stopni, a on nosił podarte tenisówki! I coś w rodzaju o dwa numery za dużego prochowca, pewno wyciągniętego ze śmietnika! Chude paluszki, podobne do kości obciążonych czarną od brudu skórą, przyciskały do piersi kromkę chleba, z której spadły grubo ukrojone plastry szynki.

— Mamełku, nie wiem, w jaki sposób on wszedł na naszą klatkę schodową, ale kiedy wracałem z basenu, znalazłem go śpiącego na wycieracze przed drzwiami — rozpląkał się Szymek. — Tak przeraźliwie jęczał przez sen... A tu ani ciebie, ani wujka. Obudził się i chciał uciekać. Ale był taki słaby, mamełku, że go na rękach wniosłem do domu...

— Szymek, opowiesz mi później — przerwałam. — Boże, Szymek, ja też nie wiem, co robić. Dlaczego on siedzi w kącie? Dziecko, nie patrz na mnie z takim strachem... Wyjdź z kąta, dobrze? Zjedz chleb. Boże, nikt ci tego chleba nie odbierze...

Przyciskał do wątej piersi kromkę chleba, patrząc tak, jakbym chciała go uderzyć. Kto to dziecko tak potwornie skrzywdził, kto mu odebrał całą wiarę w człowieka, w jaki sposób tę wiarę mu przywrócić? Jego wielkie oczy błyszczące w wychudzonej twarzy nie wyrażały niczego poza zwierzęcym strachem.

— Szymek, dzwoń do wujka. Dzwoń do skutku. Niech przyjeżdża natychmiast... Boże, może trzeba to dziecko zawieźć do szpitala? Jest całe przemarznęte, wyniszczone...

Jedyne, co potrafiłam zrobić, to usiąść obok niego i spróbować go objąć. Zajęczał, jakbym sprawiła mu dotkliwy, fizyczny ból.

— Synku — powiedziałam — syneczku, pozwól sobie pomóc. No, synku...

I rozpląkałam się. Czy ktokolwiek mówił wcześniej do tego zaszczutego dziecka synku? Czy ktokolwiek je przytulał? Obejmował? Czy od urodzenia był zbyt czyny jak pies, który dawno powinien zdechnąć z głodu, z wyczerpania, a tu, cholera, nie zdycha, choć wypędzasz go na klatkę schodową, na deszcz, na wiatr, na mróz, w śnieg, w zawieje, wypędzasz z przekleństwem: obyś wreszcie zdechł, wypędzasz kopniakiem, pięścią, kijem? A on wciąż wraca i wraca. Boże, a sąsiedzi? Ludzie, gdzie byliście, kiedy to dziecko wyło, jęczało, grzebało po śmietnikach, kulilo się z zimna?

— Wujek zaraz przyjedzie — oznajmił z ulgą Szymek. Walicki o nic nie pytał. Wziął dziecko na ręce. Zwisало mu bezwładnie jak niedawno nasza Sońka. Zaniósł do salonu. Ułożył na kanapie. Ostrożnie ściągał z chłopca aż ciężkie od brudu łachmany. Odślaniał żywy szkielet, z zapadłą jamą zamiast brzucha,

nózkami jak patyki, a wszystko, mimo skorupy brudu, poznaczone zaschniętymi skrzepami czarnej krwi. Duże dłonie Walickiego musiały być wyjątkowo delikatne, ponieważ dziecko tylko od czasu do czasu cicho jęczało.

— Co zamierzacie z nim począć? — zapytał. — Zawiadomić policję? Policja zawiezie go do szpitala, ponieważ bez pomocy lekarskiej się nie obejdzie. Następnie ze szpitala powędruje do domu dziecka. Dostanie tam dach nad głową, opiekę, wikt i opierunek.

— Chciałabym to dziecko zatrzymać — powiedziałam. Bo chciałam. Chciałam od chwili, kiedy nazwałam je synkiem.

— To nie jest biedny, głodny piesek, którego wystarczy wykąpać, nakarmić, zaszczepić, kupić obrozę i smycz, a potem zachwycać się: „Ach, jakież ładny piesek. Ach, jaka byłam i jestem dobra”. Czy zdaje sobie pani sprawę, jak wielką odpowiedzialność weźmie na siebie?

— Nie — odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

— Nie?

— Nie. Ale chcę tego. Potrafię je kochać. Stworzyć mu dom.

— A jeśli chłopak okaże się niedorozwinięty? Obciążony jakąś wadą genetyczną? Co jest bardzo prawdopodobne...

— Nieważne. Sądzi pan, że upośledzonego dziecka nie można kochać?

— Pani ma już syna.

— Będę miała dwóch synów. Zamiast mnie przepytywać, niech pan lepiej powie, czy da się obejść bez policji? Bez szpitala? Udzielić temu dziecku w domu potrzebnej opieki medycznej, a wszelkie konieczne badania wykonać prywatnie? Dowiedzieć się, kim są jego biologiczni rodzice i odebrać im prawa? Dokonać pełnej adopcji z wpisaniem mego imienia do akt jako matki?

— Szymek, nalej wodę do wanny. Wykąpiemy go i ogrzejemy na początek — polecił Walicki, a gdy Szymek wybiegł z kuchni, zwrócił się do mnie.

— Da się obejść i bez policji, i bez szpitala. Mam wśród przyjaciół kilku świetnych lekarzy. Potrafią dotrzymać tajemnicy. Potrafią dokonać natychmiastowej obdukcji, ponieważ dopiero po umyciu dziecka poznamy dokładnie rozległość obrażeń. Rodziców biologicznych też uda się odnaleźć. Lecz jednego pani nie przeskoczy. Nie dostanie pani pozwolenia ani na zwykłą, ani tym bardziej na pełną adopcję.

— Boże, dlaczego? Przecież mam pieniądze! I niedługo będę miała pracę.

— Przepisy są rygorystyczne. Adopcji może dokonać tylko małżeństwo. Pani nie jest mężatką.

— To chore! I co z tego, że nie jestem mężatką? Więc co, do cholery! Z powodu jakichś idiotycznych przepisów ten dzieciak nie ma prawa do normalnego

życia w kochającej go, choć niepełnej rodzinie? Dom dziecka? O nie! Musi się znaleźć jakieś wyjście!

— Jest tylko jedno — odpowiedział Walicki, patrząc na mnie w sposób, który mi się bardzo, ale to bardzo nie spodobał. Patrzył znowu z tym przejmującym, jakby błagającym o litość smutkiem. Trudno. Muszę mieć to dziecko. Jest moje. Jest moje od chwili, w której się rozplakałam nad niewyobrażalnym piekłem, które ono przeżyło.

— Niech pan mówi! Skorzystam z każdego wyjścia!

— Ale ono nie będzie dla pani przyjemne.

— Nie szkodzi. Nie chodzi tu o moja przyjemność. Chodzi o los dziecka.

— Musiałaby pani wyjść szybko za męża. Zwariował? Czy mu kompletnie odbiło. — Jezu, a skąd niby wytrzasnę męża? Pan sobie ze mnie kpi?

— Nigdy nie byłem bardziej poważny i bardziej przerażony niż w tej chwili. Możemy zawrzeć związek małżeński. Formalny wobec prawa, dla pani jedynie na papierze, do niczego niezobowiązujący. Dokonamy adopcji. Kiedy się ona uprawomocni, przeprowadzimy rozwód. Jakbym dostała obuchem w łeb. Jakiś nowy podstęp Walickiego? Boże, chyba jednak nie! Chyba rzeczywiście w inny sposób nie da się adoptować małego. Boże, co robić? Walicki moim mężem? Ostatni facet na tej ziemi, któremu mogłabym zaufać. Facet, który i tak wlaźł w moje życie i depta je buciorami. Wezmę z nim ślub. Będzie musiał się tu wprowadzić, bo przecież na pewno ludzie z ośrodka adopcyjnego będą sprawdzać warunki materialne i rodzinne, w jakich przebywa dziecko. A jednak ta sytuacja mnie przerasta. Zaufać Walickiemu? Iaką dostanę gwarancję, że potem zgodzi się na rozwód? Lub nie zacznie domagać się wypełniania przeze mnie małżeńskich obowiązków?

— Rozumiem. Wykąpię małego i zawiadomię policję — odezwał się stłumionym głosem Walicki. — Niech pani poszuka dla niego ubrań po Szymku. Te zawszone łachmany nadają się wyłącznie do wyrzucenia.

— Boże, nie cierpię pana, ale niech będzie! Chcę mieć to dziecko. Wybrało mój dom. Zasnęło na mojej wycieraczce. Mąż! Cholera, mąż! Żeby pana szlag! Mąż! Trudno. Zgadzam się. Mąż, lecz wyłącznie na papierze! Bez żadnych do mnie praw! Rozumie pan?

— Tak — i Walicki pochylił się, by pocałować mnie w rękę. Jego usta parzyły niczym ogień. Zamarłam, gdy zbliżył swoją twarz do mojej i tak jak na Polnej, dotknął tymi parzącymi ustami moich ust.

— Wyłącznie na papierze, moja droga.

Czy on to naprawdę powiedział? A może z powodu nadmiaru emocji uległam słuchowym omamom?

## Rozdział trzydziesty szósty

Miał pięć lat. Na imię Piotruś. Zadawnione blizny i świeże rany. Ślady po poparzeniach od papierosów. Niedawno zupełnie wywichnięty bark. To dlatego tak jęknął, kiedy go objęłam.

Salon zamienił się w mały oddział szpitalny. Lekarze przychodzili codziennie. Dwie wynajęte pielęgniarki na zmianę czuwały nad dzieckiem przez dwadzieścia cztery godziny, zmieniając kroplówki i podając zastrzyki. Piotruś poddawał się zabiegom bez słowa protestu, jednak w jego oczach wciąż czaił się strach.

Rokowania byłyby optymistyczne, ponieważ badania nie wykazały u dziecka wewnętrznych obrażeń, gdyby nie diagnoza psychiatry. Chociaż EEG było w normie, psychiatra uprzedził nas, że zmiany w psychice Piotrusia, dotkniętego syndromem dziecka bitego, mogą okazać się trwałe i rzutować w następstwie na jego dalszy rozwój umysłowy, spowodować obniżoną samoocenę, brak akceptacji własnej osoby, trudności w nawiązywaniu kontaktów z otoczeniem, poczucie krzywdy, nocne koszmary, zaburzenia pamięci, koncentracji i uwagi, napady depresji. Katowane przez lata dzieci — tłumaczył psychiatra — są przeświadczone, że nikt ich nie potrzebuje. Stają się apatyczne, lękliwe, bierne albo agresywne. Jedynym pozytywem jest wiek Piotrusia. Ma dopiero pięć lat. Oraz wiele szczęścia, że trafił na was. Gdyby przebył zgodne z prawem proceduralne drogę, a więc pobyt w szpitalu zakończony oddaniem do domu dziecka, właściwie straciłby wszelkie szanse na powrót do normalności. Taka szansę wy mu stwarzacie. Najlepszym, a może i jedynym lekiem dla niego okaże się normalna rodzina, w której otrzyma to, czego dotąd nie zaznał, co jest mu zupełnie obce. Po prostu miłość, czułość, troskę. Inaczej nigdy nie zgodziłbym się wam pomóc, Danielu. Cieszę się również, że wreszcie ułożyłeś swoje własne życie. Wybrałeś sobie na żonę nie tylko piękne, lecz mądrą, wrażliwą kobietę. A pani trafiła na wyjątkowego człowieka.

Puściłam tę „żonę” mimo uszu. Związek małżeński zawarliśmy w tajemnicy nawet przed Szymkiem. Nie zawiadomiliśmy ani Elki, ani babci Poli. Nie nosiliśmy obrączek. Świadcami były zupełnie obce osoby, które zgodziły się zagrać swą rolę za odpowiednią gratyfikacją finansową. Powtarzając za urzędnikiem słowa małżeńskiej przysięgi, nagle zapomniałam, jak Walickiemu na imię. W krepującej ciszy tego dziwnego ślubu panicznie szukałam w pamięci tego imienia.

Gdyby mój nowy mąż nie chwycił mnie za rękę, pewnie bym uciekła. Daniel, szepnął Walicki. Aha, Daniel, powiedziałam głośno, a jeden ze świadków parsknął śmiechem. Uroczyście oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z



Danielem, powtórzyłam od nowa, bliska omdlenia, aby następnie omal nie wrzasnąć, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i — omal nie dodałam: żeby to szlag — trwale! Kiedy urzędnik ogłosił, iż staliśmy się małżeństwem i wolno się nam pocałować, spojrzałam na swego papierowego męża z taką wrogością, że Walicki nawet nie odważył się dotknąć ustami mego policzka. W domu powiedziałam mu, że zniosę jego obecność w ciągu dnia, na noc ma się jednak wynosić do siebie. A ponieważ patrzył na mnie znowu z tym rozdzierającym smutkiem, wrzasnęłam, że go dotąd tolerowałam jedynie przez wzgląd na Szymka i niech sobie nie wyobraża, że cokolwiek się teraz zmieni. Ma załatwiać jak najszybciej sprawy adopcyjne. Ma potem jak najszybciej przeprowadzić rozwód. I żeby nigdy więcej nie ośmielił się mówić do mnie moja droga, ani tym bardziej dotknąć mnie choćby małym palcem! I nie życzę sobie, aby zbliżał się do Piotrusia! Jednego syna mi już odebrał, lecz od Piotrusia wara!

— Potrafisz być okrutna, droga moja — powiedział i wyszedł. Zastosował się jednak do moich warunków. Może się tylko przyczaił, może coś tam knuł, szlag mu na twarz, niech knuje. Teraz obchodził mnie tylko Piotruś. Nie nosiłam go jak Szymka pod sercem, lecz wydawało mi się to zupełnie bez znaczenia. Po prostu był moim synkiem. Moim drugim synkiem, cudownie odzyskanym. Pragnęłam okazać mu tyle uczucia, by zapomniał o swoich urazach, by z jego wielkich oczu zniknął lęk uśmiechnął się, nie sztywniał, kiedy obejmowałam jego chude ciało, powiedział wreszcie do mnie, jak Szymek mamełku. Albo mamuś.

Piotruś szybko wracał do zdrowia. Całodobowe dyżury pielęgniarek stały się zbyteczne. Kroplówki i zastrzyki odstawiono. Wciąż jednak moczył się i oddawał kał pod siebie. Lęk z jego oczu nie znikał. Poddawał się biernie zabiegom higienicznym. Pozwalał trzymać swoją łapkę, lecz pozostawała ona zimna, obojętna. Przeważnie milczał. Nie interesowały go ani bajki w telewizji, ani przynoszone zabawki. Na rozrabiającą Sonieczkę nawet nie spojrzał. Piotrusia nie interesowało nic poza jedzeniem. Na każdy posiłek rzucał się tak, jakby nie jadł przez wiele dni. Ślinił się, odrzucał widelec i łyżkę, rączkami napychał buzię kartoflami, pomidorami, mięsem. I zawsze zostawiał kanapkę, ciastko albo ziemniaka i wtykał pod koszulkę jakby w obawie, że mu je odbierzemy.

Pocieszałam się, że Piotruś wymaga wiele czasu, aby psychicznie wrócić do normy. Minęły zaledwie trzy tygodnie, a ja oczekuję cudu.

Mój niby-mąż załatwiał urzędowe sprawy, czasem jadł z nami obiad, jak zwykle zajmował się Szymkiem, dwukrotnie wyjeżdżał z nim na weekend do babci Poli, która rujnowała się teraz na codzienne telefony, koniecznie chciała przyjeżdżać, pomagać przy Piotrusiu i chyba nie tylko przy Piotrusiu, bowiem zasypywała mnie gradem idiotycznych pytań dotyczących Walickiego. A czemu

Daniel, córuchna, taki przybity? On, córuchna, marnieje w oczach, a o tobie w ogóle nie chce rozmawiać, twarz mu się jakby kurczy z bólu. Pokłóciliście się czy co? Odpowiadałam, że nie mam pojęcia, co go gnębi, w końcu ma swoje życie prywatne, babciu, mnie zaś się nie zwierza, a ty się również nie wtrącaj w nie swoje sprawy, co ciebie obchodzi Walicki, w końcu to dla nas zupełnie obcy człowiek... Nie wytrzymałam i tak babci palnęłam, bo żeby go szlag, tego Walickiego, odgrywa przed babcią godnego współczucia nieszczęśnika! Babcia Pola odezwała się do mnie jego słowami: „Potrafisz być okrutna, Kasiu”. Po czym dodała z wyraźną złością: „I ślepa”.

Ślepa? Wolałam nie dociekać, co babcia zamierzała dać mi do zrozumienia. Pamiętałam doskonale parzące ogniem usta Walickiego. Pamiętałam, jak na Polnej, sądząc, że nie odzyskałam przytomności, mówił kochanie moje. I też dotknął moich warg nieśmiałym pocałunkiem, tak delikatnym, tak czułym, że przez krótki czas zapragnęłam tych ust na dłużej. Cholera! Jest zwykłym draniem, cynicznym łajdakiem, a wszystko, co robi, co mówi, to część zaplanowanej na zimno, perfidnej gry, na którą ja jedna nie dałam się nabrać, lecz w którą muszę grać. Zatem gram w nią, zaciskając zęby najpierw dla dobra Szymka, teraz zaś dla dobra Piotrusia. Odgrywam najtrudniejszą rolę: żony Walickiego. Na razie papierowej, lecz bez żadnej gwarancji, że po przeprowadzeniu adopcji zwróci mi wolność. Skoro przed babcią Połą udaje ubogiego szkolnego konserwatora?

A ten mój głupi, starszy syn cieszy się, szepcze mi do ucha: „To jak, mamełku? Ożenisz się z wujkiem, prawda? Już mówicie do siebie po imieniu. Ożenisz się, prawda?”.

A jeszcze głupsza jest Elka. Zamiast podziwiać mnie, że zaopiekowałam się Piotrusiem, zachwyca się Walickim: „Wiesz, on i dla Szymka jak prawdziwy ojciec, i dla Piotrusia... Kaśka! Mówicie sobie po imieniu! To chyba znaczy, że się ochajtniecie, prawda? E tam, nie ściemniaj! Masz mnie za idiotkę? Ciągłe opowiadasz o adopcji Piotrusia, wiedząc doskonale, że nie spełniasz jako rozwódka podstawowych warunków. To jak Piotrusia adoptujesz? Oczywiście, wychodząc za Daniela. Pobierzcie się szybko. Adopcja jest długotrwałym procesem. Może ciągnąć się i rok. A poza tym, po raz pierwszy masz fart. Żaden z twoich dwóch facetów nie zasługiwał na ciebie. Daniel jest natomiast wyjątkowym mężczyzną. Czułym, mądrym, troskliwym. Oj, przestań pleść głupoty! Nie kocham go, nie kocham! Tamtych dwóch kochałaś i co ci z tej miłości przyszło? Nie kochasz teraz, pokochasz później. Daniel potrafi dać kobiecie wszystko, o czym każda z nas marzy. Jest przystojny, wykształcony, delikatny, wrażliwy”.

— Elka, nic o nim nie wiem!

— Jak za niego wyjdiesz, to się dowiesz — zaczęła dwuznacznie moja przyjaciółka. — Musi być dobry w łóżku.

— Tobie tylko łóżko w głowie, niewyżyta seksualnie babo!

— Kasia, nigdy nie zdradziłam Heniusia nawet w myślach, o czym zresztą wiesz. Natomiast ty przez te wszystkie lata zapomniałaś, jak piękny może być seks, kiedy się dwoje ludzi kocha naprawdę.

Przeraziła mnie. Rok czasu czekać na adopcję? Szczerzyć się w uśmiechach do tego typu? Znosić jego codzienną obecność? Mówić do niego po imieniu? Mówię „Daniel”, a jego imię staje się kamieniem, zatykając mi gardło. Dławię się nim. Łamię na nim zęby. I tak przez rok? A potem, Boże kochany, o tym dotąd nie pomyślałam, gdy adoptujemy Piotrusia, nasz związek wyjdzie na jaw! Pierwsza domyśli się Elka. Albo Szymek bo wczoraj mi wyszeptał do ucha, że wyczytał w Internecie, w jaki sposób dokonuje się adopcji i po prostu nie może już doczekać się dnia, w którym ty, mamelku, ożenisz się z wujkiem. Wreszcie będę miał prawdziwego tatę. Mamelku, jestem nieskończenie szczęśliwy. Tata i Piotruś. Prawdziwa rodzina. Babcia Pola najpierw mnie pobłogosławi, a potem, po rozwodzie, przeklnie. Elka śmiertelnie się na mnie obrazi, że wyszłam z mężem, nic jej o tym nie mówiąc, nie zapraszając na świadka, na przyjęcie, bo przecież nie uwierzy, że nasz ślub był fikcyjny. A Szymek? Ze swoim nieskończonym szczęściem? Rozwód nie wchodzi w grę! Nie mogę. Mój syn przebył długą, bolesną drogę do tego swego nieskończonego szczęścia. Nie wie, że jest tylko pionkiem w grze rozgrywanej przez Walickiego. Nie wie i niech tak zostanie.

Wyjmowałam paprochy z oczu przez pół nocy. Te w sercu pozostaną na zawsze. Nigdy nie poznam prawdziwej miłości. Pozostaną mi jedynie wspomnienia z tych dwóch miesięcy spędzonych z Igozem do dnia feralnego ślubu i czas z Przemkiem nim zrozumiałam, że jestem tylko przedmiotem, niezbyt drogim zresztą, w jego kosztownie wyposażonym mieszkaniu.

Tylko nie płacz.

Muszę, Igorze. Zbyt mało wspomnień mi zostawiłeś. Nie zapełnią mi reszty życia przy boku człowieka, którego się boję, którego uważam za drania, ponieważ tropił mnie jak zwierzynę, wpakował w zastawione przez siebie sidła i oto ostatecznie dopadł.

Czemu ty mnie, zła godzino

Z niepotrzebnym mieszasz lękiem?

Jesteś — a więc musisz minąć.

Miniesz — a więc to jest piękne.

Już nie carpe diem. Nie mam przed sobą chwili do zatrzymania. Jest przede mną zła godzina. Długa godzina. Bardzo długa godzina. Lecz i ona kiedyś minie. I to jest piękne. Bo wraz z tą godziną minę cała.

Vulnerant omnes, ultima necat — napis na bardzo dawnych zegarach.  
Wszystkie ranią, ostatnia zabija.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Za dwa dni zaczynały się ferie.

Nim w naszym życiu pojawił się Walicki, perspektywa spędzenia świąt u babci Poli nawet na mojego totalnie zbuntowanego syna działała niczym uspokajający nektar. Nienawiść do mnie jakby się w nim wyciszyła. Za każdym razem te trzy świąteczne dni pachnące choinką dawały mi złudną nadzieję, że mój syn powie do mnie kochany mamełku. Więc jechaliśmy do Korablewa szczęśliwi. Każdy z nas z innym, własnym, odrębnym szczęściem. Szymkowe szczęście spełniało się: razem z babcią szedł do ośnieżonego bajkowo lasu po drzewko, razem z babcią ubierał je w srebrne anioły, złocone orzechy, lukrowane pierniczki. Razem z babcią ucierał w makutrze mak do makowców, wylizywał paluszkami garnki po kremach, lukrze, czekoladowej pomadzie. Rozkładał sianko pod odświętną, koronkową serwetą, jaką babcia wyłączała w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy wyjmowała z pachnącej tatarakiem, tajemniczej szuflady, w której przechowywała swoje nieużywane już portfele, wygasłe kwity, resztki żarówki, ćwierć ołówki i to swoje małe zasuszone serce. Kiedyś ją tam zastałam, przy tej szufladzie, z rozłożonymi na podłodze papierami: świadectwem ukończenia szkoły podstawowej, liceum, z ksero dyplomu magisterskiego, kartkami pocztowymi (Z okazji imienin KOCHANEJ MAMIE wszystkiego najlepszego życzy kochający syn, Staś), listami (KOCHANA MAMO, skończyły mi się pieniądze... KOCHANA MAMO, potrzebuję pilnie gotówki; KOCHANA MAMO, potrzebny mi nowy komputer; KOCHANA MAMO, jakbyś sprzedała jeszcze ten hektar pod lasem, bo potrzebujemy z Krysią dokupić do salonu komplet wypoczynkowy; KOCHANA MAMO, rozumiemy, że i Tobie ciężko, ale kupiliśmy samochód na raty i jakbyś mogła podesłać nam kilkaset złotych...). Siedziała pośród tych wygasłych kwitów, kiwając się tępo jak dziecko chore na sierocą chorobę. Mój Boże, skąd ja to znałam? Ileż to razy tak tępo kiwałam się po usłyszeniu: „Chcę do taty. Nienawidzę cię, mamle”.

Teraz myśl o świątach stała się udręką. Przełamywać się opłatkiem z Walickim. Życzyć mu wszystkiego dobrego, podczas gdy życzyłam mu wszystkiego najgorszego. Pozwolić się pocałować. Uśmiechać się do niego. Rozwijać od niego gwiazdkowy prezent. Dziękować. Nie zdradzić ze swoją niechęcią. Panować nad twarzą. Nad oczami. Nad słowem, aby się nie wymknęło kamieniem. A ten drań, ku bezmiernej radości Szymka, zapowiedział, że całe ferie spędzi z nami. Kilkanaście dni ciągle z Walickim. Jak je znieść?

Jak udźwignąć świadomość, że już tak zawsze, do końca życia? Z kimś, o kim nawet nie wiem, kim naprawdę jest?

Nigdy nie zniżyłam się do rewizji Przemkowych kieszeni. Nie przeglądałam jego korespondencji, mimo beczelnych telefonów od kolejnych pań. Nigdy również nie odważyłam się przepytować mego syna o Walickiego. A przecież mogłam zapytać, czy dobry wujaszek lekcji języka niemieckiego udziela mu we własnym mieszkaniu. Na pewno tak. Więc nic prostszego, jak zdobyć adres od Szymka. Wiele razy miałam już na końcu języka pytanie: „Szymuś, a wujek to gdzie mieszka? Opowiedz... Ma ładne meble? A ten drugi samochód to jakiej marki? Pewno superbryka, prawda, synku?”.

A teraz postanowiłam tę żelazną zasadę złamać. Trudno. Muszę poznać prawdę o swoim przymusowym mężu. Danielu Walickim.

Walicki zostawiał zimową, ocieploną kożuszką kurtkę w przedpokoju. Zazwyczaj zjawiał się koło południa, jak przykładowy mąż przywoził zakupy, a wiedząc, że niechętnie zostawiam Piotrusia samego, obierał jarzyny, ziemniaki, przygotowywał mięso na kotlety mielone. Po obiedzie zabierał Szymka na basen lub trening.

Dziś zleciłam mu jeszcze przyrządzenie surówki. Chytrze zostawiłam drzwi od kuchni otwarte. Powiedziałam, że idę do Piotrusia. Przemknęłam jak złodziej na palcach do przedpokoju. Miałam nadzieję, że dokumenty odnajdę w jego kurtce.

Odnalazłam. Dwa identyczne portfele. Otworzyłam pierwszy. Dowód osobisty wystawiony był na Daniela Walickiego, urodzonego w Toruniu, zameldowanego w Łodzi, ulica Pokorna dwadzieścia. Pokorna kojarzyła mi się fatalnie z Polną. Poza tym dlaczego nosił dwa identyczne portfele? Otworzyłam ten drugi. Zobaczyłam gruby zwitek banknotów. Kilka tysięcy złotych. Brak dowodu osobistego. Brak prawa jazdy. Za to, cholera, zdjęcie mego syna! Gorączkowo przeglądałam poszczególne przegródki. Puste. Ale jednak nie. Wygrzebałam z kolejnej przeźółki wycinek z gazety. Przeczytałam potem. Pospiesz się, babo! Co za obrzydliwe uczucie grzebać komuś po kieszeniach. Pociłam się i drżały mi ręce. Może lepiej zapytać wprost? E tam. Zmyśli na poczekaniu jakąś bajeczkę. Nic już nie znajdę? Boże, jeszcze jakaś podniszczona kartka. Monotonny stukot noża o deskę ucichł. Dobra. Karteczka pospiesznie dołączyła do wycinka gazety pod moją bluzkę. Portfel wetknęłam z powrotem w kieszeń kurtki. Wciągając na usta sztywny uśmiech, pognałam do kuchni. Zdażyłam. Walicki pedantycznie mył deskę po siekaniu warzyw. Spojrzał na mnie. Zaniepokoiła go moja bladość i krople potu na czole.

— Nic mi nie jest — mój uśmiech był coraz sztuczniejszy.

— Doprawisz sama?

— Oczywiście. Idź do Piotrusia.

Poszedł. Wyciągnęłam zdobycze i schowałam do swojej torebki, mimo niepohamowanej żądz zapoznania się z ich treścią natychmiast. Trudno. Musiałam uzbroić się w cierpliwość. Postanowiłam wyjść zaraz po obiedzie. Nie bardzo wiedziałam, czy surówkę doprawiam solą czy cukrem. Najwyżej nie zjedzą. Matko, do obiadu jeszcze dwie godziny! Nie wytrzymam tak długo.

Weszłam do salonu, oznajmiając, że bardzo mi przykro, lecz muszę ich opuścić. Nałgałam, że Elka gwałtownie potrzebuje mojej porady w sprawie prezentu dla swego Heniusia i czeka w Manufakturze, niecierpliwie przebierając nogami.

— Zawiozę cię — zaoferował się Walicki.

— A Piotruś?

— Piotruś lubi jeździć samochodem.

— A kto usmaży kotlety? Ugotuje ziemniaki?

— Możemy zjeść na mieście.

— Aleś ty upierdliwy!

— Raczej zatroskany. Najpierw blada i spocona teraz płoniesz wypiekami jakbyś miała gorączkę.

— Wezmę taksówkę. Płonę, ponieważ doznałam nagłego olśnienia i wreszcie wiem, co ci kupię na gwiazdkę.

Szare oczy Walickiego rozjaśniły się.

— Naprawdę? Pomyślałaś o prezencie dla mnie?

— Pewno. W końcu przysięgałam ci, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne i trwałe — zakpiłam zirytowana tym rozjaśnionym spojrzeniem Walickiego.

Opuścił głowę. Dupek. Ja nie babcia Pola ani nie Elka, żeby się nabierać na pozy skrzywdzonego męczennika.

Tak się spieszyłam, że koniecznie usiłowałam wbić prawą nogę w lewy kozak i za cholerę nie mogłam zrozumieć, co jest nie tak z moją nogą albo z tym cholernym kozakiem. Instynktownie powstrzymałam się, aby zajrzeć w zdobycze zaraz po wyjściu na ulicę. Opatrzność czuwała nade mną. Dostrzegłam Walickiego obserwującego mnie zza firanki. Żeby go szlag! Pomachałam mu niby radośnie ręką. Nie był łaskaw odmachać. Na wszelki wypadek wsiadłam w taksówkę. Ciągłe tkwił w oknie. Szpieg. Tropiciel. Teraz ja ciebie wytropię. Na niewiele mi się to w praktyce przyda, lecz może w owych zdobyczach odnajdę twoją prawdziwą tożsamość, łajdaku.

Kazałam kierowcy zatrzymać się dwie ulice dalej z nadzieją, że wzrok Walickiego tu mnie nie dosięgnie. Weszłam do kafejki, zamówiłam kawę. Rzuciłam się na swoje łupy. Lekturę rozpoczęłam od wycinka z gazety.

„Wiadomości Łódzkie”. Z ostatniej chwili. Dziś nad ranem, około godziny czwartej, w Tuszynie miał miejsce tragiczny wypadek. Jak ustaliła policja, prowadzący golfa passata znany malarz Daniel O. na oblodzonej szosie stracił panowanie nad kierownicą i zderzył się czołowo z nadjeżdżającym autem osobowym marki Polonez. Zona Daniela O. oraz jego dziesięcioletni syn ponieśli śmierć na miejscu. Daniela O. z ciężkimi obrażeniami przewieziono do Szpitala im. Kopernika.

Boże! Daniel O.! Jak mogłam nie rozpoznać aranżacji jego słynnego płótna, jednego z ostatnich, jakie namalował i jakie znalazło się na zbiorowej wystawie poświęconej jego twórczości, która zorganizowana została w galerii BWA na Sienkiewicza?

Daniel Olecki. leden z czołowych polskich malarzy, którego płótna wisiały w wielu najważniejszych muzeach europejskich, amerykańskich, nawet japońskich. Ile płócien ozdabiało prywatne kolekcje znawców sztuki? Malarz niezależny, niepokorny, kontrowersyjny, niedający się zasufladkować w żadnym modnym nurcie. Łączący impresjonizm z surrealizmem. Tradycyjne malarstwo z kubizmem. Tworzył płótna, które wprost zatykały dech w piersiach. Zaczynał od martwych natur. Słynne martwe natury Oleckiego, gdzie najzwyklejsze przedmioty użytkowe tworzyły kompozycyjnie przemyślaną dramaturgię i każdy z tych przedmiotów — łyżka, nóż, garnek — opowiadał swoją historię, same zaś historie łączyły się we wstrząsający spektakl o ludzkim losie, raz radosnym, częściej tragicznym. Autor portretów brzydkich kobiet z oczami pełnymi nadziei na oczekiwane szczęście. Malarz ludzkich rąk, zawsze umieszczanych pośrodku białego płótna. Rąk splecionych do modlitwy, tak że już zbyteczny stawał się wizerunek tego, do kogo się modlą, o co i w jakiej intencji. Stworzył całą galerię takich rąk do wierszy Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. Błyszczące iskierkami brylantów, lakierem czerwonych paznokietków, takie błahe, bezmyślne, bo widzę cię w futro wtuloną, wahającą się nad małą kałużą, z chińskim pieskiem pod pachą, z parasolem i różą... Lub te puste, otwarte, jeszcze błagające, ale już wiedzące, że Ach, długo jeszcze poleżę w szklanej wodzie, w sieci wodorostów, zanim nareszcie uwierzę, że nie kochano mnie po prostu. Tak bardzo płakałam przed tym płótnem, tyle razy łąziłam do muzeum, by oglądać je masochistycznie, gdy zostawił mnie Przemek. Boże, w tej jednej parze białych, wątlonych dłoni Olecki zawarł całą prawdę o mnie. O nas wszystkich, niespełnionych w miłości kobietach. Tych młodych i tych starych. I tych konających również z wciąż pustymi, niekochanymi przez nikogo, pomarszczonymi dłońmi...

Właściwie już mogłam wrócić do domu. Do niego. Do Daniela.



Ale nie wróciłam. Wyjmując kłujące paprochy z oczu, rozwinęłam tę drugą, wykradzioną ohydnie karteczkę. Zwykły kwit z pralni. Na nazwisko: Natalia Olecka.

Natalia. Piękne imię miała twoja żona, Danielu. I pewno była piękną kobietą. Kochającą cię. Pewno i wasz synek był piękny. Rozumiem, dlaczego po tym tragicznym zdarzeniu namalowałeś ostatnią serię swoich obrazów, między innymi ten zatytułowany Obejmuję was po raz ostatni, który odtworzyłeś na moim stole. Chciałeś, żebym cię w ten sposób zidentyfikowała. A gdybym zidentyfikowała, że to ty — co dalej, Danielu? Nic dwa razy się nie zdarza i ty o tym doskonale wiesz. Rozumiem, że Szymek zastępuje ci twego zmarłego tragicznie syna. Lecz ja nie zastąpię ci twojej Natalii. Jeżeli sobie wyobraziłeś, że potrafię nią być, pomyliłeś się. Nie chcę, zamiast w różę, zamienić się w kamień. Bo tak by się stało z nami, Danielu. Trawestując wiersz Szymborskiej, którego fragment pamiętam doskonale: „Wczoraj, kiedy twoje imię ktoś wymówił przy mnie głośno, tak mi było, jakby róża przez otwarte wpadła okno... Dziś, kiedy jesteśmy razem, odwróciłam twarz ku ścianie. Róża? Jak wygląda róża? Czy to kwiat? A może kamień?”.

To twoja Natalia była różą. Nie zamierzam się oszukiwać, chociaż ty oszukujesz siebie, że może zdarzyć się inaczej. Nie chcę, żebyś odwracał twarz ku ścianie.

Natalia Olecka. Łódź, ulica Leśna dziewięć. Bluzki jedwabne — trzy sztuki. Kostium z żorzęty — jedna sztuka. Odebrano dnia 25marca 1998 roku. Podpis odbierającego: Daniel Olecki.

Spojrzałam na wycinek z gazety. Na dole znalazłam w stopce datę: 22 luty 1998.

Przeleżał miesiąc po wypadku. Potem wrócił do pustego mieszkania. 25 marca odebrał ubrania Natalii. Przez kilka miesięcy intensywnie malował. Ostatnia wystawa. Pamiętałam ją dokładnie. Na otwarciu Oleckiego nie było. Za to mnóstwo ludzi, jak zwykle na jego wernisażach. I głęboka cisza. Na te ostatnie płótna Oleckiego nie dało się inaczej patrzeć jak w głębokiej ciszy. W tej głębokiej ciszy jego obrazy po prostu krzyczały.

Wyszłam z kafejki. Wsiadłam w taksówkę. Podałam adres.

— To daleko — powiedział kierowca.

— Nie szkodzi.

— Zaraz będzie ciemno. Ta ulica jest pod samym lasem. Właściwie to nie ulica, a pojedyncze posiadłości otoczone prywatnymi lasami.

— Nie szkodzi.

— Pani tam mieszka?

— Tak, mieszkam tam.

— To dobrze. Bo niewielu taksówkarzy ryzykowałoby wieczorny kurs na Leśną.

Wysadził mnie przed kutą, wysoką bramą. Zza otaczającego posiadłość muru wynurzały się z mroku ośnieżone gałęzie drzew. Udałam, że szukam kluczy w torebce. Taksówkarz odjeżdżał powoli. Gdy tylne światła rozproszyły się w grudniowym zmierzchu, szarpnęłam bramą. Ani drgnęła. Trudno. Nie jestem akrobatką, lecz w inny sposób nie pokonam tej przeszkody. Zadarłam spódnicę. Wspinałam się po wykręconych fantazyjnie prętach. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Wśród drzew zaszemrał opadający z gałęzi śnieg. Boże, jak wysoko. Zamknęłam oczy i skoczyłam. Potem szłam oświeconą jedynie księżycem ścieżką. Prócz moich śladów nic nie naruszało dziewiczej bieli śniegu. Widocznie Olecki dawno tu nie był.

Willa zaskoczyła mnie swą czarną, wielką bryłą. Obcą i groźną. Musiałam jednak wiedzieć wszystko. Nie spodziewałam się, że ktokolwiek, poza duchami Natalii i jej syna, otworzy drzwi. Wybiłam szybę, mimo rękawiczki kalecząc dłoń. Odgłos pękającego szkła zabrzmiał jak zgrzyt noża. W oddali pies znowu rozszczekał się groźnie, a między drzewami mignęło zapalające się światło. Odczekałam, aż zgaśnie. Kalecząc dłoń, przecisnęłam się przez okno. Znalazłam się w ciemnym i zimnym wnętrzu willi. Zewsząd napierał na mnie odór pleśni i zgnilizny.

Światło. Zapalić natychmiast, jeśli nie odcięli prądu.

Błądziłam ręką po ścianie w poszukiwaniu kontaktu. Znalazłam. Światło wybuchło jak krzyk.

Przechodziłam do kolejnych pomieszczeń.

Kiedyś to musiał być piękny dom. Teraz od wielu lat był martwy. Wszędzie zalegały pokłady kurzu i pajęczyny.

To ich sypialnia. Tu się kochali.

Zmatowiałe lustro odbiło moją twarz. Krzyknęłam, bo zamiast niej zobaczyłam twarz upiora. I tym upiorem byłam ja.

To jej miejsce przed lustrem. Taboret obity jedwabiem, wykładana marmurem toaletka. Pusta. Ani flakonu ze zwietrzalymi perfumami, ani zaschniętego błyszczyka do usta, ani szczotki, którą przed snem rozczesywała swoje zapewne długie, gęste, lśniące połyskliwą czernią włosy. Nie wiedziałam, skąd przekonanie, że miała długie, czarne, lśniące włosy.

Usunął stąd wszystkie rzeczy należące do Natalii, żeby o niej zapomnieć?

Zaglądałam do kolejnych szuflad i szafek. Pusto. Pusto.

Łazienka. Ani szlafroka, ani peniuaru, ani pantofelka, ani szczoteczki do zębów, upuszczonego kolczyka, jakiegoś kobiecego drobiazgu, niczego po Natalii.

Garderoba. Męskie garnitury na wieszakach z jednej strony. Ta druga, gdzie musiały wisieć jej ubrania, pusta.

Boże, gdzie ja widziałam takie zacieranie po sobie wszelkich śladów?

Tylko nie płacz.

Przebiegałam pokoje. Choćby szal, choćby koronkowa chusteczka, wachlarz, pierścionek perła z rozerwanego naszyjnika.

Nic, niczego. Nigdzie. Jakby Natalii nigdy w tym wielkim, starym domu nie było. Jakby kobieta o imieniu Natalia nie istniała.

Otworzyłam drzwi do następnego pokoju. Odszukałam włącznik światła.

To był pokój syna Oleckiego. Pomimo grubej warstwy kurzu, wydawał się czysty. Pokój pełen miłości: biurko, na którym leżał otwarty zeszyt, obok książka otwarta na stronie dwudziestej piątej. Tapczanik zasłany futrzaną narzutą. Kolorowe poduszki i zasłony. Półki z książkami. Półki z zabawkami. Kartka z notesiku na dywanie. Ołówek, który stoczył się z biurka. Oprawione w ramki zdjęcie. Boże, to zdjęcie mojego syna!

Długo trwało, zanim pojęłam, że patrzę na chłopca, który jednak mimo łudzącego podobieństwa nie był moim synem. Te same włosy. Te same oczy. Ten sam zarys ciemnych brwi. Proste czoło. Leciuteńko zadarty nos nad wypukłymi wargami. Nawet ta jasna plamka na czole. Nawet identycznie odstające uszy.

Skóra zdarta z mego męża. Z ojca mego syna.

Jedyna różnica to wiek. Chłopiec na zdjęciu nie wyglądał na więcej niż siedem lat. Gdyby żył, byłby teraz siedemnastoletnim licealistą.

Szymka urodziłam w 1997. Natalia swego sześć lat wcześniej. Nie znałam wtedy jeszcze swego drugiego męża. Natalia natomiast — tak.

Już wiedziałam, z jakiego powodu Olecki usunął z domu wszystko, co mogłoby mu przypominać zmarłą żonę, zostawił natomiast rzeczy chłopca. Nie potrafił jednego: wyrzucić z serca dziecka, które wychowywał w przekonaniu, że jest jego ojcem. Nawet gdy dowiedział się, że nim nie jest. Już wiedziałam, skąd się wzięła jego miłość do mego syna. Już wiedziałam prawie wszystko. Nawet to, że prawdę o zdradzie Natalii odkrył po tragicznym wypadku.

— Tu jesteś. Bogu dzięki.

Zajęta myślami, nie dosłyszałam kroków Daniela. Zbliżył się do mnie blady, z tym swoim smutnym, bezbronny spojrzeniem.

— Umieraliśmy z niepokoju. Godziny mijały, a ciebie wciąż nie było. Zastanawialiśmy się, dokąd poszłaś, czemu nie wracasz? Dlaczego wyłączyłaś komórkę? Czy zdajesz sobie sprawę, ile w swoim życiu pogrzebałam nadziei,

wiary i miłości? A kiedy was odnalazłem, nie zniósłbym więcej straty. Mam znowu dla kogo żyć, malować. Rozumiesz to? Rozumiesz?

Podszedł do mnie blisko. Za blisko. Jego serce wybijało pospieszny rytm lęku. Boże, on sądzi, że jestem jego Natalią, Szymka zaś uważa za swego syna! Wszystko jedno, co sądzi. Jest człowiekiem potrzebującym pocieszenia. Potrafiłam pocieszyć Igora. Czy uda mi się pocieszyć Daniela? Przynajmniej spróbuję. Więc położyłam głowę na tym domagającym się pomocy sercu. Odszukałam dłonią twarz Daniela. Ścierałam z tej twarzy łzy, nie wiedząc, czy są to łzy tragiczne, jak łzy Igora, czy łzy szaleńca. Dotykałam warg, którymi trzy razy mnie pocałował tak delikatnie, jak spłoszony uczeń na pierwszej randce. Nikt nigdy w taki sposób mnie nie całował. Nawet Igor. Z taką bezmierną czułością. Z taką bezbronną nieśmiałością. Teraz, kiedy wiedziałam na pewno, że mój domniemany wróg, mój mąż na papierze, jest mężczyzną, na którego od zawsze czekałam, teraz go właśnie traciłam. Zobaczył Szymka po raz pierwszy, gdy zawoził mnie do szkoły. Przeżył szok: jego syn nie zginął, żyje! W ten sposób wrócił do przeszłości. A może tak naprawdę nigdy się z niej nie wynurzył? Żył fantomami wspomnień? Aż zamienił je w rzeczywistość?

Ale dla mnie w jego rzeczywistości miejsca nie było. Nie odbiorę mu Szymka. Niech go ma, tego swego syna. Niech mój syn ma swego wujaszka. Pewno z czasem Szymek będzie nazywał go swym ojcem. Niech nazywa. Memu synowi potrzebny jest tata, Danielowi natomiast potrzebny jest syn. Piotrusiowi i mama, i tata. Jak to pogodzić? Jak żyć dalej?

— Daniel, nie — zaprotestowałam słabo, ponieważ próbował mnie objąć. — Proszę nie. Nie jestem Natalią.

Z ustami przy moich ustach zdumionym szeptem zapytał:

— Kim? Droga moja, kim?

— Natalią.

— Chryste, ona nie żyje. Boże, ty nadal niczego nie rozumiesz!

— Daniel. Rozumiem. Odsunął się ode mnie.

— Nie rozumiesz. Natalia przestała dla mnie istnieć, kiedy znalazłem jej ostatni, niewysłany do twego męża, miłosny list. Bo już wówczas byłaś jego żoną. Po raz pierwszy usłyszałem o tobie w szkole, przeglądając twoje podanie o pracę. Ty — woźną? Jakaś komedia, cyrk, czy co? Wyobraziłem sobie ciebie jako wstrętą, prymitywną babę. A zobaczyłem wyniszczoną fizycznie młodą kobietę i wiedziałem natychmiast", ten drań i ciebie skrzywdził. To prawda, prześledziłem twoje życie. Musiałem cię poznać dokładnie, niemal dzień po dniu. Oszalałem w momencie, w którym zobaczyłem sobowtóra swego syna. Wybacz, że nie powiedziałem ci od razu prawdy. Nie mogłem. Targały mną sprzeczne uczucia.

Jednego dnia byłaś dla mnie wszystkim, moją wiarą i nadzieją, drugiego dnia uważałem cię za słodką idiotkę, a trzeciego niemal nienawidziłem. Poza tym nie ułatwiałaś mi zadania, okazując wciąż i wciąż, nieodmiennie podejrzliwość, niechęć, traktując mnie jak najgorszego wroga. Dalej nie wiem, kim jestem dla ciebie... Facetem, za którego wyszłaś za męża, ponieważ inaczej nie było sposobu adoptować Piotrusia? Droga moja. Jeżeli tak jest, zapewniam, że słowa dotrzymam. Natychmiast po adopcji rozwiedziemy się. Ale pozwól mi, pozwól raz jeszcze do siebie powiedzieć: droga moja. I przyznać się, że to ja kupiłem od babci Poli tę łączkę nad Krasówką. Czy pozwolisz mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem?

Zamknęłam oczy. Teraz Daniel ocierał moje łzy.

— Kupiłem, ponieważ zamarzyło mi się szczęście. Zamarzył mi się jasny, przestronny dom. I taki dzień, w którym pozwolisz do siebie już zawsze mówić: droga moja. A wtedy poprowadzę ciebie i naszego syna do tego domu spełnionych marzeń.

— Daniel. Mamy teraz dwóch synów — odpowiedziałam.